

*Książkę tę dedykuję moim synom
Matthew i Michaelowi Crose'om,
którzy są światłem mojego życia.
Dzięki, chłopaki. Jesteście wspaniali!*

Rozdział 1

*Bad Luck. Teksas
1999*

Akry wyschniętej trawy prażyły się w upale. Cienia prawie nie było, a letnie powietrze przesycił zapach piasku. Nevada Smith wycelował. Przymknął niesprawne oko. Nacisnął spust.

Bach!

Stary winchester mocno uderzył go w gołe ramię, a zardzewiała blaszana puszką, do której mierzył, podskoczyła na słupku ogrodzenia i spadła na twardą ziemię. Krowy na sąsiednim polu nawet nie drgnęły, ale Nevada z satysfakcją wziął na muszkę następny cel: pustą butelkę po piwie, która za chwilę miała się rozprysnąć na tysiąc kawałków.

Znów podniósł strzelbę. Odwiódł kurek. Zaciśnął zęby i zmrużył oczy. Palec przywarł do spustu, ale Nevada się zawahał.

Wyczuł, że ciężarówka się zbliża, jeszcze zanim hałas dotarł do jego uszu. Wyciągnął szyję i dostrzegł tuman kurzu wlokący się za słupkami ogrodzenia równoległe do jezdni. W tym samym momencie usłyszał ryk silnika. Wpatrywał się w ciężarówkę przez zadrapaną okulary przeciwsłoneczne Foster Grant, aż w końcu rozpoznał czerwonego dodge'a Shepa Marsona.

Cholera!

Czego, u diabła, chce ten stary drań? Shep pełnił funkcję zastępcy w Biurze Szeryfa i było oczywiste, że ten twardziel ma ochotę zostać szeryfem całego okręgu. Postawny, potężny jak nadmorska sosna, był siostrzeńcem sędziego okręgu i mężem córki niegdyś zamożnego ranczera, no i mógł liczyć na to, że zostanie wybrany przytłaczającą większością głosów. Co niechybnie oznaczało wzrost przestępczości w tym zakątku Texas Hill Country.

Nevada miał nerwy napięte jak postronki, i to nie tylko dlatego, że Shep był wrednym, zakłamanym sukinsynem, który nie miał prawa zapuszczać się aż tutaj, na teren nieobjęty jego jurysdykcją.

Shep był dalekim kuzynem Shelby Cole, człowiekiem, z którym Nevada kiedyś krótko pracował i który groził mu bronią. O nie, tych dwóch nie pałało do siebie miłością.

Ze strzelbą w rękę Nevada minął stary ogród różany, gdzie przerośnięte krzaki niedługo miały wydać nasiona. Chwycił podniszczoną koszulkę, którą zawiesił na słupku ogrodzenia, zahaczył ją jednym palcem i zarzucił na ramię.

Pod dachem dwupokojowej chatki, którą Nevada nazywał domem, osa pracowicie szykowała sobie gniazdo. Jego stary, kulawy pies, kundel, raczej border collie niż labrador, leżał w cieniu zniszczonego frontowego ganku. Na widok pana uderzył ogonem w ziemię, podniósł łeb i zaszczekał, słysząc warkot dodge'a.

- Cicho. Wszystko będzie dobrze - skłamał Nevada. Bezskutecznie próbował zignorować ból skacowanej głowy - nie tylko nie ustawał, ale jeszcze się wzmagał - gdy tymczasem słońce weszło już wysoko, a w powietrzu czuć było upał. Kiedy wóz nadjechał z głośnym warkotem, Nevada poczuł, że coś ściska mu żołądek. Chore oko trochę go bolało i opędał się od głupiej końskiej muchy, która najwyraźniej nie wyczuła, że stado znajduje się sto metrów dalej na zachód, skupione za gąszczem teksańskich dębów i drzew mesquite, tak że każdy leniwy koń stał z nozdrzami przy zadzie drugiego i oganiał się ogonem od natrętów.

Marson zatrzymał wóz przed starą szopą z narzędziami i zgasił silnik.

Nevada poczuł, że sztywnieje mu kark - zawsze tak reagował na widok przedstawiciela prawa. Kiedyś sam się do nich zaliczał, teraz był wyrzutkiem.

Shep wygramolił się zza kierownicy. Był zwalistym mężczyzną, z dolnej wargi zawsze zwisała mu prymka tytoniu. Przeszedł powolnym krokiem obok maski swojego upstrzonego owadami wozu. Miał buty z wężowej skóry, wytarte dzinsy opięte na brzuchu i koszulkę w stylu western. Ruszył zakurzoną ścieżką w stronę domku. Z grubych palców zwisały mu dwie półlitrowe puszkę coorsa, w plastikowej folii z sześciopaką.

- Smith. - Splunął strużką czarnego soku i doszedł do bramy. - Masz chwilkę?

- Zależy.

- Od czego?

- To jakaś oficjalna sprawa?

- Nie. - Shep otarł usta wierzchem wolnej dłoni. Piegowatą skórę nad jego górną wargą pokrywał meszek. - Ot, beztroska pogawędka dwóch kumpli.

Nevada nie wierzył mu ani trochę. Nigdy się nie przyjaźnił z Shepem, nawet w czasach, gdy grali w jednej drużynie. Obaj o tym wiedzieli. Ale trzymał język za zębami. Marson przyjechał tutaj nie bez powodu. To musiało

być coś poważnego.

Shep wyszarpnął puszkę z uchwytu i rzucił ją Nevadzie, a on złapał ją w locie.

- Co za cholerny upał - burknął Shep. Otworzył puszkę i słuchał krzepiącego syku powietrza. Kiwnął głową, uniósł puszkę i pociągnął duży łyk.

- Tu zawsze jest gorąco - odparł Nevada, otwierając swoje piwo. - Lato w Teksasie.

- Chyba o tym zapomniałem. - Shep zachichotał, ale bez krztyny wesołości. - Chodź, przysiadzimy na chwilę. - Kiwnął głową w kierunku frontowego ganku, gdzie dwa plastikowe krzesła cierpliwie pokrywały się kurzem. Po twarzy ciekła mu strużka potu, od której błyszczały cienkie, mocno już siwiejące baczki. - Słyszałeś o starym Calebie Swaggercie? - zagadnął, patrząc na horyzont, gdzie zebrało się kilka chmur, które rozpraszał lecący na północ samolot.

Nevada poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Oparł się o słupkę ganku, gdy tymczasem Shep sadowił się na jednym z kupionych na wyprzedazy krzesel.

- Co takiego?

Shep przez chwilę popijał piwo, zerkając na odziedziczone przez Nevadę szkaradne ranczo. W końcu chrząknął i powiedział:

- Wygląda na to, że stary Caleb niedługo umrze. Rak. Lekarze w Coopersville nie dają mu nawet miesiąca. - Kolejny długi łyk. Nevada ścisnął palcami swoją puszkę. - I wyobraź sobie, Caleb twierdzi, że odnalazł Jezusa. Nie chce umrzeć jako grzesznik. Dlatego zamierza zmienić swoje zeznanie.

Nevada poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Ledwo poruszając wargami, zapytał:

- To znaczy?

- Że Ross McCallum wyjdzie na wolność. To właśnie zeznania Caleba, Jego i Ruby Dee, sprawiły, że chłopak wylądował w więzieniu. W tych okolicach wszyscy wiedzą, że Ruby to kłamliwa dziwka, a teraz wygląda na to, że ona przyzna, że po prostu wrobiła Rossa.

Nevadzie zrobiło się niedobrze. Poczuł na karku lekki wiatr, gorący jak oddech szatana.

Shep jeszcze raz podniósł puszkę i wysączył ją prawie do końca.

- Wiem, że to ty aresztowałeś tego sukinkota, Smith. Ty go posłałeś do mamra, ale pomyślałem, że powinieneś to wiedzieć: Ross za parę dni wyjdzie na wolność, w zależności od tego, kto będzie rozpatrywał sprawę, i nie muszę ci mówić, że on łatwo się wkurza. Kiedy dorastaliście, miał na sumieniu więcej sprawek niż ty. Połowa z tych bójek była z tobą. Zgadza się, co?

Nevada nic nie powiedział. Shep pokiwał głową i wypił kolejny, duży łyk, opróżniając w ten sposób puszkę.

- Kiedy wyjdzie z więzienia, będzie się mścił jak zraniony niedźwiedź. - Trzymając puszkę, wycelował palcem wskazującym w Nevadę. - Na pewno będzie szukał ciebie. - Zgniół puszkę grubą pięścią i dodał: - Ja tak sobie myślę, że ostrzeżony to uzbrojony. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak.

- Dobrze. - Shep cisnął puszkę na przegniłe deski ganku i wstał. - Wiesz, Nevada, ja nigdy tego za bardzo nie kapowałem. Przecież kiedyś byliście najlepszymi kumplami, nie? On był rozgrywającym w drużynie futbolowej, a ty skrzydłowym. No, przynajmniej zanim został wywalony. Ale co między wami zaszło?

Nevada wzruszył ramieniem.

- Ludzie się zmieniają.

- Czyżby? - Shep lekko przygryzł wargę. - Może i tak, kiedy chodzi o kobietę.

- Może.

Shep zszedł po dwóch stopniach z ganku i obrócił się, jakby nagle coś ważnego sobie przypomniał.

- To jest ta druga nowina, synu - powiedział śmiertelnie poważnym tonem.

- Jaka nowina?

- Krążą plotki, że Shelby wraca do Bad Luck.

Nevadzie serce podeszło do gardła, ale starał się zachować obojętną minę.

- Tak, zgadza się - dodał Shep, jakby rozmawiał z samym sobą. - Słyszałem to od mojej siostry. Shelby zadzwoniła do niej dzisiaj rano. - No, więc jeśli rzeczywiście się tu zjawi, nie chcę żadnych kłopotów, rozumiesz? Ty i Ross dosyć się nawarzyliście o nią przed laty. Pamiętam, jak zaciągałem was obu na posterunek. Byłeś nieźle poharatany. Straciłeś oko. Wylądowałeś w szpitalu. A Ross po bójce z tobą miał kilka pękniętych żeber i złamaną rękę. Coś mi się zdaje, że wtedy przysięgał, że cię zabije.

- Jakoś nie miał okazji, żeby to zrobić.

- Aż do teraz, synu. - Shep rozejrzał się po zaniedbanym podwórzu i wyciągnął z tylnej kieszeni chusteczkę. Otarł twarz i zmrużył oczy, bruzdy wokół nich mocno się pogłębiły. - Już mówiłem, że nie chcę żadnych kłopotów. W przyszłym roku będę się ubiegał o posadę szeryfa okręgu Blanco i nie chcę być kojarzony z jakąś chryją.

- Nie widzę takiej możliwości.

- Dobrze. Niech będzie, jak jest. - Ruszył w stronę wozu, a Nevada mówił sobie, że nie będzie rozgrzebywać dawnych historii, że powinien trzymać język za zębami i udawać brak zainteresowania. Ale nie wytrzymał.

- Dlaczego Shelby akurat teraz wraca do Bad Luck? - zapytał.

- Hm, dobre pytanie, nie uważasz? - Shep przystanął i w zamyśleniu tarł podbródek. Widać było plamy potu na koszuli pod pachami. - Cholernie dobre pytanie. Miałem nadzieję, że może znasz na nie odpowiedź, ale widzę, że się myliłem. - Spojrzał przed siebie i wypluł długą strużkę tytoniowego soku na wypalone słońcem chwasty rosnące wokół słupka ogrodzenia. - Może Ross zna odpowiedź.

Nevadę coraz bardziej bolała głowa.

- Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że i on, i Shelby będą wracali do miasta w tym samym czasie? Zbieg okoliczności czy coś w tym stylu?

To coś więcej niż zbieg okoliczności, pomyślał Nevada, ale tym razem nic nie powiedział, a Shep pomaszerował do swojego wozu. Z tego, co Nevada wiedział, Shelby Cole - piękna i rozpieszczona jedynaczka, córka sędziego Jerome'a „Reda” Cole'a - nie miała żadnego powodu, żeby wracać do Texas Hill Country. Absolutnie żadnego cholernego powodu.

Shelby nie oszczędzała pedału gazu wynajętego cadillaca. Ciągłe przekraczała prędkość i czuła, jak szybko krzewy, gałęzie dębów, usychające kwiaty polne i kolczaste kaktusy gruszkowe ocierają się o jej samochód. Wzdłuż zwirowego nasypu autostrady leżały tu i tam martwe zwierzęta, głównie pancerniki i zające. Ten widok przypominał jej, że zbliża się do Bad Luck, małej miejsciny na zachód od Austin, miejsca, do którego kiedyś przysięgła sobie nigdy nie wracać.

Rozsunęła dach samochodu i słońce mocno prażyło ją w głowę. Ze związanych z tyłu włosów sterczało pasemko rudoblonde. Nie przejmowała się tym. Na lotnisku rzuciła szpilki i prowadziła samochód boso, skoncentrowana, ze zmarszczonym czołem; do jej świadomości z trudem przebijały się dźwięki jakiejś starej piosenki Bette Midler.

Skręciła trochę za szybko, opony cadillaca zapiszczały, ale nie zwolniła. Po dziesięciu latach nieobecności w miasteczku, które ją wykleło, po dziesięciu latach swobodnego życia w Seattle, nie mogła się doczekać chwili, kiedy zaparkuje przed stuletnim domem, w którym się wychowała. Nie miała zamiaru zatrzymać się tam na długo. Chciała tylko załatwić swoje sprawy i się wynieść.

Zacisnęła palce na kierownicy. Zalała ją fala wspomnień uwieczonych w innym czasie i przestrzeni, wspomnień obietnic i kłamstw, seksu podczas wiosennej burzy i konsekwencji zdrady. Z trudem przetknęła ślinę. Nie chciała przemierzać tej bolesnej ścieżki.

Wyłączyła radio gwałtownym ruchem i wcisnęła na nos okulary przeciwsłoneczne. Nie chciała słuchać żadnych ckliwych, romantycznych kawałków, a w każdym razie nie dzisiaj. I chyba w ogóle. Zerknęła na siedzenie obok siebie, gdzie cisnęła neseser. Z bocznej kieszeni wystawał róg szarej koperty. Był w niej list - anonimowy - ze znaczkiem podstemplowanym w San Antonio. Właśnie z powodu tego listu poprosiła o urlop okolicznościowy szefa biura nieruchomości, w którym pracowała, spakowała podręczną torbę, pojechała na lotnisko Sea-Tac i poleciała pierwszym samolotem do Austin.

W niecałą dobę po otrzymaniu obciążającego listu mknęła przez ulice w centrum miasteczka, które nazywała domem przez pierwszych osiemnaście lat swojego życia.

Niewiele się tu zmieniło.

Drogeria wyglądała tak samo; zachował się nawet pal do przywiązywania koni wbity przed bocznymi drzwiami. Uśmiechnęła się ironicznie na wspomnienie dnia, w którym wryła na tym właśnie palu swoje inicjały, i zaczęła się zastanawiać, czy mimo upływu czasu wciąż jeszcze widać tam głupiutkie serduszko, wyznanie miłości do mężczyzny, który ją w sobie rozkochał:

- Idiotka - mruknęła pod nosem, zatrzymując się przed czerwonym światłem jedynej sygnalizacji w mieście i czekając, aż przejdzie przez ulicę ciężarna kobieta pchająca spacerówkę z płaczącym dzieckiem.

Z chodnika unosił się nagrany kurz, utrudniał widoczność i Shelby miała wrażenie, że asfalt zaraz się roztopi. Jezu, ależ tu było gorąco. Zapomniała o tym. Po czole spływał jej pot, a gorące powietrze zdawało się napierać na jej bawełnianą bluzkę. Skóra pod spódniczką khaki była wilgotna. Mogła zamknąć ten cholerny dach, zasunąć okna i włączyć klimatyzację, ale nie chciała tego robić. Pragnęła zachować Bad Luck* w pamięci jako beznadziejne miejsce. Miasteczko zawdzięczało swoją nazwę, bardzo zresztą odpowiednią, jakiemuś dawnemu poszukiwaczowi ropy. Rozwijało się powoli i niewielu jego obywateli dobrze prosperowało - najbardziej spośród nich wybił się jej ojciec. Gdy tylko otrzepała buty z kurzu Bad Luck, powzięła mocne postanowienie, że jej noga nigdy więcej tu nie postanie.

Ale wróciła.

I nie zamierzała przeproszać za to, że żyje.

Jechała pewnie skapanymi w słońcu bocznymi uliczkami. Skręciła przy motelu z cementowych bloków - który reklamował się niskimi cenami, klimatyzacją i telewizją kablową - a potem minęła rodzinny sklep spożywczy, gdzie na parkingu pobłyskiwały maski nielicznych samochodów. Dalej, za małymi bungalowami - w niektórych oknach wisały wywieszki **DO WYNAJĘCIA** - ulica skręcała obok pomnika Sama Houstona w parku i prowadziła do dzielnicy mieszkaniowej, gdzie korony rozłożystych drzew dawały ochronę przed słońcem, a kilka starszych

* *bad luck* (ang.) - pech (przyp. tłum.).

domostw spowijał dziewiętnastowieczny urok.

Z dala od centrum miasteczka, bliżej wzgórz, stały domy bardziej zamożnych obywateli - nie było ich wiele.

Dom jej ojca w stylu wiktoriańskim, wedle standardów Bad Luck zasługujący na miano rezydencji, był najokazalszy. Stał na dwuhektarowej posiadłości, wśród spadzistych wzgórz półtora kilometra od miasta; tuż przy nim, między bardzo starymi drzewami pękań, wiała się rzeczka. Zbudowana z ciętego kamienia i cegły trzypiętrowa posiadłość była okolona ze wszystkich stronach szerokimi, zadaszonymi gankami. Wysokie okna i ozdobne kraty upiększały wiszące kosze fuksji w krzykliwych kolorach. Trawa była przystrzyżona i zieloniutka, kwitnący żywopłot również starannie utrzymany. Shelby wyobrażała sobie, że basen na tyłach domu, w kształcie nerki, nadal przypomina lśniąca, turkusowe jezioro, a jednocześnie świadczy o bogactwie, władzy i wpływach sędziego Cole'a.

Shelby zmarszczyła brwi, przypominając sobie szyderstwa, których musiała wysłuchiwać jako dziecko i nastolatka, szeptów wyrażające lęk i pogardę; wtedy starała się je ignorować.

- Bogata suka.

- Największa farciara na zachód od San Antonio.

- Wyobrazasz sobie? Ma wszystko, czego zapragnie. Wystarczy, że poprosi albo zamruga swoimi błękitnymi oczkami do tatusia.

- Ciężkie życie, co, kochanie?

Nawet teraz Shelby czuła, że jej policzki płoną z zakłopotania tak samo jak kiedyś, kiedy zakazano jej bawić się z Marią, córką dozorky, albo ostrzeżono, że Ruby Dee to „niegrzeczna dziewczynka”, albo kiedy dowiedziała się, że jej klacz Appaloosa jest warta więcej, niż zarabia Nevada Smith przez cały rok pracy po godzinach na ranczu bydła jej ojca, trzysta kilometrów na północ od miasta.

Nic dziwnego, że stamtąd uciekła. Teraz zahamowała przy garażu, wsunęła szpilki, zgasiła silnik i wrzuciła kluczyki do neseseru. Mruczając po cichu: „Daj mi siłę”, do niewiadome kogo, wygramoliła się z samochodu i, nie bacząc na to, że bluzka przylepia jej się do pleców, pomaszzerowała chodnikiem do domu. Nawet nie podniosła mosiężnej kołatki z dumnie wygrawerowanym nazwiskiem Cole. Przypomniała sobie obrzydliwą parodię rymowanki, którą usłyszała w szkole podstawowej:

Stary sędzia Cole

Okropną starą duszę miał,

Wredny był z niego wał.

Stryczkiem albo spluwą groził,

Trzech sługusów z sobą woził.

Frontowe drzwi otworzyły się bez trudu i powitał ją zapach płynu do mebli, potpourri i cynamonu. Włoski marmur, widoczny przy brzegach kosztownych kilimów, lśnił w słońcu, które sączyło się przez wysokie, nienaganie czyste okna.

- *Hola!* Ktoś tam jest? - zabrzmiał znajomy głos z wyraźnym hiszpańskim akcentem i dały się słyszeć ciche kroki, a kiedy Shelby skrzyła w stronę kuchni, omal nie wpadła na Lydię, gosposię ojca.

Ciemne oczy ją rozpoznały, na twarzy pojawił się uśmiech radości.

- *Señorita* Shelby! - Lydia uśmiechała się od ucha do ucha. Jej niegdyś czarne włosy, starannie splecione i zwinięte w kok nisko na szyi, były teraz poprzetykane siwizną. Nieliczne, niesformne kosmyki okalały twarz, którą Shelby pamiętała z młodości. Z biegiem lat talia Lydii trochę się zaokrągliła, ale na twarzy nie było zmarszczek, a skóra o miedzianej karnacji z meksykańskimi akcentami i typowymi dla Indian wystającymi kośćmi policzkowymi wydawała się równie gładka jak kiedyś.

- *Dios!* - Lydia uściśnieła tę, którą pomagała wychowywać. - Dlaczego nikogo nie zawiadomiłaś, że przyjeżdżasz do domu?

- Zdecydowałam o tym nagle. - Objęła Lydię i do oczu napłynęły jej niechciane łzy. Czarna sukienka, biały kołnierzyk, biały fartuch i proste sandały... strój Lydii przez wszystkie te lata, kiedy Shelby tu nie było, w ogóle się nie zmienił. I wciąż pachniała wanilią, talkiem i papierosowym dymem. - Jak... jak to dobrze cię zobaczyć.

- I ciebie też, *niña*. - Lydia cmoknęła językiem. - Gdybym wiedziała, że przyjeżdżasz, ugotowałabym wszystkie twoje ulubione potrawy: szynkę i słodkie ziemniaki, a na deser ciasto z orzechami pękań. Jeszcze dzisiaj je zrobię. Wciąż je uwielbiasz?

Shelby się zaśmiała.

- Tak, ale proszę cię, Lydio, nie rób sobie kłopotu. Nie wiem, ile czasu zostanę.

- Cicho. Nie będziemy mówić o twoim wyjeździe, skoro dopiero co przekroczyłaś próg tego domu. Ach, *niña!* - W oczach starej kobiety zabłyśły łzy. Szybko zamrugała powiekami i szepnęła: - Jesteś jak *fantasma*, jak duch twojej matki. - Westchnęła, odsunęła Shelby na długość ręki i dokładnie jej się przyjrzała. - Ale jesteś za chuda. *Dios!* Czy oni tam na północy nie umieją gotować?

- Nie. Nikt nie umie - droczyła się z nią Shelby. - W Seattle wszyscy są chudzi jak szczapy. Tylko piją kawę, kulają się przed deszczem i wspinają na góry. Coś w tym rodzaju.

Lydia zachichotała.

- Z tym sobie poradzimy.

- Później. Teraz chcę się zobaczyć z sędzią - odparła Shelby. Nie zamierzała zmieniać planów pod wpływem życzliwości gospodyni albo jakiegoś niedorzecznego uczucia nostalgii. Miała misję do spełnienia. - Czy jest w domu? - Wyswobodziła się z objęć Lydii.

- Si. Na werandzie, ale akurat ma klientów. Powiem mu, że jesteś...

Ale było za późno. Shelby już ruszyła w stronę przeszklonych drzwi balkonowych, które prowadziły na tyły rezydencji.

- Sama to zrobię. Dziękuję, Lydio.

Przeszła obok błyszczącego mahoniowego stołu - wraz z dwunastoma rzeźbionymi krzesłami stał w jadalni. Na połyskującym blacie pyszniła się wiązanka rajskich ptaków, ulubionych kwiatów jej matki. Od ponad dwudziestu lat, jakie minęły od śmierci Jasmine Cole, co tydzień pojawiała się nowa kwietna kompozycja. Przez szklane panele masywnego kredensu było widać kryształ i porcelanę, błyszczące i gotowe do użytku w razie uroczystego przyjęcia.

Shelby doszła do wniosku, że w Bad Luck nic się nie zmienia. Otworzyła przeszklone drzwi i weszła na wyłożoną kaflami werandę, z której było widać basen. Zamontowane pod sufitem wentylatory leniwie meły powietrze, a cień dębów i drzew pękań łagodził letnią spiekotę. Gorące powietrze unosiło się nad okalającą basen terakotą i odbijało wyrazistymi smugami w migoczącej, błękitnej wodzie.

Ojciec siedział przy stoliku, ubrany w czarny garnitur i białą koszulę; trzymał na kolanach laskę z rączką z rzeźbionej kości słoniowej, a na stole leżał czarny stetson. Był pochłonięty rozmową z dwoma mężczyznami. Pomyślała, że to nie trzech sługusów, ale dwóch potakiwaczy, w dżinsach i koszulach z podwiniętymi rękawami. Jeden miał brązowe wąsy i przerzedzające się włosy, drugi przykuwał uwagę siwą kozią bródką i ciemnymi okularami.

Na dźwięk zamykanych drzwi wszyscy podnieśli głowy. Dwaj mężczyźni nachmurzyli się i jednocześnie obrzucili ją spojrzeniami. Powoli na ich skwaszonych twarzach pojawiło się zainteresowanie.

Zignorowała obu.

Ojciec obejrzał się przez ramię.

- Shelby!

Poczuła ból, widząc jego rozradowaną twarz. Boże, ależ on się postarzał. Jego twarz z biegiem lat zrobiła się puciołowata, a brzuch jeszcze się powiększył. Powieki opadały, a szyję i czoło przecinały głębokie, nieregularne zmarszczki. Rude włosy posiwiwały i bardzo się przerzedziły, ale wciąż prezentował się okazale i kiedy wstał, a miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, przypominała sobie, jaki potrafił dominować na ławie sądowej.

- Mój Boże, dziewczyno, dobrze cię widzieć. - Rozłożył szeroko ramiona, ale Shelby nie ruszyła się z miejsca i zachowywała dystans.

- Musimy porozmawiać.

- Do diabła, co ty tutaj robisz, malutka? - Jego błękitne oczy zdradzały rozczarowanie i miała ochotę podbiec do niego, zarzucić mu ręce na szyję i powiedzieć: „Och, tato, stęskniłam się za tobą”. Ale nie zrobiła tego. Przeciwnie, stała sztywno wyprostowana i walczyła ze sobą, żeby się nie rozkleić. Nie była już przerażoną małą dziewczynką.

- Sam na sam, sędzio. Musimy porozmawiać bez świadków. - Spojrzała wymownie na jego pomagierów.

Odprawieni jednym skinieniem głowy szefa, mężczyźni szybko podnieśli się z krzesel i, żegnani cichymi, pośpiesznymi zapewnieniami sędziego Cole'a o tym, że spotkają się później, sztywnym krokiem obeszli dom i zniknęli za bramą. Zapadła cisza, w której słychać było tylko brzęczenie pszczoł i stukanie dzięciołów, ale Shelby nie marnowała czasu. Sięgnęła do walizeczki, wyjęła szarą kopertę, rozerwała ją i wysypała jej zawartość na szklany blat stolika, gdzie w wypitych do połowy drinkach wciąż pływały kostki lodu.

Z czarno-białej fotografii spoglądała na nich dziewięcio-, dziesięcioletnia dziewczynka. Sędzia wciągnął powietrze i powoli usiadł. Shelby zauważyła, że obrączka wrzyna się głęboko w palec jego lewej ręki. Nie zdejmował jej od ponad trzydziestu lat, a na prawej ręce lśnił duży pierścień z diamentem, jaki chciałyby nosić niejedna hollywoodzka narzeczona.

Shelby nachyliła się nad stołem, tak że prawie dotykała nosem czubka nosa ojca. Pokazała palcem czarno-białe zdjęcie.

- To moja córka - powiedziała drżącym głosem, czując jak bardzo się denerwuje. - Twoja wnuczka.

Szukała na twarzy sędziego jakichkolwiek oznak, że rozpoznaje dziewczynkę. Nie dostrzegła niczego.

- Ona wygląda zupełnie jak ja. Jak mama.

Sędzia zerknął na zdjęcie.

- Istnieje pewne podobieństwo.

- To nie jest podobieństwo, sędzio. Ta dziewczynka wygląda dokładnie tak samo jak ja. A tutaj... - wydobyla kartkę spod fotografii - ...jest kopia jej aktu urodzenia. A to... jej akt zgonu, kiedy była noworodkiem. Przeczytaj go: Elizabeth Jasmine Cole. Rzekomo umarła, sędzio, na skutek powikłań, problemów z sercem, zaraz po narodzinach. Ty... ty powiedziałeś mi, że ona nie przeżyła. Że te prochy, które rozsiałam na wzgórzach... och Boże, czyje to były prochy? - zapytała, a potem potrząsnęła głową, nie chcąc słyszeć kolejnych kłamstw. - Nie mów... o Boże. - Miała ściśnięte gardło i pomyślała, że zaraz zwymiotuje. - Okłamałeś mnie. Dlaczego?

- Nie kłamałem...

- Przestań! Po prostu przestań! - Wyciągnęła ręce w jego stronę i cofnęła się o krok. Czowała, jak zalewają ją gorycz. Wściekłość sprawiała, że drżały jej mięśnie. - Ktoś, nie wiem kto, przysłał mi to wszystko. Dostałam to wczoraj, no i wróciłam tutaj, żeby wyjaśnić sprawę. Gdzie jest moja córka, tato? - wycodziła przez zęby, które zaciskała tak mocno, że aż bolała ją szczęka. - Co z nią zrobiłeś, do jasnej cholery?

- Ależ kochanie...

- Przestań! I to natychmiast! Nie nazywaj mnie kochaniem ani cukiereczkiem, ani dzieciną, ani panienczką, ani żadnym innym czułym określeniem, dobrze? Ja jestem już dorosła, jeśli nie zauważyłeś, i nie uda ci się wywinąć z tego słodkimi słówkami, sędzio. Nie jestem małą dziewczynką. Dobrze wiem, że nie należy wierzyć ani jednemu słowu, jakie pada z twoich kłamliwych ust, a przyjechałam tu tylko po to, żeby odnaleźć moje dziecko, sędzio, moją córkę. - Stuknęła się w pierś kciukiem.

- Twoją i kogo jeszcze? - zapytał. Już się nie uśmiechał, a w głosie słyszała dawny, dobrze jej znany szorstki ton.

- To... to nie ma znaczenia.

- Czyżby? - Sędzia rozrucił papiery na stole i zmarszczył brwi, mrużąc oczy za okularami w szerokiej oprawce. - Dziwne, nie uważasz? Dostajesz dowód, że masz dziecko, w tym samym tygodniu, w którym Rosę McCallum ma być zwolniony z więzienia.

- Co? - Nogi się pod nią ugięły. McCallum nie może odzyskać wolności. Jeszcze nie teraz. I nigdy. Strach ściał jej krew. Nagle zrobiło jej się gorąco, a zaraz potem zimno.

- Och, a więc nie wiedziałeś? - Sędzia znowu rozsiadł się na krześle i bawił kościaną rączką laski. Zerknął na córkę znad okularów. - Tak, Ross będzie wolnym człowiekiem. Aha, jeśli chodzi o Nevadę Smitha, nadal mieszka w tej okolicy.

Jej głupie serce na chwilę przestało bić, ale starała się zachować obojętny wyraz twarzy. Nevada nie istniał w jej życiu, i to od bardzo, bardzo dawna. Nic tego nie zmieni. Nigdy.

- Tak - ciągnął sędzia, gładząc opuszkami palców gałkę laski - odziedziczył skrawek skalistej ziemi, na której próbuje prowadzić ranczo. Nikt nie wie, jak Nevada zareaguje na uwolnienie Rossa, ale krążą plotki, że na pewno rozpęta się niezła awantura. - Przygryzł dolną wargę i z nachmurzoną miną zamyślił się, jak to miał w zwyczaju, kiedy przesiadywał w sądzie i wysłuchiwał długich, rozwlekłych podsumowań. - A teraz ktoś wysyła ci przynętę... chodzi o to, żeby ściągnąć cię z powrotem do miasta, do którego przysięgłeś sobie już nigdy nie wrócić. Ktoś robi z ciebie idiotkę, Shelby - powiedział, powoli kiwając głową, jakby zgadzał się z samym sobą - i to nie jestem ja.

Ten jeden raz mu uwierzyła.

Przyjechała tu przepelniona szlachetnością i determinacją, by odszukać swoje dziecko. To się nie zmieniło. Ale teraz czuła, że ktoś nią manipuluje i, tak jak powiedział ojciec, robi z niej idiotkę. Niechcący wpadła w pułapkę starannie przygotowaną przez kogoś, kto miał własne cele.

Postanowiła nie dać się tak łatwo!

Wyprostowała się, była mokra od potu.

Znajdzie sposób, żeby się jakoś wydostać z sideł. Bez względu na wszystko, raz na zawsze zostawi za sobą Bad Luck w Teksasie.

I tym razem, na Boga, zabierze ze sobą swoją córkę.

Rozdział 2

Ależ nie możesz wyjechać. *Niña*, przecież dopiero przyjechałaś! - Lydia nie należała do osób łatwo dających za wygraną. Pod tym względem nie zmieniła się wcale mimo upływu lat. Trochę posiwiała i przybyło jej kilogramów, ale była tak samo stanowcza, jak we wspomnieniach Shelby z młodości. - Sędzia cię potrzebuje - dodała, posapując, bo z trudem nadążała za zmierną do drzwi frontowych Shelby.

- On nikogo nie potrzebuje.

- Myślałam, że przyjechałaś w odwiedziny.

- Nie. Służbowo. - Shelby potrząsnęła głową. Nie mogła tu zostać. Nie mogła zostać w tym domu, w tym potężnym grobowcu, gdzie jej własna matka odebrała sobie życie, a ona dorastała jako jedynaczka pod okiem surowego prawnika, gdzie jacyś ludzie wiecznie wkradali się i wymykali, żeby wykonywać specjalne polecenia sędziego, nieświadomi, że Shelby obserwuje ich z górnego podestu, ukryta w cieniu, we wnęce obok szafy na bieliznę, że chowa się za fikusem i zerka na foyer przez cieniutkie gałązki.

- Ależ Shelby... - Głos Lydii zadrżał i Shelby zatrzymała się pod drzwiami. Odwróciła się i zobaczyła autentyczny smutek w ciemnych oczach Lydii. - ...Stęskniłam się za tobą, *niña*. Odkąd ciebie nie ma, w tym domu jest tak zimno.

Shelby miała wrażenie, że topnieje lód wokół jej serca, bo przecież ta kobieta wychowywała ją od czasu, gdy Jasmine Cole wybrała śmierć zamiast hańby rozwodu. To właśnie w ramionach Lydii Vasquez przestawała się bać, to w jej obfity biust wtulała głowę, żeby usłyszeć bicie dobrego serca, to Lydia zachęcała ją, żeby nie rezygnowała z marzeń, i pocieszała, kiedy coś się nie udawało. Lydia smarowała jodyną jej zadrapaną kolana, strofowała szybką jak karabin maszynowy hiszpańszczyznę, kiedy Shelby popełniła błąd, albo mrugała porozumiewawczo i

przymykała oko, kiedy Shelby „pożyczała” klucze do ojcowskiego pontiaca 1940.

- Nie mogę tu zostać - powiedziała Shelby, kładąc ręce na pulchnych ramionach Lydii.

- Nie na zawsze, nie. Ale może na kilka dni? To by mu sprawiło taką ulgę... taką radość. - Kiwnęła głową w stronę patio na tyłach rezydencji, gdzie sędzia wciąż siedział obok basenu. - I mnie też. *Por favor*. Kilka dni. *Semana*.

- Tydzień? - zapytała Shelby. - Mowy nie ma. Nie dam rady.

- A cóż by to szkodziło? Twojemu ojcu by się to spodobało, a ja... ja dopilnowałabym, żebyś żdziebko przytyła. Od twojego wyjazdu wiele się zmieniło. - Zaciśnęła wargi, tak że widać było wokół nich zmarszczki. - On nie jest... no, wiesz... nie jest tym, czym go nazywasz. Monstruo.

Shelby musiała się uśmiechnąć.

- Potworem, Lydio. Nie monstrum. Nie przekręcaj słów.

- *Si*. Potworem.

- Ja... pomyślę o tym.

- Zrób to, a ja będę się modliła. Do Matki Boskiej i...

- Ona sobie poradzi. Nie musisz wzywać wszystkich świętych - rzuciła Shelby. Na to małe bluźnierstwo przerażenie pojawiło się na puciołowanej twarzy Lydii. Shelby wybuchnęła śmiechem i ucałowała ją w policzek. - Pozwól, że załatwię to po swojemu, dobrze? Nie potrzebuję ani ciebie, ani Najświętszej Dziewicy, ani nawet Pana Boga, żeby mi mówili, co mam robić.

Kiedy Shelby wyciągnęła rękę do klamki frontowych drzwi, Lydia przeżegnała się z prawdziwie religijnym żarem i zaczęła mamrotać po hiszpańsku o upartych, nierozsądnych młodych kobietach, które nie wiedzą, gdzie jest ich miejsce na ziemi. Shelby usłyszała tylko połowę z tego potoku słów, ale zrozumiała, o co z grubsza chodzi, i zdecydowanie zamknęła drzwi.

Nie miała ochoty przebywać pod jednym dachem z ojcem. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby rozpamiętywać wszystkie nadzieje, marzenia i rozczarowania, które przeżywała przez pierwsze osiemnaście lat swojego życia, ale pozostać tutaj, blisko człowieka, który tak brutalnie zniszczył jej życie... to miało sens, jeśli chciała się dowiedzieć, co dokładnie zdarzyło się przed dziesięciu laty i jaką on odegrał rolę w tej gigantycznej grze pozorów.

Nogi lekko się pod nią uginały, kiedy szła do cadillaca, ale bez wahania usiadła za kierownicą; poczuła, że fotel parzy jej uda. Przekręcając kluczyk w stacyjce, zerknęła na dom i mogłaby przysiąc, że jedna z zasłon w gabinecie sędziego lekko się poruszyła. Czyżby zrobił to jej ojciec? Lydia? Ktoś inny?

Ale właściwie to było bez znaczenia. Shelby wsunęła okulary na nos, cofnęła się prawie do rogu garażu, a potem ruszyła gwałtownie, zwiększając obroty silnika. Pod pewnymi względami łatwiej byłoby zatrzymać się u ojca, ale mimo wszystko nie była gotowa na takie upokorzenie. Jeszcze nie.

Czy istnieje lepsze miejsce, żeby odkryć jego tajemnice? Żeby z nim porozmawiać w nadziei, że się otworzy i powie prawdę?

- Do diabła z tym wszystkim - mruknęła pod nosem i pojechała swoim wielkim samochodem do centrum miasteczka, do starej kamienicy, w której kiedyś przyjmował pacjentów doktor Pritchard. Wciąż bolała ją głowa. Ross McCallum miał wkrótce znaleźć się na wolności.

Nagle zaciśnięte na kierownicy palce zrobiły się mokre od potu, a serce zaczęło walić jak młotem. Shelby czuła gorycz w gardle, zaciśnęła zęby i próbowała się skoncentrować, kiedy wjeżdżała do centrum Bad Luck i kliniki, w której kiedyś leczono ją na wszystkie choroby, od bronchitu po zapalenie spojówek.

Budynek się nie zmienił. Miał trzy piętra, a na parterze w szybach odbijały się promienie słońca, bo wstawiono szyby, dodatkowo wzmocnione drutem. W pobliżu frontowych drzwi znajdowała się popielniczka, jak zawsze. Zainstalowano klimatyzację, a w niegdyś wyłożonych linoleum korytarzach teraz leżała brązowa wykładzina. Na szklanych drzwiach na drugim piętrze, przez które dawniej wchodziło się do gabinetu Pritcharta, teraz przybita była tabliczka z nazwą firmy ubezpieczeniowej.

Shelby, do głębi rozczarowana, nacisnęła jednak klamkę i weszła do pomalowanej na różne odcienie błękitu, chłodnej recepcji. Nieco impertynencka recepcjonistka o włosach, których kolor pasował do srebrzystego błękitu ścian, i obwieszona biżuterią jak choinka, zerknęła na Shelby zza komputera. Na tabliczce na jej biurku widniał napis **ROBERT FLETCHER**.

- Szukam doktora Neda Pritcharta - powiedziała Shelby, zanim pani Fletcher zdążyła się do niej odezwać. - Byłam jego pacjentką przed laty, kiedy zajmował to biuro.

Roberta uśmiechnęła się miło, ale w jej oczach, powiększonych przez szkła kontaktowe, nie było ani trochę życzliwości.

- Doktor Pritchard? Jego tu nie ma od dawna, chyba od dziesięciu lat. My jesteśmy tutaj od sześciu, a przedtem urzędował tu prawnik, niejaki pan Blackwell. Arthur Blackwell.

- Czy wie pani, kto przejął jego gabinet albo gdzie mogłabym go znaleźć?

Pani Fletcher wzruszyła ramionami, rozkładając bezradnie ręce.

- Nie mam pojęcia. Ale słyszałam, że rzucił pracę, wyprowadził się, nie pamiętam dokąd. Właściwie to nigdy go nie znałam, przynajmniej nie na tyle, żeby z nim porozmawiać. Widywałam go w mieście tylko od czasu do czasu.

- Na chwilę umilkła i obrzuciła Shelby uważnym spojrzeniem. - Czy pani nie jest córką sędziego Cole'a? Shelby? Pamiętam cię... o rety, ależ ty jesteś podobna do swojej matki, niech odpoczywa w spokoju.

- Tak. Dziękuję. - A więc to tak będzie. Wszyscy w Bad Luck będą ją rozpoznawali.

- Szkoda jej. No wiesz, kochanie - powiedziała recepcjonistka, nagle największa przyjaciółka Shelby - ona była cudowną kobietą.

- Tak, wiem. Pamiętam.

- Jak się miewa twój ojciec? Już dawno go nie widziałam.

- Dobrze. Hm, wszystko u niego w porządku.

- Od jak dawna jesteś w mieście?

- Jakiś czas - odparła Shelby wymijająco, pamiętając, że w małej miejscinie wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich. - Dokładnie nie pamiętam.

Uświadomiła sobie, że jej poszukiwania prowadzą donikąd, i nie chcąc odpowiadać na dalsze pytania, podziękowała recepcjonistce, zeszła po schodach na dół i stanowczym ruchem otworzyła frontowe drzwi. Owionęło ją gorące popołudniowe powietrze. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się jedyna apteka w mieście, dawniej drogeria Rexall z saturatorem na tyłach. Shelby bywała tutaj często jako nastolatka, w tym piekielnym okresie między dzieciństwem a wiekiem dojrzewania. Wolałaby zapomnieć, ile wypła wiśniowych coca-coli, kiedy obracając się na obitych czerwona skórą taboretach, machała nogami i zanurzała frytki w keczupie z dodatkiem cytryny i sosu tabasco, i marząc o jakimś młodzieżowym idolu czy aktorze telewizyjnym, którego nazwiska już nie pamiętała. Miała wrażenie, że żyła tak beztrudnie całe wieki temu.

Przekroczyła jezdnię w niedozwolonym miejscu, bo ruch nie był zbyt wielki, minęła róg ulicy i podeszła do bocznego wejścia, gdzie niczym strażnik stał dumnie pał do przywiązywania koni. Gładkie, nieco sfatygowane ze starości drewno było upstrzone śladami po gaszonych papierosach. Przesuwała opuszki palców po wyrytym sercu - po tylu latach wciąż tu było.

Boże, zupełnie zwariowała na jego punkcie. Była wtedy licealistką, a on starszy od niej wrócił do domu po krótkim epizodzie w wojsku.

To nie była najmądrzejsza decyzja w twoim życiu, przypominała sobie i wyprostowała się, otrzepując ręce. Nie zamierzała snuć głupich wspomnień, zwłaszcza że czas naglił. Każdy mijający dzień oznaczał, że przez kolejne dwadzieścia cztery godziny nie będzie mogła się spotkać ze swoją córką.

Zacisnęła zęby, przeszła na drugą stronę ulicy do jedynej w tej okolicy budki telefonicznej i zaczęła kartkować mocno sfatygowaną książkę telefoniczną z nadzieją, że na liście lekarzy znajdzie nazwisko doktora Neda Pritcharta.

Niestety. Wodziła palcami po kolumnach nazwisk, łudząc się, że może przypomni sobie jakiegoś współnika albo podwładnego, albo kogoś powiązanego z Pritchardem, ale jej wysiłki spełzły na niczym. Wiatr przybrał na sile, jego gorący podmuch przesunął papierzyska i zeschnięte liście i rozrzucił je po ulicy. Zza drzwi wychynął szary, cętkowany kot, po czym schował się w cieniu za prażącym się w słońcu chevroletem, który wyglądał tak, jakby stał zaparkowany w tym miejscu od dwudziestu lat.

Powolny rytm życia w Bad Luck bardzo kontrastował ze zgiełkiem Seattle, gdzie przechodnie, rowery, samochody osobowe, ciężarówki i autobusy tarasowały strome ulice prowadzące do nabrzeża. Nad tłumami turystów krążyły rozwrzeszczane mewy, portowe foki zagrażały ławicom łososi, a po wzburzonych szarych wodach Cieśniny Pugeta płynęły wielkie promy i łodzie, w których żagle dał silny północny wiatr. To miasto położone na północnym zachodzie, gdzie wzdłuż wybrzeża stały tłumnie strzeliste drapacze chmur, naprawdę żyło, tętniło niepohamowaną, wibrującą energią, czerpiąc ją z eklektycznej mieszanki obywateli, którzy tu mieszkali, pracowali albo przyjeżdżali w celach turystycznych. Powietrze było rześkie, pachniało słonym oceanem, a na często zalewanych deszczem ulicach tłoczyli się ubrani w płaszcze i parki przechodnie, którzy pochylali głowy, żeby osłonić się przed wiatrem, i szli żwawo - cóż za przeciwieństwo powolnego tempa lata w Bad Luck.

Shelby wyszła z budki telefonicznej i skierowała się do apteki; ocierając pot z czoła, poczuła, że jest obserwowana. Obrzuciła spojrzeniem całą ulicę. W oddali stał zaparkowany stary pikap, jakiś mężczyzna ładował do niego torbę ziarna. Ale ukryte za okularami przeciwsłonecznymi oczy patrzyły wprost na nią.

Tego człowieka rozpoznaby wszędzie.

Na chwilę zaparło jej dech w piersiach. Przez głowę przemykały, jak błyskawice, rozmaite, przyjemne i smutne, wspomnienia. Nevada Smith. Nawet się nie uśmiechnął, tylko ruszył ku niej tym swoim swobodnym, rozkołysanym krokiem, tak zwodniczo szybkim. Miał na sobie znoszone, spłowiałe od słońca dżinsy, zakurzone buty i postrzępioną, kiedyś ciemnozieloną koszulkę. Zatrzymał się dopiero w cieniu apteki, dosłownie centymetry od Shelby. Włosy lepiły mu się od potu.

- Shelby Cole. - W jego głosie wyczuwało się pogardę. - No, no - mruknął przeciągle i obrzucił ją spojrzeniem. - Słyszałem plotki, że wracasz tutaj.

- Czyżby? - Dlaczego jej serce biło tak mocno? Ich związek już się zakończył. Dawno temu. I postanowiła sobie, że to się nie zmieni. Ten nieokrzesany kowboj był dla niej kimś obcym.

- Złe wieści szybko się rozchodzą w Bad Luck - oparł się szczupłym, odzianym w dżins biodrem o pał do

przywiązywania koni.

- Złe wieści szybko się rozchodzą wszędzie.

- Chyba tak. - Patrzył na nią uważnie przez ciemne okulary. Jego podbródek był wciąż mocno zarysowany - i pokryty kilkudniowym zarostem - a muskularne ramiona wzbudzały podziw opalenizną. I wciąż miał w sobie wielką arogancję i sarkazm. - Co cię sprowadza do Bad Luck?

Wcześniej zastanawiała się, czy nie powinna z nim porozmawiać. W końcu miał takie samo prawo wiedzieć jak ona. Jego córka - o jej istnieniu nawet nie wiedział, dziewięcioletnia dziewczynka, której nie miał szansy pokochać ani odrzucić. Przynajmniej przez wszystkie te lata przekonywała samą siebie, że dziecko było jego. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że... To straszne... Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze.

Obok przejechał minivan; przez otwarte okna było słychać, jak rozłoszczona matka wrzeszczy na swoje dzieci. Nieco dalej wrona o błyszczących czarnych skrzydłach przechadzała się nerwowo wzdłuż rowu odpływowego, szukając czegoś do jedzenia.

A on wciąż czekał. Bezczelnie. Shelby chrząknęła.

- Wróciłam z kilku powodów - przyznała, mrużąc oczy. Teraz albo nigdy, pomyślała. - Jeden z nich ma związek z tobą. Jak będziesz miał wolną minutę, powinniśmy porozmawiać.

- Tylko tyle to zajmie? Minutę? - Spojrzał na nią przez te cholerne okulary, a ona zapragnęła zerwać mu jeż twarzy.

- Dziesięć... najwyżej dwadzieścia.

- Może pogadamy teraz?

Na moment głos uwiązał jej w gardle. Tyle nocy zastanawiała się nad tym, czy kiedykolwiek skontaktuje się z nim, czy zdradzi mu tajemnicę, którą skrywała w sercu przez prawie dziesięć lat. Nigdy nie potrafiła znaleźć sensownej odpowiedzi. Aż do teraz. Zapewne dlatego, że nie miała wyboru. No cóż, jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Lepiej wyrzucić to wszystko z siebie i czekać na konsekwencje.

- Dobrze - powiedziała. - Niech będzie teraz, czemu nie. - Zerknęła na rozgrzaną, asfaltową jezdnię.

- Postawię ci drinka. Jesteś już pełnoletnia, prawda?

- Od dawna - burknęła.

Spojrzał w stronę White Horse Saloon i ruszył tam, gdy tymczasem Shelby zbierała się na odwagę, żeby powiedzieć mu prawdę. Otworzył przed nią drzwi, które mocno zaskrzypiały na starych zawiasach, i weszła do mrocznego, przypominającego grobowiec pomieszczenia: belki na suficie były tu ciemne od wieloletniego papierosowego dymu, a przestarzały system klimatyzacji głośno buczał, jakby skazany na klęskę w walce z upałem. Kilka zamocowanych na suficie wentylatorów leniwie rozgarniało gęste, ciepłe powietrze, metaliczna muzyka z ukrytych głośników mieszała się z wyraźnym stukotem kul bilardowych w drugim rogu pomieszczenia. W szklankach brzęczały kostki lodu i Shelby poczuła w nozdrzach smród dymu i alkoholu. Przechodząc obok baru do boksu, czuła, że jest obiektem zainteresowania wielu osób.

- Piwo? - zapytał Nevada, kiedy usiadła.

- Może być. - Było jej wszystko jedno. Wsunęła okulary przeciwsłoneczne do bocznej kieszonki torby, a Nevada podszedł do baru i przywołał barmankę, chudą, kruchą kobietę o tlenionych włosach, zbyt mocno narysowanych brwiach i ze śladami szminki na wargach.

- Dwa, Lucy.

- Już się robi.

Przysiadł na ławce naprzeciwko niej i rzucił swoje ciemne okulary na stół. W skąpym świetle zauważyła, że jego oczy trochę się różnią - jedna źrenica jest większa od drugiej. Przypomniała sobie, że to rezultat jego bójki z Rossem McCallumem.

- No, śmiało - powiedział. - O co chodzi, Shelby? Jakaż to ważna sprawa sprowadza cię tutaj?

Obejrzała się przez ramię z niepokojem, powtarzając sobie w duchu, że wcześniej czy później i tak musi się z tym uporać. Najlepiej będzie mieć to za sobą.

- Jest coś, o czym powinnam była ci powiedzieć dawno temu - wyznała i zobaczyła, jak napinają się żyły na jego szyi. - Coś ważnego.

- Co?

Przysła Lucy. Położyła na stole kilka papierowych podkładek z mapką Teksasu i postawiła dwie smukłe butelki piwa i dwie szklanki. Po krótkim namyśle wyciągnęła rękę nad barem i po sfatygowanym blacie przysunęła koszyk z orzeszkami w łupinach. Zatrzymał się tuż przy podstawce do serwetek.

- Coś jeszcze? - zapytała.

- Chyba nie - odparł Nevada.

- Dajcie znać, jak się namyślicie.

- Damy znać. - Nevada napełnił swoją szklankę i znowu utkwiał wzrok w Shelby. - Mów dalej.

Poczuła, że sztywnieją jej plecy. Starła się mówić jak najciszej.

- Ty i ja. Mieliśmy dziecko - wyznała.

Sięgał właśnie po orzeszka i jego ręka zastygła w powietrzu. Zmrużył oczy i patrzył na nią jak sparaliżowany, z

takim napięciem, jakby brał ją na cel.

- Co? - wychrypiął.

- Mówię prawdę. - O Boże. - Dziewczynkę.

Przez chwilę panowała cisza. Ogłuszająca cisza potępienia. Patrzył jej w oczy, szukając w nich choćby śladu kłamstwa.

- I nie powiedziałaś mi o tym? - wyszeptał w końcu. Twarz miał napiętą, jego spojrzenie zdradzało narastający gniew.

- Nie.

- Gdzie ona jest? - Jego wargi ledwo się poruszały.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Zapomniał o piwie i o orzeszku. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał przeskoczyć stół i potrząsnąć nią. - Jak to, nie wiesz?

- Myślałam, że... ona urodziła się martwa - wyjąkała Shelby, siłąc się na spokój.

- Co? Myślałaś? Przecież byłaś tam? - dopytywał się, oszołomiony, jakby oskarżał Shelby o to, że kłamie w żywe oczy.

Och, to wszystko brzmiało tak niewiarygodnie.

- Wszyscy mi to mówili, ale teraz... teraz myślę, że zostałam okłamana i że ona żyje, ale nie wiem gdzie. Prawdopodobnie została adoptowana, i to nielegalnie.

- Zaraz, zaraz! - Szybko wyciągnął rękę, żeby ją uciszyć. Zerknął w stronę baru i Shelby uświadomiła sobie, że Lucy podsłuchuje ich rozmowę, wycierając długi, błyszczący blat kontuaru, i coraz bardziej się do nich przysuwa.

Shelby dobrze zrozumiała to milczące ostrzeżenie. Nevada sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i rzucił kilka banknotów na stół.

- Chodź - rozkazał i prawie wyciągnął ją zza stolika, przy okazji zgarniając swoje okulary. - Reszty nie trzeba - burknął do Lucy, popychając Shelby do wąskiego korytarza na tyłach lokalu, wciśniętego między toalety i kuchnię. Otworzył drzwi ramieniem.

Owionęło ich upalne powietrze, a słońce oślepiło. Wokół śmietnika przy murze roiło się od much i pszczoł. Ulicą sunął sznur samochodów i ciężarówek.

Nevada ujął łokieć Shelby stanowczym gestem i popychał ją na pokryty nierównym asfaltem parking.

- Dokąd jedziemy? - Próbowała wyszarpnąć ramię, ale on tylko wzmacnił uścisk.

- Do mnie.

- A gdzie to jest?

Zdała sobie sprawę, że prowadzi ją do swojego wozu.

- Parę kilometrów za miastem.

- Mowy nie ma.

- Wolisz rozmawiać tutaj? - zapytał, zatrzymując się na chodniku, gdzie dwoje dzieciaków na rowerach mijają parkomaty, a kilka samochodów odjeżdżało albo hamowało przy krawężnikach. Przechodnie obrzucili ich zaciekawionymi spojrzeniami.

Mężczyzna w goglach lotnika, w czapce Oilersów spuszczonej na oczy z nieukrywaniem zainteresowaniem patrzył na nich przez otwarte okno swojej ciężarówki.

Nagle Shelby uświadomiła sobie, jak bardzo tu nie pasuje.

- Wiesz, ludzie cię rozpoznają - zauważył Nevada.

- Ależ wiem. - Wahala się tylko przez chwilę. - Pojadę swoim samochodem, dobrze?

Puścił jej łokieć.

- Jedź za mną.

Nie potrzebowała dalszych zachęt. Mężczyzna w ciężarówce splunął na chodnik tytoniową śliną, a Shelby podbiegła do wynajętego cadillaca i otworzyła drzwi. W środku było niemiłosiernie gorąco. Nastawiła klimatyzację na najwyższy poziom, opuściła szybę i wykręciła kierownicę. Kiedy stary pikap Nevady oddalił się od krawężnika, włączyła się do ruchu tuż za nim.

Jadąc mu na ogonie i klnąc pod nosem, znów włożyła okulary. To jakiś nonsens, mówiła sobie. Na miłość boską, co ty wyprawiasz, dlaczego jedziesz do domu Nevady? Zaciśnęła zęby i jechała za nim przez miasto, na zachód i przez pagórkowate tereny, gdzie wreszcie poczuła działanie klimatyzacji.

Teren wokół rancza był chroniony drutem kolczastym, a sumaki rosły obok żywodębów. Po suchej, pokrytej kurzem ziemi błąkały się stadka kozłów, owiec i bydła, skubiąc rzadką trawę i zioła. Pokonali kolejne kilometry i minęli wąwóz, którym kiedyś płynął strumyk. Nevada skierował swojego pikapa w gąszcz żywodębów, gdzie zwirowa, wyboista alejka prowadziła na środek rancza

Cadillac podskakiwał na zielsku - rośło między bliźniaczymi koleinami i rysowało podwozie auta.

- Świetnie - Shelby mruknęła pod nosem, zaciskając ręce na kierownicy.

A więc o tutaj skończył Nevada. Kawałek rancza z chatką, która wcale nie wyglądała jak wiejski domek, i kilkaset ogrodzonych akrów spalonych słońcem. Stadko longhornów wędrowało po polach, a kilka zakurzonych

koni próbowało się paść, opędzając się ogonami od wszędobylskich much.

Zdecydowanie nie był to raj na ziemi.

Zatrzymała cadillaca przy małej pompowni.

Kurz jeszcze nie opadł, a ona już wyciągała nesese i gramoliła się z wozu, żeby się nie rozmyślić.

Nevada czekał na nią. Pies również. Zaczął szczekać jak oszalały.

Nevada spojrział na niego.

- Cicho, Crockett! Nic się nie dzieje. - Pies miał rozstawione łapy i zjezoną sierść na grzbiecie. Warczał głucho, błyskając zębami. - Dość! - Warkot ustał, ale zwierzę nie spuszczało z Shelby ciemnych, podejrzliwych ślepiów. Każdy mięsień pod czarno-białą sierścią był naprężony, gotowy do skoku, gdyby padł taki rozkaz. - Nie żartuję - ostrzegł Nevada, a potem podrapał psa za uszami. - Wejdz - powiedział, otwierając ażurowe drzwi. Siateczka była połatana w paru miejscach, a farba zaczynała się łuszczyć.

Shelby weszła do domu - wcale nie było w nim chłodniej niż na dworze. Podniszczone meble były ustawione w dość przypadkowy sposób wokół dywanu, który leżał na podłodze z linoleum. Nic tu nie pasowało. Wszystko było używane. Jeśli Nevada Smith miał choć trochę pieniędzy, to na pewno nie przeznaczał ich na domowe wygody. Jakież czasopisma walały się na stoliku - kiedyś zapewne wyglądał lepiej, ale nie zasługiwał na miano mebla w stylu retro.

Poprowadził ją obok mikroskopijnej kuchni do tylnych drzwi. Ganek był pogrążony w cieniu, osłonięty parawanami - na szczęście było tu chłodniej o jakieś dziesięć stopni. Do sidingu po jednej stronie drzwi był przyklejony wyblakły znak Burma-Shave, dobrze już stary. Obok niego znajdował się rdzewiejący termometr - słupek rtęci pokazywał ponad czterdzieści stopni Celsjusza. - Usiądź - zaproponował, wskazując plastikowe krzeselko przy małym stoliku. - Herbaty z lodem?

- Masz? - Była zdumiona. Naprawdę nie oczekiwała od niego ani odrobiny gościnności, ale w gardle miała sucho i była potwornie zdenerwowana - jak mysz, która dała się złapać w pułapkę.

- Mogę ci zrobić. Z torebki.

- Dobrze.

Zniknął w środku i Shelby mogła się teraz rozejrzeć po podwórzu, gdzie pojedyncze kępy suchej trawy otaczały dół w kształcie podkowy i kamienny rozeń, który już zaczynał się kruszyć. Na sznurze rozpiętym między domem a tyczką na podwórzu suszyła się bielizna. Za ogrodzeniem kilka błyszczących w słońcu koni piło wodę z cementowego koryta. Ażurowe drzwi zaskrzypiały i stary pies zamachał ogonem na widok swego pana. Nevada wyszedł z kuchni. Niósł dwie różnej wielkości szklanki wypełnione lodem i mętna bursztynową cieczą, raczej nieprzypominającą herbaty.

Podał jej szklankę.

- No dobrze, opowiadałaś mi o swoim dziecku. - Z surową miną usiadł na krześle i oparł zniszczony obcas buta na beczulce pod drzwiami. - O naszej córce.

Shelby zeszywniała. Nie miała zamiaru dać się zastraszyć, odparła więc:

- Zgadza się, Nevada. Już ci mówiłam, myślałam, że ona nie żyje.

- Czyżby nie było cię przy tym? - Nie widziałaś, jak się rodziła?

- Ja... byłam pod wpływem leków.

- Cholera. - Rzucił jej wymowne spojrzenie, a potem szybko strzepnął palce, sugerując, żeby mówiła dalej.

Shelby chrząknęła.

- Mam kopie aktu urodzenia i aktu zgonu.

- Kto ci je dał?

- Obie z podpisem doktora Pritcharta dostałam w szpitalu.

- Ten facet to kanciarz.

- Ten facet zaginął - odparła, a potem wypięła łyk herbaty. Po szklance ściekały kropelki napoju.

- Wyjechał z miasta niedługo po tobie.

- Na to wygląda. - Pogrzebała w nesese i znalazła szarą kopertę, która zmieniła jej życie. - Przyjrzyj się im - powiedziała i podała mu zawartość koperty. Zastanawiała się, dlaczego popełnia błąd, pozwalając mu obejrzeć dokumenty, list i zdjęcie Elizabeth Jasmine Cole (takie imiona wybrała dla córki).

- Nigdy nie widziałaś dziecka? - mówił spokojnym głosem, ale zdradzały go drgające kąciki ust.

- Nigdy.

- Dlaczego?

- Mówiłam ci. Byłam pod wpływem narkozy, nieprzytomna, kiedy dziecko się rodziło. - Powieki zapiekły ją od łez gniewu, ale nie wybuchnęła płaczem. Nie miała czasu na uzalanie się nad sobą. Nie teraz.

Zmrużył oczy.

- Twierdzisz, że istniała jakaś zмова przeciwko tobie, że... że co? Doktor Pritchart dolał ci czegoś do kroplówki?

- Nie... nie sądzę. To znaczy... - Nie chciała się nad tym rozwodzić, skrzywiła się. - Byłam głupia, rozumiesz? W ósmym miesiącu ciąży wybrałam się na przejażdżkę konną, dostałam krwotoku, no i dziecko postanowiło przyjść na świat przed terminem. - Popatrzyła na mgłę zbierającą się nad niskimi wzgórzami; nad zagajnikiem mesquite

krażył samotny jastrząb. Nie miało sensu opowiadać o bólu, strachu, rzece krwi, która śmiertelnie ją przeraziła. Nie musiał wiedzieć o jeździe karetką - ojciec to przed nią zataił - ani o tym, że od doktora Pritcharta cuchnęło alkoholem, nie musiał znać prostej prawdy, że przez dziesięć lat miała ogromne poczucie winy z powodu śmierci swojego dziecka.

- Kiedy się przebudziłam, wszyscy mówili mi, że dziecko nie żyje i że mój ojciec, który pozostawał moim opiekunem prawnym, ponieważ byłam nieletnia, zarządził sekcję zwłok i kremację.

- I nie podawałaś tego w wątpliwość?

- Miałam siedemnaście lat. - Obróciła się i przygwoździła Nevadę wściekłym spojrzeniem. - Nie pomyślałam, że mogłby kłamać.

- To był twój pierwszy błąd.

- Nie pierwszy. - Z każdego jej słowa bił chłód; zauważyła, jak napinają się mięśnie w dolnej części szyi Nevady.

- Zrobiłam ich wtedy całkiem sporo.

- To akurat dotyczy nas wszystkich, prawda?

Poczuła ból w sercu, ale nie pokazała tego po sobie. Przyjechała wyznać mu prawdę, a kiedy to już się stało, niewiele pozostawało do powiedzenia.

Oglądał błyszczące zdjęcie w taki sposób, jakby szukał potwierdzenia, że dziecko jest jego.

- Rozmawiałaś z sędzią?

- Jasne.

- I?

- Wszystkiego się wypiera.

- Ale ty mu nie wierzysz.

- Ani trochę.

- Uczysz się.

- Miejmy nadzieję. - Dopiła herbatę jednym haustem i postawiła pustą szklanekę na stół. - Od tamtych wydarzeń bardzo wydorostałam. - Wstając, sięgnęła po fotografię i papiery.

- Kto ci je przysłał? - Po raz ostatni spojrzał na uśmiechniętą dziewczynkę na zdjęciu, a potem wsunął je do koperty wraz z innymi dokumentami.

- Właśnie dlatego tu jestem. Żeby się tego dowiedzieć.

Ściągnął brwi w zamyśleniu, odwrócił paczkę i zerknął na stempel na znaczku.

- San Antonio.

- Tak. Niedaleko stąd.

Wcisnął kopertę do jej ręki.

- I dlatego zastanawiam się, czy mieszka w pobliżu Bad Luck... jeżeli Elizabeth dorastała tutaj albo w sąsiednim miasteczku, albo na jakimś ranchu na wsi, albo jeśli ten znaczek nalepiono dla zmyłki, żeby ściągnąć mnie tutaj, podczas gdy ona tak naprawdę jest w Kalifornii albo Meksyku, albo Quebecu, albo Bóg wie gdzie... - Znowu poczuła dławiącą grudkę w gardle, ten sam ból, jakiego doświadczała przez wszystkie te lata na myśl o córce, którą utraciła. Nie pora się rozklejać, zbeształa się w myślach. Wsunęła kopertę do bocznej kieszeni neseseru.

- Masz zamiar pogadać z policją? - Gapił się na nią bezczelnie, rozparty na krześle. Domyślała się jednak, że mimo nonszalancji i opanowania dokładnie analizował wszystkie nowiny.

- Z policją? Nie wiem - przyznała. - Dostałam tę kopertę wczoraj. Z kim miałabym się skontaktować? Z policją San Antonio? Z Biurem Szeryfa? Ze strażnikami Teksasu? - Na samą myśl o tym głowa rozboleła ją jeszcze bardziej. - Nie... na razie chyba będę działać na własną rękę. Nie chcę, żeby to się przedostało do prasy, dopóki sama się nie rozejrzę. Powiedziałam ci tylko dlatego, że na ciebie wpadłam.

- Dziwię się, że to zrobiłaś.

- Dlaczego?

Uniósł brew arogancko.

- Nie pomyślałbym, że starczy ci odwagi.

- To chyba za dobrze mnie nie znasz, co?

Krzyżując ręce na piersiach, przechylił się na krześle i zaczął się jej uważnie przyglądać. Od stóp do głów. Jego spojrzenie zatrzymało się na jej oczach.

- Znam cię dość dobrze.

- Znałeś, Smith. Znałeś. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem.

- Całkiem ładnym dzieckiem, o ile dobrze pamiętam.

- Na pewno byłam naiwna - odparła, nie chcąc dać się uwieść jego słowom - i chyba głupia.

Wstał i potarł zarośnięty podbródek.

- Nie spieszyłaś się z przyjazdem tutaj.

- Zwlekałam dziewięć lat. Dostatecznie długo. - Podniosła neseser, jakby zbierała się do wyjścia.

- Zatrzymasz się u swojego ojca?

Zawahala się.

- Nie wiem.

- Zadzwoń do mnie, jak się zdecydujesz.

Plecy jej zeszywniały; popatrzyła na niego gniewnie przez ciemne okulary.

- Dlaczego?

- Chciałbym, żebyśmy byli w kontakcie.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Naprawdę.

- No cóż, według mnie nie da się tego uniknąć.

- Miasteczko nie jest znów takie małe.

- Dobrze wiesz, że nie o tym mówię. Wpadłaś do Bad Luck i przywiozłaś mi taką niespodziankę... powiedziałaś, że gdzieś żyje moje dziecko. Jeśli to prawda...

- To jest prawda - zapewniła, czując, jak pieką ją policzki.

- Jeśli to prawda, to powiedziałbym, że mam w tym swój udział. - Obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. - Będę chciał poznać moją córkę.

- Najpierw muszę ją znaleźć.

- Poprawka: musimy ją znaleźć.

- Ale...

- I znajdziemy. - Powiedział to spokojnym, rzeczowym tonem. - Chcę dostać kopie wszystkich dokumentów, jakie masz.

Poczuła, że po kręgosłupie spływa jej kropelka potu. Ze strachu. Nie chciała znowu wpaść w pułapkę, jaką były kontakty z Nevadą Smithem. Nie ma mowy. Wykluczone. Był nieudacznikiem - wciąż seksownym, to musiała przyznać, ale nie chciała się z nim zadawać. Sprawiał takie wrażenie, jakby był z kamienia - stał przed nią bez ruchu, bardzo męski, postawny i pełen determinacji.

- Zobaczę, co mogłabym zrobić.

- Nie, Shelby. Ty to zrobisz.

Zacisnęła zęby. Co za niewiarygodnie bezczelny typ. No, ale przecież zawsze taki był.

- Ustalmy sobie jedną rzecz, Nevada. Nie będziesz mną rządził.

Kącik jego ust drgnął, jakby go to rozbawiło.

- O tym nawet bym nie marzył. Czy mógłbym dostać kopie wszystkiego? - Przerwa. - Proszę?

Otwarcie z niej szydząc, posłał jej olśniewający teksański uśmiech, którym uwiódł ją przed tak wielu laty. Nagle jego rozbawione oczy mocno zabłyśły.

- Pomyślę o tym.

- Pomyśl.

Wyciągnęła rękę do klamki i się zawahała. Czegoś jeszcze nie omówili. Zzymając się w duchu, powiedziała:

- Sędzia wspomniał, że Ross McCallum wkrótce wyjdzie z więzienia.

- I to niedługo. - Nevada lekko poruszył nozdrzami. - Wygląda na to, że stary Caleb Swaggert odwołuje zeznanie i twierdzi, że jednak to nie Ross zabił Ramóna Estevana.

- W takim razie kto?

- A to jest, Shelby, dziewczęcę miłe, pytanie za milion dolarów.

- Nie jedyne.

- Fakt. Wiesz, jakie pytanie mnie dręczy? Dlaczego właśnie w tygodniu, w którym McCallum ma być zwolniony z więzienia, dostajesz tyle informacji o dziecku, ponoć nieżyjącym?

- Nie wiem - przyznała.

- Może powinniśmy się tego dowiedzieć.

- My? - Natychmiast zrobiła się czujna.

- No tak. - Oparł rękę na drzwiach i przytrzymał je, tak że nie mogła wyjść. Był tak blisko, że czuła jego zapach, mieszaninę potu, mydła i kurzu. Nachylił się jeszcze bardziej. Jej serce waliło jak oszalałe. Dostrzegła kilka czarnych włosków na jego rękach i nieregularny kształt źrenicy w uszkodzonym oku. Miał ciepły, lekki oddech. Po jej plecach pociekła strużka potu. Popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj, przebywając z nim sam na sam. Wielki błąd. Z trudem przełknęła ślinę i starała się nie patrzeć na jego wargi, kiedy mówił. - Jeżeli ta dziewczynka na zdjęciu jest moją córką, to dobrze wiesz, że będę się angażował w tę sprawę.

- Nie musisz...

- Nie chodzi o zobowiązanie, Shelby - powiedział stanowczo, wpatrując się w jej oczy. - To sprawa więzów krwi.

Rozdział 3

Shep Marson zaparkował policyjny wóz w cieniu samotnego żywodębu i otarł pot z czoła. Domek, w którym mieszkał przez ostatnich dziesięć lat - trzy sypialnie z łazienką - wyglądał bardzo niekorzystnie w bezlitosnych promieniach słońca. Jasnozielona farba niszczyła się przy drzwiach, antena telewizyjna się wykrzywiła, a gonty na dachu były wielokrotnie łatane. Niestety, ostatnimi czasy Shep nie śmierdział groszem, tym bardziej że miał na utrzymaniu sześć osób. Jednak nie to było najgorsze. Wprawdzie udawało mu się wiązać koniec z końcem - jako

przedstawiciel służb mundurowych kupił nawet dom na niskooprocentowany kredyt - ale jego portfel znacznie uszczuplały inne, jemu tylko znane wydatki.

Czuł się jak kompletny głupek - ech, wiedział, że jest głupkiem, ale miał nadzieję, że znajdzie jakieś wyjście z tej pułapki. Musi je znaleźć, zanim zupełnie się wykończy. W pewnym momencie liczył na finansowe wsparcie rodziców żony, ale teść stracił większość pieniędzy, kiedy załamał się rynek bydła.

Drapiąc się po karku, Shep obszedł dom; na podwórzu jego myśliwski pies przeżył się na smyczy i czekał jak szalony.

- Cicho! - wrzasnął Shep, a potem zauważył, że cętkowana kotka sąsiadów wślizguje się pod ganek. Szarpnął węzeł krawata i odpiął dwa guziki koszuli.

Powiesił kapelusz na kołku przy tylnych drzwiach i już miał wejść do kuchni, pachnącej cynamonem i gałką muszkatołową.

- Buty na tylnym ganku! Shep, słyszysz mnie? - wrzasnęła Peggy Sue gdzieś z salonu, przekrzykując jazgot telewizora i kłótnię dzieciaków. Dwójka z nich podbiegła do ojca, bębniąc bosymi stopami po zniszczonym linoleum. - Tato! Tato! - wołała Candice, blondyneczka z mysimi ogonkami; tuż za nią biegł jej młodszy braciszek.

- Witaj, panienczko. - Shep wziął sześciolatkę na ręce, gdy tymczasem Donny wycelował w nią z pistoletu na wodę i nacisnął spust. Ciepła struga zmoczyła Shepowi mundur. - W domu tak się nie robi - upomniał syna surowym tonem.

Z korytarza wychyłała jego żona, Peggy Sue. Miała na sobie znoszone dzinsy i kraciastą bluzę zawiązaną pod piersiami. Niegdyś świeża i piękna twarz wyrażała niezadowolenie. Odgarnięte do tyłu włosy podkreślały kości policzkowe - inne kobiety mówiły, że „zabiłyby”, żeby takie mieć - i zadarty nos z kilkoma piegami, które dawniej wydawały się Shepowi takie urocze.

- Co ja ci mówiłam o butach? - zapytała. Podeszła do piekarnika, zdmuchując grzywkę z czoła. Brązowe włosy miała spięte w kucyk, a kiedy się pochyliła nad drzwiczkami piekarnika, można było dostrzec pierwsze nitki siwizny. Trochę też przytyła i Shep nie mógł się pogodzić z myślą, że jego żona, Peggy Sue Collins, ongiś najrzęczniejsza tamburmajorka w całym okręgu i najlepsza laska, jaką kiedykolwiek zaliczył na tylnym siedzeniu swojego starego forda, zaczyna się starzeć.

Postawił Candice na podłodze, wyrwał Donny'emu pistolet na wodę, a potem zdjął buty.

- Gdzie Timmy i Robby?

Używając dwóch postrzępionych rękawic, Peggy Sue wyciągnęła z piekarnika ciasto z brzoskwiniami i ostrożnie postawiła je na górnej płycie.

- Timmy chyba wypełnia podania do Safeway'a i do młyna Cole'a. - Zdjęła folię, którą była wyłożona forma do ciasta. - A Robby mamrotał coś, że idzie popływać z Billiem Rayem i Pete'em Dauberem.

- Nie podoba mi się, że zadaje się z chłopakami Dauberów. Oni zawsze coś narozrabiają. - Sięgnął do lodówki i znalazł zimną puszkę Pabst Blue Ribbon. - Pewnie gdzieś popalają...

- A, a, a - Peggy Sue rzuciła mężowi ostrzegawcze spojrzenie, a potem wymownie zerknęła na młodsze dzieci. - Porozmawiamy o tym później.

- Powinien sobie znaleźć jakąś pracę na wakacje.

- W zeszłym miesiącu zbierał siano.

- I mógłby to dalej robić, gdyby się nie pokłócił ze starym Kramerem. - Shep był w coraz gorszym nastroju. Otworzył półlitrową puszkę i uśmiechnął się, słysząc cichy, dobrze znajomy syk.

- Było, minęło.

- Ja chcę ciasta! - oznajmił Donny.

- Po kolacji. Teraz biegnij pozbierać klocki lego, a ty, Candice, masz mu pomóc. - Peggy Sue zwróciła się do męża. - Może byś im nalał wody do baseniku?

- Za chwilę. - Miał ochotę położyć się na rozkładanym fotelu i pooglądać telewizję, ale spojrzenie, jakie mu posłała, uśmierciłoby rozwścieczonego grzechotnika, a on nie chciał zaczynać walki, nie teraz. Wolał toczyć z nią boje o późniejszej porze, a potem wynagradzać je kilkugodzinnym baraszkowaniem.

W łóżku Peggy Sue potrafiła być istną diabolicą, najlepszą do zerznięcia w całym okręgu. I była jego żoną. Czuł dumę, wiedząc, że jest napalona jak dzika klacz w okresie godowym, że wiję się i jęczy w sobotni wieczór, a w niedzielę rano jak gdyby nigdy nic wstaje, szykuje dzieci do szkoły niedzielnej i prowadzi kościelny chór, pobożna niczym aniołek. Przechodząc, klepnął ją żartobliwie po pośladkach. Odwróciła się do niego.

- Daj spokój; idź napełnić ten basen. No już. - Pokręciła głową i sięgnęła do kredensu.

- Idę, idę - obiecał i dopił pabsta, a potem próbował objąć żonę w talii i szybko pomacać jej piersi. Wtulił nos w jej kark, a zawsze gotowy do akcji penis wcisnął się w to rozkoszne zagłębienie w jej dzinsach.

- Przestań, Shep! Nie mam czasu na takie rzeczy! - Obróciła się na pięcie i spojrzała mu w oczy. Była spięta, mocno zaciskała usta, na których były jeszcze resztki szminki.

- Dobrze już, dobrze. Cholera, człowiekowi się wydaje, że kobieta od czasu do czasu chce, żeby zwrócić na nią uwagę.

Odburknęła coś pod nosem. Shep znalazł stare trampki. Neandertalczyk? To właśnie powiedziała? Nawet nie

zawiązał sznurowadeł, tylko wyszedł na dwór i zmarszczył brwi.

Skip wyrywał się na smyczy i ujadał.

- Zamknij się! - huknął Shep. Zaraz jednak poczuł wyrzuty sumienia, bo retriever rzucił się ku niemu w nadziei, że pan go pogłaszcze. Shep westchnął i wydeptaną przez psa ścieżką w trawniku podszedł do niego i poklepał go po łbie. - Pójdziemy na polowanie, ty i ja. Już niedługo, staruszk - obiecał, a potem poczłapał do gumowego węża. Nad kręgiem błota z przeciekającego kurka, który zamierzał naprawić od paru tygodni, krążyły osy. Oganiając się od nich, rozwinął wąż i podszedł do basenu. Na powierzchni niezmiennianej od tygodnia wody zebrały się żdźbła trawy, chwasty i martwe owady. Shep wylał starą wodę, napełnił basenik i pomyślał, że już zasłużył na wieczorne wylegiwanie się w fotelu.

Donny i Candice hałasowali na tylnym ganku, a potem, piszcząc z zachwytu albo złości, wskoczyli do czystej wody. Candice miała śliczną buzię - Shep uważał, że będzie z niej wykapaną matką - ale Donny był chuderlawym dzieciakiem o wielkich, zażawionych oczach, któremu wiecznie ciekło z nosa. Prawdę mówiąc, Shep nie przepadał za swoim najmłodszym synem - miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale nie mógł nic na to poradzić. Donny marudził, narzekał, a Peggy Sue go rozpieszczała i nigdy nie pozwalała Shepowi zlać chłopaka paskiem, nawet jeśli na to zasłużył.

Zakręcił kurek, wyprostował się i zerknął przez boczne podwórze na ulicę, którą akurat przejeżdżał stary gruchot marki El Camino. Za kierownicą, z rozwianymi czarnymi włosami i papierosem w czerwonych, wilgotnych ustach, siedziała Vianca Estevan, córka człowieka, którego wedle powszechnej opinii Ross McCallum wyprawił przedwcześnie na tamten świat. Zbyt duże okulary przeciwsłoneczne zakrywały dobrze znane Shepowi oczy - oczy, które płonęły niczym węgielki. Jedno krótkie spojrzenie - i już zauważył, że Vianca ma na sobie głęboko wyciętą, białą koszulkę, która częściowo obnaża jej piersi.

Kiedy wrócił do domu, zacisnął zęby, próbując zignorować kolejną erekcję.

Tymczasem Peggy Sue kroїła cebulę, a bekon skwierczał w rondelku na płycie piekarnika. Krople rozgrzanego tłuszczu, podskakiwały i spadały na blat.

- Wspaniale pachnie.

Nic nie odpowiedziała. Sięgając do lodówki po następne piwo, pomyślał, że jego żona jest ostatnio podenerwowana. Zerknęła tylko na niego, zacisnęła wargi i nie gderwała. Wiedziała, że nie warto. Shep przyglądał się jej i znowu poczuł twardość w spodniach. Ile to czasu się nie kochali? Tydzień? Dwa? Długo. Próbował przytulać się do niej co noc, ale ona ciągle powtarzała, że nie jest w nastroju, a potem odwracała się na bok w ich małżeńskim łóżu ze zwisającym materacem i zostawiała go niezaspokojonego.

- Ubiegasz się o posadę szeryfa? - zapytała w końcu, wrzucając garść talarków cebuli do rondelka. Natychmiast zaczęły skwierczeć w gorącym tłuszczu.

- Tak.

- Złożyłeś podanie?

- Nie.

- Nie uważasz, że powinienes?

- Powinienem.

- Co cię powstrzymuje? - Nawet na niego nie spojrzała, kiedy zdrapywała nożem resztki cebuli z wyszczerbionej deski do krojenia.

- Robota. - Teraz nie chciał o tym rozmawiać. Lepiej byłoby dla niej, gdyby nie wiedziała.

- To dlatego, że Ross McCallum wychodzi na wolność, prawda? - zapytała. Był zaskoczony, że domyśliła się, w czym rzecz. - Mnie się wydaje, że prokurator okręgowy chce ponownie zająć się tą sprawą, bo naciskają na niego ludzie z miasteczka, a także Chicanos i Latynosi, czy jak oni się tam zwą.

- Mniej więcej o to chodzi. - Oparł ramię o kredens i przyglądał się jej. Nigdy nie przestawała go zdumiewać. Nieraz wydawała mu się ciemna jak tabaka w rogu, kiedy indziej dostrzegał w niej przebłyski inteligencji, z którą rzadko się zdradzała. - Już rozmawiałem ze Smithem.

- Z Nevadą? - Natychmiast zauważył, że jej ramiona zeszytywniały. Zawsze miała słabość do Metysów. Cholera, taką słabość przejawiała połowa kobiet w okręgu.

Nigdy nie potrafił pojąć, dlaczego z pozoru zdrowe na umyśle kobiety pożądamy nicponia ranczera o bardzo niechlubnej reputacji, który - jak sądził Shep - wiedział o zamordowaniu Estevana znacznie więcej, niż był gotów przyznać.

- Tak. To Smith wsadził McCalluma za kratki, jeszcze zanim się go pozbyli.

- Chciałeś powiedzieć: bezpodstawnie osądzili.

- Miał szansę oczyścić swoje imię. Nie skorzystał z niej. Niektórzy uważają, że wiedział o śmierci Ramóna więcej, niżby to wynikało z jego zeznań.

- Czyżby?

- Pomyślałem, że trochę go przycisnę i zobaczę, czy się złamie.

- Nie złamie się.

Była tego tak cholernie pewna. Pomieszała nożem mięso na patelni.

- Wróciła Shelby Cole.
Teraz odwróciła się do niego z twarzą białą jak mercedes starej Etty Parsons.
- No, nie gadaj. - Cebule zrobiły się przezroczyste, bekon mocno skwierczał.
- Tak. Dzisiaj widziałem ją w mieście, no i proszę bardzo, oczywiście na kogo od razu wpadła? - Zauważył błysk w oczach żony. - Zgadza się. Na Nevadę Smitha we własnej osobie. Ucięli sobie pogawędkę w White Horse.
- Kto ci to powiedział?
- Lucy. Ale parę osób widziało, jak wchodzą razem, a potem nie wypili nawet łyka i wymknęli się tylnymi drzwiami. Z tego, co słyszałem, Badger Collins wypił oba piwa, zanim Lucy zdążyła je zabrać. - Shep zachichotał cicho, ale Peggy Sue nawet się nie uśmiechnęła,
- Cholera. - Znieruchomiała i utkwiała w nim wzrok. Odniósł wrażenie, że te oczy należą do osoby dwukrotnie starszej niż Peggy.
- Coś cię dręczy?
- Można tak powiedzieć. - Energicznie wzruszyła ramionami.
- Co?
- Shep, znowu jestem w ciąży. - Zamrugła i pociągnęła nosem.
- Niech to szlag. - Świat zaczął mu się walić. Jak zdoła wykarmić jeszcze jedną gębę? Pieniądzy już i tak zaczynało brakować. Dopił piwo, cisnął puszkę do kubła ze śmieciami i podszedł do żony, ale ona skrzywiła się i podniosła nóż. Ostrze załśniło w bladym świetle.
- Nawet się do mnie nie zbliżaj, rozumiesz?
- Ale...
- Mówię poważnie. Idź do kliniki i umów się na zabieg, i nawet nie próbuj mnie dotknąć, bo sama rozwiążę problem. - Nie żartowała. - Oboje wiemy, że nie stać nas na kolejne dziecko.
- Nie musimy go mieć - odparł wolno.
- O, właśnie że musimy. Znasz moje poglądy.
Naturalnie, że je znał. Odbyli już taką rozmowę, zanim przyszedli na świat Candice i Donny. Nie ustąpiła. Obiecał, że podda się wasektomii. Dwa razy. I nic. Nie pozwoli, żeby jakiś chirurg majstrował nożem przy jego jajach. Bał się, że skończy jako sopran w kościelnym chórze, z którego Peggy Sue była taka dumna.
- Znajdziemy jakiś sposób.
- Chcesz powiedzieć, że to ty znajdziesz jakiś sposób. - Wyrwała nadgarstek z dłoni Shepa i przez chwilę nóż znajdował się niebezpiecznie blisko jego klaki piersiowej. - Zrób sobie zabieg, Shep, i postaraj się o tę posadę szeryfa, bo mam dosyć tej nędzy. Wierz mi, dopóki tego nie zrobisz, nie będę z tobą spała.
- Ależ kochanie...
- Nie. - Gniewnie wykrzywiła usta. - Nawet nie myśl o tym, żeby mnie dotykać. Zrozumiano? Nie zmienię decyzji, więc jeśli nie chcesz spędzić reszty życia napalony jak byk czempion sędziego Cole'a, musisz iść na ten cholerny zabieg.

W tym momencie domem wstrząsnął krzyk, który mógłby zbudzić nieboszczyków w sąsiednim okręgu. Do kuchni wpadła czerwona na twarzy i wrzeszcząca wniebogłosey Candice, a tuż za nią Donny.

- Coś ją ugryzło! - zawył malec i Shep zauważył, że na przedramieniu córeczki tworzą się dwie jaskrawoczerwone obwódki. Candice zanosila się płaczem. Donny cały we łzach, wtulił się w kąt. Peggy Sue wzięła córkę na ręce i rzuciła mężowi gniewne, zmęczone spojrzenie.

- Zrób to, Shep - wyszeptwała, gdy tymczasem skwierczący i przypalający się bekon zasnuł dymem dom, w którym już i tak było mroczno od milczących oskarżeń i straconych marzeń.

Shep sięgnął po kapelusz.

Na miłość boską, w co ja się pakuję? Nevada zaniósł worek z paszą do stajni i rzucił go na ziemię, tak że rozległ się głośny łoskot i wzbił się tuman kurzu. Głośny szelest w sianie świadczył o tym, że jakiś przedstawiciel mysiej populacji czmycha w popłochu do bezpiecznego zakamarka.

Nevada zagwizdał na konie, rozciął jutowy worek scyzorykiem, a następnie, używając starej puszkii po kawie, odmierzał porcje owsa do każdego boksu. Dwie klacze - jego najlepsze i jedyne konie, które były coś warte - z nadstawionymi uszami i drżącymi nozdrzami, przytruchtały do słabo oświetlonego pomieszczenia. Z zewnątrz dało się słyszeć pełne wyczekiwania rzenie i stukot kopyt reszty niecierpliwego stada, które właśnie wchodziło do środka.

Crockett obwąchał narożniki starego korytka na kukurydź i Nevada poczuł ogromne napięcie. Był niespokojny, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Kiedyś zawsze doznawał podobnych uczuć, kiedy w pobliżu znajdowała się Shelby Cole. Bezwiednie rozchyliwszy usta, rozpamiętywał te księżycowe noce, kiedy parkował swój stary wóz w pobliżu drogi prowadzącej do domu sędziego; serce mu łomotało, zaciskał spocone dłonie na kierownicy i na myśl o Shelby czuł, jak twardnieje mu penis w rozporoku.

Teraz samo wspomnienie seksu z nią sprawiało, że miał ściśnięte gardło.

Jej piersi były małe, białe w blasku księżycy, z różowiułkami sutkami; kręcone włoski między jej opalonymi

nogami miały jasnorudy kolor. Boże, jak on jej pragnął, chociaż się do tego nie przyznawał.

- A niech to szlag. - Miał erekcję na samą myśl o kochaniu się z nią późną nocą, przed burzą, jeszcze zanim rozpętało się prawdziwe piekło.

Skończył rozdzielać paszę, sprawdził wodę w korytach i wszedł z powrotem do domu, a za nim przybiegł Crockett. Nie mógł teraz myśleć o Shelby, a przynajmniej nie w taki sposób. Za dużo miał roboty. Ściągnął ubranie i wziął zimny prysznic, jeśli na taką nazwę zasługiwała strużka wody skapująca z sitka. O tej porze roku na studni raczej nie można było polegać; Nevada pomyślał, że przydałoby się wywiercić jeszcze jedną.

W ciągu dwudziestu minut wytarł się, spryskał dezodorantem i wodą kolońską, włożył czystą koszulę i dzinsy i pomaszerował do swojego pikapa. Wciąż nie odstępowało go wspomnienie Shelby Cole, tak jak wciąż czuć było zapach jej perfum w domku. Postanowił sobie jednak, że nie będzie o niej myślał, przynajmniej na razie. Musiał się uporać z ważną sprawą. Czy jej się to podobało, czy nie, zamierzał na własną rękę zdobyć informacje o narodzinach swojej córki - dowiedzieć się, czy dziewczynka żyje i czy jest jego dzieckiem. Otworzył drzwi i wsiadł do rozgrzanego słońcem wozu. No, i jeszcze ta sprawa z Rossem McCallumem. Nevada nie mógł siedzieć z założonymi rękami.

Coś tu śmierdziało.

Nie bądź idiotką, mówiła sobie Shelby, powoli wjeżdżając wynajętym samochodem na parking zajazdu Well Come Inn. Nie odstraszał jej ani szary budynek z połamanym neonowym szyldem, który informował o wolnych miejscach i kolorowych telewizorach, ani to, że kiedyś to miejsce zostało wyklęte. Shelby uświadomiła sobie oczywisty fakt: skoro chciała wydobyć od swojego ojca prawdę, to jej szanse na pewno by wzrosły, gdyby zamieszkała z nim pod jednym dachem przez następny tydzień, dwa.

Szlag, szlag i jeszcze raz szlag, mruzczała pod nosem, cofając wóz i wykręcając kierownicę. Wyjechała spod jednopiętrowego budynku, kiedy słońce zaczynało zachodzić za wzgórzami. Nadal było gorąco jak w piekle, ale Shelby wiedziała, że wraz z zapadnięciem zmierzchu temperatura spadnie, zerwie się wiatr i noc będzie rozbrzmiewała słodką, owadzią kołysanką. Ta myśl ją uspokajała, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Jechała na pamięć, jak setki razy wcześniej, i uświadomiła sobie, że czeka ją nowa porcja upokorzeń

Zatrzymała cadillaca blisko garażu z cegły, wysiadła i znalazła się w cieniu żywodębów, które otaczały dom. Drzwi od garażu były otwarte, a w środku nie było mercedesa, którym jeździł jej ojciec. Przez jakiś czas zostanie jej oszczędzony kontakt z nim.

Wytaszczyła laptopa, neseser i resztę bagażu, weszła po schodkach i, nawet nie dzwoniąc do drzwi, wsunęła się do środka. Usłyszała, jak Lydia cicho śpiewa po hiszpańsku. Mimo woli ogarnęło ją wzruszenie i powtarzała sobie, że zachowuje się jak idiotka. Ten dom przecież tak naprawdę nie był - jej prawdziwym domem - nie był nim od chwili, gdy jej matka uznała, że nie potrafi już żyć ze swoim despotycznym mężem, Jerome'em Cole'em.

- *Niña?* To ty? - zawołała Lydia gdzieś z głębi domu.

- Tak, wróciłam. Córka marnotrawna.

- Wiedziałam, że wrócisz. - Lydia wyłoniła się ze skrzydła, w którym mieściła się kuchnia. Uśmiechała się szeroko, a jej ciemne oczy jaśniały.

- Dobrze już, dobrze, wygrałaś. Przyznaję. - Shelby pokręciła głową. - Nie powinnam była się z tobą spierać.

- To prawda. No, a teraz wchodź. Sędzia wróci za jakąś godzinę, to zjecie kolację.

- Wspaniale - Shelby nie umiała ukryć sarkazmu.

- Ależ tak. *Fabuloso!* No, idź! Odśwież się. Ja mam tu robotę. - Lydia mrugnęła do niej, lekko popchnęła ją w stronę tylnych schodów i klepnęła po pośladku.

Wchodząc na drugie piętro, Shelby przypominała sobie noce, kiedy zostawiała przeszkłone drzwi otwarte i czekała na łóżku, nasłuchując kroków na tych zniszczonych schodach, z nadzieją, że Nevada wkradnie się do domu i przemknie właśnie tym korytarzem, gdzie ze złożonych ram spoglądały całe pokolenia Cole'ów, a stoły zdobity świeżo ścięte kwiaty. Ale jej marzenie nigdy się nie ziściło.

Otworzyła drzwi do swojej sypialni, spodziewając się, że poczuje odór kurzu i niewywietrzonego pomieszczenia, ale Lydia już zdążyła zaścielić łóżko, wypolerowała je, jak również palisandrowe biurko i łóżko cytrynowym olejkiem, podniosła rolety i otworzyła wykuszowe okno. Przez koronkowe firanki, za pomocą powoli obracającego się wiatraczka, wpadał lekki wiatr. Shelby zrzuciła torby przy łóżku z baldachimem i podeszła do okna z widokiem na basen. Tafla wody migotała kusząco i odbijała ostatnie promienie słońca. Kiedy Shelby patrzyła na te turkusowe głębin, jej myśli koncentrowały się na przyczynie, dla której wróciła do Bad Luck, i na pytaniach, na które jeszcze nie umiała odpowiedzieć.

Kto przysłał jej zdjęcia Elizabeth? Zastanawiała się już chyba tysięczny raz. Kto znał prawdę i jaka ona była? Shelby przygryzła wargę i zmarszczyła brwi, gdy osaczyło ją najbardziej bolesne pytanie: A jeśli to wszystko okaże się tylko bezsensownym pościgiem, żartem, czymś okrutnym dowcipem? Miała w tym mieście wielu wrogów, ludzi, którzy zazdrościli jej uprzywilejowanego statusu i życia w bogactwie, kiedy dorastała. A tych, którzy nienawidzili jej ojca, było mnóstwo. Na drodze kariery Jerome Cole zmiażdżył swoimi srebrnymi butami niejednego przyjaciela i oponenta. Kiedy już przywdział sędziowską togę, posłał do więzienia setki mężczyzn i

kobiet.

Stary sędzia Cole

Okropną starą duszę miał...

Ten wierszyk nawet teraz budził w niej niechęć, ale starała się nie brać go do serca. Chwilowo koncentrowała się tylko na odnalezieniu Elizabeth.

A co z Nevadą? - szydziła z samej siebie, ale nie zamierzała jeszcze raz paść ofiarą dawnych uczuć. Musiała mieć do czynienia z Nevadą - był przecież ojcem jej córki. I niczym więcej. Dopóki nie odnajdzie dziecka, nic innego się nie liczy.

Nic.

Caleb Swaggert prawie zasypiał, kiedy Nevada wszedł na jego szpitalną salę. Niegdyś dobrze zbudowany, Swaggert wyglądał teraz jak szkielet; jego puciołowata twarz wychudła, skóra zrobiła się ziemista, a w dodatku wypadły mu prawie wszystkie włosy. Pokój oświetlały dwie fluorescencyjne lampy zamontowane po obu stronach łóżka, a na małym stoliku stał wazon ze zwiędniętymi kwiatami, szklanka z plastikową słomką, leżała paczka chusteczek i Biblia. Było tu sterylne. Cicho. W tej sali jedni dochodzili do zdrowia, a inni umierali.

- Smith - wychrypiał stary mężczyzna, szybko mrugając powiekami.

- Witaj, Caleb - powiedział Nevada, patrząc na stojak z kroplówką przy łóżku chorego; przezroczysty płyn ściekał rureczką do żyły na ręce starca.

- Czego chcesz? - Caleb mówił niewyraźnie, może na skutek zażywania lekarstw albo dlatego, że wyjęto mu sztuczną szczękę.

- Słyszałem, że zmieniłeś zeznanie. - Nevada stanął u wezglowia i, skrzyżowawszy ręce na piersi, przypatrywał się twarzy Caleba, by upewnić się, że chory nie kłamie.

- Musiałem zrobić, co należy.

- Mówiłeś mi, że Ross McCallum był w sklepie, kiedy zabito Ramóna.

- Powiedziałem, że wydawało mi się, że go widziałem. Myliłem się - odparł Caleb podniesionym głosem.

- Skłamałeś?

Caleb otworzył usta, zamknął je, a potem ściągnął wargi. Był pewnym siebie człowiekiem, trudno mu było przyznać, że popełnił błąd.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo polegałeś na mnie - popatrzył przez okno. - A ja byłem grzesznikiem, ale teraz przyjąłem Jezusa do mojego serca i...

- Zamknij dziób. - Nevada nie ruszył się w stronę łóżka, ale odczuwał obrzydzenie. - Może pastor Whitaker ci wierzy, ale ja nie. Za dobrze cię znam, Swaggert. Widziałem, co zrobiłeś swojej pierwszej żonie.

- Ja... byłem grzesznikiem, ale się zmieniłem, Smith, przysięgam na Bogato znaczy odnalazłem Pana.

- Gówno prawda.

- Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś i ty przyjął Jezusa do swojego serca, Smith. Może wygnałby nienawiść z tej twojej czarnej jak smoła duszy.

- Wezmę to pod uwagę - odparł cynicznie Nevada.

- Przyszedłeś mnie dręczyć?

- Po prostu chciałem usłyszeć prawdę. - Nevada w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Wiesz, jak to się mówi, Caleb: „Prawda was wyzwoli”.

- No przecież to właśnie robię, nie? Wreszcie mówię prawdę. Jeżeli Ross McCallum był w sklepie Estevana tamtego wieczoru, kiedy Ramón dał się zabić, to ja go nie widziałem.

Nevada zbliżył się o krok.

- Ale dziesięć lat temu skłamałeś i pomogłeś wsadzić tego człowieka za kratki. Dlaczego?

Mięsień zadrgał w kąciку ust Caleba. Chory szybko zamrugał.

- Dlaczego?

Oczy starego człowieka odzyskały blask. Na twarzy pojawił się ironiczny, ohydny grymas.

- Bo to kawał wrednego sukinsyna i nawet jeśli nie zabił Ramóna, to należało go zapuszkować.

- A więc skłamałeś.

- Dzisiaj bym tego nie zrobił.

Nevada powoli pokręcił głową.

- Wiesz co, Caleb, jeśli kłamie się w takiej sprawie i wrabia kogoś w zbrodnię, której ten ktoś nie popełnił, to tylko po to, żeby uratować własną nędzną skórę...

- Nie zabiłem tego starego meksykańskiego przybłądy i ty dobrze o tym wiesz! - Nagle Caleb bardzo się ożywił, a jego ziemista twarz nabrała rumieńców.

- ...albo dlatego, że dostało się w łapę, żeby kłamać. - Nevada popatrzył Calebowi prosto w oczy. - Słyszałem różne pogłoski na mieście, Caleb. Na przykład, że chcesz sprzedać swoją historię jakiemuś reporterowi.

Calebowi zrzęda mina.

- Zastanawiam się, czy zamierzasz nałgać temu reporterowi tylko po to, żeby dostać szmal.
 - Jesteś żalonym draniem - wybełkotał Caleb.
 - Bez wątpienia.
 - Wynoś się, Smith - syknął starzec. - Jestem chory, umierający i postanowiłem oczyścić sumienie, zanim stanę przed swoim Stwórcą. Ot i cała przyczyna. A teraz wyjdź, bo zawołam pielęgniarkę i każę cię wyrzucić. Nevada nic więcej od niego nie wyciągnął. Caleb Swaggert zamierzał zabrać swoje tajemnice do grobu.
 - Jak ci się jeszcze coś przypomni, daj mi znać.
 - Wynoś się.
- Nevada podszedł do drzwi.
- I wiesz co, Smith?
- Odwrócił się i zobaczył słaby uśmiech na wąskich, spieczonych wargach Caleba.
- Niech Pan będzie z tobą.

Rozdział 4

Bum!

Drzwi więzienia zamknęły się ze szczękiem.

Ross McCallum był nareszcie wolnym człowiekiem.

Najwyższa pora.

Ten koszmar ciągnął się od dziesięciu lat, z czego osiem Ross spędził za kratkami - cała dekada straconego życia. Z jednej strony miał ochotę pójść do najbliższego baru i znaleźć tam sobie gorącokrwistą kobietę. Potem szklanecka José Cuervo i jakiś tani motel. Ale z drugiej strony pragnął zemsty, i to bardzo.

Odetchnął głęboko świeżym powietrzem. Było wspaniale. Zerknął przez ramię, wykonał obraźliwy gest w kierunku wartownika na wieży strażniczej i po cichu powtarzał „pieprzcie się”, mając na myśli wszystkich wkurzających go więźniów, każdego gnoja strażnika, a zwłaszcza drania, który był ich przełożonym i rządził więzieniem niby jakiś cholerny król.

- Daj już spokój - mruknął do siebie i splunął na nierówny beton podjazdu. Wyszedł na wolność. Tylko to się liczyło. I nigdy tu nie wróci. Obiecywał to sobie każdego ranka, kiedy budził się, patrzył w sufit i czuł w nozdrzach smród tego miejsca. O nie. Już wolałby umrzeć, niż ponownie trafić za kratki.

Ciągnąc za sobą zabrudzoną torbę ze swoim skromnym dobytkiem, podszedł butnie do podniszczonego kombi, ukrytego w cieniu muru strażnicy. Za kierownicą, paląc papierosa i słuchając jakiejś jękliwej piosenki country, siedziała ostatnia osoba na tej planecie, na którą mógł liczyć: Mary Beth Looney, jego dwukrotnie rozwiedziona młodsza siostra. W jednej ręce trzymała papierosa, a drugą miarowo bębniła w kierownicę. Nie miała na palcu ślubnej obrączki. To akurat było dobrą nowiną, bo jeśli chodziło o facetów, gust miała fatalny.

- No, wreszcie - powiedziała przez otwarte okno. Włosy, jasne jak słoma, okalały jej twarz niechlujną płataniną, ale były błyszczące i miękkie, bez ciemnych odrostów, z gęstą grzywką.

- No wiesz, rządy działają wolno. Jak się masz. Mary Beth?

- Jestem zmęczona.

- Ładnie wyglądasz.

Na pomalowanych morelową szminką ustach pojawił się lekki uśmiech. Mary wepchnęła papierosa do kącika ust.

- Szkoda, że o tobie nie da się tego powiedzieć.

Rzucił torbę na tylne siedzenie, na którym walały się opakowania z McDonalda i Taco Bell, zapomniane torebki po pikantnym sosie, którego czerwone resztki zakrzepły na winylowej osłonie, a obok leżało kilka twardych jak kamień frytek.

- Gdzie dzieciaki? - zapytał, siadając obok siostry.

- Ze swoimi tatusiami.

- Nie myślałem, że spotykasz się ze swoimi byłymi.

- Nie spotykam się. - Przekręciła kluczyk w stacyjce. - Chyba po prostu miałam szczęście. - Wcisnęła pedał gazu i wypuściła dym nosem.

Odjechali, wzniecając tuman kurzu.

Ross opuścił okno i czuł, jak powietrze owiewa wnętrze wozu, ale jednocześnie paliło go wspomnienie dziesięciu lat koszmaru. Karmił swoją nienawiść każdego dnia, przysięgając sobie zemstę, i teraz nadeszła jej pora. W głowie wirowały mu nazwiska osób, z którymi zamierzał się porachować. Ruby Dee, Caleb Swaggert, Shelby Cole, sędzia, Nevada Smith. Zwłaszcza ten ostatni.

Bawiąc się kostkami palców, Ross patrzył przez zakurzoną, upstrzoną owadami szybę na teksańskie widoki, które odkrywał teraz na nowo.

Sumaki i kolczaste grusze, kiedyś zupełnie zwyczajne, teraz wydawały się nadzwyczaj piękne. Walcowate wzgórza porośnięte wysuszoną trawą były traktowane przez owce i kozy, których dawniej nie zauważał, a niebo - Chryste, niebo ciągnęło się bez końca. Zaciśnął zęby, żeby nie poddać się wzruszeniu. Po co się roztkliwiać, mazać jak dziecko. Był wolnym człowiekiem i postanowił, że już nigdy nie trafi za betonowe mury z drutem kolczastym,

strzeżone przez milczących, ponurych mężczyzn w okularach odblaskowych, z karabinami, których mieli ochotę użyć. Nigdy więcej.

- Dokąd? - zapytała Mary Beth. Jechali autostradą i mijali wolno płynącą rzekę Guadalupe.

- Bad Luck.

Mary Beth spojrzała na niego kątem oka.

- Nie uważasz, że powinienś zacząć gdzieś indziej?

- Nie uważam.

- Gdzie będziesz mieszkał?

- U starych.

Potrząsnęła głową i ścisnęła kierownicę tak mocno, jakby zamierzała ją wyrwać.

- Do diabła, Ross, a co tam jest? Stara chatka babci właśnie się rozpadła. To, co zostało, jest przegniłe i pełne termitów.

- A co z przyczepą?

Westchnęła.

- Ta szeroka wciąż stoi; i wymówiłam najem, tak jak prosiłeś, ale wierz mi, to istny chlew.

- Na pewno nie jest tam gorzej niż w miejscu, w którym byłem. - Ross zerknął na tylne siedzenie. Jego siostra nie przywiązywała zbyt dużej wagi do higieny. Jeśli było prawdą to, co mówiono o czystości i pobożności, to Mary Beth miała marne szanse na przekroczenie bram raj, gdyby zawezwał ją tam Pan. Nie żeby Ross specjalnie się tym przejmował. - Gdzieś muszę mieszkać na początek - powiedział, a ona wgniotła papierosa w popielniczkę, w której pełno już było niedopałków ze śladami szminki.

- Niby tak. Ale tu zostało wiele złej krwi. - Odgarnęła włosy na ramiona i udawała, że nie zwraca uwagi na jego reakcję. - Do miasta wróciła Shelby Cole.

Ross nie mógł się powstrzymać od uśmiechu satysfakcji. Shelby? W Bad Luck? No, no, robiło się coraz ciekawiej.

- Naprawdę? Coś podobnego.

- Nie przypuszczam, żebyś ty miał coś wspólnego z tym powrotem.

- Zapominasz, gdzie byłem.

- Hm, najlepiej, żebyś trzymał się od niej z dala - ostrzegła, a potem przekręciła gałkę radia i zwiększyła głośność piosenki; czysty kobiecy głos śpiewał jękliwy utwór w stylu country and western. Mary Beth wtórowała piosenkarce i szło jej całkiem nieźle, może śpiewała trochę monotonie, ale Rossowi było wszystko jedno.

No, ale jemu przecież na niczym specjalnie nie zależało. Oprócz zemsty.

Oparłszy się wygodnie na fotelu, milczał podczas jazdy autostradą i przywoływał w pamięci znajome twarze - zwłaszcza Shelby Cole. Błękitne, niewinne, smutne oczy, zadarty nosek i kilka piegów, idealnie owalny kształt twarzy. Tak, Shelby to była niezła sztuka. Będzie musiał ją odszukać. Nie dokończyli pewnej sprawy.

Mary Beth zwolniła, dopiero kiedy minęli kilka miasteczek w drodze do Bad Luck. Tak, wszystko zacznie się lepiej układać.

Wytrząsnęła kolejnego papierosa z paczki leżącej na siedzeniu między nimi i nacisnęła zapalniczkę. Poczęstował się marlboro light.

- No, więc gdzie chcesz znaleźć pracę?

Ross wykręcił wsteczne lusterko do siebie i potarł zarośniętą brodę. Kiedyś był przystojnym mężczyzną, ale lata spędzone za kratami odbiły się na nim pod tym względem niekorzystnie. Czoło i kąciaki oczu naznaczone były głębokimi bruzdami. Miał też kilka blizn - pamiątka po walkach na pięści - i ranę od noża na prawym udzie, a ilekroć poruszył prawym ramieniem, czuł lekki ból między żebrami, które Nevada Smith połamał mu podczas ich ostatniej bójki.

Zapalniczka szczerknęła i oboje zapalili papierosy. Płuca Rossa wypełnił kikatynowy dym.

- Pewno nie masz przy sobie niczego do picia? - zagadnął. - Kurczę, już dawno nie miałem w ustach whisky ani tequili, ani nawet cholernego piwa.

- Trzymaj się z dala od alkoholu, dobrze? - Mary Beth odwróciła lusterko, żeby móc w nie spoglądać. - Nie pakuj się w żadne kłopoty, Ross. Nie mam zamiaru zajmować się wyciąganiem braciszka z mamra.

- Bez obawy - odparł z zapałem, czując, że jest podekscytowany.

Minęli rzekę, która o tej porze roku przypominała raczej strumyk, i przemknęli obok cmentarza na wschód od miasta. Nagrobki, z których część zaczynała się walić, stały pośród nielicznych drzew, podobne do wartowników o dziwacznych sylwetkach. Ross zastanawiał się, ile nowych dusz odeszło z tego świata od czasu, gdy stary Ramón Estevan spotkał się ze swoim Stwórcą, ale nie chciał mu się o to pytać.

Bad Luck było zaraz za następnym wzniesieniem.

Zaciągnąwszy się po raz ostatni, Mary Beth zerknęła we wsteczne lusterko.

- O cholera.

- Co?

- Chyba już zdążyłeś ściągnąć na siebie uwagę. To gliny.

- A niech to szlag! - Wykręcił się na fotelu i zobaczył wóz policyjny, który mrugał do nich światłami. - Ja tam nie wrócę, Mary Beth. Choćby nie wiem co, ja tam nie wracam. Musieliby mnie najpierw zabić! - Adrenalina rozpaliała mu krew. Serce oszalało, biło w zabójczym tempie.

- Trzymaj się mocno! - Skręciła na wzgórze, a samochód policjanta, wciąż błyskający światłami, jakby to był cholerny czwarty lipca, pojechał za nią.

- Coś ty, u diabła, zrobiła?

- Nic, jasne? Nie zrobiłam niczego złego! - upierała się. - Kurde, to Shep Marson.

Rossowi od razu zrobiło się niedobrze. Zerknął przez brudne tylne okno i ujrzał twarz, która odcisnęła mu się głęboko w pamięci. Shep miał twarde rysy twarzy, którą po części skrywało rondo kapelusza, ale zrobił się trochę okrągłszy.

- Czego on chce?

- Zaraz się dowiemy. - Wgniotła niedopałek w popielniczkę, nerwowo zmierzwiła włosy, a potem wystawiła głowę na zewnątrz. - Co jest, Shep? - zawołała.

Ross usłyszał zgrzyt buciorów na żwirze. Pot nieprzyjemnie oblepiał mu czaszkę i spływał po karku. Żałował, że nie ma na tylnym siedzeniu dubeltówki. Rozwaliłby Marsona, tak żeby poszedł wraz ze swoją odznaką i pyszałkowatym, prawym zachowaniem, do samego diabła.

Niech to szlag! Nie może myśleć w ten sposób. W głowie zbierał mu stłumiony ryk, dłonie zaczęły się pocić i swędzieć. Trzymaj się. Rozegraj to na spokojnie. Mimo zaciśniętych zębów zdołał się zaciągnąć papierosem.

Przez twarz Mary Beth przemknął cień. Ross skupił wzrok na otwartym oknie po stronie kierowcy. Widział tylko mundur - czyjś tors zakryty wydaną przez okrąg, podniszczoną i poplamioną koszulą.

- Wiesz, że wygasło ci ubezpieczenie? - huknął Shep, tak że Ross go usłyszał mimo ciągłego szumu w uszach. Zastępca szeryfa nachylił się tak mocno, że okno obramowywało jego twarz, a rondo kapelusza prawie ocierało się o policzki Mary Beth.

- Nie... to znaczy, po prostu nie zdążyłam... - Mary Beth wzruszyła ramionami i Ross miał ochotę ją udusić. Co ona sobie myślała: żeby przyjeżdżać po niego autem z nieważnymi tablicami rejestracyjnymi?! Kurczę blade, czy jego siostra to zupełna kretynka?

- Aha. No cóż, pomyślałam sobie, że tym razem dam ci tylko ustne upomnienie - powiedział Shep i przeniósł wzrok na niego. Ciężar tego spojrzenia za przekłętymi okularami przeciwsłonecznymi był dla Rossa niemal nie do zniesienia. Niemał. - Ho, ho, patrzcie no tylko, kogo tu mamy. - Skinął przyjaźnie głową. - Chciałbym powiedzieć, że miło jest znowu cię widzieć, McCallum, ale obaj wiemy, że to nieprawda.

Ross nic nie odpowiedział.

- Nie chcę żadnych kłopotów z twojego powodu - dorzucił Shep. - Zdajesz sobie sprawę, że to nie jest tylko ostrzeżenie dla twojej siostry. - Uśmiechnął się z przymusem. - Mówię do ciebie, McCallum. Pamiętaj, że już stąpasz po niebezpiecznie kruchym lodzie, synu. Ten okrąg jest mój.

- Pamiętam - wydusił z siebie Ross.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Postaraj się o tym nie zapominać. - Shep uchylił kapelusza, żegnając siostrę Rossa. - A ty, Mary Beth, zadbaj o te tablice rejestracyjne.

- Oczywiście - odparła słodko, podczas gdy zastępca szeryfa wracał do swojego wozu. Energicznie włączyła silnik starego forda i poczekała, aż obok przemknie furgonetka, w której siedzieli Meksykanie, po brzegi wypełniona sianem. Zaczęła narzekać. - Już się zaczyna. - Twarz jej zbladła mimo opalenizny, a usta wyrażały niezadowolenie. - Niech to cholera, to już się zaczyna.

Fakt, pomyślał, wyrzucając przez okno niedopałek papierosa.

I nie mógł się doczekać owego początku.

Shelby ze złością wyłączyła laptopa. Skulona na pasiastym krześle, wciśniętym między okno i łóżko w jej pokoju, buszowała w Internecie od wielu godzin: przeszukiwała strony na temat zaginionych osób, wystukiwała pytania na forach dyskusyjnych, zastanawiając się, gdzie może przebywać doktor Ned Charles Pritchard. Bolał ją kręgosłup, bolała szyja, a głowa wprost pękała. Frustracja szybko stawała się jej nieodłączną towarzyszką.

No i jeszcze Nevada. Jego obraz pojawiał się i znikał w jej umyśle, nękał ją jak natrętny owad, który nie chce odlecieć. Najgorsze było to, że wciąż ją pociągał swym pierwotnym, teksańskim typem urody. Raz po raz powtarzała sobie, że niedługo będzie musiała się ustatkować, że latek przybywa, że potrzebuje odpowiedzialnego mężczyzny, co to będzie pracował od dziewiątej do piątej albo i dłużej, jakiegoś biznesmena o ładnym uśmiechu i twardym charakterze, który będzie chciał dzieci, rodziny, domku na przedmieściach Seattle... ale z pewnością nie ubożego kowboja na bakier z prawem.

Tyle że kiedyś byli kochankami, mieli dziecko... no i był niewiarygodnie seksowny. Przestań, warknęła do siebie, wyciągając nogi na otomanę. Miała zadanie do wykonania. Nie mogła pozwolić, żeby ktoś jej w tym przeszkodził. Nie pozwoli na to nikomu, nawet diabelnie pociągającemu ojcu Elizabeth.

Problem polegał na tym, że mimo upływu dwóch dni od chwili, gdy otrzymała kopertę, nie posunęła się ani o krok w poszukiwaniach córki. Weź się w garść, bo to musi potrwać, powiedziała do swojego bladego odbicia w

oknie sypialni. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że czas ucieka. Już przegapiła dziewięć lat życia swojej córki, ile jeszcze czasu mogła zaryzykować?

Brała pod uwagę wynajęcie zawodowego internetowego detektywa, ale nie wiedziała, którego z kilkudziesięciosobowej listy wybrać. W ramach własnych poszukiwań zdołała odnaleźć kilku doktorów Pritchartów na terenie Stanów Zjednoczonych - okazało się jednak, że żaden z nich nie jest tym Nedom Pritchartem, który odbierał poród jej dziecka.

Mógł się ukryć wszędzie. W Europie. W Ameryce Południowej. Mógł też już nie żyć.

Nie myśl w taki sposób.

Znowu zerknęła na dziedziniec na tyłach domu i połyskującą, turkusową wodę w basenie. Kusiła swoim chłodem. Shelby nie przywiozła ze sobą kostiumu kąpielowego, ale chyba uda się coś znaleźć w starych rzeczach.

Właśnie podchodziła do komódki, kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód ojca. Spojrzała na zegarek... już po trzeciej. Sędzia był zapracowanym człowiekiem. Zeszłego wieczoru wrócił bardzo późno i wbrew oczekiwaniom Shelby nawet nie zapukał do jej drzwi, chociaż słyszała jego kroki, bo nie mogła zasnąć. Wczesnym świtem już znowu go nie było.

Najpierw czuła ulgę, że nie musi z nim przebywać, ale nie mogła w nieskończoność odkładać rozmowy, zresztą nie chciała jej odkładać. Wróciła do Bad Luck w konkretnym celu, a sędzia bez wątplenia ukrywał przed nią jakieś tajemnice.

Włożyła sandały i wyjęła z komódki gumkę, związała włosy w niedbały kok i zbiegła tylnymi schodami do kuchni.

- *Niña*. - Lydia, która postawiła sobie za cel podkarmienie Shelby, przygotowała tacę z owocami, serem i krakersami. - Właśnie robiłam twojemu ojcu drinka. - Uśmiechnęła się tak szeroko, że widać było złotą koronkę na jednym z zębów. - Co byś chciała?

- Wezmę szklankę herbaty z lodem - odparła Shelby, stukając klapkami po terakotowej posadzce.

- Ukroję ci plasterki cytryny...

- Dziękuję, Lydio, naprawdę. Doceniam to. Ale dam sobie radę sama.

Chociaż Shelby uwielbiała kobietę, która opiekowała się nią od śmierci matki, nie potrafiła znieść myśli, że Lydia miałaby się o nią troszczyć jak o bezradne dziecko albo, co gorsza, rozpieszczoną księżniczkę: córeczkę bogatego człowieka. Za długo prowadziła niezależne życie i, mieszkając sama, przywykła do samodzielności. Zignorowała urażone spojrzenie Lydii, wrzuciła kilka kostek lodu do wysokiej szklanki, nalała herbaty ze schłodzonego dzbanka i sama wkroiła sobie do niej plasterki cytryny, a potem poszła za Lydia na tylną werandę, gdzie jej ojciec już szączył martini.

- A więc postanowiłaś zostać - stwierdził, wyraźnie zadowolony, a ona usiadła naprzeciwko niego, przy stole ze szklanym blatem. W górze wirowały wentylatory.

- Pomyślałam, że łatwiej mi będzie porozmawiać z tobą. - Zamieszała swój napój.

Lydia zaczęła narzekać na ogrodnika, wyrwała kilka suchych płatków z petunii w wielkich donicach stojących w pobliżu tylnych drzwi i pognała do kuchni, gdy usłyszała głośne brzęczenie zegara.

- Myślałam, że nie chcesz ze mną rozmawiać.

- Nie chciałam. - Pociągnęła łyk herbaty. Była o wiele mocniejsza i bardziej klarowna niż mętna ciecz, którą wczoraj zaserwował jej Nevada. - Zmieniłam zdanie. - Patrzyła na niego znad szklanki, biorąc następny wzmacniający łyk. Nigdy nie była nieśmiałym dzieckiem, a jednak przy ojcu czuła się skrępowana. Pewne rzeczy nie zmieniły się mimo upływu lat. - Mam nadzieję, że będziesz mi w stanie pomóc.

- Zrobię co w mojej mocy. - Wyciągnął z drinka plastikową wykałaczkę i wyssał jedną z oliwek.

- Dobrze. W takim razie musisz mi opowiedzieć o Elizabeth. - Tego popołudnia Shelby była spokojniejsza, ale ani trochę mniej zdeterminowana.

- Nie wiem nic o twoim dziecku.

- Nie okłamuj mnie, tato. Pójdę na policję.

Żuł oliwkę, a potem ją połknął.

- Z czym? Ze zdjęciem dziecka, które wygląda jak ty? Z anonimowym liścikiem?

- Tak.

- To będzie jak otwarcie puszkii Pandory.

- Ona już jest otwarta.

Potrząsnął energicznie głową.

- Będą zadawali mnóstwo pytań. Niektóre z nich ci się nie spodobają.

- Nie martwię się tym. Uświadom sobie coś, sędzio. Ja już nie jestem tą przerażoną, zagubioną siedemnastolatka, która wstydziła się, że jest w ciąży i bez męża.

- To małe miasteczko.

- Amen.

- Nie wielka aglomeracja, gdzie możesz się ukryć.

- Ja się nie ukrywam, sędzio, i chcę prawdy. Ty wiesz, co się stało tej nocy, kiedy urodziłam dziecko. Musiałeś to

wszystko zaaranżować. Nikt, ani doktor Pritchard, ani ktokolwiek inny w tamtym szpitalu, nie odważyłby się odstawić takiego numeru w pojedynkę. Musiałeś ich przekupić albo jakimś sposobem zmusić.

- Przekupstwo i przymus. Ciężkie oskarżenia.

Nie zamierzała zbaczać z tematu.

- Posłuchaj, albo powiesz mi, co wiesz, i zaoszczędzimy mnóstwo czasu, albo będę węszyła samodzielnie, ale wtedy wyciągnę na publiczny widok wszystkie trupy z szafy rodu Cole'ów.

- Na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowił.

- Ależ ja zastanowiłam się nad tym bardzo poważnie.

Ugryzł kolejną oliwkę.

- Słyszałem, że wczoraj byłeś z Nevada.

- Wpadłam na niego na ulicy.

Siwiejące, krzaczaste brwi wygięły się sceptycznie ku górze.

- No, no, pierwsza osoba, na jaką się natykasz, to dokładnie ktoś, kogo powinnaś unikać.

- Ojciec mojego dziecka.

- Może.

Poczuła, że gwałtownie się rumieni, udawała więc, że obserwuje motyle i pszczoły przelatujące z jednej doniczki pełnej kwiatów na drugą.

- W tym sęk, dziewczyno. A jeśli ten dzieciak nie jest Smitha? Wiesz, już jest źle, a mogłoby się zrobić jeszcze gorzej.

Powoli wstała i pochyliła się nad stołem. Nie mogła pozwolić, żeby ojciec ją zastraszał.

- Rzecz w tym, że to dziecko jest moje. I tylko to się liczy. Właśnie po to tu wróciłam. Posłuchaj, masz wybór. Albo zechcesz mi pomóc, albo nie, ale tak czy inaczej odnajdę swoją córkę.

- A jeśli ją odnajdziesz? - Trzecia oliwka powędrowała do jego ust. Patrzył na Shelby z takim naciskiem, z jakim mierzył krnąbrnych świadków w sądzie. - Jeśli ta dziewczynka żyje, jeśli jest twoja i jeśli ją odnajdziesz, co wtedy? Masz zamiar odrywać ją od rodziców, których zna od dziewięciu lat? Odrywać ją od matki, ojca i rodzeństwa po to tylko, żeby zaznać spokoju? Czy właśnie to byłoby dla niej najlepsze? - Popił oliwkę dużym haustem, a Shelby poczuła mdłości. - A może to byłoby najlepsze dla ciebie? - Wątpliwości, które wyraził głośno, prześladowały ją od momentu, gdy otworzyła kopertę z San Antonio.

- Krok po kroku - odparła, starając się nie załamać pod jego surowym spojrzeniem. - Najpierw muszę ją odnaleźć.

- Igrasz z ogniem, Shelby.

- Ty jakoś nie miałeś oporów, co? - Zmuszała się do tego, żeby panować nad sobą. - A teraz albo mi pomożesz, albo będę to robić sama, ale bądź pewien, że nie dam za wygraną. - Dopiła herbatę z lodem i odstawiła szklanekę. - Kto mógłby mi przysłać to zdjęcie?

- Nie wiem. - Nie odrywał wzroku od jej oczu; siwe włosy na jego głowie były starannie uczesane. Garnitur, koszula i krawat na gumce wydawały się świeże i wyprasowane, jakby dopiero je włożył, podczas gdy ona wylewała tony potu w T-shircie i szortach. Na kolanach sędziego trzymał laskę z kościaną główką, bardziej dla fasonu niż z rzeczywistej potrzeby.

- No dobrze, w takim razie kto zaadoptował moje dziecko? - Nie zamierzała odpuszczać w tej kwestii.

- Wciąż nie wiem.

- Jak możesz tak sobie spokojnie siedzieć i bezczelnie kłamać mi w oczy? Musiałeś wiedzieć.

Powoli, cedząc słowa sylaba po sylabie, odparł:

- Nie wiem, co się stało z dzieckiem. Ja o to nie pytałem.

- Ale wiedziałeś, że przeżyła.

- Nie. Wiedziałem tylko, że nie urodziła się martwa. Poza tym nie widziałem powodu, żeby zrobić coś więcej.

- Ona jest twoją wnuczką! - Chociaż Shelby chciała poznać prawdę, teraz czuła się nią przytłoczona.

- A ty jesteś moją córką. Zawsze robiłem to, co uważałem za najlepsze.

Nie wierzyła własnym uszom, a potem zastanawiała się, dlaczego w ogóle próbuje z nim dyskutować. Należał do ludzi, którzy grają wedle własnych reguł, nagiął prawo do własnych celów i racjonalizował swoje poczynania.

- O Boże, nie mogę w to uwierzyć. - Opadła na wyplatane krzeselko. - Jesteś obłąkany.

- Praktyczny.

- Zdolny do manipulowania ludźmi. Och Boże. - Chwyciwszy szklanekę, przyłożyła zaparowane szkło do czoła, czując chłód topniejących kostek lodu. Jak ten człowiek, ten nadęty potwór może być jej ojcem?

- A co ze Smithem? Powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie miałam wyboru.

- Zawsze ma się jakiś wybór.

- Nie wtedy, gdy ktoś, komu się ufa, manipuluje tobą. - Odstawiła szklanekę na stół.

Sędzia spochmurniał. Kiedy przyglądał się stadku szpaków odlatującemu z cyprysa po drugiej stronie basenu, nagle w jego oczach pojawił się smutek.

- Ech, Shelby - westchnął, mierzwiąc włosy grubymi palcami. Zmarszczki na jego czole i wokół ust pogłębiły się

i nagle wydał się Shelby bardzo stary. - Nie masz pojęcia, co narobiłaś.

- Ależ mam - odparła stanowczo, opanowując drżenie głosu. - Zrobiłam to, co należało zrobić.

- Dowiedziałaś się czegoś dzisiaj?

- Mało. Ale się dowiem - obiecała, odsuwając krzesło.

I nagle doznała olśnienia. Wiedziała, od czego zacząć.

Rozdział 5

Nevada zakarbował ucho ostatniemu cielakowi i klepnął zwierzę w zad tak mocno, że ryknęło i pognało do stada. Nevada ściągnął rękawice, spojrzął na zachodzące słońce i zaczął się zastanawiać, dlaczego wciąż tu mieszka i ledwo udaje mu się związać koniec z końcem, skoro nawet pomimo obowiązującej poprawności politycznej ludzie przezywają go mieszkańcem.

Nie, żeby się tym przejmował. To nie fakt, że jego matka była pół-Irokezką, sprawiał mu przykrość, lecz to, że wyjechała, kiedy miał trzy lata, i że w ogóle jej nie pamiętał. Nigdy się nie dowiedział, jakie były jej dalsze losy, i nawet nie czuł takiej potrzeby.

Zdecydował się jednak pozostać tutaj, blisko Bad Luck. Nigdy nie umiał się przystosować do otoczenia, ale to mu specjalnie nie przeszkadzało. W głębi duszy wiedział, że kiedyś będzie mu się żyło łatwiej.

A poza tym to był jego dom. Może niezbyt okazały, ale własny. Nevada patrzył na pomocną granicę rancza i na ziemię, którą kupił przed dwoma laty, podwajając w ten sposób powierzchnię swojego gospodarstwa, a przy okazji zdobywając kamieniołom i brzoskwiniowy sad. Kosztowało go to krocie, ale interes zaczął się opłacać, i Nevada powoli wychodził z długów.

Zatrzymał się przy kranie z wodą, przekręcił kurek i wsunął głowę pod strumień wody, jeszcze ciepłej od nagranych rur. Wkrótce zrobiła się zimna i ochlapał nią szyję i ramiona, a potem wypił duży łyk. To miejsce nie było idealne, ale czuł, że to jego dom.

Strząsnął z włosów krople wody i podszedł do szopy. Stał tam bezczynnie traktor, wyprodukowany cztery lata przed jego narodzinami - miał popękane dętki i matowe reflektory. Farba na eksploatowanej przez wiele lat w promieniach bezlitosnego teksańskiego słońca maszynie dawno utraciła połysk.

Ale w Johnie Deere wciąż jeszcze tliło się życie. Nevada sprawdził poziom oleju. Wiedział, że będzie jeździł tym traktorem, aż maszyna stanie w polu. Ocierając ręce, zastanawiał się, czy - jeśli wierzyć Shelby Cole - jest ojcem. Nigdy nie sądził, że będzie miał dzieci. Prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie znalazł kobiety, z którą chciałby spędzić resztę swojego życia. I nie chciał, żeby jego dziecko dorastało w takich warunkach jak on.

Teraz miał córkę. Dziecko Shelby. Cały dzień przetrwał tę szokującą nowinę. Posunął się nawet do tego, że zadzwonił do starego kumpla z wojska, który został prywatnym detektywem w Houston.

Starał się nie myśleć o Shelby. Potrafiła wyrzucić czyjeś życie do góry nogami. Zawsze były z nią kłopoty i zawsze będą. No, ale on nigdy nie unikał kłopotów; prawdę mówiąc, był taki czas, kiedy sam się o nie prosił.

To było wiele lat temu.

Myślał, że już mu przeszło szaleństwo na jej punkcie, że raz na zawsze o niej zapomniał.

No cóż, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Wystarczyło, że tylko na nią spojrzął i od razu poczuł znajomy żar w łędźwiach i tę przejmującą tęsknotę gdzieś w głębi duszy. Zacisnął zęby i ruszył z powrotem do domu. Żadna kobieta, nawet Shelby, seksowna córka sędziego Cole'a, nie zdoła już wywołać w nim takich emocji, jak ona przed dziesięciu laty.

Pogwizdując na Crocketta, Nevada wszedł na tylny ganek, zrzucił buty, zdjął mokrą koszulę i wytarł się nią jak ręcznikiem, a potem wypił piwo. Już miał wejść pod prysznic, kiedy usłyszał warkot silnika i zobaczył tuman kurzu za frontowym oknem.

Między żywodębami, którymi był wysadzony podjazd, błysnęła biała plama. Rozpoznał samochód wynajęty przez Shelby. Długi, lśniący cadillac przemknął obok zagajnika blisko skrzynki pocztowej.

- Do diabła! - mruknął, wciągając oddech.

Po kilku sekundach już wychodził frontowymi drzwiami.

Samochód się zatrzymał. Słońce właśnie zachodziło za wzgórzami. Crockett się rozszczękał, ale wystarczyło jedno spojrzenie Nevady, żeby go uciszyć.

Shelby wysiadła z samochodu.

Nevada zacisnął zęby.

W szortach khaki i białym bezrękawniku, z lekko rudawymi włosami odgarniętymi do tyłu, wydała mu się najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Miała długie, opalone nogi, wąską talię i piersi, które były dostatecznie duże, by wypełnić męskie dłonie. Musiał bardzo nad sobą panować, żeby nie myśleć o tym, o czym nie powinien.

Oparłszy się ramieniem o słupek podpierający okap ganku, czekał, aż Shelby przejdzie przez bramę.

- Znowu tu jesteś? - spytał powoli.

- Muszę z tobą pogadać. - Shelby nawet nie siliła się na uśmiech. Wargi miała zaciśnięte, była pełna determinacji. Zepchnęła okulary przeciwsłoneczne nad czoło. Jej błękitnozielone oczy spojrzały na niego z niepokojem.

- No proszę, a ja myślałem, że urządziłaś sobie wycieczkę do slumsów.

- Nie przyjechałam tutaj słuchać dowcipów - odcięła się, wchodząc po stopniach na ganek. Uniósł ku niemu twarz. Jej oczy były prawie turkusowe, odbijały się w nich ostatnie promyki słońca.

- Mów.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Uniósł podejrzliwie brew i nic nie powiedział. Tylko czekał.

- Musimy znaleźć Elizabeth.

- Naprawdę? - odparł rozwleknie, starając się nie patrzeć na wycięcie jej bluzki i to kuszące coś, co się pod nią kryło.

- Tak.

- Zabawne. Teraz chcesz mojej pomocy.

- Nie ma w tym nic zabawnego.

- Masz rację - rzekł, czując budzący się w nim gniew.

- W takim razie możemy przejść do rzeczy i...

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży?

To pytanie wytrąciło ją z równowagi. Skrzywiła się. Na policzkach i szyi, i nawet na tym kawałeczku skóry między jej piersiami pojawił się rumieniec.

- Co takiego?

- Dawno temu. Mogłaś mi powiedzieć.

Chrząknęła i zauważył wahanie w jej oczach, które przez tyle lat nie zdradziły prawdy.

- Nie było powodu. To znaczy, nie miało sensu cię kłopotać...

- Kłopotać? Uważasz, że nie powinienem był wiedzieć, że będziesz miała ze mną dziecko? - Jak ona mogła patrzeć mu prosto w oczy? - Jeśli ja byłem ojcem...

- Byłeś. Jesteś.

Prychnął pogardliwie.

- Co ukrywałaś, Shelby?

- Nic - pokręciła głową, kładąc ręce na biodrach. - Już nie ma nic do ukrycia. I nie przyjechałam tutaj, żeby się kłócić.

- Ja tylko chcę wiedzieć, dlaczego mi nie powiedziałaś. - Musi znać odpowiedź. Nie odpuści tak łatwo. Na miłość boską, przecież rozmawiają o jego dziecku!

- Myślałam, że dziecko umarło.

- Ale musiałaś wiedzieć co najmniej przez siedem, osiem miesięcy, że nosisz je w sobie.

- Byłam przerażona - przyznała, wysuwając podbródek. Jej plecy zeszytywniały, a kilka niesfornych kosmyków wysunęło się z koka i rozwiewał je wiatr.

- Czym? - nalegał.

Zawahała się. Po raz pierwszy opadła z niej maska zuchowatości.

- Jakoś nie pamiętam, żeby cokolwiek cię przerażało. Byłaś rozpieszczona i bogata, ale lubiłaś też rozrabiać i miałaś niewyparzony język, którego nie bałaś się używać.

- Nie o to mi chodziło.

Przechylił głowę na bok. Czekał.

Walczyła ze sobą i wciąż miała czerwone policzki.

- Wyduś to z siebie, Shelby.

- A niech to. - Widział, jak zмага się ze sobą. - Nie przyjechałam tutaj, żeby o tym dyskutować.

- O czym? - ciskał.

- Och, do diabła. No dobrze, bałam się ciebie. Mojego taty. Tego, co powiedzą ludzie.

- Dlaczego?

- Bo byłam młoda.

- I?

Przez chwilę patrzyła w inną stronę; zauważył kropelki potu na jej czole.

- No dobrze, bałam się ciebie, bo... - jej wzrok znowu spoczął na nim - ...bo kochałam cię, Nevada - wyznała. Między jej brwiami pojawiły się małe zmarszczki i nagle Nevada zaczął żałować, że tak nalegał. Nie chciał słuchać skrywanego przez dziesięć lat wyznania. - Właśnie tak. To było głupie. Idiotyczne. Dziecinne. Ale kochałam cię. Masz czego chciałeś i... och Boże, jak ja cię kochałam. Żadna zdrowa na umyśle kobieta nie powinna tak kochać mężczyzny, ale... kurczę, nigdy nie mogłam na ciebie liczyć, prawda? Nigdy nie wiedziałam, na czym stoję w naszym związku, a potem... potem zaszłam w ciążę i... i... - Umilkła i przygryzła wargę, wciąż się ze sobą zmagając. Potarła ramiona, jakby zrobiło jej się zimno, chociaż nadal było bardzo gorąco. - Potem - wyszeptwała, czerpiąc siłę z jakiegoś nieznanego źródła - zanim się obejrzałam, rozpętało się prawdziwe piekło, i byłam naprawdę przerażona. Wszystko mnie przerażało.

Ale chodziło o coś więcej. Wyczytał to z jej pociemniałych oczu.

- Nawet próbowałam raz z tobą porozmawiać - przyznała i zauważył, że kąci jej ust zastygają, podobnie jak ramiona. - Ale kiedy zajechałam pod twój dom, ty... ty byłeś z Viancą Estevan.

- Jej ojciec właśnie został zabity.

- Wiem, ale...

- Była przyjaciółką.

- Była dla ciebie kimś więcej i oboje to wiemy. - Shelby posłała mu spojrzenie, które mogłoby zmrozić ogień piekielny. - Nie próbuj mi wciskać kitu, dobrze? Ty i Vianca byliście kochankami.

- Dawno temu - zgodził się.

- A ja byłam chwilową rozrywką.

W tym momencie nie wytrzymał. Bez namysłu pchnął ją na ścianę obok drzwi. Zaniepokojony Crockett zaszczekał.

- Zgadza się, Shelby. Byłaś diabelnie dobrą rozrywką. A czym ja byłem dla ciebie? Sposobem na dokuczenie twojemu staremu? Kimś, nad kim można się litować? Jednym z tych niegrzecznych chłopców, do których trudno było się zbliżyć?

- Nie.

- Kłamczucha.

- Ty... ty byłeś zastępcą szeryfa.

- Ale nie na długo. - Próbował nie zważać na to, co czuje, dotykając jej skóry. - No i miałem złą reputację, którą usiłowałem naprawić. Ty byłaś ze mną tylko po to, żeby się buntować i dopiec sędziemu.

- Nie! To znaczy...

- Och, do diabła!

Shelby nabrała powietrza, a wtedy Nevada zrobił jedną z najgłupszych rzeczy w swoim życiu. Pocałował ją. Mocno. Wpił się z całych sił w jej usta i przywarł do niej całym ciałem. Nogi w zakurzonych dżinsach wciskały się w gołe łydki i uda Shelby, biodra czuły miękkość jej bioder, a jej podbrzusze wtapiało się naturalnie w jego rozporek. Mimo warstwy bawełny poczuł gorącą skórę młodej kobiety i w głębi duszy przeklinał samego siebie za swoją słabość.

Wepchnął język między jej wargi, poczuł, że jest spięta, ale nie powstrzymała go, choć nie odwzajemniała pocałunku.

Pot ściekał mu po plecach. Chociaż chciał tylko coś udowodnić, rozpałało go pożądanie. Zatliło się gdzieś w głębi, a potem wzburzyło w nim krew. Jego członek nabrzmiał, był gruby i twardy. Nevada oderwał usta od Shelby i patrzył w jej morskie oczy, które nawet nie mrugnęły.

- Nie rób tego - powiedziała tonem równie ciepłym jak syberyjska zima. - Cokolwiek próbowałeś mi zrobić, to się nie zdarzyło, jasne?

- Aha, akurat! - Oparł obie dłonie na chropowatym sidingu po obu stronach jej głowy, ale ona odepchnęła jego nagie ramiona.

- Neandertalska taktyka nie działa na mnie, Nevada. Ani taktyka kromaniońska, więc daj sobie spokój.

Prawie jej uwierzył. Wydawała się taka chłodna i opanowana. Zauważył jednak, że wgłębienie jej szyi pulsuje, a palce oplatają cedrowe deski, i przypomniał sobie, jak kiedyś reagowała, kiedy ją całował w to miejsce.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła. - Udowodniłeś, co miałeś udowodnić, ale ja nie mam czasu na... na jakies absurdy w rodzaju...

- No, jakie?

- Na przykład wiązanie się w jakikolwiek sposób z tobą.

- Nie? - Skrzyżowawszy ręce na nagiej piersi, uświadomił sobie, że uśmiecha się szyderczo.

- Nie. - Była stanowcza. - Przyjechałam tutaj, bo myślałam, że może zechcesz mi pomóc. - Jej biust falował trochę zbyt mocno; Nevada cofnął się i dał jej trochę przestrzeni. - Teraz posłuchaj - powiedziała zdyszonym głosem. - Albo w to wchodzisz, albo nie. Prosta sprawa. Zamierzam odnaleźć Elizabeth, choćby świat się walił. Z tobą lub bez ciebie. Pomyślałam, że... że powinnam cię o tym powiadomić. No, więc jak będzie?

Zmierzył ją wzrokiem. Z wiekiem dojrzała, ale nadal była uparta i miała klapki na oczach. Zupełnie jak jej stary.

- Jestem daleko przed tobą, Shelby.

- Wątpię.

- Zdążyłem już skontaktować się z prywatnym detektywem.

- Bez uzgodnienia ze mną? - Miała czelność uważać się za obrażoną, kiedy stała przed nim na jego zakurzonym ganku.

- Tak.

- Ale nie pomyślałeś, że chciałabym wiedzieć... - Przerwała i chrząknęła, a potem zapatrzyła się w blask zachodzącego słońca, jaskrawe odcienie różu i złota, który podkreślał kontury wzgórz na zachodzie. - Och, rozumiem.

- No myślę. Niemiłe uczucie, kiedy jest się pomijanym, co? A teraz - Nevada cofnął się o kilka schodków i usiadł na krawędzi poręczy - ustalmy sobie jedną rzecz. Pomagamy sobie nawzajem i pracujemy razem, żeby ją odnaleźć.

To oznacza, że wymieniamy się informacjami. Żadne z nas nie porywa się na samodzielne poszukiwania.

Zawahała się przez moment.

- To uczciwy układ.

- Dobrze. A więc gdzie jesteś? Mieszkasz w domu ze swoim starym?

- Na razie.

To go zirytowało, ale nic nie powiedział.

- Postaraj się wydobyć coś od sędziego.

- Próbowałam, wierz mi. - Podeszła do krawędzi ganku i patrzyła na pole, gdzie trzy najlepsze klacze Nevady skubały trawę, a ich boki błyszcząły w ostatnich promieniach słońca.

- I?

- Och, równie dobrze mógłbyś rzucać śnieżkami w ogień.

- Wobec tego będziemy musieli spróbować czegoś innego.

- Jestem zwrta i gotowa.

Spojrzał na nią przeciągle.

- W to nie wątpię.

Serce Shelby miało się w klatce piersiowej jak oszalałe. Co on, u diabła, sobie myślał, flirtując z nią, całując ją, zachowując się jak podrywacz?

- No, to bierzemy się do roboty - powiedziała, udając, że nie widzi muskularnych ramion Nevady, jego opalonej, nagiej piersi i wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha. Postanowiła też sobie, że pozostanie obojętna na widok ciemnych włosów porastających jego pępek tuż przy dzinsach, zdecydowanie zbyt nisko opinających jego biodra. - I może coś być na sobie włożył, hm?

- Zakłopotana? - zagadnął, szczerząc białutkie zęby w bezczelnym uśmiechu.

- Możesz sobie pomarzyć, Smith.

- A żebyś wiedziała.

O Boże. Spojrzeli na siebie. Światło słoneczne gasło. Przez krzewy mesquite i cedry skradał się zmierzch. Świerszcze już zaczęły swoją nocną pieśń. Shelby dostrzegła w oczach Nevady chęć uwiedzenia jej - chęć niepohamowaną, autentyczną i potężną.

- Może lepiej nie mówmy o tym - powiedziała, marząc, żeby jej głos był mniej schrypnięty, a gardło nagle nie zrobiło się suche niczym zachodnio-teksański wiatr.

Patrzył na nią, krzywiąc usta. Przez chwilę myślała, że znowu ją pocałuje. W oczekiwaniu na ten pocałunek wstrzymała oddech. Nagle poczuła duszność w płucach.

Przeszedł przez ganek i otworzył przed nią podniszczone drzwi, które zaskrzypiały jakby w proteście.

- Wejdz, Shelby. Zafunduję ci piwo i wszystko obgadamy.

- Piwo sobie daruję. Lepiej zajmijmy się planem odnalezienia naszej córki.

- Jak sobie życzysz.

Jakoś w to wątpiła. Nevada nigdy nie należał do osób, które słuchają poleceń; właśnie ta cecha charakteru sprawiła, że utracił policyjną odznakę. Weszła do środka, a za nią, z wywieszonym ozorem, Crockett, i, Nevada niemal bezszelestnie.

- Mam black velvet albo Jacka danielsa - zaproponował, otwierając staromodną szafkę przy frontowych drzwiach.

- Mowy nie ma.

Wyciągnął opróżnioną w połowie butelkę, whisky.

- Perrier? Chardonnay?

- Bardzo śmieszne. Weźmy się do roboty.

- Dobrze. - Odstawił butelkę, a ona rozejrzała się po małym pomieszczeniu.

Było czyste, ale dawno nieremontowane; meble pochodziły mniej więcej z 1980 roku albo jeszcze dawniejszych czasów. Na stoliku walały się gazety i magazyny z poobgryzаныmi rogami. Nevada zaprosił swojego gościa na niegdyś brązową kanapę - i dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

Nevada pomaszerował do kuchni, chwycił słuchawkę, zanim zabrzmiał trzeci dzwonek, i powiedział krótko: Smith. Powoli sadowiąc się na skórzanym oparciu kanapy, Shelby widziała, jak sztywnieje każdy mięsień jego ciała.

- Która wyspa? - zapytał. Rozejrzał się, gdzie jest Shelby, i odtąd nie spuszczał z niej wzroku.

Poczuła, że po plecach ścieka jej strużka potu.

- I już nie praktykuje? - zapytał Nevada.

Serce bił jej jak młotem. Czyżby mówił o doktorze Pritchardzie? Natychmiast się poderwała i podbiegła do Nevady; mnóstwo pytań cisnęło jej się na usta.

- ...jest pan pewien? Tak? Och. - Jego głos przycichł, a twarz stężała z irytacji. - Domyślałem się tego. Dziękuję.

- O co chodziło? - zapytała, gdy tylko odłożył słuchawkę.

- Dobre i złe wieści.

- Najpierw te dobre.

- To był mój przyjaciel, ten prywatny detektyw. Mówiłem ci już, że zadzwoniłem do niego i poprosiłem, żeby poszperał tu i ówdzie. On chyba uważa, że doktor, który odbierał poród, przebywa gdzieś na Karaibach.
 - Ale nie jest tego pewny?
 - Wciąż bada tę sprawę.
 - Skąd wie? - zapytała.
 - Nie pytaj. Po prostu wie, dobra?
 - Posłuchaj, Nevada. Ja chcę mieć tylko pewność, że on jest całkowicie uczciwy.
 - Zależy.
 - Od czego?
 - Od tego, co rozumiesz przez pojęcie uczciwości.
 - Chcę wiedzieć, czy on nie jest na bakier z prawem.
 - To ma jakieś znaczenie?
 - Tak!
 - Dlaczego?
 - Nie mogę uwierzyć, że kłócimy się o coś takiego. Kiedy odnajdziemy Elizabeth, nie chcę żadnych przekrętów, żadnych... żadnych niezgodnych z prawem sztuczek, które mogłyby mi, nam uniemożliwić zobaczenie się z nią.
 - Nie zaperzaj się tak. To mój stary kumpel z wojska. Przez jakiś czas pracował dla CIA, a teraz jest wolnym strzelcem. Jeżeli ktokolwiek potrafi namierzyć Pritcharta albo Elizabeth, to właśnie on. Przecież tego chciałaś, prawda?
 - Tak, ale...
 - No to musisz z tym żyć.
 - Kim on jest? Zakładam, że ma jakieś nazwisko.
- Nevada chwycił ją za nagie ramiona swoimi dużymi, stwardniałymi dłońmi.
- Nie chcesz poznać złych wieści? - Nagle zrobił się śmiertelnie poważny i mięśnie jego twarzy jakby zastygły.
 - Jakich?
 - Ross McCallum wyszedł z więzienia. - Zmarła. Poczula, że robi jej się niedobrze. - Już jest w Bad Luck.
- Zupełnie się załamała. Gdyby nie podtrzymujące ją dłonie Nevady, chyba zaczęłaby dygotać. Wysiłkiem woli odzyskała spokój. McCallum nie mógł jej zaszkodzić. Nie odważyłby się.
- Twój przyjaciel z rozmowy telefonicznej też o tym wiedział?
 - Nie. Sam się o tym dowiedziałem, dzisiaj rano. Shep Marson był na tyle uprzejmy, że mnie poinformował.
 - Shep Marson nigdy nie jest uprzejmy - odparła Shelby, czując wewnętrzny dreszcz. Marson i McCallum, dwie złe wiadomości. Wydostała się z uścisku Nevady. Nie chciała, żeby jej dotykał.
 - Trudno temu zaprzeczyć. Ludzie mówią, że będzie się ubiegał o posadę szeryfa w następnych wyborach.
 - Świetnie. - Shelby weszła do pokoju i znów przysiadła na kanapie. - Chyba zmieniłam zdanie. Teraz chętnie bym się czegoś napiła.

A więc to było Bad Luck w stanie Teksas!

Katrina Nedelesky gwałtownie wcisnęła hamulec swojego forda escorta i doszła do wniosku, że żadna inna miejscowość na bożym pastwisku nie nosi trafniejszej nazwy. Bad Luck było małe, prowincjonalne, całkowicie pozbawione charakteru i nadziei na rozwój.

Dwie, trzy uliczki ze sklepami, jedna stacja benzynowa, garstka tawern i tyle samo kościołów wokół centrum miasteczka, które było skąpane w słońcu, zmęczone i wyblakłe. Informacja, że Bad Luck jest oddalone o kilkaset kilometrów od Dallas, okazała się nieścista. W gruncie rzeczy należało mówić o dystansie lat świetlnych.

Katrina miała wrażenie, że cofnęła się w czasie o jakieś pół stulecia.

- Jakoś to przebolejesz - burknęła do siebie i, zerkając w małe lusterko, pomalowała usta szminką, która musiała roztopić się w tym upale. Klimatyzacja w jej fordzie była do niczego, a chłodnica wydawała dziwne, syczące dźwięki, ale ten mały samochód musiał wytrzymać jeszcze tylko kilka miesięcy, potem Katrinda zamierzała go zmienić na nowe porsche albo bmw, albo nawet kabriolet mustang - w każdym razie na coś z klasą, auto, które będzie przekazywało przejrzyście treść: „Niech cały świat patrzy, oto przybyła Katrinda Nedelesky!” Załatwi sobie tablice rejestracyjne z jakimś napisem. I nie będzie to napis: Bad Luck.

Mimo wszystko Bad Luck w stanie Teksas na razie miało być dla niej przepustką do lepszego życia. Ten mały leniwy punkcik na mapie i wiążąca się z nim prawie dziesięcioletnia tajemnica morderstwa powinny jej przynieść zasłużoną sławę, wydobyć ją z długów i pomóc załatwić stare porachunki. A wszystko to za jednym zamachem.

Nie mogła się tego doczekać!

Jej ubranie w tym upale wyglądało okropnie i modliła się, żeby gdzieś w okolicy był motel. Gardło miała wyschnięte i była wykończona wielogodzinną jazdą. Poprawiła włosy i wygramoliła się z samochodu. Zapadł zmierzch i kilka latami ulicznych już świeciło, przyciągając owady i zalewając główną ulicę sztucznym, błękitnym blaskiem.

To niewiele pomagało. Bad Luck potrzebowało czegoś więcej niż łagodnego oświetlenia; ono wymagało

radikalnego liftingu. Chociaż mieszkańcy tej części stanu woleliby tego nie przyznawać, w przypadku Bad Luck sprawdzało się stare powiedzenie, że gdyby ktoś, mijając miasteczko, mrugnął okiem, zapewne w ogóle by go nie zauważył.

Tuż za rogiem, obok apteki, dostrzegła stary pal do przywiązywania koni. Na miłość boską, czy tu naprawdę nikt nie słyszał o nastaniu nowego tysiąclecia?

Przeszła przez ulicę w kierunku małego sklepu spożywczego. Wiatr podwiewał jej spódnicę, a za charczącą furgonetką z brzoskwiniami przejechały jakieś dzieciaki na rowerach. Trzech nastolatków stało w zawadiackich pozach pod oknami i paliło papierosy. Popatrzyli na Katrinę, kiedy pchnęła drzwi. Gorące powietrze młócił wiatraczek zamontowany w miejscu dawnego okienka. Przy dźwiękach hiszpańskiej muzyki i pisków w radiu kilku klientów oglądało półki wypełnione tak zwaną tanią żywnością i małymi pojemnikami z artykułami pierwszej potrzeby.

Przy ścianie z tyłu stała starodawna lodówka, w której mroziły się puszki z colą i piwem. Katrina wyjęła puszkę Dr Pepper. Poczła orzeźwiający chłodny powietrze i od razu poprawił jej się nastrój.

Kobieta za ladą była Latynoską, podobnie jak połowa klientów w tym malutkim sklepie. Nagle Katrina doznała olśnienia, jakby ktoś dźgnął ją nożem. Dlaczego nie zauważyła tego wcześniej? Ależ miała głupie szczęście! Zapłaciła za swojego dr. Peppera i torebkę cukierków M&M, a potem przeszła obok półek, na których stały proszki w małych pudełkach, do frontowych drzwi. Na zewnątrz przeczytała ręcznie malowany napis na szyldzie nad oknem: U ESTEVANA.

Takie samo nazwisko jak Ramón Estevan.

A zatem takie samo nazwisko, jak nazwisko mężczyzny, który został zamordowany i którego zabójca właśnie został uniewinniony.

- Dzięki ci, Boże - wyszeptła pod nosem i postanowiła, że przynajmniej przez dzień, dwa będzie rozgrywała sprawę spokojnie.

Otworzyła puszkę dr. Peppera i pociągnęła długi łyk. Nikt jej tu nie znał i nikt nie wiedział o jej osobistym zaangażowaniu. Postanowiła, że ma tak być przez jakiś czas. Udając, że czegoś zapomniała, powędrowała z powrotem do sklepu i ruszyła w stronę kasy.

Nie zwracając uwagi na dzienniki z San Antonio i Dallas, kartkowała kolejne magazyny, skupiając się na błyszczących stronach, a jednocześnie nadstawiała uszu. Jakiś nieogolony mężczyzna z siwiejącym kucykiem i zaniedbanymi zębami kupił papierosy i sześciopak piwa. Niewiele mówił, ale zwrócił się do kobiety per Vianca.

Katrina starała się ukryć uśmiech. Lukratywny interes. Vianca Estevan, jedyna córka Ramóna Estevana. Miała błyszczące czarne włosy, wyraziste oczy, pełne wargi i piękne rysy twarzy. Flirtowała i żartowała z klientami, a jednocześnie wydawała resztę i zerkła w lustro, żeby sprawdzić, czy ktoś nie kradnie towaru.

A zatem gdzie była żona? Matka Vianki - jak ona się nazywała? Och, tak, Aloise. Żadnej starszej pani nie było widać na zapleczu, żadna też nie rozkładała produktów na półkach. Pewnie była w miejscowym kościele katolickim albo ukrywała się w domu. Krążyły pogłoski, że u Aloise stwierdzono chorobę psychiczną - odkąd zamordowano jej męża, nie była już sobą. Ale Vianca to co innego. Energiczna i bystra, potrafiła chyba utrzymać rodzinny biznes, choć Katrina zupełnie, ale to zupełnie nie mogła zrozumieć, w jakim celu. Myślała intensywnie. Czy przypadkiem Vianca nie miała brata? Roberto, tak miał na imię! No, ale dlaczego nie było go w sklepie?

Katrina przejrzała wydanie „Cosmopolitana” sprzed miesiąca, nasłuchując, o czym plotkują klienci sklepu. Połowa rozmów odbywała się w języku hiszpańskim i Katrina w duchu przeklinała swojego nauczyciela hiszpańskiego z liceum, gdyż niewiele rozumiała. Nie, żeby te rozmowy były szczególnie ciekawe. Udało jej się dowiedzieć, że w mieście właśnie urodziły się bliźnięta, że połów ryb w pobliskim jeziorze był bardzo skromny i że pożar omal nie zniszczył czyjś domu.

Wielkie mi co.

Już miała wychodzić, kiedy w końcu usłyszała coś, co ją zainteresowało. Część rozmowy była po hiszpańsku, ale wyłowiła nazwisko Ross McCallum. Zerknęła przez ramię i dostrzegła reakcję, której się spodziewała. Oczy Vianki zabłyśły. Zmarszczyła nos.

Katrina wyczuła słuch, ale nie wszystko rozumiała. Jednak emocje mogła się domyślić. Zauważyła, że Vianca nie jest zachwycona. Jej śliczna buzia nagle się zachmurzyła, a ludzie przebywający w sklepie po cichu składali jej wyrazy współczucia.

Katrina podeszła do lady, żeby zapłacić za kilka czasopism; nie zamierzała teraz ich przeglądać, bo rozmowy ucichły. Tak, będzie musiała wrócić do tego beznadziejnego miasteczka i przeprowadzić wywiady z kilkoma osobami. I to nie tylko z racji wykonywanego zawodu, o nie. Chodziło o coś więcej niż tylko to, że była tutaj na zlecenie magazynu „Lone Star”.

Miała do załatwienia własny interes. Sprawę natury osobistej.

Rozdział 6

A niech cię, Nevada Smith. - Shelby wygramoliła się z łóżka i sieknęła. Poczła, że ból rozsada jej głowę. Przewracała się z boku na bok całą noc, a w jej myślach przewijały się obrazy Nevady, ojca i dziecka, które oddała

dawno temu. Prześladowały ją też inne, straszne wspomnienia, które przez tyle lat starała się wymazać.

Była bardzo spięta, bolały ją usztywnione mięśnie twarzy. Ściągając z wieszaka w szafie swój stary szlafrok, rozcierała kark. Rozumiała swój niepokój o córkę, ale uczucia do Nevady były czymś zaskakującym i na pewno niepożądanym.

No dobrze, była w nim zakochana dziesięć lat temu.

I co z tego?

Była wtedy jeszcze dzieckiem, a od tamtego czasu upłynęło wiele lat. Wsunęła ręce w rękawy frotowej podomki, zawiązała pasek, włożyła klapki i stanęła przy oknie.

Nie mogła nie myśleć o Nevadzie - o jego śniadej skórze, muskularnej sylwetce i podejrzliwym spojrzeniu. Zapomnij o nim. Patrzyła przez okno na basen. Na tafli wody tańczyły promienie słońca, rozproszone przez gałęzie drzew pękań.

Przypomniała sobie, jak kochali się w deszczu, jego twarde, męskie ciało. W powietrzu czuć było wtedy zapach burzy, a młodziutką, naiwną Shelby przepęłniała dzika, nieokiełznana żądza. Nie miała pojęcia, jakie skutki będzie miała jej miłość do Nevady. Nie dbała o nie.

Byłaś dziecinną głuptaską. Skończoną idiotką. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i zauważyła, że ma rumieńce na policzkach i rozszerzone źrenice.

- Nawet nie myśl o tym - powiedziała do kobiety patrzącej na nią z lustra. Wzięła szczotkę i dźgnęła nią swoje odbicie. - Takiego głupstwa już nie popełnisz. Nigdy więcej.

Doprawdy, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był związek z kimś stąd, zwłaszcza z jakimś żalonym kowbojem. To wykluczone. Absolutnie niemożliwe. Wiedziała, czego chce w życiu i jakiego mężczyzny szuka. Z pewnością nie gburowatego, biednego kowboja w zakurzonych dżinsach i wyblakłym T-shircie. Już raz miała z kimś takim do czynienia.

Jeżeli w ogóle się z kimś zwiąże, to z jakimś dobrze prosperującym biznesmenem, właścicielem firmy, z facetem, który będzie chodził do pracy w garniturze, a w domu wkładał czyste spodnie - przy tym czarującym i wytwornym, i wykształconym, do jasnej cholery.

Gniewnie rozczesywała włosy. Dlaczego w ogóle myśli w ten sposób? Kiepsko spała, no i co z tego? Pocałował ją, wielkie rzeczy. Innym kobietom zdarza się to na co dzień. Czym tu się przejmować? Znowu wyjrzała przez okno.

Potrzebowała jakiegoś odprężającego zajęcia, żeby oczyścić umysł. Kiedy jeszcze mieszkała w rodzinnym miasteczku, znakomicie pomagała jej jazda konna albo pływanie. W Seattle zaczęła biegać wczesnym ranem, nawet w deszczu czy przy silnym wietrze; potem w nagrodę wstępowała do lokalnej kafejki i zamawiała kawę espresso; w końcu szła do biura.

W tutejszym upale jogging nie miał sensu. Bardziej kusiła ją poranna chłodna woda w basenie.

Nie namyślała się długo.

Przejrzała zawartość szafy i znalazła jednoczęściowy kostium kąpielowy, wciąż na nią dobry. Zdjęła szlafrok i piżamę, włożyła kostium, spięła włosy i znów narzuciła szlafrok. Zabrała ręcznik z łazienki i zbiegła po schodach. Powitał ją aromat mocnej kawy i brzęk naczyń.

- *Niña* - Lydia uśmiechnęła się od ucha do ucha na jej widok. - Chcesz popływać?

- Tak, pomyślałam, że to dobry pomysł. - Shelby nałała sobie kawy ze szklanego dzbanuszka.

- A potem śniadanie? Wafle, brzoskwinie i truskawki. Twój ojciec pojechał do miasta, do swojego biura, ale powiedział, że wróci, a wtedy coś mu przyrzadzę.

- Rano przeważnie tylko piję kawę - odparła Shelby, kręcąc głową. Zauważyła jednak rozczarowane spojrzenie Lydie i westchnęła. - Jasne, czemu nie, ale ja naprawdę przyzwyczyłam się do tego, że rano piję tylko espresso albo latte. Na północnym zachodzie to normalne.

- Ale teraz jesteś w domu.

- Hm, na jakiś czas. - Wyszła z filizanką na dziedziniec i dopiero wtedy poczuła, jak ciepły jest poranek. Postawiła kawę na stoliku, zostawiła ręcznik i szlafrok przy basenie i skoczyła.

Woda była tak chłodna, że przez chwilę nie mogła złapać tchu. Zaczęła płynąć, wykonując swobodne, zamaszyste ruchy. Czuła, jak pulsuje w niej krew i przejaśnia jej się w głowie. Niebo było bezchmurne, słońce świeciło jasno, wędrując nad czubkami drzew. Ruch, oddech, ruch, ruch, oddech. Złapała właściwy rytm i zaczęła rozmyślać o czekającym ją dniu. Zadzwoń do Nevady, zdobędzie nazwisko jego prywatnego detektywa i postara się ustalić, gdzie mieszka ten tchórz, doktor Pritchard. Na pewno można byłoby zabrać mu licencję - hm, może nawet już ją utracił. Shelby nie kierowała się pragnieniem zemsty, lecz tym, co wiedziała.

A więc będziesz musiała zobaczyć się z Nevadą jeszcze raz. No cóż, to nieuniknione. Jest przecież ojcem jej dziecka.

Ale czy na pewno?

Wzdrygnęła się. Nie wolno jej tak myśleć. Nie będzie myślała w ten sposób.

Ruch, ruch, oddech.

Ale istnieje możliwość, że ojcem Elizabeth jest Ross McCallum.

Zgubiła rytm. Zrobiło jej się niedobrze i poczuła, że zaraz zwymiotuje. Nie! To niemożliwe. To się nie mogło stać.

Musisz być uczciwa, Shelby. Czy nie tego oczekujesz od innych?

Ruch. Ruch. Skoncentruj się na czymś pozytywnym.

Możliwe, że Ross McCallum...

- Nie, do diabła! - wrzasnęła, dopłynąwszy do płytkiej części basenu. Potrząsnęła głową, tak że kropelki wody w jej włosach rozpryskały się na wszystkie strony, i oparła się o wyłożoną kafelkami krawędź basenu.

- Co nie? - zabrzmiał głos Nevady. Wpadła w popłoch. Przez chwilę myślała, że ma przywidzenia, ale Nevada naprawdę stał obok stolika ze szklanym blatem. Kawa parowała znad filiżanki. Zasłonił oczy okularami przeciwsłonecznymi. Miał na sobie czyste levisy i brązową koszulę, której rękawy zawinał aż do łokci. Był ogolony i zaczesał włosy do tyłu, chociaż podejrzewała, że za chwilę znowu mu się zwichrzą. Pamiętała, że przeważnie opadały mu na oczy niesforna, chłopięcą czupryną.

- Co ty tutaj robisz?

- Wczoraj odjechałaś tak nagle.

Fakt. Usłyszawszy, że Ross McCallum wrócił do Bad Luck, Shelby szybko wymamrotała pod nosem jakieś usprawiedliwienie, wybiegła z domku Nevady, wsiadła do wynajętego cadillaca i zdenerwowana, odjechała w obłoku kurzu. Już współpraca z Nevadą była trudna, ale perspektywa spotkania z Rossem McCallumem wydawała się koszmarem. Wprawdzie wiedziała o uniewinnieniu McCalluma, ale na myśl o tym, że drań przebywa w Bad Luck, robiło jej się słabo.

- Byłam wytracona z równowagi - odparła, podciągając się na krawędź basenu. Wycisnęła włosy i chwyciła ręcznik, a potem zmrużyła oczy i popatrzyła na swojego gościa. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co tutaj robisz?

- Myślałem, że jesteście partnerami.

- Partnerami? - Natychmiast zrobiła się podejrzliwa. Potem zrozumiała, o co chodzi. Wytarła się ręcznikiem, czując na sobie jego wzrok. - Aha.

- Tak. Jeśli chodzi o odnalezienie naszej córki.

Naszej córki.

- To był twój pomysł.

- Wiem. - Otarła twarz ręcznikiem i sięgnęła po szlafrok, starając się nie myśleć, kto naprawdę jest ojcem. - Masz jakieś wiadomości? I kim jest ten prywatny detektyw? Zakładam, że ma jakieś nazwisko.

- Bill Levinson. I nie mam żadnych wieści. Ale wczoraj wyszłaś bez planu działania.

Wkładając ręce w rękawy szlafroka, Shelby podeszła boso do stolika. Nevada był wyższy od niej prawie o głowę. Próbowana nie zwracać uwagi na jego długie nogi, szerokie ramiona, szczupły brzuch. Przypomniała sobie, jak wczoraj ją chwycił i pocałował, i jak przyparł do ściany. Był niczym drapieżnik, który atakuje niczego niepodejrzewającą ofiarę. Już na samą myśl o nim zapierało jej dech w piersiach. Ostatniej nocy przez wiele godzin wracała myślą do tego jednego, oszałamiającego pocałunku. Chrząknęła.

- A ty go masz?

- Chyba tak.

Tylne drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lydia z tacą w ręku.

- Przyniosłam śniadanie - wyjaśniła, uśmiechając się szeroko. - Dla dwóch osób.

Nevada już miał protestować. Shelby to wyczuła.

- Posłuchaj, nawet nie próbuj się wymigać. Lydia wypełnia misję: pilnuje, żeby każdy w promieniu piętnastu kilometrów otrzymywał więcej niż sto procent dziennego zapotrzebowania na substancje odżywcze i wszelkiego rodzaju kalorie.

- Ale...

- To prawda - przyznała Lydia, uśmiechając się z dumą; w złocistych nakryciach odbijały się promienie porannego słońca.

- A więc wsuwaj - powiedziała Shelby do Nevady i pomogła Lydii nakryć do stołu. Po kilku minutach na szklanym blacie znalazły się dwa półmiski, a na nich wafle z cukrem pudrem, owoce, paski bekonu oraz sok pomarańczowy, woda i dzbanek z kawą. - Lydio, to wygląda cudownie - pochwaliła Shelby, podczas gdy starsza pani kładła przy talerzach sztuczne owinięte haftowanymi serwetkami. Na środku stołu postawiła mały wazonik z żółtą różą.

Nevada pokiwał głową.

- To naprawdę wygląda wspaniale.

- *Gracias*. - Lydia poczerwieniła z zadowolenia i odwróciła się w stronę kuchni, a potem dostrzegła ogrodnika przy treliżu, gdzie powojnik był obsypany fioletowymi pąkami. Ogrodnik trzymał w rękach nożyce i przycinał żywoplot. - Przepraszam - mruknęła Lydia i odeszła zamasytym krokiem, bez wątpienia po to, żeby obsztorcować biedaka za złe traktowanie krzewów albo kwiatów.

- Z nią lepiej się nie spierać o jedzenie - oświadczyła Shelby, wgrzyzając się w wafle pokryte brzoskwiniami i

ociekające syropem o zapachu cynamonu i gałki muszkatołowej. - Wiesz, zaskoczyłeś mnie, że tu przyszedłeś. - Zerknęła na Nevadę. - Ze względu na ojca.

- Nie mów, że byłbym niemile widziany?

- Złamałoby ci to serce? - droczyła się.

Zawahał się.

- Ja nie mam serca. - Przez chwilę patrzył jej w oczy. - W każdym razie tak mi powiedziano. - Przynął się do Shelby, a ona przypominała sobie ich burzliwą rozmowę i gniewne słowa pod jego adresem. - Nie, żeby to było specjalnie ważne. I chociaż różniły się z sędzią w wielu sprawach, pomyślałem, że powinienem z tobą porozmawiać.

- Na przykład o czym? - Nagle straciła apetyt.

- Przypuśćmy, że odnajdujemy Elizabeth.

- Odnajdziemy ją. Odnajdę ją.

- I co wtedy? Co zamierzasz zrobić? - zapytał, mrużąc oczy.

- Spotkam się z nią.

- To znaczy, że spotkasz się z jej rodzicami.

- Raczej z jej przybranymi rodzicami - poprawiła i, nastroszona, wbiła widelec w wafelek, a potem włożyła kawałek do ust.

- I co potem? - naciskał, nadziewając na widelec kawałek brzoskwini. - A jeśli oni nie zgodzą się na spotkanie z tobą? Albo pójdą do sądu, żeby ci uniemożliwić kontakt z nią? A jeśli twoja obecność będzie szkodliwa dla niej albo dla jej rodziny? Czy w ogóle się nad tym zastanawiałeś? - pytał między jednym kęsem a drugim.

Miała wrażenie, że wafel w jej ustach zamienił się w piach. Z trudem przełknęła i poczuła, że robi jej się niedobrze. Powracały wątpliwości, które nie pozwalały jej zasnąć tej nocy.

- Oczywiście.

- Ale mimo to postąpisz tak, jak uważasz za stosowne.

- Tak. - Odłożyła widelec. - Ale nie musisz się w to angażować, Nevada. Nikt tego od ciebie nie wymaga.

- Nie o to mi chodziło. Chciałem tylko, żebyś rozważyła sprawę ze wszystkich stron.

- Rozważyłam. Wiele razy. Uwierz mi. Ten problem spędza mi sen z powiek. Ale muszę to zrobić. - Bezwiednie zahaczyła kciukiem o poły szlafroka i zorientowała się, że lekko odsłoniła piersi. Chryste, co za absurd: siedzi sobie półnaga, je śniadanie z dawnym kochankiem i rozmawia o dziecku, które do niedawna uważała za zmarłe. Zakryła się szczelniej szlafrokiem. - Pora naprawić to, co się stało... a poza tym chcę przynajmniej się z nią zobaczyć. - Mówiła teraz nieco ciszej, pod wpływem emocji. - Spojrzeć jej w oczy.

- Przytulić ją? - zapytał, przygotowując ją o drzenie.

O Boże, tak. Chcę przytulić swoje dziecko. Przytulić je i nigdy nie wypuścić z objęć.

- Jeżeli... jeżeli to będzie możliwe.

Uniósł ciemną brew, tak że było ją widać mimo okularów przeciwsłonecznych, ale nic nie odpowiedział. Shelby wmusiła w siebie jeszcze kilka kęsów, zupełnie jednak straciła apetyt i wiedziała, że czeka ją matczyna repymenda Lydii.

- Co mówi twój ojciec? - zapytał Nevada po długiej ciszy, zakłócaney tylko trzepotaniem ptasich skrzydeł w koronach drzew pękań i szczękiem sztućców.

- Niewiele. Zaczął od tego, że wszystkiego się wyparł, a teraz unika rozmów na ten temat.

- Chcesz, żeby z nim porozmawiał?

- Nie! - odparła gwałtownie i zaraz ugryzła się w język, bo zobaczyła napięte żyły na jego szyi. - Myślę, że... lepiej będzie, jak sama to załatwię.

- W porządku, ale naprawdę chcę pomóc.

- Dzięki. - Starła się, żeby w jej głosie zabrzmiała choć odrobina entuzjazmu, ale w kwestiach dotyczących jej ojca była pewna, że zdziała więcej niż Nevada Smith, mężczyzna nazywany przez sędziego bezużytecznym, zarozumiałym mieszańcem, mężczyzna, który jako nastolatek woził siano i zaganiał bydło sędziego, ale został wylany, bo wdał się w bójkę z szefem grupy, mężczyzna, który kiedyś stał przed jej ojcem na sali sądowej. - Ja będę rozmawiać z tatą.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. - Nevada przeciągnął się na krześle, długo się rozglądał dookoła, a potem zahaczył kciukiem o szlufkę dzinsów. - Jak tylko czegoś się dowiesz, zawiadom mnie.

- Dobrze. Ty też. - Wsunęła klapki i odprowadziła go do bramy. Nie umiała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Nevada odwiedził ją w jej domu. Może nigdy go u niej nie było?

Zatrzymał się przed domem. Naprzeciwko głównej bramy stał jego zakurzony, pełen wgnieceń pikap, symbol życia, jakie przypadło mu w udziale.

- Aha, Shelby... - Odwrócił się i wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć. Ale nie pogładził nagiego ramienia i opuścił rękę. - Jeżeli Ross McCallum będzie próbował się z tobą skontaktować albo będzie cię nachodził...

- Nie będzie - odparła z naciskiem w głosie.

- Może nie. Ale jeśli będzie, masz mi o tym powiedzieć. - Nagle twarz Nevada stężała, a usta przypominały

cienką, prostą kreskę.

- Dam sobie radę z Rossem.

- Czyżby? - Poczowała na sobie spojrzenie jego zakrytych ciemnymi szklami oczu i się zarumieniła. - Dotychczas nie dawałaś sobie z nim rady.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele się zmieniło. Ty i ja również się zmieniliśmy.

- Tak, ale McCallum siedział w więzieniu. Domyślałam się, że pobyt w zamknięciu nie wpłynął na niego korzystnie. Pewnie stał się jeszcze podlejszą kanalią.

- Naprawdę? - zapytała, zmuszając się, wbrew temu, co czuła, do uśmiechu i beztróskiego tonu. - No, to mam dla ciebie wiadomość, Nevada: ja też.

Zaśmiała się i wsiadł do pikapa.

- No tak, jasne - zadrwił. Włączył zapłon i powoli ruszył, opierając ramię na otwartym oknie. - Jesteś podła jak ranna niedźwiedzica, którą właśnie rozdzielono z jej dziećmi.

Posmutniała.

- Masz rację. - Był bardzo blisko prawdy. Była rozdzielona z Elizabeth przez dziewięć lat, stanowczo za długo.

- Nie chciałam...

- Nieważne. - Usłyszała warkot mercedesa dokładnie w chwili, gdy samochód pojawił się na końcu podjazdu. Żołądek podszedł jej do gardła i kiedy Nevada spojrziała na nią, natychmiast zerknął za siebie. Zobaczył auto sędziego i zacisnął zęby. - Właśnie z nim miałem nadzieję się spotkać. - Wygasił silnik.

- Nie... - Potrząsnęła głową. Pora nie była odpowiednia na starcie między Nevada i jej ojcem, ale drzwi fordą już się otworzyły i Nevada wysiadł na wyasfaltowany podjazd, gdy tymczasem Red Cole zwolnił i opuścił szybę po swojej stronie.

- Sędzio. - Nevada lekko skinął głową, zakładając ręce na piersi.

- Mnie szukasz? - Red Cole ścisnął koniec cygara między zębami. Zapach tytoniu kłócił się z wonią róż i kapryfolium w ogrodzie.

Shelby rozpoznała najbardziej protekcjonalny uśmiezek ojca.

Nevada stał obok niej, prawie jej dotykał.

- Przyjechałem zobaczyć się z Shelby, ale myślę, że dobrze byłoby, żebyśmy porozmawiali.

- Czyżby? - Sędzia zerknął na córkę i przestał się ironicznie uśmiechać, kiedy zauważył, że jest na wpół rozebrana. - Coś mi się wydaje, że powinieneś być ze mną rozmawiać jakieś dziesięć lat temu, uciąć jakąś szybką pogawędkę, kiedy się z nią wykradałeś.

- To był mój wybór - wtrąciła się Shelby.

Ale sędzia skupiał wzrok na Nevadzie i kiedy znowu przemówił, usta, w których trzymał cygaro, ledwo się poruszały.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Smith. I nigdy nie miałem. Żałuję tylko, że za bardzo ci pobłażałem, gdy zaciągnięto cię na rozprawę u mnie. Powinieneś być porządnie dać ci w kość, kiedy byłeś bystrym, aroganckim dzieciakiem, powinieneś być skazać cię na więzienie, zamiast dawać ci szansę, chociaż narobiłeś tyle kłopotów, czy proponować pracę na moim ranchu.

- Zdaje się, że zapomniałem panu podziękować - wycedził Nevada.

Twarz sędziego gwałtownie poczerwieniała.

- Zgadza się. Z wyrokiem nigdy nie dostałbyś tej pracy w Biurze Szeryfa, nigdy nie okryłbyś się większą niesławą i nie został wywalony na zbity pysk, i nigdy nie zacząłbyś się zadawać z Shelby! - Obrzucił córkę potępiającym spojrzeniem. - I nie musielibyśmy szukać wyjścia z tak kłopotliwej sytuacji, w jakiej teraz jesteśmy.

- Może i nie musielibyśmy, gdyby wtedy powiedział pan Shelby prawdę. A chodziło o pana własną wnuczkę. - Skóra na kościach policzkowych Nevady naprężyła się jeszcze bardziej. - Zastanawiam się tylko dlaczego.

- Zrobiłem to, co uważałem za najwłaściwsze.

- Coś mi się zdaje, że gdyby sprawa wyszła na jaw, byłby pan w tarapatkach. Ucierpiałaby nie tylko pańska reputacja, ale i etyka zawodowa. Istnieje prawo dotyczące fałszowania takich dokumentów jak akty urodzenia i akty zgonu, sędzio.

- Nie zasiadam już w sądzie i nie prowadzę praktyki - odparł ojciec Shelby, patrząc na niego spokojnie.

- Ale mógłby pan skończyć w więzieniu. - Nevada nie zamierzał traktować starego człowieka ulgowo. - Z tego, co słyszałem, McCallum wyszedł na wolność, więc wolna cela się znajdzie.

- Ty się nigdy niczego nie nauczysz, co, Smith? Tyle narobiłeś kłopotów i wciąż nie masz pojęcia, kiedy przestać naciskać, kiedy trzymać swoją żalosną gębę na kłódkę, kiedy...

- Dość już tego! - przerwała Shelby. - Nevada przyjechał tu z samego rana, ponieważ... ponieważ będzie mi pomagał odnaleźć Elizabeth.

Jej ojciec poruszył nozdrzami, jakby poczuł brzydki zapach. Przesuwał cygaro z jednego kącika ust w drugi.

- Oboje popełniacie wielki błąd.

Nevada kiwnął głową.

- Możliwe. Ale myślę, że powinniśmy spróbować. Chciałbym wiedzieć, czy mam gdzieś córkę.

Sędzia spojrział w oczy Shelby, a ona z trudem przełknęła ślinę, walcząc z coraz większymi wątpliwościami. W głębi duszy błagała go, żeby nie poruszał trudnego tematu ojcostwa Elizabeth. Nie tutaj. Nie w tym momencie.

- A więc nie powiedziałas mu, co? - zapytał. Ale zaraz spochmurniał, a w jego oczach pojawił się smutek. - Do diabła, ale zamieszanie.

Shelby czuła, jak sztywnieją jej plecy. Nie miała w zwyczaju unikać walki, teraz jednak było jej ciężko, cholernie ciężko.

- Co powinnaś była mi powiedzieć? - spytał Nevada.

- Chryste miłosierny. Pasują ci tylko częściowo wiarygodne informacje, Smith! - Sędzia wyjął z ust cygaro. - No, ale to jest akurat w twoim stylu, kiepskie informacje i świadkowie, na których nie można polegać.

- Mówi pan o Calebie Swaggencie.

- Jasne, że o nim.

- On kłamał.

- A teraz odnalazł Jezusa i prawdę czy jakąś jej odmianę. Wiesz, że zamierza sprzedać swoją historię prasie? - Łysiejące czoło sędziego się zmarszczyło.

- Co takiego?

- Stary Caleb udzielił wywiadu czy czegoś równie nonsensownego magazynowi „Lone Star”, a przynajmniej tak mówili w kawiarni dzisiaj rano.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Dla pieniędzy.

- On umiera. - Nevada zmrużył oczy.

- To nieważne. Jeszcze nie umarł i ten stek kłamstw, który doprowadził McCalluma do więzienia, teraz zamieni się w złoto. - Sędzia się skrzywił. - To znów twój problem i twoja wina, Smith.

- Moja wina?

- Pomogłeś przymknąć McCalluma, a teraz to wszystko kupy się nie trzyma. Właśnie do takich sytuacji dochodzi, kiedy bierze się na świadków włóczęgów i dziwki. To cud, że Ross McCallum w ogóle został uznany za winnego. Przecież nie znaleziono broni, a on tamtej nocy prowadził twoją furgonetkę.

- Została ukradziona.

- Tak twierdziłeś ty.

- Złożyłem raport.

- Łatwo to zrobić, kiedy pracuje się dla wymiaru sprawiedliwości.

Nevada zacisnął groźnie usta.

- Więc uważa pan, że Ross McCallum jest niewinny? - Pod koszulką Nevady widać było napięte mięśnie.

- Niewinny? Jasne, że nie. Jest bezwzględnie winny, ale teraz to bez znaczenia, prawda? Bo stary Caleb śpiewa inną piosenkę i ma nadzieję dostać się do raju. O ile znam się na paragrafach, nie można skazać człowieka za tę samą zbrodnię dwa razy. W świetle prawa Ross McCallum jest wolnym, a może i niewinnym, człowiekiem. Rany boskie, ale cyrk. - Podniósł szybę i włączył silnik. Srebrny samochód przejechał po wysadzonej wawrzynami alejce; drzwi garażu głośno szcęknęły i zaczęły się otwierać.

Nevada nie powiedział już ani słowa, ale wokół jego ust pojawiły się jasne bruzdy, kontrastujące z opaloną skórą i kiedy odprowadzał wzrokiem mercedesa, wyglądał na bardzo rozszoszczonego.

- O co mu chodziło, kiedy mówił, że znam tylko część tej historii? - zapytał, odwracając się do Shelby.

- Po prostu jest wściekły, że Ross McCallum wychodzi z więzienia.

- Nie próbuj ze mną pogrywać.

- Gdzieżbym śmiała.

- Twój ojciec uważa, że coś przede mną ukrywał.

- Mój ojciec uważa wiele rzeczy.

Wydawało się, że Nevada ma ochotę dalej się kłócić, ale zerknął tylko na zegarek i jeszcze bardziej się nachmurzył. Frustracja pogłębiała bruzdy na jego twarzy.

- Pogadamy później. Tymczasem spróbuj ustalić listę ludzi, którzy mogli ci wysłać paczkę z materiałami na temat Elizabeth.

- Już nad tym pracuję - przyznała. Prawdę mówiąc, przez całą podróż samolotem zastanawiała się, kto mógłby chcieć się z nią skontaktować i dlaczego zrobił to po tylu latach, akurat w tym samym tygodniu, w którym Ross McCallum odzyskał wolność. - Chciałabym porozmawiać z twoim przyjacielem... tym prywatnym detektywem, którego wynajęłaś.

- Powiem mu, żeby do ciebie zadzwonił.

Zaczęła się opędać od osy, która nagle pojawiła się nad jej głową.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli to ja do niego zadzwonię - odparła stanowczo.

Nevada się zawahał.

- Powiedziałem ci, że dam mu znać, żeby do ciebie zadzwonił.

- Ty mi nie ufasz. - Poraziła ją ta myśl.

- Właśnie, Shelby. Nie ufam ci. I naprawdę nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałbym ci ufać. Mówiłem, że dam mu znać, żeby do ciebie zadzwonił, i zrobię to.

- Ale...

- Jak już powiedziałaś mi elokwentnie, „wypchaj się”.

Potrząsnęła głową i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Ale z ciebie drań!

- No.

- I w dodatku jesteś najbardziej irytującym facetem w całym stanie.

- Pewnie tak. - Wgramolił się do samochodu, uruchomił silnik i zdecydowanym ruchem wrzucił bieg. - Ale jeśli cię to pocieszy, potrzebowałem wielu lat praktyki, żeby zdobyć ten tytuł.

- Idź do diabła.

- Już u niego byłem. - Wyszczrzył zęby w bezczelnym uśmiechu, który ją rozwścieczył. - Szczerze mówiąc, niejeden raz. - I wcisnął pedał gazu.

Patrzyła, jak stary ford nabiera szybkości na zacienionej alejce, a potem bezsilnie zacisnęła pięści i odwróciła się na pięcie. On nie może na ciebie wpływać, Shelby, nie uda mu się to, jeśli mu na to nie pozwolisz, pomyślała. Weszła do domu i skierowała się wprost do gabinetu ojca, do sanktuarium, w którym nie była mile widzianym gościem. No cóż, teraz stare reguły nie obowiązywały.

Sędzia Red Cole siedział za biurkiem, trzymając na nim nogę w bucie; odchyłał się na krześle do tyłu, rozmawiając z kimś przez telefon.

- ...Nie obchodzi mnie, co musisz zrobić, po prostu sprzedaj resztę jednorocznych albo... - Podniósł głowę i zauważył przypatrującą mu się Shelby. - Posłuchaj, oddzwonię do ciebie. - Odłożył słuchawkę i zachęcił gestem ręki, żeby usiadła na jednym z miękkich, obitych skórą krzeseł po drugiej stronie biurka. - Usiądź. - Założył ręce na wydatnym brzuchu. - Co cię gryzie?

- Zdaję sobie sprawę, że to przypomina walenie głową w mur, ale chciałam dać ci jeszcze jedną szansę, żebyś ze mną szczerze porozmawiał. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś powiedział mi wszystko, co wiesz o Elizabeth.

- Już to zrobiłem.

- No, to gdzie jest doktor Pritchard?

- Na emeryturze. Ostatni raz słyszałem, że przebywa we Florida Keys. Łowi ryby i szuka miejsca, żeby osiąść na stałe. Miał różne dziwne wyobrażenia o tropikalnym raj.

- I nigdy ci nie powiedział, kto zaadoptował moją córkę?

- Nie - odparł stanowczo sędzia.

- No, ale ty nigdy go nie zapytałeś, prawda?

- Zdaje mi się, że już o tym rozmawialiśmy - burknął lekceważąco. - Musisz to jakoś przeboleć, żyć swoim życiem. Właśnie słyszałaś, jak rozmawiałem ze swoim pomocnikiem o sprzedaży części bydła. Jest ku temu powód. Uzgadniałem z moimi prawnikami sprawę mojego testamentu, a ponieważ i tak tu jesteś, pomyślałem, że może chcesz wiedzieć, co w nim jest.

- Co takiego? Nie. To znaczy, będziesz żył długo i nawet nie chcę myśleć, co się stanie, kiedy umrzesz.

- No cóż, panienko, będziesz musiała o tym pomyśleć - stwierdził - ponieważ ja nie będę żył wiecznie. - Sięgnął do szuflady, a Shelby wstała. - Mam tu gdzieś kopię...

- Nie muszę jej oglądać.

- Do diabła, gdzież ona się podziała? Powinnaś wiedzieć. Chciałbym, żebyś zadbała o kilka osób, które dla mnie pracowały albo pomogły mi dostać nominację, i żebyś zajęła się paroma funduszami charytatywnymi, w które była zaangażowana twoja matka... cholera jasna, gdzież ona jest? - Sapnął i zacisnął usta, a potem zatrzaskał gniewnie szufladę. - Hm, w skrócie przedstawia się to tak: ty dziedziczysz wszystko. Wiem, że spodziewałaś się tego, bo jesteś moim jedynym dzieckiem, ale jest pewna zagwozdka.

- Nie obchodzi mnie to.

- Posłuchaj mnie, dobrze? - Znowu zaczynał wpadać w złość i twarz mu poczerwieniała. - Nie chcę, żebyś sprzedała ten dom czy którąś z posiadłości i... - Wpił w nią surowe spojrzenie. - Oczekuję, że zamieszkaż tutaj.

- Co? Och, tato, dlaczego poruszasz ten temat w takim momencie? - zapytała i zauważyła, że jego twarz pojaśniała; jego córka po raz pierwszy od dziesięciu lat przyznała, że on jest jej ojcem.

- Ponieważ to musi być powiedziane, oto dlaczego.

- Ja mam swoje życie w Seattle...

- Masz męża?

- No, nie.

- Chłopaka?

- Nie... już nie. - Oczywiście umawiała się na randki i niektóre z nich traktowała poważnie, ale ostatni mężczyzna, z którym była związana, przeniósł się do San Francisco.

- Nie masz nawet zwierzątko.

- Nie, ale mam pracę, przyjaciół...

- Możesz pracować tutaj, jeśli zechcesz, chociaż oczywiście nie będziesz musiała, a poza tym tutaj też masz przyjaciół i możesz poznać nowych. Może nie w Bad Luck, ale w San Antonio albo Austin. - Mówił z coraz większym zapałem, gwałtownie gestykulując, tak że jego palce utworzyły namiotik nad brzuchem. - Mam nawet zaproszenia na kilka imprez: kolacja charytatywna i jakiś ubaw w Galveston... chcę, żebyś tam się ze mną wybrała. Przedstawię cię w towarzystwie. Zapoznam z mężczyznami w twoim wieku. Wszyscy prezentują się całkiem nieźle, a niektórzy są bogaci.

- Nie zostanę tutaj długo - powiedziała, czując gorycz w ustach. - Jak tylko znajdę Elizabeth, wynoszę się stąd.

To było jak zimny prysznic. Sędzia położył ręce na biurku i nachylił się nad nim.

- Nie mów takich rzeczy, dziewczyno. Wiem, że popełniłem wiele błędów, wychowując cię samotnie, ale stęskniłem się za tobą, kochanie. Och Boże, strasznie mi ciebie brakowało. - Chrząknął, oczy zaszczyły mu łzami; zamrugnął i odwrócił głowę. - Jesteś tak cholernie podobna do swojej matki. Och, do diabła, za nią też tęsknię. Nie byłem najlepszym mężem na świecie ani też najlepszym ojcem, ale Bóg mi świadkiem, kochałem twoją matkę jak nikogo innego. A ty... wiedz, że zawsze byłaś najdroższa mojemu sercu, nawet kiedy tak bardzo buntowałaś się przeciwko mnie.

Shelby poczuła, że wzruszenie ścisła jej gardło, ale przypomniała sobie o kłamstwach, które latami nękały ten dom, o tajemnicach i plotkach, które przekazywali sobie szeptem ludzie w miasteczku. Nachyliła się nad biurkiem i położyła rękę na jego sękatych kłykciach.

- Przyjechałam tutaj, żeby znaleźć moją córkę. To wszystko. Miałam nadzieję, że mi pomożesz. - Wstała, wyszła na korytarz i westchnęła głęboko i ciężko. Dopiero kiedy minęła lustro nad lakierowanym stolikiem we frontowym holu, uświadomiła sobie, że w jej zaczerwienionych oczach wezbrały łzy.

- Do diabła z tym. - Otarła je i po cichu przysięgła sobie, że nie pozwoli ojcu manipulować sobą. Nie może na to pozwolić. Zbyt wiele ma do zrobienia. Weszła po schodkach do swojego pokoju. Chciała zadzwonić do swojego biura w Seattle, żeby sprawdzić, co się dzieje z jej klientami, a potem dowiedzieć się czegoś o prywatnym detektywie Nevady z Internetu. Ale kiedy mijają rodzinny portret w górnym holu, obraz zamówiony zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią matki, zupełnie się załamała. Miała wtedy raptem cztery lata i prawie nie pamiętała kobiety, której zawdzięczała swoje narodziny.

Nie, większość jej wspomnień wiązała się z innym okresem. Obrazy, które tak bardzo pragnęła wymazać z pamięci, osaczały ją teraz z całą bolesną jaskrawością.

Nie mogąc już nad nimi zapanować, weszła do swojej sypialni i objęła jeden ze słupków łóżka, tego samego czterokolumnowego łóżka, na którym płakała miesiącami po śmierci Jasmine, tego samego, na którym marzyła o kochaniu się z mieszkańcem buntownikiem, który zawładnął jej sercem i duszą: łóżka, na którym leżała sama i, obejmując się ramionami, wypłakiwała ciche łzy frustracji, bólu i strachu, kiedy miała siedemnaście lat i była w najgorszych tarapatkach w swoim życiu.

- Nie rób tego - ostrzegła samą siebie, ale było już za późno. Z dawna ukrywane wspomnienia wynurzyły się z jej pamięci i ujrzała siebie taką, jaka była wtedy: naiwną, pewną siebie, nieświadomą podłej ironii, jaką niesie ze sobą życie.

Wodząc opuszkami palców po gładkim słupku palisandrowym, powoli położyła się na ręcznie szytej kołdrze i oddała przykrym wspomnieniom z odległej przeszłości. Czy naprawdę minęło aż dziesięć lat? Cała dekada jej życia?

Pod pewnymi względami okres ten wydawał się wiecznością, ale miała też wrażenie, że to wszystko zdarzyło się bardzo niedawno...

Rozdział 7

Dziesięć lat wcześniej

Mówię ci, Shelby, jemu nie można ufać. Nevada Smith to same kłopoty. Mów sobie, co chcesz, ale wychowali go na dzikusa i dzikusem pozostał. - Ojciec rzucił marynarkę na oparcie kanapy w rodzinnym salonie i podszedł do barku, po czym wyciągnął butelkę szkockiej. - A poza tym on jest dla ciebie za stary.

- Mam siedemnaście lat, nie jestem dzieckiem - spierała się, zrzucając buty dojazdowej konnej. Skrzywiła się, kiedy ściągała z włosów gumkę. Zobaczyła swoje odbicie w ukośnie ściętym lustrze nad szafką z alkoholem. Piegi, zmierzwiłone włosy, zarumienione policzki i zero makijażu. Nic dziwnego, że ojciec traktował ją jak dziecko - ona wyglądała jak dziecko.

- A on ile ma lat? Dwadzieścia cztery?

- Ty byłeś dwanaście lat starszy od mamy.

- No właśnie. - Sędzia zaczerpnął dłonią łoż z kubeczka, który Lydia zawsze miała pod ręką, i wrzucił kilka kostek do niskiej szklanki. - Posłuchaj, Nevada Smith pracował dla mnie, wiesz o tym, a ja go nie wyrzuciłem, prawda? Nawet po tym, jak przywlekli go do mnie na salę sądową. Upił się razem z paroma koleżkami, ukradł kluczyki do samochodu i urządzili sobie przejażdżkę. Wtedy doszedłem do wniosku, że po prostu chcieli się zabawić, no wiesz, jak to chłopaki. Ale potem przyłapano Smitha i młodego McCalluma, jak strzelali do skrzynek pocztowych. W tym przypadku również potraktowałem sprawę pobłażliwie, ale nie mam do niego zaufania. - Odkręcił butelkę,

popatrzył na swoją szklankę i nalał sobie trochę alkoholu.

- Teraz pracuje w Biurze Szeryfa.

- Słyszałem - zachmurzył się i podrapał po brodzie, a potem zakorkował butelkę i odstawił ją do szafki. - Długo to nie potrwa.

- Tego nie możesz wiedzieć...

- Właśnie, że wiem. - Pokiwał głową, jakby rozmawiał z samym sobą, i po raz pierwszy w życiu Shelby doznała olśnienia, odniosła wrażenie, że ojciec nie jest taki zasadniczy i uczciwy, jak jej się wydawało, że być może manipuluje innymi w ten sam sposób, w jaki manipulował nią.

- Był w wojsku - dodała. - Został awansowany i...

- Tak, słyszałem o tym wszystkim. Ale mężczyzna się nie zmienia, chociaż ty, panienko, wolałabyś wierzyć, że jest inaczej. Tu chodzi o osobiste zasady. Nasz młodzieniec Nevada nie ma ich zbyt wiele. Właściwie to nie jego wina; po prostu tak został wychowany. - Zakreślił swoim drinkiem i kostki lodu lekko zagrzechotały.

Shelby bardzo chciała bronić Nevady, ale знаła ojca wystarczająco dobrze, by trzymać język za zębami. Sprzeczenie się z nim nie miało sensu. W kwestii chłopaków, z którymi się umawiała, ojciec zachowywał się jak tyran.

- No co? Sprawa załatwiona - zapytał, usiadłszy na swoim ulubionym fotelu, który stał blisko kominka; jego obicie z brązowej skóry było wystrzępione i zniszczone. Sędzia twierdził, że to jedyny wygodny fotel w całym domu. Uwielbiał ten pokój, odpowiadało mu jego usytuowanie względem kuchni. Przez rząd okien miał widok z lotu ptaka na basen i ogrody. Za ledwie parę kroków dalej, po drugiej stronie tylnych schodów, za zamkniętymi oszklonymi drzwiami był jeszcze jeden pokój, a w nim solidny stół bilardowy z niebieskim obiciem. Raz w tygodniu sędzia i jego najbliżsi przyjaciele zbierali się tutaj, żeby pograć w karty i bilard. Shelby wyganiano wtedy do jej pokoju na górze, chociaż dzięki przewodom wentylacyjnym często podsłuchiwała gości, jak opowiadają sprośne historyjki.

- Shelby? - Głos ojca gwałtownie przywrócił ją do rzeczywistości. Sędzia wstał z fotela i popatrzył jej w oczy. - Rozumiemy się? Nie zobaczysz się już z Nevada Smithem.

- Kiedy będę miała osiemnaście lat...

- To porozmawiamy. Do tego czasu masz się trzymać od niego z daleka. - Stał przed zimnym paleniskiem kominka; wypolerowane długie rogi zawieszane na murku nad balustradą wyglądały tak, jakby wyrastały wprost z jego głowy. - Nie chciałbym nakładać szlabanu albo zabierać ci samochodu. To byłoby przykre.

- Nie będziesz musiał - skłamała. Uwielbiała swój samochód, cytrynowożółty kabriolet, niemal tak jak swoją cenną klacz Appaloosę, chociaż nie kochała ich tak namiętnie jak Nevady. O nie, jej uczucia do Nevady nie dało się opisać.

Wprawdzie do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę z tego, że po prostu buntuje się przeciwko despotycznemu ojcu i że żywiłowy Nevada to nie chłopak dla niej, nie mogła się jednak powstrzymać: musiała postępować wbrew życzeniom sędziego i robić to, co sama chce - włącznie z umawianiem się na potajemne randki z Nevada Smithem. Miała serdecznie dość tego, że nazywano ją księżniczką, rozpieszczoną córeczką sędziego Cole'a, świętoszką.

Poza tym ostatnio nawet specjalnie nie rozrabiła. Nevada Smith był uczciwym, przestrzegającym prawa obywatelem - to tylko jej ojciec był innego zdania. Chłopak pracował wprawdzie w Biurze Szeryfa niespełna rok, ale zapowiadało się, że wyjdzie na prostą. Tylko dlaczego przesadnie zaciskała kciuki, wchodząc po schodach?

Zatrzymała się przy rodzinnym portrecie i spojrzała na twarz swojej matki. Jasmine Alicia Falconer Cole miała szlachetne rysy, włosy ciemnoblonde i oczy o intensywnym złocistozielonym odcieniu. Była uderzająco piękną kobietą, a na dodatek córką naftowego potentata, o której względy zabiegało wielu. Odebrała sobie życie na kilka dni przed swoimi dwudziestymi ósmymi urodzinami.

- Sprawy ułożyłyby się inaczej, gdybyś tu była, mamó - powiedziała cicho, wchodząc do swojego pokoju. Skłamałaby, bezczelnie twierdząc, że żałuje, iż robi pewne rzeczy za plecami ojca. Prawda wyglądała tak: tego wieczoru umówiła się na spotkanie z Nevada i bez względu na to, co o tym myślał jej ojciec, poruszyłaby niebo i ziemię, byleby tylko móc go zobaczyć.

Noc była gorąca; podniecona Shelby miała wrażenie, że powietrze jest naelektryzowane. Opuściła dach swojego porsche i, ciągle zerkając na zegarek, pokonywała ulice Bad Luck szybko jak błyskawica, której pojawienie się spece od pogody przewidywali cały dzień.

- Uważaj, Shelby, bo przegapisz zjazd! - wrzasnęła Lily, która siedziała z tyłu ze swoim chłopakiem.

Chudziutka jak patyczek, Lily Ingles była najlepszą przyjaciółką Shelby, jedyną dziewczyną w najstarszej klasie liceum w Austin, której można było zaufać. - Hej! To tutaj!

Shelby mocno szarpnęła kierownicą kabrioletu, aż zapisały opony, i zatrzymała wóz na środku podjazdu przed domem Lily.

- Jezu, Shelby, chcesz nas zabić? - zapytał Todd, nachylając się do przodu. Zalaatywało od niego tanim winem, papierosami i marihuaną. Potargane od wiatru włosy sterczały mu na wszystkie strony.

- Nie. Wygląda na to, że pod tym względem doskonale sobie radzisz bez niczyjej pomocy.

Lily zachichotała i wraz z Toddem wygramoliła się z samochodu. Na frontowym trawniku chłopak próbował ją objąć, ale ona uskoczyła i zatoczył się na żywopłot.

- Na pewno nie chcesz wejść? - zapytała Lily. Jej biała suknia w świetle lampy wydawała się niebieska, a splątane włosy opadały na jeden policzek.

- Nie - odparła Shelby. Nie miała zamiaru zmienić zdania. Nie dzisiejszego wieczoru. - Już ci mówiłam, że mam plany.

- Ale...

- Pst. Wejź do środka, bo obudzisz sąsiadów.

Todd dźwignął się na nogi i chwycił Lily za ramiona. Omal nie ugięła się pod jego ciężarem. Shelby zerknęła na zegarek. Była jedenasta trzydzieści pięć.

- Skoro jesteś pewna...

- Idź już! - nalegała Shelby.

- Dobrze już, dobrze...

Todd wtulił nos w szyję Lily i przywarł do niej, kiedy szli pod szpalerem do tylnych drzwi. Gdy tylko weszli do środka, Shelby nie marnowała czasu. Szybko zrzuciła krótką spódniczkę, wcisnęła dżinsowe szorty, które przechowywała pod fotelem, a zamiast sandałów włożyła swoje ulubione, znoszone buty.

Wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała na ulicę, w momencie gdy zapaliły się światła w domu Lily.

Po chwili wrzuciła jedynkę i wyjechała z miasta, ignorując głos sumienia, który podpowiadał jej, że wkrótce zrobi kolejny wielki błąd. A lista jej błędów stale się rozrastała. Zdążyła już okłamać swojego ojca, rodzinę Lily i Nevadę. Na myśl o tym ostatnim oszustwie aż przygryzła wargę. Dręczyło ją poczucie winy, bo wiedziała, że nie chciał się z nią spotykać sam na sam, że miał wątpliwości, czy powinien się wiązać z córką sędziego Cole'a.

Ale było już za późno.

Już byli ze sobą związani. W każdym razie Shelby czuła, że jest z nim związana, i za wszelką cenę pragnęła się z nim zobaczyć. Czekwała cały dzień na chwilę, w której będzie mogła objąć go za szyję i wycisnąć na jego ustach namiętny pocałunek. Nevada był ostrożniejszy. Nie podobało mu się, że spotykają się bez wiedzy ojca. No cóż, tak musiało być, przynajmniej na razie.

Kiedy przestała widzieć miasto we wstecznym lusterku, włączyła radio, ale nie słyszała ani słowa z piosenki płynącej z głośników.

Jeszcze w czasach gimnazjum poszła z Lily na potańcówkę i okropnie się na niej wynudziła. Lokalny zespół znał tylko kilka utworów country and western i grał je nieustannie, drażniąc już i tak mocno zszargane nerwy Shelby. Wmawiała sobie, że próbuje się wczuć w nastrój imprezy, ale odór przepoconych mat nie był ani romantyczny, ani ekscytujący. Chłopcy zachowywali się jak gówniarze, muzyka była drętwa, a Shelby czuła się rozdrażniona, w dodatku wydawało jej się, że jest tu całkowicie zbędna.

Miała serdecznie dość szkoły średniej i swoich przyjaciół. Nie interesowały ją towarzyskie gierki i intrygi, które tak fascynowały innych. Dla niej cały ten układ był równie ciekawy jak konkurs plucia tytoniem na odległość.

Wcześniej tego dnia, kiedy jej ojciec pakował torbę z ubraniami na podróż do Dallas, powiedziała, że zostaje na noc u Lily, a Lily okłamała swoich wyjeżdżających za miasto rodziców, mówiąc, że ma zamiar nocować u Shelby. To był idealny plan. Lily mogła spędzić trochę czasu sam na sam z Toddem, a Shelby - spotkać się z Nevada.

Uśmiechnęła się i zwolniła, wpatrzona w bliźniacze plamy światła rzucanych przez reflektory samochodu. Widywała się z Nevada potajemnie od kilku miesięcy. Znała go od zawsze, ale była za młoda, żeby się przejmować słowami ojca, który kiedyś powiedział: „Ten piekielnik idzie do wojska, chwala Bogu. To dobra wieść dla tego miasta, ale zła dla Wuja Sama”. Wtedy w ogóle nie zaprzętała sobie głowy Nevada. Zawsze słyszała o wybrykach rozwydrzonego Smitha, „mieszkańca i bękarta, cwaniaka nad cwaniakami”. Wkrótce Nevada opuścił miasto, a jej życie toczyło się normalnym trybem.

Ale potem Nevada Smith wrócił i przyszedł czas, kiedy to ona zaczęła się buntować. Zobaczyła go pierwszy raz, gdy pędziła do domu na złamanie karku, bo była spóźniona, a on kazał jej zjechać na pobocze. Z poważną, surową miną poprosił ją o okazanie prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego, a po obejrzeniu dokumentów skierował światło latarki na jej twarz. Zamrugowała.

- Hej, zgaś to.

- Hm, czyż to nie słodka ironia? - powiedział. - Jesteś córką sędziego Cole'a.

- I co z tego?

Lekko unióś kącik ust.

- Powiedzmy, że to jeden z moich przyjaciół.

- Akurat.

- A ty co o tym możesz wiedzieć?

- Sędzia nie ma przyjaciół.

Uśmiechnął się szerzej i zauważyła, jak świetnie wygląda, mimo że jest zwykłym gliniarzem.

- No cóż, tym razem ci daruję, ale jedź wolniej, dobrze? Przez tę twoją ciężką nogę będziesz miała kłopoty,

Shelby.

Dokładnie w tym momencie dostrzegła plakietkę z jego imieniem i nazwiskiem. A więc to Nevada Smith. Ten młodociany przestępca, którego jej ojciec chyba nienawidzi.

- Z tego, co słyszałam, ty jesteś ekspertem od kłopotów.

- Byłem.

- A teraz jesteś gliniarzem?

- Tak. - Wybuchnął gardłowym, drwiącym śmiechem. - Kto by pomyślał?

- Mój ojciec by nie pomyślał.

- Hej, sam bym nie pomyślał. - Poklepał bok jej samochodu. - A teraz jedź wolno i nie pakuj się w kłopoty.

Nigdy, pomyślała, patrząc, jak odchodzi do policyjnego wozu zaparkowanego na poboczu za jej samochodem. Serce waliło jej jak szalone i była bardzo zdenerwowana, kiedy wjeżdżała na drogę.

Od tamtego spotkania zakochała się w nim na zabój, a sytuacji nie ułatwiało to, że ciągle na niego wpadała, a to w barku kawowym, a to przy saturatorze w drogerii. Godzinami marzyła o nim, a potem mówiła sobie, że jest idiotką. Ale chłopcy w szkole byli tacy dziecinni, a ona zawsze znajdowała powód, żeby być tam, gdzie był Nevada. Nadeszła wiosna, Shelby nie mogła znaleźć sobie miejsca, a Nevada Smith, kiedyś największy zabijaka, pociągał ją jak nikt inny przedtem. Może dlatego, że wciąż wkurzał jej ojca, może dlatego, że nie był już chłopcem, może dlatego, że był najseksowniejszym facetem, jakiego znała. Jakikolwiek był to powód, myślała o nim nieustannie i posunęła się do tego, że wyryła jego inicjały na palu do przywiązywania koni, obok apteki, a kiedy wpadła na niego któregoś wieczoru w kawiarence w Coopersville po filmowym seansie z przyjaciółmi, zrozumiała, że musi go zdobyć.

- Cześć - powiedziała. Siedział przy stoliku sam, popijając piwo. Miał na sobie wyblakłe džinsy i czystą koszulkę, która marszczyła się na plecach. Właściwie nie siedział, ale pólleżał, wyciągnąwszy długie nogi w przejściu. Spojrzał na nią.

- O, zawitała do nas ciężka stopa. Jak się miewa twój ojciec?

- Wszystko po staremu. - Poczowała, że pali ją skóra na karku. Droczył się z nią. Wabił ją. A ona była z tego zadowolona.

- Jak jest, tak jest. - Pociągnął duży łyk i powoli lustrował ją wzrokiem, od wystających z sandałów palców aż po dzinsowe szorty i kusą bluzkę. - Zdaje mi się, że jego ranczo nadal służy jako schronienie dla renegatów, którzy wolą pracować za grosze zamiast siedzieć w ciupie.

- Cóż, tempo pracy trochę zmalało, odkąd ty wróciłeś na dobrą drogę.

Zaśmiał się i posłał jej zabójczy uśmiech, który zaparł Shelby dech w piersiach i przyspieszył bicie serca.

- Chyba tak. - Dopił piwo i zerknął na zegarek. - Co tutaj robisz, z dala od tatuńcia?

Popatrzyła prosto w jego stalowoszare oczy.

- To, co mi się żywnie podoba.

- Niezłe z ciebie ziółko, co?

Tym razem to ona się uśmiechnęła.

- Tak mówią.

Uniósł ciemną brew.

- Powinnaś uważać, Shelby. Takie gadki mogą cię wpędzić w kłopoty.

- Może ja właśnie szukam kłopotów - odparła i nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego. Uświadomiła sobie, że ni mniej, ni więcej z nim flirtuje.

- Jak ich szukasz, to będziesz je miała. To ci gwarantuję.

- Dobrze.

Przez moment patrzył na nią intensywnie i zauważyła w jego oczach iskrę nieskrywanego, męskiego pożądania. Iskra znikła niemal natychmiast, ale Shelby ją rozpoznała i miała wrażenie, że słyszy bicie własnego serca.

- Uważaj, bo twoje życzenie może się spełnić, złotko. - Odstawił krzesło i wyszedł na dwór, zostawiając Shelby samą. Poczowała się jak idiotka.

Nie było jej lepiej, kiedy wyjrzała przez okno kawiarni i zobaczyła, że Vianca Estevan wysiada z furgonetki prowadzonej przez jej brata i biegnie po parkingu do Nevady, a potem zarzuca mu ręce na szyję i całuje go na oczach całego świata.

Nevada nie zareagował, tylko pomógł jej wsiąść do pikapa i odjechał, gdy tymczasem Shelby w duchu wyzywała siebie od skończonych idiotek. Ale nie przejmowała się zbytnio. Zwyczajnie w świecie pragnęła Nevady i po raz pierwszy w życiu miała zamiar go zdobyć.

Akurat pod tym względem nie było to zbyt trudne zadanie. Wyglądało na to, że Nevada jest nią zainteresowany równie mocno jak ona nim. Po tym jak wpadł na nią któregoś wieczoru nad rzeką, zadzwonił do niej i zaczęli się umawiać na potajemne randki, w tajemnicy przed jej ojcem. Twierdził, że zerwał z Vianca, a w mieście krążyły pogłoski, że Vianca jest wściekła, za to jej ojciec oddycha z ulgą. Ramónowi nigdy nie podobało się to, że Vianca spotyka się z kimś, kto nie jest z pochodzenia Hiszpanem, a w dodatku ma złą reputację i został gliniarzem, i tylko ją „wykorzystuje”. Ale mówiło się też, że ojciec nie akceptuje żadnego z chłopaków Vianki.

A Shelby się zakochała. Szybko i po prostu. Była podekscytowana tym, że spotyka się z Nevada za plecami ojca, że biegnie przez mrok w wiosennej mgle; marzyła o Nevadzie w nocy, myślała o nim w dzień - miłość była łatwa.

I któregoś wieczoru, kiedy byli sami nad zakolem rzeki, a księżyc świecił wysoko na niebie, wreszcie ją pocałował. Objął ją silnym ramieniem, posadził na kolanach i wpił się w jej usta tak żarłocznie, że ledwo oddychała.

Poczuła ogień w żyłach, nie chciała już niczego sobie odmawiać i w tym momencie zrozumiała, że będzie się z nim kochać.

Oczywiście nie dane jej było się z nim kochać, bo wprawdzie zaczął rozpinąć jej bluzkę i całować wrażliwe miejsce za uchem, ale przerwał.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział.

- D-dlaczego? - Nadal siedziała mu na kolanach, wciąż upojona jego pocałunkami. Oboje mieli na sobie dzinsy, lecz i tak czuła jego erekcję, która zadawała kłam jego słowom.

- Shelby, jesteś za młoda, ukrywamy się, to nie w porządku. Och, do diabła, jest mnóstwo innych powodów. Jesteś dziewczyną, prawda?

Zdziwiła się.

- A jakie to ma znaczenie?

- Jesteś?

- Nie, ja... ja...

- Kłamczucha.

- Co jest? Mam to wypisane na czole czy jak?

Zachichotał.

- Tak. Coś w tym rodzaju. Posłuchaj. - Stanowczym ruchem zepchnął ją ze swoich kolan i popatrzył na czarną toń rzeki. - Może kiedyś mogłoby coś z tego wyjść, ale... och Boże, nie, nic z tego nie będzie. Musimy przestać się widywać.

- Dlaczego?

- Jest milion powodów.

- Jeżeli chodzi o sędziego...

- To bardzo poważny powód. - Wstał i otrzepał dzinsy.

- On nie rządzi moim życiem!

- A jakże. On rządzi życiem wszystkich.

- Ale ja nie pozwolę...

- Nie masz wyboru. Naprawdę. - Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, ale ona sama się poderwała się na nogi i dumnie uniosła brodę.

- Ależ mam wybór i ty też go masz.

- Och, Shelby...

- Odkąd to przejmujesz się opinią sędziego?

- Odkąd zacząłem przejmować się tobą. - Przestał się uśmiechać, a w jego pociemniałych oczach pojawił się smutek. - No, chodź, odwiozę cię do domu.

- Nie. - Zarzuciła mu rękę na szyję i namiętnie go pocałowała. - Ja... ja nie chcę.

- Tak będzie najlepiej. - Objął ją i mocno przytulił, a potem pocałował w głowę.

Shelby miała łzy w oczach, ale przyrzekła sobie, że się nie załamie. Bez względu na to, czy Nevada Smith zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, jego związek z Shelby się nie skończył.

I dziś wieczór zrezygnowała z tańców, bo zamierzała zobaczyć się z nim jeszcze raz. Zadzwoiła do niego, nalegała, aż w końcu zgodził się na spotkanie, chociaż w jego głosie wyczuwała niechęć. Już ona to zmieni. Potrafi to zrobić. W końcu jest córką sędziego Cole'a. W swoich cholernych genach na pewno jest trochę jego zawziętości.

Skręciła zbyt szybko i opony jej wozu mocno zapiszczwały.

Nevada kończył zmianę o pomocy. Obiecał, że spotka się z nią na ranczu jej ojca o pierwszej.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie czekała na niego.

Manewrowała swoim małym autem na zakrętach wiejskiej drogi, która biegła obok rancza. Wiatr rozwiewał jej włosy i chłodził skórę, ale ręce miała spocone. Zwolniła przy zjeździe i jej serce zaczęło mocno bić. Właśnie w tym miejscu robiło się niebezpiecznie - tutaj w każdej sekundzie mogła zostać zdemaskowana.

Wrzuciła niższy bieg, skręciła w aleję i modliła się, żeby z przeciwka nie nadjechał jakiś samochód. Miała szczęście. Nie widziała żadnych reflektorów.

Księżyc stał wysoko na niebie, a chłodna, kwietniowa bryza wiała łagodnie. Shelby zaparkowała swój kabriolet za gąszczem mesquite, na poboczu długiej alei wijącej się przez górzystą okolicę aż do serca ojcowskiego rancza. Gdzieś w oddali zawył kojot i Shelby dostała gęsiej skórki, ale wkładając kluczyki do kieszeni, zignorowała wrażenie, że coś jest nie tak, że w powietrzu jest jakieś elektryczne napięcie.

Oczywiście, spotkanie się z Nevada w takich okolicznościach, wbrew woli ojca, musiało wywołać u niej lęk i

przyprawiało ją o duże zdenerwowanie. To dlatego czuła się tak nieswojo. Tylko dlatego.

Kilka chmur o zamglonych konturach przesłoniło księżyc. Shelby puściła się pędem przez wzgórze, czując zapach świeżej trawy. Gdzieś w oddali zadudnił pociąg, a wysoko w górze, na niebie usianym gwiazdami, mrugały skrzydła samolotu. Konie z rancza, niezagnane do stajni, parskaly i podnosiły łby, kiedy obok nich przemykała. Zbiegła szybko ze wzgórza, pokonała strumyk, wspięła się na płot i wylądowała na krótkim trawiastym odcinku. Kiedy dotarła do pierwszych zabudowań rancza, była już nieźle zdyszana.

Czuła łoskot krwi w głowie, a puls podskoczył jej jeszcze bardziej, kiedy dała nurka za szopę z narzędziami i przywarła do zniszczonego sidingu, nasłuchując. Jeden z psów zaczął szczekać i Shelby przygryzła wargę.

Drzwi głośno zaskrzypiały.

- Co jest? - zagrzmiął basowy głos.

Już nie żyję, pomyślała.

Głupi pies szczekał coraz głośniejsze i coraz bardziej zajadle. Shelby bała się oddychać.

- Zamknij się! - nakazał mężczyzna. - Ty beznadziejny, strachliwy durniu!

- Coś nie w porządku? - zapytał ktoś inny, zniecierpliwionym, piskliwym głosem.

- Nic nie widzę.

- Przeklęty pies.

- Przydałaby mu się suka z cieczką - odezwał się ktoś trzeci, zaśmiał się chrapliwie, a potem zaczął zanosić kaszlem. - No, ale to akurat przydałoby się nam wszystkim, no nie?

Rozpoznała ten głos i zrobiło jej się niedobrze. Ross McCallum. Było w nim coś, co budziło jej nieufność. Znała go od lat, a ostatnio przyłapywała na tym, że spoglądał na nią oczami, które wydawały się okrutne.

- No, Jeb. My tu gramy. Grasz czy pasujesz?

- Gram. Powiedziałem, że gram, McCallum. Nie popędzaj mnie, do cholery. Obejrzę twoją piątkę i podniosę stawkę do dziesięciu. - Jeb mówił dźwięcznym, łagodnym głosem.

- No, to włącz, kurwa, do środka! Całej nocy nie mamy. - McCallum był poirytowany.

- Czego się tak śpieszysz?

- Albo szczasz, albo złaż z nocnika!

- Kurde, McCallum, coś cię gryzie? - zapytał Jeb.

- Tak jakby.

- Wyjątkowo wredny z ciebie gad, wiesz? - Ażurowe drzwi zamknęły się z hukiem. - To pewnie dlatego, że Nevada został zastępcą.

Shelby zamarła. Jej serce prawie się zatrzymało. Co ma wspólnego Ross McCallum z Nevada Smithem?

- Wygląda na to, że Smith wyszedł na prostą. - Piskliwy głos rozbrzmiewał donośnie na podwórzu. - Znalazł sobie porządną pracę, odłożył trochę pieniędzy z tego, co zarobił na żołdzie u Wuja Sama, a teraz jeszcze największa nagroda: zabawia się ze słodziutką córeczką sędziego. Jasny gwint, widzieliście kiedyś taką świetną dupę?

- Zamknij się, Frank - warknął McCallum.

Shelby czuła, jak pali ją skóra na karku. Krew zawrzała w niej z gniewu. Za kogo oni się mieli - te prymitywne pastuchy - że mówią o niej w ten sposób?

- Widocznie Ruby Dee nie daje ci tego, czego potrzebujesz. - To był znowu Jeb.

- Zostaw w spokoju tę dziwkę.

Przez okno dolatywał szyderczy śmiech.

- Ja tam wcale się nie dziwię, że chciałbyś przelecieć córkę sędziego. - Frank, ten z piskliwym głosem, zachichotał złośliwie. - Kuma, dałbym sobie odciąć prawą rękę, żeby posmakować tej słodkiej cipki.

- Ja też - zawtórował mu Jeb.

Shelby miała ochotę zwiewać gdzie pieprz rośnie.

- Ale ona zachowuje cnotę dla Smitha. - Ironiczne prychnięcie Franka, chuderławego, pryszczatego kowboja, którego parę razy spotkała. - No, i sędzia jest wkurwiony jak cholera.

- Dość! - uciął McCallum szorstko. - Grajmy.

- Dobrze już, dobrze. - Frank wciąż chichotał. - Ale nie próbuj zaprzeczać, McCallum, masz straszną ochotę na księżniczkę Cole i jakoś nie chce ci ona przejść.

Bum. Coś mocno walnęło w stół. Zapewne pięść.

- Zamknij się, Frank, do kurwy nędzy, bo ci wbiję zęby w gardło tak mocno, że wyleżą ci tyłkiem. Kapujesz?

- Hej, McCallum, on tylko cię podpuszcza. Uspokójmy się wszyscy i grajmy, dobra? - Jeb próbował załagodzić sytuację. - Starczy nam Jacka danielsa jeszcze na jedną, dwie kolejki, a potem ten, który wygra, może nas zabrać do White Horse, okej?

Napięcie było elektryzujące. Nikt nie odpowiedział. Shelby wstrzymała oddech. Ręce miała wilgotne od potu.

- Dobra - odparł McCallum basowym, chrypiącym głosem. - Obstawiam.

Shelby była rozdygotana; żałowała, że nie przyszło jej do głowy jakieś inne miejsce na schadzke. Ohydna rozmowa wciąż rozbrzmiewała w jej uszach i sprawiała, że ciarki przechodziły jej po plecach. Gdyby miała choć trochę rozumu, zawróciłaby, wsiadła do samochodu i pojechała do domu. Zapomniała o tradycji piątkowego

pokera wśród niektórych pracowników rancza, którzy pili, grali w karty, a potem czasami jechali do miasteczka.

Jeżeli teraz zawrócisz, nie zobaczysz się z Nevada.

O, co to, to nie.

Pełna determinacji, wyprostowała się i powoli ruszyła naprzód. Ukryta w ziemi, z dala od buczonego, błękitnego światła latami, przekradała się w stronę stajni, w której trzymano jej klacz, czempionkę Appaloosę. Musiała dziś wieczorem zobaczyć się z Nevada. Po prostu musiała.

Z gardła psa wydobył się głuchy warkot, ale Shelby, nie zważając na nic, obeszła szopę z narzędziami. W uszach czuła bicie serca, a nerwy miała napięte jak postronki. Z niepokojem spojrzała przez ramię na barak, ale drzwi nie otworzyły się ponownie, a pies - o cholera, gdzie się podział ten pies? Mrużąc oczy, starała się wypatrzeć go na ganku, ale był tam cień. Pies mógł być wszędzie, gotów zaalarmować robotników szczekaniem albo warczeniem... o, dostrzegła go: czaił się przy ogrodzeniu, gdzie stało zaparkowanych kilka ciężarówek i dżipów. Miał nastroszoną sierść na karku, a żółte ślepia lśniły złowieszczo w świetle lamp i śledziły każdy jej ruch, chociaż zwierzę nawet nie drgnęło i nie wydało z siebie choćby cichego warkotu.

Shelby ze strachu miała ściśnięte gardło.

No dalej, zrób to. Śmiało, Shelby. Nie bądź tchórzem. Tak daleko zaszłaś, nie możesz się teraz wycofać. Nevada czeka.

Przygryzła wargi i pchnęła ramieniem drzwi stajni; skrzywiła się, bo zaskrzypiały, a wtedy pies szczeknął ostrzegawczo. Serce waliło jej jak młotem, kiedy wślizgiwała się do środka i, dotykając po omacku ściany, szła w stronę siodła. Nie mogła zapalić światła, zbyt duże ryzyko, ale wiedziała, w którym miejscu pod oknem wisi uzda Appaloosy. Opuszkami palców wodziła po skórzanych cuglach. Zręcznie zdjęła uzdę z kołka, a potem, wciąż macając ścianę, wróciła do stajni i szybko pomaszerowała cementowym korytarzem do odległego boksu, w którym stała jej klacz.

- Spokojnie, malutka - szepnęła Shelby, otwierając bramkę i wchodząc do środka. Jej oczy powoli przywykały do ciemności, zobaczyła białe plamy na zadzie. Kiedy nakładała paski uzdy na długie nozdrza i uszy swojej ulubienicy, czuła odór koni, paszy i kurzu.

Klacz, z natury bardzo wrażliwa, parsknęła i odrzuciła łeb do tyłu. Mimo ciemności widać było białe obwódki wokół jej ślepiów.

- Pst... to ja. - Shelby poklepała lśniący kark, zaciskając pasek pod szczęką zwierzęcia. - No, chodź. - Ostrożnie poprowadziła je nieoświetlonym korytarzem do tylnych drzwi. Chociaż stalowe podkowy głośno stuknęły o beton, nie było słychać ani psa, ani mężczyzn. Kiedy Shelby przechodziła obok baraku, w drzwiach i oknach paliło się światło.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem.

Modląc się, żeby stare zawiasy nie narobiły hałasu, Shelby pchnęła tylne drzwi i pociągnęła klacz za cugle, a ona poruszyła nozdrzami. Shelby poprowadziła ją na ciemne pole, gdzie duszne powietrze zapowiadało deszcz. Parskając i przestępując z nogi na nogę, zwierzę było niespokojne, jakby i ono czuło elektryzujące napięcie tej nocy.

- Spokojnie. No, grzeczna dziewczynka - wyszeptwała Shelby, używając słupka ogrodzenia, żeby wspiać się na szeroki grzbiet.

Ściskając ją mocno kolanami, cicho cmoknęła.

- No, jazda.

Klacz ruszyła z miejsca. Puściła się swobodnym kłusem i z każdym krokiem nabierała prędkości, pokonując kolejne metry wysuszonej ziemi i trawy, aż przeszła w galop.

W Shelby serce rosło.

Pies i Ross McCallum zostali daleko w tyle.

Przed nią był Nevada.

Czuła adrenalinę w żyłach na myśl o tym, że znów się z nim zobaczy. Wiatr targał jej włosy. Nad wzgórzami głośnie grzmiało, ta noc była przepełniona oczekiwaniem. Chmury zakrywały księżyc, tylko gdzieś w głąb nocy przebłyskiwały gwiazdy.

Shelby nachyliła się do przodu.

- Dalej, dalej - ponaglała swojego konia, nie chcąc zmarnować ani sekundy. Niedługo znowu będzie z Nevada, niedługo dotknie go, przytuli... och Boże, na samą myśl o tym, co przyniosą następne godziny, zasychało jej w gardle.

Jeśli on tam będzie.

Oczywiście, że będzie na umówionym miejscu. Dlaczego miałoby go nie być?

Wprawdzie sugerował, że nie powinni już więcej widywać, ale nie wierzyła, że mógłby wystawić ją do wiatru.

Miała nadzieję, może płonąć, że Nevada czeka na nią. Był jej pierwszą i jedyną miłością. Umawiała się z kilkoma chłopakami w liceum, ale to nie było nic poważnego i ograniczały się do nic nieznaczących pieszczot. Ale z Nevada od samego początku było inaczej. Kiedy wrócił do Bad Luck, w miasteczku huczało od plotek o tym diable wcielonym, który nie dość, że miał czelność znowu się tutaj pokazać, to jeszcze jakimś cudem zdobył posiadłość jako

zastępca szeryfa. Już wcześniej łączono jego nazwisko z kilkoma kobietami w Bad Luck, między innymi z Viancą Estevan, miejscową dziewczyną, której reputacja była porównywalna ze stanem starego dodge'a Caleba Swaggerta.

Ale to już dawno skończone, mówiła sobie Shelby. Teraz to ona i tylko ona jest kobietą Nevady.

Ponagliła klacz, która zareagowała, napinając mięśnie, i gnała coraz szybciej, dudniąc kopytami po resztkach siana i zielsku.

Koń swobodnie pędził przez pola, minął szkielet starej chatki, a potem wzgórze. Shelby przywarła do grzbietu. Czuła, jak mięśnie klaczy poruszają się pod jej gołymi nogami, a szorstka grzywa wplątuje się między palce. W oddali nad wzgórzami przetoczył się grzmot.

Pokonały ostatnie wzniesienie. Potem, kiedy Shelby zacisnęła palce na cuglach, zdenerwowana klacz zaczęła zwalniać, aż wreszcie, potrząsając łbem, szła stępą szlakiem, który opadał w kierunku odnogi rzeki, na najdalej wysuniętym na północ skraju rancza. Na rudym grzbiecie lśnił pot. Słychać było łopot skrzydeł nietoperzy. W powietrzu mieszał się zapach kurzu i dzikich kwiatów.

Odnogę rzeki porastały dęby; ich ciemne sylwetki wydawały się przytłaczające i złowrogie. Shelby zmrużyła oczy i wśród ciemności rozglądała się za Nevada. Cały czas trzymała kciuki i po cichu modliła się, żeby tu był.

- Proszę - szeptała do wtóru oddechom klaczy i stukotu jej podków. A potem zobaczyła czerwony czubek zapalonego papierosa, latarnię wśród pogrążonych w cieniu drzew.

- Udało ci się. - Głos Nevady przenikał wprost do jej serca.

- Oczywiście, że tak. - Przerzuciła nogę nad grzbietem konia i zeskoczyła na ziemię. - Mówiłam, że przyjadę.

Ostatni raz zaciągnął się papierosem, upuścił go i rozgniół obcasem.

- To nie jest dobry pomysł.

- Tak mówiłeś. - Przywiązała klacz do młodego drzewa i powoli podeszła do Nevady. Pomimo ciemności rozpoznawała jego ostre rysy i wyniosłą postawę. W znoszonych dżinsach i T-shircie wydawał się znacznie bardziej przystępny niż w mundurze policjanta. - Chyba jednak się mylisz.

- Ty tak uważasz, prawda?

- Mmm. Co mogłoby być w tym złego? - zapytała, stając tuż przed nim, dotykając stopami jego stóp, i śmiało oplótła ramionami jego szyję.

- To mogłoby się skończyć kłopotami.

- Może ja chcę kłopotów - wypaliła bez ogródek. Była zszokowana własnym zachowaniem.

- Nie chcesz. Uwierz mi. - Ale jego ramiona objęły ją w pasie, a silne mięśnie dawały poczucie pewności.

- Nie wiesz, czego chcę.

- Jesteś pewna?

- Mm, aha.

Woda w rzeczce zabulgotała, a uzda klaczy lekko szcęknęła. Owady brzęczały, wiatr się wzmógł i więcej chmur zasłaniało księżyc.

- Chcesz tego, czego chcą wszystkie kobiety, księżniczko - mruknął, pochylając się tak bardzo, że jego oddech zdawał się szeptać między jej włosami, a słowa pieściły jej ucho. Shelby zadygotała. - Chcesz mężczyzny, który będzie zaspokajał twoje potrzeby, będzie się tobą opiekował i da ci mnóstwo dzieci.

- Nie ja - potrząsnęła głową.

- Dlaczego jesteś inna?

- Ty mi powiedz. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w górę, w jego pogrążone w cieniu oczy.

Białe zęby błysnęły w lekceważącym uśmiechu.

- Dobrze. Po pierwsze jesteś cholernie bogata.

- Nie, chodzi mi o to...

- No a poza tym jesteś córką sędziego Cole'a..

- Ale...

- W dodatku jesteś rozpieszczona, harda, pewna siebie i cięta jak bat.

Nie wiedziała, czy ma potraktować jego słowa jak komplement, czy jak zniewagę.

- Zaraz, zaraz...

- Jesteś prymuską w szkole, bezczelnie flirtujesz z chłopakami, z którymi nawet nie masz zamiaru się umówić, jeździsz tym swoim cholernym żółtym kabrioletem za szybko i za dużo wkuwasz. Czasami zachowujesz się jak zepsuty bachor, ale bywa też i tak, że wydajesz się ponad wiek mądra i dojrzała. - Mocne palce wplotły się w jej włosy, odchyliły jej głowę i zmusiły, by patrzyła na skapaną w mroku twarz. - Mówiłaś mi, że chcesz porozmawiać o czymś ważnym, że muszę się z tobą spotkać, i to było cholerne kłamstwo, oboje o tym wiemy.

- Najważniejsze, żebyśmy byli razem. Nie sądzisz?

- Ja tylko próbuję mądrze się zachować.

- A nie jesteś mądry?

- Nie. Prawda jest taka, że nie wiem, co z tobą począć, Shelby Cole - przyznał i po raz pierwszy, odkąd Shelby go знаła, wyczuła nutę desperacji w jego głosie.

- Kłamczuch - droczyła się z nim.
- Mówię serio.
Och, gdyby to była prawda! Kochaj mnie, Nevada, och, proszę cię, tylko kochaj mnie! Nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie tych słów.
- Ja też mówię serio - odparła.
- I to cholernie mnie przeraża.
- Dlaczego?
- Ponieważ nie mogę się angażować w związek z tobą, Shelby.
- Ty już się zaangażowałaś.
Gdzieś w górze ptak zatrzepotał skrzydłami, a w liściach żywodębów zaszumiał wiatr. Nevada pocałował Shelby w czoło i poczuła, że jego ciało drży.
- Ty i ja...
- Nie mów tego. - Położyła palec na jego ustach. - Nie mów, że jesteśmy z innych światów albo czegoś równie oklepanego - szepnęła. - Ja wiem. To nie ma znaczenia.
- Ależ ma znaczenie. - Poruszył ustami, które przykrywała palcem, i polizał jej skórę, budząc w niej dreszcze. Wodziła palcem po jego wargach i usłyszała wydobywający się gdzieś z głębi jęk. Opuszkami wywierała lekki nacisk, aż rozchylił usta, otoczył językiem jej palec i zaczął go delikatnie ssać.
Shelby zadrżała, czując, jak wrze w niej krew. Miała wrażenie, że w jej ciele szaleje ogień. Chciała go całować, dotykać go, doświadczyć cudu kochania się z nim.
Odsunął głowę.
- Nie rób tego - ostrzegł ją.
- Dlaczego nie?
- Nie musimy znowu przez to przechodzić. - Puszczając ją, zaklął pod nosem i cofnął się o krok.
- Nevada.
Gniewnie wpił palce w swoje włosy.
- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz - sapnął ze zdenerwowania. Zauważyła, jak napięte są jego szerokie barki, kiedy podszedł do brzegu rzeczki i, wyciągnąwszy ręce do góry, uwiesił się nisko opadającej gałęzi jednego z dębów.
- Oczywiście że mam.
- A skąd?
- Ja... wiem, co się dzieje między mężczyzną i kobietą.
- Czyżby? - W jego głosie zabrzmiało szydercze niedowierzenie.
- Tak! Wychowałam się na ranczu. Patrzyłam na byki z krowami i na ogiery, które doprowadzano do klaczy. To znaczy, nie pozwalano mi patrzeć - przyznała, podchodząc do niego od tyłu i obejmując go w pasie - ale i tak się gapiłam.
Wzdrygnął się.
- No cóż, z ludźmi jest trochę inaczej.
Położyła głowę między jego łopatkami, przytuliła się do niego mocno i słyszała jego oddech. Dobry Boże, czy to jego serce waliło tak szaleńczo, czy jej? Pachniał dymem i piżmem, a jej dotyk sprawiał, że jego twarde mięśnie napinały się jeszcze bardziej.
- W jakim sensie inaczej?
- Nie udawaj idiotki, Shelby. To nie w twoim stylu.
- Nevada, czy ty mnie nie chcesz?
Wydał cichy jęk, a potem, chwyciwszy rękę Shelby, która spoczywała na jego brzuchu, pociągnął ją w dół, w okolice rozporka. Zaczęła wyszarpywać rękę, ale on był silny i przycisnął jej dłoń do wypukłości między swoimi nogami.
- Jak myślisz? - zapytał i puścił ją.
Nie była w stanie myśleć.
- To...to jest...jest naturalne.
- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, księżniczko. To, o czym mówimy, jest niebezpieczne.
- Nevada, ja chyba cię kocham. - Te słowa nieoczekiwanie wyrwały jej się z ust.
- O, cholera, nie. Ty nie masz pojęcia o miłości. - Odwrócił się i ponownie spojrzał jej w oczy. Tym razem dostrzegła w jego twarzy coś więcej niż gniew. Oczy Nevady skrywały inną emocję: wielki ból, którego nie rozumiała.
- Wiem, co czuję.
- Jesteś dzieckiem.
- W przyszłym roku kończę osiemnaście lat.
- Powtarzam ci, jesteś dzieckiem. - Oparł się czołem o jej czoło i westchnął. - Lepiej już idź sobie.
- Nie.

Staneła na palcach i łagodnie pocałowała go w usta. Poczwała jego opór i pocałowała go znowu, tym razem wolniej. Nevada rozchylił usta i zaczął wodzić językiem po jej zębach. Objął ją ramionami. Kiedy całował ją, długo i mocno, wydawało się, że świat przestał istnieć. Miała wrażenie, że kości jej kruszeją, a krew zaczyna wrzeć. Jęknęła cicho, kiedy schylił głowę i pocałował kącik jej ust i kark. Musnął wargami miejsce w pobliżu obojczyka, i wtedy Shelby zadygotała, pragnąc więcej - o Boże, pragnęła o wiele więcej.

Trzymając ją w mocnym uścisku, ocierał się o nią. Twardy rozporek jego dżinsów wciskał się w jej brzuch, a ona czuła przez szorty, jaki jest rozgrzany, jak bardzo jej pożąda.

Powoli cofała się pod jego naporem, aż dotknęła pośladkami pnia drzewa. Przypierał ją do niego, wplatał ręce w jej włosy i wyciskał magiczne pocałunki na każdym skrawku jej ciała.

- Tego chcesz, Shelby? - zapytał.

- Tak.

Pocałował ją mocniej, wpychając język w jej usta, oddychając chrapliwie. Miażdżył jej piersi, przywierał do jej nóg swoimi nogami. Zadrzała z podniecenia, kiedy wyciągnął jej bluzkę z szortów i położył rękę na jej brzuchu. Potem przesuwając dłoń coraz wyżej, aż jego palce wpełzły pod stanik Shelby, odnalazły jej piersi i zaczęły muskać sutek.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Och Boże, tak. Bezwiednie ściągnęła uda i znowu jęknęła. Nevada rozpiął jej bluzkę, zsunął ramiączko stanika, a potem uniósł jej pierś i powoli, jakby chciał ją torturować, drażnił jej sutek językiem i zębami.

Zaczęła odczuwać ból gdzieś w środku. Pulsowanie. Żądze, jakiej nigdy wcześniej nie doznała. Cudownie było przytulać się do niego, całować go, robić rzeczy, na które dotychczas nigdy się nie odważyła. Miała świadomość, że właśnie przekracza drzwi, które zamkną się za nią raz na zawsze, a mimo to nie potrafiła oprzeć się pokusie.

Wyginając ciało, mocniej przywarła do niego biodrami. Czuła jego twardość, czuła jak gładka jest jego skóra, łąknęła dotyku.

Nevada nie przestawał całować jej i ssać. Chwyliła jego głowę i przyciągnęła go bliżej, doświadczając rozkoszy i bólu, kiedy jego zęby delikatnie drasnęły jej skórę, a nabrzmiała pierś wciąż domagała się pieczyoty.

- To szaleństwo - mrucał Nevada.

Shelby odchyliła głowę do tyłu. Przywarli do siebie i osunęli się na ziemię. Kiedy Shelby leżała na plecach, Nevada podniósł głowę i wpił się z całej siły w jej usta. Ściągnął jej bluzkę przez głowę i sięgnął do zapięcia stanika na plecach, a potem odpiął je i obnażył jej piersi. Jego wargi i ręce były wszędzie: pocałunki i pieczyoty sprawiały, że drżała z pożądania.

W uszach czuła zwariowane tętno swojego serca. Wbiła palce w plecy Nevady, aż w końcu przerwał na chwilę, zerwał z siebie koszulkę i rzucił ją na bok. Steżale mięśnie napięły się, kiedy ją uniósł i przycisnął. Ocierał się o nią twardą, nagą skórą, a ona odważnie dotykała opuszkami palców jego płaskich sutków, ukrytych w gąszczu skręconych włosów. Natychmiast stwardniały. Szybko, jakby przystępował do ataku, chwycił ją za nadgarstki.

- Uważaj...

- Na co?

- Na mnie.

- Mam się bać? - droczyła się.

- O, tak.

W odpowiedzi opuściła rękę i przesuwając palce po jego skórze, aż dotarła do paska dżinsów. Wciągnął powietrze i wtedy dotknęła jego nabrzmiałego członka.

- Słodki Jezu - szepnęła, a ona pociągnęła rozporek.

Guziki pękały z trzaskiem i znoszone levisy Nevady szybko się rozchyliły. Shelby zaczęła ściągać mu dżinsy z bioder, kiedy chwycił jej nadgarstek twardymi jak stal palcami. - Przychodzi taki czas, Shelby, kiedy żaden mężczyzna, naprawdę żaden mężczyzna nie potrafi się już zatrzymać.

Z trudem przełknęła ślinę, spojrzała w jego szare, pełne żaru oczy i powoli wyciągnęła rękę. Znowu zaparło mu dech w piersiach i zamknął oczy, a ona wyjęła jego gruby członek i zaczęła przesuwając po nim palcami.

- Shelby, nie... - ostrzegł ją. - Nie wiem czy... och Boże.

Zareagował błyskawicznie. Zrzucił buty i dżinsy, a potem sięgnął do zapięcia jej szortów. Opadły z cichym szelestem: wydawało im się, że ten szelest odbija się echem po okolicznych wzgórzach. Bez wysiłku zsunął jej resztę ubrania i zanim zdążyła odetchnąć, już leżała przy nim naga, czując chłodny powiew wiatru, który przyprawiał ją o gęsią skórę; słyszała szmer wartkiego nurtu rzeki, a w oddali łoskot grzmotu.

Nagie ciała kochanków przywarły gwałtownie do siebie, wargi odnalazły się w mroku. Shelby całowała i była całowana, cały czas wbijając palce w twarde, umięśnione plecy Nevady. Nie ma odwrotu, ostrzegał ją głos wewnętrzny, ale ona nie zwracała na niego uwagi ani się nim nie przejmowała.

- Boże, jesteś piękna - powiedział Nevada, wpatrując się w nią i delikatnie rozsuwając jej kolana. - Diabelnie piękna.

Miała wrażenie, że pożądanie rozpala jej żyły. W powietrzu unosił się zapach seksu.

- Kocham cię, Nevada - szepnęła z zapałem.

Zamknął oczy. Zawahał się.

Nie mógł przestać. Nie teraz. Przyciągnęła go do siebie i szeptała mu ochryple do ucha:

- Pragnę cię, Nevada, proszę... Kochaj mnie.

Objął ją ramionami i zagłębił w jej ciele, zrywając kruchą barierę dziewictwa. Kiedy krzyknęła, mocno ją przytulił.

Odtąd nic już nie miało być tak jak dawniej.

Rozdział 8

Wyryłam twoje inicjały na palu do przywiązywania koni przed drogerią - szepnęła, wtulona w ramiona Nevady. Patrzyła w górę, przez gałęzie drzew, na gwiazdy, które szybko znikwały. Nadciągały chmury. Grzmoty, które wydawały się tak odległe, znacznie się przybliżyły i Shelby ujrzała błyskawice nad wzgórzami.

- Naprawdę?

- Mmm. - Wtuliła się w niego, cicho westchnęła i słuchała jego oddechu, czując, jak powoli gaśnie żar ekstazy. A więc to tak czuje się kobieta, kiedy kocha się z mężczyzną, kiedy ma go w sobie, kiedy chce, żeby ich ciała się połączyły.

Seks z Nevada napawał ją strachem i radością. Najpierw bolało, a potem było niesamowicie.

- Na tym słupie w środku miasta?

- Tak. Od spodu.

- Co też ci przyszło do głowy?

Wzruszyła ramionami. Nagle poczuła się młoda i głupia.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Wolałbym nie wiedzieć, co uważasz za zły pomysł.

Zachichotała; wiedziała, że zakochuje się w nim na zabój.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Wiesz, myślę, że można byłoby to uznać za przestępstwo. Profanacja punktu orientacyjnego w miejscu publicznym, akt wandalizmu czy...

Przewróciła się na brzuch i zamknęła mu usta pocałunkiem. Chociaż jeszcze była obolała, to jednak pragnęła być blisko niego, czuć jego ciało. Otoczył ją ramionami i pokręcił głową, kiedy się na nim położyła.

- Niezły z ciebie numer. - Przywieriał ustami do jej piersi.

- Co?

- Nie wiem. Nie umiem tego dobrze rozgryźć.

- Spróbuj.

- Uwierz mi, próbowałam - odparł i znowu ją pocałował. Tym razem mocniej. Natarczywie.

Rozchyliła usta i westchnęła. Gładził jej plecy, a po chwili jego ręce ujęły jej pośladki. Szorstkie od pracy fizycznej dłonie przylgnęły do jej delikatnej skóry. Zatopił w niej palce. Pachnący deszczem wiatr owiał nagie ciało Shelby, buszował w jej włosach. Gdzieś w pobliżu zahuczała sowa.

Shelby czuła przyjemne mrowienie. Całował jej piersi, ssał sutki.

Miała wrażenie, że krew w niej wrze. Nevada ssał jej piersi coraz mocniej. Zamknęła oczy i poczuła, jak twardnieje jego członek.

- Znowu? - wyszeptała z niedowierzaniem i zanim zdążyła zadać następne pytanie, on przesunął się trochę, tak żeby znowu znaleźć się w niej. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy wygiął plecy do tyłu, napinając mięśnie pośladków. Przytrzymał ją mocnymi rękami, a ona zaczęła się kołysać, dostosowywać do jego powolnego rytmu, zatracając się w magii tej nocy.

Jej wyobraźnię opanowały erotyczne obrazy. Pożądanie sprawiło, że zupełnie straciła nad sobą kontrolę. W tej jednej chwili Nevada był dla niej wszystkim, jej początkiem i końcem. Zamknęła oczy, czując, że zawładnęła nią żądza, że pulsuje w niej ból i pragnienie. To on je obudził i tylko on mógł jej przynieść ulgę.

- Nevada! - krzyczała ochryple - o Boże... Nevada... - Poruszał się teraz szybciej i czuła, że zatraciła się w jego zapale, w cudowności tej nocy. Oddychała krótko, spazmatycznie; na jej ciele wystąpiły kropelki potu, serce biło bez opamiętania, a umysł wymykał się spod kontroli.

- Kocham cię.

Czy to ona powiedziała? A może on?

Z nieba zaczęły spadać krople deszczu.

- Nevada... o Boże... - Wpiła palce jeszcze mocniej w mięśnie jego barków.

Jęknął. Przygwoździł ją jeszcze mocniej i zwiększył tempo.

- O, tak, właśnie tak, och, Shelby...

W tym momencie jej ciałem wstrząsnął spazm niepohamowanej rozkoszy. Krzyknęła i zaraz potem Nevada wydał przeciągły jęk i wytrysnął w nią. Ogień i lód; w środku Shelby czuła żar, lecz jej skóra już stała się chłodna pod wpływem pierwszych kropli deszczu.

Zadygotała i opadła na jego ciało, wyczerpana.

Słyszała, jak głośno wali mu serce. Z trudem łapał powietrze.

Niebo się otworzyło.
Shelby poczuła strumień zimnych kropli na obnażonych plecach.
Nevada poruszył się, wplatając ręce w mokre kosmyki jej włosów.
- Utopisz się - drażnił się z nią, wciąż nie mogąc złapać tchu.
- Nie przejmuję się tym.
- No, to będziesz się przejmowała.
- Nigdy. - Leżała na nim i śmiała się, czując, jak deszcz ścieka jej po nosie.
Objął ją mocnymi ramionami i pocałował w skroń.
- O, tak, księżniczko, uwierz mi, będziesz, i to bardzo.
- Nie znasz mnie.
- Znam cię dostatecznie dobrze - odparł i klepnął ją lekko po pupie. - Chyba powinniśmy zabrać ubrania i pognać do mojego wozu. Zaparkowałem go po drugiej stronie ogrodzenia, pół kilometra stąd.
- Pół kilometra?
- Nie chciałem, żeby ktoś nas przyłapał.
Zaśmiała się, słysząc o takiej ostrożności.
- No, chodź, podwiozę cię, dokąd zechcesz.
Ta propozycja brzmiała cudownie, ale Shelby nie mogła aż tak ryzykować. Już i tak nazbyt kusiła los. Nawet w tej chwili ojciec mógł zadzwonić do domu Lily i zdać sobie sprawę, że jego jedyna córka go okłamała. Znała go i wiedziała, że na pewno zawiadomiłby policję albo, co gorsza, zorganizowałby własną ekipę poszukiwawczą z robotników z rancza.
Mrużąc oczy pod wpływem ulewy, zerknęła z niepokojem na ciemne niebo i zadrżała. Och, jakże pragnęła teraz odjechać z Nevadą Smithem i odtąd być z nim na zawsze.
- Muszę odprowadzić klacz z powrotem na ranczo i pozwolić jej ochłonąć - powiedziała. - To może być trudne.
Deszcz przybrał na sile, lało jak z cebra.
- Czułbym się lepiej, gdybyś pojechała ze mną - przesunął rękę po jej mokrym udzie w kuszącym geście.
- Nie mogę. Naprawdę. - Wbrew sobie zsunęła się z Nevady, podniosła swoje mokre majtki i szorty i włożyła je.
Szukając butów w błotnistej trawie, doświadczała nowych emocji: wreszcie czuła się prawdziwą kobietą.
- Shelby..
- Naprawdę. Muszę wrócić na ranczo.
Nic nie odpowiedział, tylko pomógł znaleźć jej stare buty. Kiedy je wkładała, rzucił jej bluzkę i stanik.
- Nie podoba mi się to.
- Nic mi nie będzie - zapewniła, chociaż była już całkiem przemoczona.
Chwycił swoje dzinsy i wstał. Ujął jej rękę w łokciu.
- Lepiej będzie, jeżeli pójde z tobą.
- Nie bądź niemądry - sprzeczała się, ale cieszyła ją myśl, że chciał z nią być, odprowadzić ją bezpiecznie do domu. Ten kowboj miał serce dżentelmena. - Przyjechałam tu sama i dam radę wrócić do domu.
Nie przekonała go.
- Byłoby lepiej...
- ...gdyby nikt się nie dowiedział, że byliśmy razem - dokończyła za niego, nic sobie nie robiąc z jego zatroskanego tonu. Zapięła stanik, a potem, czując dreszcze, włożyła bawełnianą bluzkę z krótkimi rękawami. - Okej?
Zawahał się, zaklął pod nosem i chwycił ją w objęcia, żeby wycisnąć na jej ustach ostatni, desperacki pocałunek. Strumienie wody lały się z nieba, a wiatr chłodził jej skórę.
- Zadzwoń do mnie, kiedy dotrzesz do domu - nakazał. Stał nagi w mroku, przemoczony do suchej nitki. - Chcę mieć pewność, że nic ci nie jest.
- Zadzwonię - obiecała, wzruszona, że tak się nią przejmuje.
Szybko włożył dzinsy.
Usiłując zapiąć guziki przy bluzce, mrugała oczami i wmawiała sobie, że to tylko deszcz, że to nie mogą być jej łzy. Krople ściekały jej po nosie i podbródku. Palce nagle wydały jej się grube i niezdarne.
- Pozwól, że ci pomogę. - Nevada jeszcze nie zdążył zapiąć rozporka, a jego bosa stopy stawały się coraz bardziej ubłocone. Odsunął ręce Shelby i ostrożnie zapinał kolejne perłowe guziczki. - Proszę bardzo.
- Dzięki.
- Cała przyjemność po mojej stronie. - W ciemności nocy widać było wyraźnie biel jego zębów. Uśmiechał się krzywo. - Uważaj na siebie, Shelby - powiedział szorstko, ujął jej twarz w dłonie i z całej siły wpił się w jej usta.
Kiedy odsunął się od niej, skinęła głową w milczeniu; jego czułość sprawiała, że serce jej się krajało.
Pomógł jej wsiąść na konia i stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami złożonymi na piersi, gdy ona ścigała przemoczone lejce i cicho cmokała. Klacz nie potrzebowała zachęty. Węsząc wiatr nozdrzami, ruszyła z kopyta i zaczęła się piąć po wzgórzu, żeby jak najszybciej wrócić do stajni.
Obejrzawszy się przez ramię, Shelby po raz ostatni ujrzała ciemną sylwetkę Nevady. Potem w ulewnym deszczu

straciła go z oczu.

Nadeszła pora powrotu do domu.

- No, dalej. - Poklepała klacz, kiedy dotarły na wzgórze.

Burza rozszała się na dobre. Wiatr i woda mocno targwały trawą. Błyskawice przypominały niesamowite, postrzępione palce. Nad wzgórzami przetoczył się kolejny, donośny grzmot.

Mrużąc oczy, Shelby pochyliła się do przodu i spięła konia butami. Klacz szarpnęła się, wyciągając długie nogi i stukając podkowami o błotnisty grunt. Piekący ból między nogami przypomniał Shelby o jej miłosnych zmaganiach z Nevadą i uśmiechnęła się mimo wiatru i deszczu. Co z tego, że była przemoczona do suchej nitki, że ojciec mógł ją przyłapać i przeświecić, że mokre końskie włosie boleśnie ocierało jej gołe nogi? Warto było. Teraz, dzięki Nevadzie Smithowi, była naprawdę kobietą.

Klacz coraz szybciej galopowała przez pola. Shelby mrugała oczami i ocierała je jedną ręką, drugą zaś kurczowo trzymała skórzane lejce i grzywę Appaloosy. Noc była ciemna, bezksiężycowa, trawiaste połacie wydawały się surowe i ponure. Shelby jechała na wyczucie, ufając intuicji swojego konia i własnemu zmysłowi przestrzennemu.

Jak późno mogło być? Czy jej ojciec dzwonił? Co ją czeka, kiedy wróci ma ranczo? Co będzie, jeśli ktoś - na przykład Ross McCallum - znajdzie jej wóz? Problemy, które dotychczas odsuwała, teraz urastały w jej głowie do monstrualnych rozmiarów. Co powie? Czy sędzia uwierzy w jej kłamstwa? Prawda by go zabiła.

Drżąc i szcękając zębami z zimna, czuła, że bluzka przylepia jej się do skóry, a z włosów cieknie woda i płacze je wiatr, teraz bardzo zimny i porywisty.

- Szybciej, malutka - nakazała. - Galopem. - Zwierzę przyśpieszyło, rozpryskując błoto kopytami. Minęło starą chatę i pole, na którym mimo burzy pasły się longhorny.

Ciemne niebo rozogniła nieregularna błyskawica i spłoszona klacz zboczyła z drogi.

Shelby pochyliła się do przodu, kurczowo złapała się grzywy i jakoś zdołała utrzymać w siodle. Z bijącym sercem wyprostowała się i dostrzegła błękitną poświatę latami rancza. Najbardziej wysunięte zabudowania lśniły dziwnie w strugach deszczu.

- Boże, dopomóż mi - szepnęła.

W baraku było ciemno, ale światła zainstalowane dla ochrony rancza mimo wszystko trochę rozjaśniały mrok. Na szczęście żadne światło nie padało ze stajni. Nikt nie zauważył braku klaczy.

Mimo wszystko Shelby zachowywała ostrożność. Kazała jej zwolnić i zeskoczyła z niej w pewnej odległości od oświetlonego terenu. Jej buty chlupały w coraz grubszej warstwie błota. Uważnie nasłuchiwała dźwięków świadczących o obecności człowieka lub psa, a jednocześnie prowadziła klacz do cieplej, suchej stajni. Kiedy tam doszły, odpięła uzdę, ściągnęła ją przez łeb klaczy i zamknęła zwierzę w boksie. Marzyła teraz tylko o tym, żeby uciec stąd jak najdalej, wtopić się w ciemność, żeby jej nie przyłapali. Mimo pośpiechu wyszczotkowała Appaloosę i wytarła ją, mając zapewne płonną nadzieję, że za parę godzin, kiedy konie będą oporzędzane, nikt z pomocników nie zauważy zmiany w wyglądzie klaczy.

Powiesiła uzdę na kołku i w głębi duszy modliła się, żeby nikt nie zauważył upręży i nie zaczął się zastanawiać, dlaczego jest taka mokra.

Potem lekko uchyliła drzwi i wysliznęła się na zewnątrz. Nie było większości furgonetek, które wcześniej stały zaparkowane przy szopie z narzędziami;

Shelby nie widziała też nigdzie psa, ale czuła, że ktoś lub coś ją obserwuje.

Coś ci się przywidziało, wmawiała sobie, pędząc przez pola, ale nie mogła pozbyć się uczucia, że czyjeś oczy z ukrycia śledzą jej każdy krok. Przygryzła wargę i prosiła Boga, żeby jej kabriolet nadal stał w kryjówce. Udzielił jej się niepokój Nevady. Burza tylko potęgowała jej zdenerwowanie. Nie mogła się doczekać, aż pokona dystans dzielący ją od ojcowskiego rancza.

Musiała przebiec przez strumyk. Pośliznęła się na mokrej trawie i błocie, kiedy gramoliła się na drugi brzeg. Ze skulonymi przed deszczem ramionami pognęła do miejsca, w którym zaparkowała swój wóz za gąszczem z krzewów mesquite. Mały żółty kabriolet stał tam, gdzie go zostawiła: ponieważ opuściła dach, wewnątrz było mokre od deszczu.

Tym Shelby się nie przejmowała. Samochód przecież wyschnie.

- Dziękuję - wyszeptwała na wypadek, gdyby Bóg jej słuchał.

Pełna wdzięczności, usiadła za kierownicą. Otarła mokre oczy, zerknęła we wsteczne lusterko i zauważyła, że jej usta są spuchnięte, źrenice rozszerzone, a włosy ulizane. Mimo to uśmiechnęła się do swojego odbicia. Teraz pojedzie do domu, po cichu wejdzie do domu, weźmie prysznic, przebierze się i resztę nocy będzie śniła o Nevadzie. Wszystko będzie w porządku.

Błyskawicznie uruchomiła silnik i wrzuciła wsteczny bieg. Cofnęła wóz o jakieś pół metra - potem koła zaczęły boksować, a porsche przechyliło się na bok.

- No, dalej, dalej. - Zmniejszyła gaz, a po chwili ponownie mocno nacisnęła pedał. Opony znowu się obróciły, ale samochód nie mógł ruszyć z miejsca. Wrzuciła jedynkę i dodała gazu. Kabriolet znów się przechylił. Koła obracały się jak zwariowane. Kiedy zdjęła nogę z gazu, wóz odzyskał stabilność.

- Nie rób mi tego. Proszę cię. Nie teraz. - Ponawiała próby, aż zaparowały szyby. Zaczęła się intensywnie pocić

pod pachami i uświadomiła sobie, że tylne koła wozu grzęzną w głębokich brzdach. Kiedy otworzyła drzwi i wysiadła, jej buty również ugrzęzły w błocie.

Świetnie, pomyślała z pełną goryczy ironią. Po prostu rewelacja.

Przedarła się przez gąszcz krzewów mesquite do miejsca, w którym rozpedzona woda przelewała się po żwirze. Wyglądało na to, że sytuacja ciągle się pogarsza.

Wróciła do wozu i uklękła obok tylnego koła. Pogrzebała pod nim i zobaczyła, że nie dość, że opona ugrzęzła w głębokiej koleinie, to jeszcze zapadła się, prawie do osi, cała tylna część porsche.

Zrozumiała, że bez podnośnika nie uda jej się stąd wydostać.

I co teraz? - zastanawiała się, patrząc przez strugi deszczu na odległy o kilkaset metrów dom na ranczu. Wiedziała, jak dostać się do środka, gdzie wisi komplet kluczy do pikapa chevy, należącego do jej ojca. Mogłaby znaleźć łańcuch w szopie z narzędziami i za pomocą latarki, sprytu, wysiłku i dużego fartu owinąć nim ośkę, przymocować drugi koniec do pikapa i, jeśli nie wydarzyłaby się kolejna katastrofa, wyciągnąć wóz z błota.

Może jej się uda.

Pod warunkiem, że wszyscy robotnicy z rancza pojechali do miasta.

Teoretycznie było to mało prawdopodobne. Według umowy ranczo musiało być strzeżone dwadzieścia cztery godziny na dobę, a zatem zawsze powinien tu być któryś z robotników - przeważnie brygadzysta. Jednak w piątkowe wieczory wszyscy zazwyczaj wymykali się do miasta. Shelby mogła liczyć, że będzie tak i tym razem.

Wiele ryzykowała, mogło się to źle skończyć, ale jaki miała wybór?

- Musisz spróbować - powiedziała sobie i zaczęła biec w stronę domu. Była zupełnie przemoczona i brudna jak wieprzek tarzający się w błocie, ale to w tej sytuacji było nieważne. Ciężko dyszała. Strach dodawał jej sił. Zwolniła dopiero w odległości kilkudziesięciu metrów od baraku, gdyż tam mogła się spodziewać złego psa lub jakiegoś wynajętego gościa o równie podłym charakterze. Poruszała się cicho, wdzięczna losowi za to, że krople deszczu nieustannie bębnią w kałuże i strugi wody ściekają z rynien przy wtórze głośniego szumu wiatru.

Psa wciąż nie było widać, od razu więc pobiegła do domku na ranczu, zostawiła ubłocone buty na tylnym ganku i weszła do kuchni. Przygryzając wargę, wyciągnęła rękę w prawo. Jej palce namacały zapasowy pęk kluczy na haczyku w ścianie. Klucze głośno zabrzęczały. Gdzieś na dworze rozległo się szczekanie psa. Shelby poczuła, że ze strachu boli ją brzuch. Nie marnowała ani chwili. Chwyciła wszystkie klucze, wepchnęła je do kieszeni szortów, a potem cichutko zamknęła drzwi i wcisnęła buty.

Na razie wszystko szło gładko.

W kilka sekund zesza z ganku i okrążyła budynek. Przez chwilę biegła w cieniu, w stronę widocznego w drżącym świetle latarni podwórza, skąd było już blisko do wozu. Obejrzała się przez ramię. Nie widziała ani człowieka, ani psa, otworzyła więc drzwi.

W środku natychmiast zabłysnęło światło. Rozdygotana Shelby wsunęła się za kierownicę i zamknęła drzwi. Światło zgasło, ale była pewna, że została przyłapana. Szczękając zębami, spróbowała użyć pierwszego klucza. Bez powodzenia. Drugi również nie pasował. Kiedy trzeci klucz też na nic się nie przydał, tak się zdenerwowała, że ledwo mogła ruszać palcami. A jeśli zostawiła jakiś komplet kluczy w domu? Jeśli żaden klucz nie był właściwy? A jeśli?...

- Kto tam, do cholery? - zabrzmiał donośny głos.

Shelby aż podskoczyła. Pisnęła. Wyrznęła w kierownicę.

Klakson zaryczał. Gdzieś na zewnątrz rozległo się ujadanie psa i w tym momencie ktoś gwałtownym ruchem otworzył drzwi samochodu.

Światło w środku znowu się zapaliło. W jego ostrym blasku Shelby patrzyła w rumianą, zaciętą twarz Rossa McCalluma. Mokre włosy oblepiały mu czaszkę, oczy przypominały szparki, a mina wyrażała ni to zaskoczenie, ni to satysfakcję. W wielkiej pięści ścisnął pistolet ze srebrną lufą.

Shelby omal nie zsiusiała się w majtki.

- A to dopiero, spójrzcie no, kogo my tu mamy? Córnia sędziego, akurat tutaj, w tym cholernym wozie.

W kabinie czuć było odór skwaśniałej whisky. Shelby poczuła mdłości.

- No i co ty wyrabiasz, malutka Shelby? Kradniesz staremu brykę?

- Pożyczam - wydusiła, śmiertelnie przerażona. Nie miała wyjścia, musiała blefować.

- A dlaczegoż to?

- Nie twój interes. - Przypominała sobie, że ten mężczyzna jest tylko wynajętym przez jej ojca robotnikiem, nikim więcej. Ale pamięć podsuwała fragmenty rozmowy, którą podsłuchiwała wcześniej w budynku na ranczu. W głębi duszy trzęsła się jak galareta. Nigdy w życiu nie była tak przerażona.

- Czy to ma jakiś związek z samochodem, który ukryłaś dalej? - Kiwnął głową w kierunku głównej drogi. Serce w niej zamierało, kiedy widziała, jak McCallum uważnie się jej przygląda, gapi na jej mokre włosy, prawie przezroczyście bluzkę, krótkie, przemoczone szorty. Gdzieś za nim warknął pies. - Tak, widziałem go, kiedy wracałem z miasta, wiesz, ten chrom znakomicie odbija światła reflektorów. - Uniósł brwi, jakby oczekiwał, że ona kiwnie potakująco głową. - Zatrzymałem się, zobaczyłem, że w taką burzę dalej nie pojedzie, i domyśliłem się, że wcześniej czy później gdzieś się tu pokażesz.

Ta uwaga ją dobiła. On na nią czekał. Śledził ją. Prawdopodobnie śmiał się w kułak.

Podrapał się po nieogolonym podbródku.

- No, to co tam knujesz? Nie, nie mów mi. Pozwól, że zgadnę. Poszłaś się kurwić z moim starym kumplem, zastępcą szeryfa, Nevadą Smithem.

- Jestem tutaj tylko po to, żeby pożyczyć wóz - skłamała, starając się mówić pewnym głosem. - Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć.

Czerwona, nieogolona twarz McCalluma się ożywiła.

- Nie, sędzę, że nie musisz. - Wydawało się, że zastanawia się nad tym, co przed chwilą usłyszał, i Shelby w swojej naiwności poczuła iskierkę nadziei. - Słuchaj no, wiem, że masz przerabane, bo nie dość, że siadł ci samochód, to jeszcze kombinujesz za plecami ojca i w ogóle, ale chętnie ci pomogę wydostać się z tego syfu, i nawet nikomu o tym nie powiem, jeśli chcesz.

Nie wierzyła mu. Nigdy by mu nie zaufała. Zerknęła z niepokojem na pistolet ze srebrną lufą, który McCallum wciąż ścisnął w ręce.

- Naprawdę. - Schylił się i wsunął do kabiny.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Ależ potrzebujesz, złotko - powiedział i zaczął wodzić swoim grubym paluchem po jej twarzy.

- Wynoś się!

- Tego nie mogę zrobić.

- Mówię poważnie, McCallum.

- Ach tak? I co zrobisz? - Przysunął się do niej, a ona szybko uciekła na drugi koniec i wyciągnęła rękę do klamki. Za późno. Złapał ją za szyję swoją wielką łapą i przyciągnął do siebie.

O Boże, strasznie mu cuchnęło z gęby.

Otworzył usta i pocałował ją. Shelby omal nie zwymiotowała.

- Zostaw mnie w spokoju.

- O nie, cukierczku. Nie zrobię tego. Nie teraz.

Strach zmroził jej krew. McCallum znowu ją pocałował. Odłożył pistolet na półkę. Shelby odczołgała się do tyłu, żeby się na niego zamierzyć, lecz on uderzył ją po ręce i zaśmiał się złośliwie, jakby jej nieudolne próby go bawiły.

Uderzyła go mocno, dłonią w policzek.

- Wynoś się, Ross, bo przysięgam...

- Nic nie zrobisz, tylko dasz mi to, co dałaś temu skundlonemu gnojowi - warknął i rzucił się na nią.

Walczyła z nim, krzyczała i drapała go po twarzy, lecz on tylko szczyrzył zęby w uśmiechu i spychał ją na fotel.

Łup! Wyrzuciła tyłem głowy w okno od strony pasażera. Poczowała przejmujący ból. Zobaczyła jasne światła, a potem świat zaczął ciemnieć przed jej oczami. Omal nie zemdląła, gdy tymczasem on próbował ją pocałować. Machała bezładnie rękami, aż udało jej się zadrapać go w policzek.

- Kurczę! Wiedziałem, że będziesz jak wściekła kotka - sapnął. Przygwoździł ją do siedzenia i przytrzymał jedną ręką oba jej nadgarstki nad jej głową. - Dla mnie może być. Lubię, jak kobieta trochę się opiera.

Shelby odrzuciła głowę do tyłu i splunęła. Ku jej osłupieniu, zlizął jej ślinę i cmoknął. Wyciągnął rękę i zaczął brutalnie obmacywać jej piersi.

Przepełniona obrzydzeniem, próbowała zepchnąć go z siebie. Poczwała, jak twardy jest jego członek. Usłyszała przerażający dźwięk odpinanej klamry paska i rozporoka dżinsów. O Boże, zamierzał ją zgwałcić.

A ona nic nie mogła zrobić.

Dosłownie nic.

- Nie! - krzyknęła, zła, że słyszy błagalny ton w swoim głosie. - Nie rób tego. Proszę. Ross, och, nie! - Wiła się bezradnie. Był za ciężki, za bardzo zdeterminowany. Czuła, że coś w niej umiera. Łzy ciekły jej po twarzy; z gardła wydobywały się okropne dźwięki, ni to krzyk, ni to szloch. - Nie, nie, nie!

- Spodoba ci się - mruknął, ledwo poruszając wargami. - Wszystkie zawzięte dziwki to lubią.

Próbowała odepchnąć go kolanem, ale on miał refleks. Przesunął się. Rozłożył jej nogi i przytrzymał, a potem odepchnął jej rękę.

- No, dziecinko. Wyluzuj się. Zaraz się zabawimy w wozie twojego tatusia. - Zalatywało od niego whisky. Szczecina na jego podbródku boleśnie ocierała jej twarz. Miał szorstkie ręce i ciężko sapał. - Wiesz, ślicznotko, czekałem na to całe życie.

Przez następny tydzień Shelby chodziła jak we mgle, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. Wciąż przypominała sobie ohydne, potworne wydarzenia tamtej nocy. Brała prysznic i kąpiele, próbowała zmyć z siebie brud, ale on wciąż czaił się tuż pod jej skórą i penetrował najmroczniejsze zakątki jej umysłu. Była apatyczna, niezdolna do życia. Ukrywała swój sekret, nie wyjawiała go nikomu. Unikała wypraw do miasta, nie chodziła do szkoły z powodu „migren”, a w nocy, kiedy była sama, kuliła się na łóżku i kiwała niespokojnie, przygryzając język, żeby łzy, które wypłakiwała w poduszkę, spadały bezgłośnie.

Lydia była zatroskana i próbowała zachęcić ją do jedzenia, mimo że Shelby nie mogła nic przełknąć. Ojciec

potraktował zmianę w jej zachowaniu jako kolejny etap dojrzewania.

- Och, małej Shelby nic nie będzie - usłyszała, jak ojciec mówi to zmartwionej gosposi. - To typowe wariactwa pod koniec roku. Wiesz, martwi się o to, czy ukończy liceum. Wszystkie dziewczyny w jej wieku przejmują się takimi rzeczami.

- Ale...

- No, nie martw się, Lydio. Nic jej nie będzie. Chyba nie zamierzasz jej matkować, co? Jesteś moją gosposią i doceniam to, że zżyłaś się z Shelby, ale wszystko będzie w porządku. W całkowitym porządku. Daj jej tylko czas, żeby się przystosowała.

Każdy spór kończył się w ten sposób, chociaż ciemne oczy Lydii pozostawały bardzo zatroskane.

Nevada dzwonił, ale Shelby nie odbierała telefonu. Nie była w stanie spojrzeć mu w twarz ani słuchać jego głosu. Unikała go w mieście i natknęła się na niego tylko raz, kilka tygodni później.

Jechała do domu ze szkoły, wciąż wracając myślami do tamtej wstrętnej nocy. Nevada, który nadal pracował w Biurze Szeryfa, kazał jej zatrzymać wóz.

Podszedł dużymi krokami do pracującego na wolnych obrotach kabrioletu i zażądał odpowiedzi, których ona nie potrafiła mu dać.

- Co się stało? - Stał przy oknie od strony kierowcy.

Shelby zaparkowała wóz na wysadzonej drzewami ulicy, niedaleko swojego domu. Och Boże, co mogła odpowiedzieć? Patrzyła na niego, ale nie była w stanie wydusić ani słowa. Nevada otworzył drzwi, wyciągnął ją na światło słońca i patrzył na nią tak gniewnie, że myślała, że zaraz się roztopi pod jego surowym spojrzeniem.

- Co, u diabła, się stało, Shelby? - powtórzył wolno, jakby mówił do osoby ograniczonej umysłowo.

- Nic - wydusiła.

- Akurat nic!

- Daj spokój, Nevada. - Och Boże, strasznie chciała powiedzieć mu prawdę, ale nie mogła. Nigdy by nie zrozumiał. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co przeżyła. Absolutnie nikt.

- Miałaś do mnie zadzwonić tamtej nocy. Odchodziłem od zmysłów.

- Zapomniałam. - Chrząknęła.

- Zapomniałaś? Wiesz, dość nasłuchałem się kitu w swoim życiu, żeby wiedzieć, kiedy ktoś chce mi coś takiego wcisnąć.

- Masz zamiar ukarać mnie mandatem czy coś w tym stylu? Bo jeśli tak, to po prostu zrób to, a jeśli nie, to lepiej już pojedę do domu - powiedziała to spokojnie, bez emocji, ale wiele ją to kosztowało.

- Odpychasz mnie.

Milczała. Patrzyła na mijający ich samochód; dwóch chłopaków, których znała, pędziło na złamanie karku. Myśleli, że Shelby jest karana mandatem, i ryknęli śmiechem, który zagłuszył ryk silnika, a nawet zgiełk heavymetalowej muzyki.

- Dzwoniłem.

- Byłam zajęta. - Nawet w jej własnych uszach ta wymówka brzmiała nieprzekonująco.

- Chodzi o twojego ojca.

Nic nie odpowiedziała.

Mocne palce zacisnęły się na jej przedramionach.

- Jeśli to skończone, w porządku. - Słyszając to, miała ochotę zapaść się pod ziemię. - Ale przynajmniej jesteś mi winna jakieś wyjaśnienie.

- Nic ci nie jestem winna - odparła głuchym głosem, chociaż po raz pierwszy od ataku Rossa coś poczuła, jakby echo namiętności, skrytej głęboko w odrętwiałym ciele i duszy.

Zacisnął zęby.

- W takim razie o co chodziło w tym wszystkim, w naszym spotkaniu nad rzeką jakiś miesiąc temu?

- Czy musi o coś chodzić? - Wbiła wzrok w ziemię, zauważyła zgnieciony kapsel od butelki w żwirze na wzniesieniu. Przełknęła ślinę.

- Shelby? - O Boże, czyżby w jego głosie słyszała nutę desperacji?

Chciała wykrzyknąć, że go kocha, że jej przykro, że wie, jak bardzo nieracjonalne i żałosne jest uczucie wstydu z powodu czegoś, co było poza jej kontrolą, ale gdyby to zrobiła, musiałaby powiedzieć mu prawdę, a na to nie mogła się odważyć. I nigdy się nie odważy.

- Czy musi o coś chodzić? Hm, tak, Shelby, musi.

- Ja... ja nie potrafię tego wyjaśnić.

- Spróbuj. - Desperację w jego głosie zastąpił gniew.

Wzięła głęboki oddech, ale nie potrafiła znaleźć słów. Wrona załopotana czarnymi skrzydłami i usadowiła się na drucie telefonicznym między gałęziami sękatego dębu.

- Spójrz na mnie.

Zebrała się w sobie i podniosła oczy. Zmusiła się do konfrontacji z jego pytającym spojrzeniem.

- Czy aż tak mocno cię zraniłem?

Miała ochotę umrzeć. Prawda dudniła w jej uszach, ale wstyd nie pozwolił jej ujawnić nic.

- Nie.

- No, więc?...

Cóż mogła powiedzieć? Nic. I dlatego milczała.

Spojrzał na nią gniewnie, jego wargi wygięły się w ponurym grymasie. W szarych oczach zbierały się gradowe chmury.

- To nieprawda, dobrze o tym wiesz - powiedział głosem, który w jakiś sposób przebił się do jej zrozpaczonego umysłu.

Zamrugła.

- Co?

- Że znowu widuję się z Vianą.

Jej serce, już i tak nieodwracalnie zranione, otrzymało kolejny ostry cios.

- Ja... ja nie rozumiem.

- To tylko gadanie, Shelby. - Bruzdy wokół jego ust stężyły i bardzo się pogłębiły. Z wnętrza jego wozu dał się słyszeć trzask radia. To nie ma znaczenia.

- Akurat, do diabła! - Szarpnął ją, gwałtownie przyciągnął do siebie i pocałował tak mocno, że nie mogła złapać tchu ani logicznie myśleć. Kiedy podniósł głowę, spojrzała na niego zapłakana. - To na tobie mi zależy. Niech mnie diabli porwą, Shelby, ale właśnie tak to wygląda.

Pociągnęła nosem, gdy tymczasem radio CB znowu zatrzeszczało i ktoś podał numer służbowy Nevady oraz słyszalną mimo zakłóceń komendę: „...oficer potrzebuje wsparcia...”.

- Cholera. Jego uścisk zelżał. Zdjął kapelusz i niecierpliwie wsunął palce we włosy. - Nie wierzysz mi.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - odparła, usiłując przezwyciężyć niezastuzone poczucie winy i poniżenia.

- Bez względu na to co się stanie, jesteś tą jedyną. - Spojrzenie jego szarych oczu było gorące i czyste. - Jesteś tą jedyną. - Odmaszerował do swojego wozu, wskoczył do środka, powiedział coś do mikrofonu i włączył światła i syrenę. Odjechał z piskiem opon, tak że unosił się za nim tuman kurzu.

- Przebolej to - powiedziała do siebie. Odnalazła w sobie odrobinę wiary w jego słowa. Wiedziała, że musi mu ufać, że musi odnaleźć poczucie bezpieczeństwa, jakiego zaznawała w jego ramionach, na nowo odkryć swoje ja, odzyskać wolę życia. Jadąc do domu, zerknęła we wsteczne lustro. - Nie pozwalaj, żeby Ross McCallum ci to robił. - Łzy ciekły jej po twarzy potokami, rozmazany tusz zostawiał czarne ślady. - Nie możesz pozwolić mu wygrać.

Zaparkowała blisko garażu, obiegła żywopłot i pognąła przez furtkę na schody na tyłach rezydencji. Z każdym stopniem przybywało jej determinacji i do głosu dochodziło poczucie godności, mocno nadwątlone, ale nie całkiem zniszczone. Nevada ją kocha. Sam jej to powiedział. To, co się stało tamtej nocy przed sześcioma tygodniami, już było skończone. I nie zdarzy się nigdy więcej. Przenigdy. Żaden mężczyzna, nie wyłączając takich szumowin jak Ross McCallum, nie będzie jej już nigdy terroryzował.

Na szczycie schodów lekko zakręciło się jej w głowie. Kiedy szła do pokoju, poczuła atak mdłości. Jej żołądek zbuntował się i domagał oczyszczenia. Pobiegnęła do łazienki; ledwo zdążyła dopaść do sedesu i zaraz zaczęły się torsje.

Zwymiotowała wszystko, co zjadła, a więc niewiele.

Upadła na zimną posadzkę, a potem przytrzymała się ściany i wstała. Opłukała usta pod kranem. Co się z nią dzieje? W głębi duszy wiedziała co, i zamartwiała się od kilku tygodni.

- O, nie. - Zwiesiła głowę.

W jednej chwili zawalił jej się świat i nie mogła już dłużej ignorować tego, co próbowała wyprzeć ze świadomości.

- Och Boże, nie. - Pobiegnęła do swojej sypialni, wzięła kalendarz i patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Proszę, nie - szeptała. - Tylko nie to...

Spóźniał jej się okres.

Nie o miesiąc, o nie. Minęło już prawie sześćdziesiąt dni, odkąd ostatni raz miesiączkowała.

- Boże, dopomóż mi - szepnęła i kolejny, chyba tysięczny raz, ogarnął ją żal, że nie ma przy niej matki.

Może źle policzyła, może jej cykl był zaburzony ze względu na koniec roku i fakt, że wkrótce miała ukończyć szkołę. Była zmęczona i zmartwiona, pogrążona w stresie i depresji z powodu gwałtu i... i... i... Przelknęła ślinę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wymówki, których kurczowo się trzymała przez kilka ostatnich tygodni, nie miały już sensu. Patrzyła smutnymi oczami na swoją ziemistą, niemal wychudzoną twarz.

Shelby Cole nie miała już wątpliwości: była w ciąży.

Rozdział 9

Teraźniejszość

Teraz, po dziesięciu latach, Ross McCallum wrócił do miasta. Jako wolny człowiek. Na myśl o tym Shelby

zadrżała. Leżąc w łóżku i patrząc na leniwie obracające się łopatki wentylatora pod sufitem, wmawiała sobie, że już nie czuje strachu. Od czasu, gdy po raz ostatni widziała McCalluma, wyprowadziła się od kontrolującego ją ojca, spędziła niezliczone godziny z terapeutami i psychologami, odzyskała szacunek do siebie i zdołała ukończyć college w Kalifornii. Ostatecznie wylądowała w Seattle, gdzie zaczęła studia magisterskie, a jednocześnie przystąpiła do egzaminu na pośrednika agencji nieruchomości. Nie dokończyła pracy magisterskiej, ale była zadowolona, odnosiła sukcesy i przestała się dręczyć koszmarami z młodości.

Wstała z łóżka i włączyła komputer. W trakcie ładowania systemu doszła do wniosku, że sama powinna trochę posurfować po Internecie. Najpierw spróbuje odnaleźć przyjaciela Nevady, Billa Levinsona, ponoć prywatnego detektywa. Wprawdzie to niewiele, ale przynajmniej mogłaby ruszyć z miejsca, miała już dość czekania, aż ktoś wykona za nią to, co sama powinna zrobić. Nadal poszukiwała doktora Pritcharta i osób z nim związanych - krewnych, innych lekarzy, pielęgniarek czy recepcjonistek. No i był jeszcze prawnik ojca - jak on się nazywa?

Orrin Cośtam. Orrin... Filkins albo Filmore, albo... Przypomniała sobie, jak wcześniej sędzia szperał w swojej szufladzie, szukając testamentu. Natychmiast popędziła schodami do jego gabinetu, gdzie w powietrzu wciąż było czuć zapach palonych dawno temu cygar. Sędziego nigdzie nie widziała. Nie, żeby się tym specjalnie przejmowała. Nawet gdyby przyłapał ją na grzebaniu w jego osobistych rzeczach. Przecież on uprzykrzał jej życie, odkąd sięgała pamięcią. I życie jej córki. Niech się wkurzy, kiedy zobaczy, że Shelby przetrząsa jego osobiste rzeczy. Niech ma to, na co zasłużył.

Bez najmniejszych skrupułów otwierała kolejne szuflady biurka. Nie znalazła żadnych dokumentów, rozglądała się więc po pokoju w poszukiwaniu rolodeksu, notesu z adresami albo czegośkolwiek, co miałoby na sobie pieczętkę kancelarii. Pociągnęła szuflady jego kredensu, ale wykonany z lśniącego wiśniowego drewna mebel był zamknięty na klucz. Musiało tu coś być: kawałek kartki, papier firmowy, wizytówki... Rozejrzała się jeszcze raz i wypatrzyła pęk kluczy na kryształowej salaterce obok pojemnika na cygara. Wypróbowała trzy klucze, aż w końcu natrafiła na ten właściwy. Zwalczyła wyrzuty sumienia, otworzyła pierwszą szufladę i szybko zaczęła przerzucać teczki - niektóre z nich liczyły sobie tyle lat ile ona sama. Mimo brzęku garnków usłyszała ciche nucenie Lydii: była to ta sama hiszpańska kołysanka, którą pamiętała z dzieciństwa. Kątem oka zauważyła jakiś ruch za oknem - Pablo Ramirez, ogrodnik, grabił grządki. Wciąż nie było widać sędziego.

Serce Shelby biło coraz głośniejsze. Na czoło wystąpiły krople potu.

- To musi gdzieś tutaj być - powiedziała do siebie, a potem stanęła jak wryta. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy natknęła się na teczkę z nazwiskiem swojej matki. - Co jest, do pioruna? - wyszeptwała, czując suchość w gardle. Uświadomiła sobie, że ma przed sobą kartoteki dotyczące wszystkich osób, które kiedykolwiek pracowały dla sędziego, oraz wszystkich jego krewnych i innych...

COLE, ELIZABETH

Jej dziecko!

COLE, JASMINE

DEE, RUBY

ESTEVAN, RAMÓN

HART, NELL

MCCALLUM, ROSS

RAMIREZ, MARIA

RAMIREZ, PABLO

PRITCHART, NED

SMITH, NEVADA

VASQUEZ, PEDRO

Te rubryki czytało się jak spis ludności miasteczka Bad Luck. Shelby zrobiło się zimno. Nagle poczuła się jak intruz, który wypłynął na ciemną wodę, gdzie w każdej chwili można stracić grunt pod nogami i utonąć w nieznanym, zdradzieckich głębinach. A potem zobaczyła swoje nazwisko i imię.

Ojciec założył jej teczkę?

- Och, tato - szepnęła w odruchu rozpacz i niedowierzania.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem cichą rozmowę ojca z Lydią. Zamarła, rozpoznawszy jego miarowe kroki i stukanie laski. Przygryzła wargę i szybko wyciągnęła z szuflady kilka teczek - tylko kilka, żeby nie było widać, jak wiele ich ubyło. Po cichu zamknęła kredens na klucz, zostawiła klucz na kryształowej salaterce i bezgłośnie wybiegła z pokoju. Wprawdzie była gotowa na konfrontację z ojcem, gdyby ją zastał w swoim gabinecie, ale nie musiał wiedzieć, z jakim uporem jego córka dąży do celu, ani o tym, że zamierza przewrócić dom do góry nogami i przeczesać wszystkie jego dokumenty, żeby poznać prawdę o losie swojego dziecka.

Jego nieregularne kroki było słychać coraz bliżej.

A niech to!

Wcisnąwszy akta pod pachę, zostawiła lekko uchylone drzwi i, żeby nie wpaść na ojca, pobiegła przez spiżarnię, minęła jadalnię i salon, a z foyer przemknęła do głównych schodów. Była na podeście, kiedy usłyszała jego głos. Zamarła i wstrzymała oddech. Zerknęła na matowe szyby okien nad dwuskrzydłowymi frontowymi drzwiami. Na

zewnątrz świat wydawał się taki sam - trawa przed domem, zielona i bujna mimo kurzu i upału, była podlewana przez automatyczne spryskiwacze - ale w środku, w miejscu, gdzie Shelby się wychowywała, jej życie przypominało korkociąg.

- ...wiesz, martwię się o nią - mówił sędzia. - Shelby zachowuje się teraz tak, jakby miała obsesję, wymyśliła sobie, że wszyscy są przeciw niej.

- A nie są? - zagadnęła Lydia.

- Oczywiście, że nie. - Red Cole prychnął z niedowierzaniem. - Miej na nią oko, kiedy jestem poza domem.

- Ona jest dorosłą kobietą.

- Wiem, wiem, ale Ross McCallum wrócił do miasta.

- *Dios...* Ten człowiek, on jest... *el diablo*.

- To fakt. On jest diabłem wcielonym. - Umilkł na chwilę i Shelby musiała wyteżać słuch. - Moja córka wybrała sobie niezłą porę na powrót tutaj.

- Myślę, że to się obróci na dobre - odparła cicho Lydia. - A pan, sędzio, powinien jej powiedzieć prawdę.

- Czyżby?

Shelby zacisnęła palce na aktach. Co takiego ukrywali przed nią Lydia i sędzia? Serce waliło jej tak mocno, że z trudem słyszała rozmowę. Przechyliła się przez poręcz i zobaczyła czubki butów ojca.

- *Si*. Tak byłoby uczciwie. Za dużo jest tajemnic w tej rodzinie.

Amen, pomyślała Shelby. Będzie musiała pogadać z Lydia.

- Naprawdę, Shelby ma prawo wiedzieć - powiedziała z naciskiem Lydia.

A zatem gospoia - kobieta o silnym matczynym instynkcie - najwyraźniej wiedziała więcej o rodzinie Shelby niż ona sama. Coś zakłuło ją w sercu. Czowała się zdradzona. Zawsze podejrzewała ojca o to, że manipuluje jej życiem, ale nie myślała w ten sposób o Lydii, kobiecie, która tuliła ją, kiedy się bała, opatrywała jej starte kolana i udzielała niechcianych rad na temat przyjaciół, szkoły i życia w ogóle, jakby Shelby była jej córką. Teraz wyglądało na to, że Lydii nie można do końca wierzyć. A więc komu może zaufać? Na pewno nie ojcu. Lydii też nie.

Oczami wyobraźni zobaczyła szorstkie rysy Nevady.

Och, Shelby, czy aż tak bardzo zgłupiałaś, że jesteś gotowa mu zaufać?

- Posłuchaj, Lydio, robię, co mogę, żeby zapewnić mojej córce bezpieczeństwo, i to jest najważniejsze. - Red Cole mówił zamyślnym głosem i po chwili, być może dlatego, że Lydia uniosła brew albo okazała niedowierzanie w jakiś inny sposób, dodał: - Naprawdę. Do diabła, wiem, że nadszedł czas, żeby wyjaśnić parę rzeczy, ale niełatwo jest otworzyć własną szafę i wyciągnąć schowane w niej trupy. Zrobię to, do jasnej cholery. Za jakiś czas. Sam zdecyduję kiedy.

Niedowierzające prychnięcie Lydii było bardzo wymowne.

Jakie trupy?

- Będę na ranżu dziś po południu, więc nie rób dla mnie lunchu.

- Będzie pan jadł tam? - zapytała Lydia. W jej głosie czuło się pretensję. Musiało to mieć coś wspólnego z rozmową, której Shelby nie rozumiała.

- Coś skubnę.

- Ale doktor mówił...

Doktor? Jaki doktor? Z pewnością nie Pritchart. Czyżby sędzia był chory? Zawsze uważała, że jej ojciec jest zdrow jak ryba, a przy tym diabelnie uparty.

- Dam sobie radę, Lydio - burknął poirytowany. - To zresztą i tak ma niewielkie znaczenie.

O Boże, cóż to miało znaczyć? Jak bardzo był chory?

Jego nieregularne kroki robiły się coraz głośniejsze, więc Shelby pokonała resztę schodów i przekradła się bezszelestnie do swojego pokoju, żeby ojciec nie zobaczył jej z aktami. Zamknęła drzwi swojej sypialni, wsunęła teczkę między materac i sprężyny, położyła się na łóżku i udawała, że śpi, gdyby jej ojciec otworzył drzwi. Nie zrobił tego.

Z biciem serca, z tysiącem pytań wirujących w głowie, słuchała oddalających się kroków ojca, który najwyraźniej szedł do swojego apartamentu w innym skrzydle rezydencji. Odetchnęła z ulgą, a potem, niecierpliwie patrząc w sufit, gdzie nad wolno obracającym się wiatraczkiem bzycała mucha, czekała, aż ojciec otworzy drzwi swojego pokoju, i usłyszała jego ciężkie, nierówne kroki na tylnej klatce schodowej.

Gdy tylko upewniła się, że ojciec nie wraca, wyciągnęła teczkę i usiadła na swoim ulubionym krześle - tym samym, na którym kiedyś matka siedziała wraz z nią i czytała jej wierszyki.

Ale nie chciała jeszcze myśleć o Jasmine Cole ani o tym, jak umarła. Miała dość czasu, żeby rozpamiętywać mgliste obrazy kobiety, która wydała ją na świat, kobiety, której nawet nie zdążyła dobrze poznać.

Skoncentrowała się na swoim zadaniu i otworzyła pierwszą teczkę, oznaczoną imieniem i nazwiskiem córki. Rozczarowało ją, że teczka była cienka i zawierała tylko akt urodzenia oraz akt zgonu.

Dopało ją rozgoryczenie. Poczowała piekące łzy w oczach. Oglądała już kopie tych dokumentów niezliczoną liczbę razy.

A czego się spodziewałaś, dokuczał jej sfrustrowany umysł. Zdjęć? Nazwisk przybranych rodziców Elizabeth?

Świadectw i raportów ze szkoły, do której chodziła? Jej pierwszych niezdarnych prób malowania paluszkami? No, czego?

Mocno przygryzła wargę i powiedziała sobie, że nie może się poddawać. To była tylko mała przeszkoda, i skoro jej pierwsze próby poznania prawdy poprzez włamanie nie odniosły skutku, będzie próbowała dalej.

Otworzyła drugą teczkę, z napisem SMITH, NEVADA. Był w niej plik dokumentów i biorąc je do ręki, Shelby czuła się tak, jakby wkraczała na czyjś prywatny teren. Akt urodzenia na nazwisko Nevada Evans Smith, dokumentacja medyczna, świadectwa szkolne i wojskowe, a także historia jego wykroczeń z młodości i raport prywatnego detektywa na jego temat i jego rodziców - ojca pijaka i matki, która uciekła z domu.

Shelby dygotała z niepokoju, przeglądając kolejne strony. Obejrzała się nawet za siebie, jakby w obawie, że zaraz pojawi się tu Nevada i przyłapie ją na wścibianiu nosa w jego życie prywatne. Wiedziała, że to niemądre uczucie. Oczywiście była sama w pokoju i, słysząc jak obracają się nad nią łopatki wentylatora, a mucha odbija się od szyby, oparła się na krześle i zaczęła czytać o mężczyźnie, którego kiedyś kochała, chociaż ledwo go znała, o mężczyźnie, który prawdopodobnie był ojcem jej jedyne dziecko.

Na wszelki wypadek odpukała w pobliski stół, chociaż Nevada z pewnością był ojcem Elizabeth. Po prostu musiał nim być. Nawet nie brała pod uwagę innej możliwości. Na sam koniec zostawiła sobie teczkę, na której wypisano dużymi literami jej nazwisko i imię.

Caleb Swaggert wyglądał jak śmierć na chorągwi, pomyślała Katrina, zatrzymując się przy wejściu do sali szpitalnej, na której leżał. Stukot jej wysokich obcasów przestał rozbrzmiewać urywanym staccato na korytarzach Szpitala Naszej Matki Boskiej Bolesnej. Nie porozmawiała z nikim z personelu, tylko wkroczyła na salę, jakby gdyby nigdy nic.

Caleb leżał na szpitalnym łóżku, które było zabezpieczone sterylnymi, metalowymi poręczami. Był chudy jak szkielet, skórę miał bladą i obwisłą, a jego czaszkę oblepiało tylko kilka siwych kosmyków. Jego brązowe oczy tak pociemniały, że wydawały się czarne, i były mocno zapadnięte. Nawet ich nie mrużył, patrząc na telewizor - na ekranie jakiś telekaszodzieja żarliwie rozwodził się o zapłacie za grzech.

Caleb był podłączony do aparatury różnymi rurkami i przewodami i sprawiał wrażenie kogoś, kto jest jedną nogą w grobie. Jednak jego kiepski stan zdrowia nie był dla Katriny zaskoczeniem. Zaszokowała ją raczej wielka liczba religijnych wizerunków. Trzy nowe Biblie na stoliku przy jego łóżku, kilkadziesiąt przyczepionych do ściany obrazków Jezusa i świętej Marii, figurki Chrystusa stłoczone na okiennym parapecie i na stole, gdzie znajdowały się nie tylko jego grzebień, pudełko chusteczek higienicznych, szklanka z wodą i elektryczna maszynka do golenia, ale także miniaturowa szopka bożonarodzeniowa, chociaż do świąt było jeszcze z pół roku.

Diabeł z pewnością nie miał tu na co liczyć.

W pewnym sensie było to niesamowite.

Co do Caleba, właściwie był u progu śmierci. Jeśli Katrina chciała przeprowadzić wywiad, a bardzo jej na nim zależało, to musiała się pośpieszyć, żeby nie ubiegła jej kostucha.

- Pan Swaggert? - zagadnęła, budząc w nim popłoch. Podskoczył, a monitor nad jego głową na chwilę zwariował. Swaggert odwrócił wychudzoną twarz do gościa. - Nazywam się Katrina Nedelesky. - Powoli szła w kierunku łóżka, jakby starała się podejść bojaźliwego żrebaka. Jakby ten staruszek miał się uciekać. Zmusiła się do uśmiechu. Miała nadzieję, że wygląda choć trochę przekonująco. - Pamięta pan? Z magazynu „Lone Star”.

Na moment zmarszczył upstrzone plamkami czoło, ale zaraz przypomniał sobie, o co chodzi.

- Czy dostał pan umowę, którą panu wysłałam? - zapytała, podchodząc bliżej do łóżka i próbując nie okazywać obrzydzenia na widok jego kościstego ciała. W gruncie rzeczy nie spodziewała się, żeby wiele pamiętał. Ten facet ledwo był przytomny. Miała jednak nadzieję, że uda mu się odtworzyć przebieg wydarzeń tej nocy, kiedy zastrzelono Ramóna Estevana.

- Pani jest tą reporterką? - zapytał suchym, bardzo zachrypniętym głosem.

- Tak. - Kiwnęła głową i pomyślała, że jednak nie jest tak źle z jego umysłem. - Zaproponował mi pan wyłączność na zeznanie w sprawie Rossa McCalluma.

- Pamiętam. - Oczy mu zabłyśły. Rzeczywiście ją rozpoznał. - Zawarliśmy umowę, prawda?

- Z całą pewnością

- A pieniądze po mojej śmierci zostaną przekazane mojej córce, Celeste. Celeste Hernandez. Przesłałem pani jej adres do El Paso.

- Tak, tak, mówiliśmy już o tym. - Chyba z milion razy. - Mam w kartotece adres, imię i nazwisko Celeste - zapewniała Katrina, czując przy tym lekkie wyrzuty sumienia. Bez względu na swoje dawne postęпки potrafił przynajmniej wykrzesać z siebie choć trochę ojcowskiej odpowiedzialności.

Niektórzy ludzie, włącznie z nią samą, nie mieli tyle szczęścia.

Pomarszczona twarz Caleba wyrażała wzruszenie.

- Nie byłem dla niej dobrym ojcem. Rozstałem się z jej matką, jeszcze zanim mała przyszła na świat. - A więc to była próba odpokutowania za przeszłość. Katrina straciła wiele szacunku dla starego piernika, ale uznała, że lepsza choć odrobina ojcowskiego zainteresowania niż całkowity jego brak, i nawet jeśli miłość do dziecka przychodziła

późno, można byłoby powiedzieć: „Lepiej późno niż wcale”.

- Chcę przeznaczyć połowę pieniędzy na Naszą Matkę Boską Bolesną, a drugą połowę zostawię Celeste - dodał z naciskiem Caleb i zaniósł się suchym rechotem. - To znaczy, po tym jak pani zapłaci za sosnowe pudło, w którym się znajduję.

- Wszystko jest już załatwione. Przyniosłam nawet dokumenty - odparła. Otworzyła neseser i wyjęła szeleszczącą szarą kopertę. - To egzemplarz dla pana. Zostawię go tutaj. - Położyła kopertę na stoliku blisko miniaturowej figurki małego Jezusa w żółtku, ale Caleb potrząsnął głową.

- Proszę to włożyć do szafki, dobrze? Jak zostawi pani tę kopertę na wierzchu, to ktoś może ją ukraść.

- Kto taki, mianowicie?

- Nigdy nic nie wiadomo, ale ja nie ufam nikomu, z wyjątkiem naszego Pana i Zbawcy, Jezusa Chrystusa.

- To chyba dobre podejście. - Starła się nie mówić sarkastycznym tonem. Weisnęła kopertę do szafki, w której znajdował się podniszczony pikowany szlafrok i dziurawe kapcie. - Przywiozłam ze sobą dyktafon - dodała, zamykając drzwi szafki - więc możemy zaczynać.

- Co mamy zaczynać? - zagadnął twardo czyjś głos.

Do pokoju wkroczyła dobrze zbudowana pielęgniarka o krótkich, siwych włosach. Nosiała okulary o grubej oprawce. Na jej identyfikatorze było napisane LINDA RIFKIN, DYPLOMOWANA PIELEŃNIARKA. Miała nijakie rysy twarzy i ponure spojrzenie. Wyglądała jak buldog. Katrina pomyślała, że ta kobieta ogranicza się do wydawania komend i z nikim się nie patyczkuje.

- Muszę porozmawiać z tą panią - upierał się Caleb.

Rifkin podeszła do łóżka, sprawdziła poziom płynu w kroplówce i zerknęła na monitor, a potem wsunęła jednorazowy pokrowiec na termometr i delikatnie umieściła go w uchu Caleba.

- Nazywam się Katrina Nedelesky i razem z panem Swaggertem umówiliśmy się na wywiad...

- Nie, tu w szpitalu nie będzie pani przeprowadzać...

- Wszystko jest w porządku - przerwał jej Caleb. - Niech pani pozwoli jej zostać.

- Nie będę zawadzała. - Katrina nie miała zamiaru ustąpić.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

- Pan Swaggert potrzebuje wypoczynku.

Stary człowiek zaniósł się suchym śmiechem, który po chwili przeszedł w atak kaszlu.

- Coś mi się zdaje, że już niedługo będę go miał pod dostatkiem - sapnął, gdy tymczasem pielęgniarka mierzyła mu ciśnienie, odczytywała wskazanie termometru i sprawdzała puls. - Ja umieram - stwierdził spokojnie. - Ani wy, ani wasze cholerne urzędnicy nie zmienicie tego smutnego faktu. Więc dajcie sobie spokój. - Odprawił pielęgniarkę machnięciem ręki. - Mamy coś do obgadania z tą młodą damą.

Rifkin przystanąła, zlustrowała Katrinę od stóp do głów i nachmurzyła się.

- Trzydzieści minut - powiedziała w końcu, stukając grubym palcem w cyferblat swojego timeksa. - Będę sprawdzała czas. - I wyszła z sali, szeleszcząc wykrochmalonym fartuchem.

- Proszę nie zwracać uwagi na Panią Ciekawską - Caleb powiedział do Katriny, kiedy zostali sami, tylko w towarzystwie rozlicznych wizerunków Syna Bożego. - I pamiętać o zamknięciu drzwi. Nie chcemy, żeby ktoś podsłuchał to, co mam do powiedzenia. Nacisnął osłabionymi palcami klawisz „mute” na telewizorze.

Katrina nie sprzeczała się z nim. Podeszła do drzwi, omiotła korytarz fachowym spojrzeniem, przekonała się, że nikt nie czyha w pobliżu, a potem stanowczym ruchem zamknęła drzwi. Zadowolona, że są sami, wzięła jedyne, niewygodne krzesło w sali i przysunęła je do łóżka. Usiadła, uruchomiła dyktafon i ostrożnie położyła go między dwiema małymi figurkami klęczących pasterzy.

- Mam dużo pytań - powiedziała. - Głównie o tę noc, kiedy zginął Ramón Estevan.

- Ale to nie wszystko?

- Nie. Porozmawiamy o tej nocy, oczywiście, to bardzo ważne. Będę chciała się dowiedzieć, kiedy dotarł pan do sklepu i co pan robił, kogo pan widział, co podsłuchał, ale zacznę od ogólnego tła. - Wyciągnęła notes i pióro, żeby zanotować jakieś osobiste wrażenia, podczas gdy dyktafon nagrywał rozmowę.

- Na przykład?

- Hm, ze względu na moje badania przede wszystkim potrzebuję informacji o atmosferze tego miasta, więc musi mi pan powiedzieć wszystko, co pan pamięta na temat Bad Luck, sędziego Cole'a i jego córki Shelby.

Caleb szybko zamrugał oczami.

- Sędziego Cole'a? Po co? On nie przewodniczył sprawie o morderstwo. A co do jego córki Shelby, myślę, że nie było jej w mieście, kiedy to się zdarzyło.

- Zapewne tak, ale proszę mnie wysłuchać. To moja historia i to, o co proszę, jest niezbędne, żebym właściwie ją opowiedziała. Proszę mi wierzyć. Sędzia był żonaty, tak?

- Nie, w tamtym czasie nie. Ale był żonaty wiele lat wcześniej. Z Jasmine Falconer. Ładna dziewczyna była z tej Jasmine. Cholernie atrakcyjna.

- Zmarła dawno temu. Zgadza się?

- Nie tylko zmarła. Zabiła się. - Caleb ruszył głową, tak że głośno szurała na wykrochmalonych poduszkach. -

Podcięła sobie żyły, kiedy brała kąpiel w marmurowej wannie sędziego.

Katrina wzdygnęła się na samą myśl o tym. Nie darzyła uczuciem nikogo, kto byłby jakoś powiązany z tym łajdakiem sędzią, ale mimo to czuła obrzydzenie, kiedy ten stary cap odmalował przed nią tragiczną scenę. Odchrząknęła i zapytała:

- Po co miałyby odbierać sobie życie?

Zawahał się, spochmurniał.

- Poznała pani sędziego Cole'a?

- Nie miałam tej przyjemności - odparła kwaśno.

- Jak go pani pozna, to zrozumie. - Prychnął i przesunął się na łóżku. - Jasmine była przyzwoitą kobietą. Nie, żeby Red czuł różnicę.

- A pan ją czuje?

Caleb uniósł chude jak szkielet ramię.

- Proszę mi opowiedzieć o jego dzieciach - zaproponowała, siląc się na uśmiech.

- Tylko jedna dziewczynka. Shelby. Jeśli dobrze pamiętam, to nie ma jeszcze trzydziestu lat. Co pani chce o niej wiedzieć?

- Jak już mówiłam, ogólne tło. Z tego, co rozumiałam, Shelby Cole miała romans z Nevadą Smithem, zastępcą szeryfa prowadzącym śledztwo przeciw Rossowi McCallumowi. Wszyscy, z którymi przeprowadzałam rozmowy, mówili, że tych dwóch, Smith i McCallum, przez wiele lat było największymi wrogami, i ponoć nieźle się poszarпали, jeszcze zanim Estevan został zamordowany.

Stary mężczyzna zastanawiał się przez chwilę i Katrina zaczęła się obawiać, że zaraz gdzieś odpłynie myślami. Podrapał szczerbinę na brodzie i odparł:

- Zupełnie zapomniałem o tej bójce. Ale ma pani rację. Nevada stracił oko, a Ross miał pęknięte zębra i złamaną rękę albo coś w tym stylu. Obaj wylądowali w szpitalu. Z tego, co pamiętam, kłopot polegał na tym, że McCallum zawsze chciał mieć Shelby Cole.

- A ona była dziewczyną Nevady.

- Przynajmniej w tamtym czasie. Tak sędzę. - Caleb wzruszył ramionami; mimo zamkniętych drzwi słychać było szcęk przetaczanego obok szpitalnego wózka. - Po mieście krążyły plotki, że widywała się ze Smithem. Pamiętam to tylko dlatego, że Shelby była córką sędziego. Wszystko, co robił wtedy Red Cole, było ważnym wydarzeniem.

Katrina mu uwierzyła.

- A zatem, jeśli dobrze rozumiem, Ross McCallum jakimś sposobem omal nie ginie w wypadku z udziałem jednego samochodu, na południe od miasteczka. I jest to wóz Nevady Smitha. Czy to się zgadza?

- Tak. Ross ponoć ukradł wóz Smitha tej nocy, kiedy Ramón Estevan został zabity. Nikt nie może zrozumieć dlaczego. Smith zgłasza zaginięcie wozu, co nie jest szczególnie trudne, bo przecież pracuje w Biurze Szeryfa. Oczywiście, parę godzin później znajdują wóz: uderzył w drzewo na południe od miasteczka. Ross McCallum był kompletnie pijany. Miał szczęście, że przeżył.

- A Ramón Estevan już nie żył. Zastrzelono go z trzydziestkiósemki.

- Właśnie tak to było. - Caleb podniósł rękę i podrapał się w podbródek. Katrina zauważyła igły wbite w jego posiniaczoną skórę: jedna była połączona z kropłówką, druga zamknięta, żeby w razie potrzeby móc szybko pobrać krew.

Katrina skrzyżowała nogi i mimo włączonego dyktafonu cały czas robiła notatki.

- Ale Ross nie miał przy sobie broni.

- Tylko starego winchestera Nevady Smitha, strzelbę myśliwską.

Zesztywniała. Przeoczyła ten niepozorny fakt.

- Ale nie narzędzie zbrodni?

- Nie. Jak już pani powiedziała, kula, która zabiła Ramóna Estevana, pochodziła z pistoletu kaliber 38.

Coś zanotowała, a potem zerknęła na zegarek i postanowiła skierować rozmowę na inne tory. Jeśli ta pielęgniarka zamierzała dotrzymać słowa, a Katrina podejrzewała, że Linda Rifkin rzadko go nie dotrzymuje, to już wkrótce należało się jej spodziewać.

- Porozmawiajmy o pańskim zeznaniu.

Zaciął wargi.

- Dobrze.

- Skłamał pan w sądzie.

Zawahał się, a potem szybko skinął głową.

- Tak.

- Powiedział mi pan przez telefon, że zapłacono panu, żeby pan skłamał i zeznał, że widział Rossa McCalluma w sklepie Estevanów tamtej nocy, zgadza się?

- Tak, ale nie wiem, kto miał mi płacić, więc niech pani o to nie pyta. Dostałem swoje pięć tysięcy dolców za to, że powiedziałem: „Tamtej nocy widziałem McCalluma w pikapie Nevady Smitha pod sklepem”.

- Ale go pan nie widział?

- W ogóle niewiele widziałem.
- Kto panu zapłacił?
- Mówiłem, żeby o to nie pytać, bo nie wiem. Pieniądze zostawiono w brązowej torbie w koszu za White Horse. Wziąłem je, przeliczyłem i powiedziałem to, co mi kazano. I tyle.

- Ale został pan krzywoprzysięcą. To jest przestępstwo.
- Wiem o tym, ale kto będzie sobie teraz zawracał tym głowę? - zapytał i trudno było odmówić mu racji. Machina wymiaru sprawiedliwości działała zbyt wolno, by zdążyć osądzić i wtrącić do więzienia Caleba przed jego śmiercią.

Ziewnął. Powieki zaczęły mu opadać. Katrina zapytała:

- Zatem jak pan sądzi, kto zabił Ramóna Estevana?
- Nie mam pojęcia. To mógł być każdy, tak myślę. Ten Estevan był podłym sukinsynem, to znaczy podłym łajdakiem. Upijał się, wszystko niszczył. Nieraz zdarzyło mu się wybić szyby we własnym sklepie. A poza tym ludziom w miasteczku nie podobało się to, że dobrze mu szedł interes ze sklepem, uważali, że jest zarozumiały.

- Dlatego, że był Latynosem?
- Może tak to się teraz nazywa. Był Meksykaninem. No i był kłótniwy i wredny.
- Miał wrogów?
- W Bad Luck każdy ma wrogów.
- A wroga, który chciał go zabić? - naciskała.
- Chyba co najmniej jednego - odparł Caleb, a ona miała ochotę potrząsnąć tym starym piernikiem.
- Kto to?
- Nie wiem.
- A co pan wie? - zapytała, starając się nie okazywać, że się irytuje.
- Wszystko jest w dokumentach. - Znowu ziewnął i w tym momencie otworzyły się drzwi. Stała w nich siostra Rifkin, z brwiami tak wygiętymi, że było je widać spod jej okularów.
- Dziękuję - powiedziała Katrina, wyłączając dyktafon. - Wrócę tu jutro.
- Proszę bardzo - powiedział Caleb.

Pakując dyktafon i neser, czuła, że przygląda się jej tyłkowi. Tylko to mu pozostało. Pomyślała, że to, co robi, jest trochę chore, ale specjalnie schyliła się jeszcze bardziej, żeby Caleb mógł zobaczyć, jak spódniczka opina jej pośladki. A niech stary zbok ma rozrywkę, zanim wyzionie ducha. Nic jej nie grozi. Będąc w tak beznadziejnym stanie, Swaggert nic nie może jej zrobić.

Łup!

Nevada wbił ostatni gwóźdź w słupek ogrodzenia, a potem złapał górną sztachetę i próbował ją oderwać. Trzymała się mocno. Dobrze. Stopniowo to miejsce zaczynało wyglądać coraz lepiej. Otarł pot z czoła i patrzył, jak jego najlepsza klacz baraszkuje na południowym wybiegu.

Gniada czystej rasy, z białymi podkolanówkami i gwiazdzistym znamieniem na czole, była warta więcej niż wszystkie inne jego klacze razem wzięte. I zachowywała się tak, jakby o tym wiedziała, potrząsając grzywą w sposób, w jaki atrakcyjne dziewczyny odgarniają włosy z twarzy. Za wybiegiem było sto sześćdziesiąt akrów ziemi, którą przyłączył do swojej posiadłości: kupił ten teren przed rokiem. Pasty się tam inne konie, gorszej klasy - nawet te najlepsze nie mogły się równać z nią.

Wsunął młotek za pas i poszedł wzdłuż płotu, żeby sprawdzić, czy są uszkodzenia.

Miał szczęście, że udało mu się przyłączyć gospodarstwo starego Adamsa. Stary Adams nie sprzedałby swojej ziemi nikomu innemu. Przyjaźnił się z ojcem Nevady od wielu lat i był przyszywanym wujkiem dla Nevady i jego kuzyna, Joego Hawka, kiedy chłopcy dorastali. Gdy nadszedł czas emerytury i wyprowadzki do miasta, zaproponował Nevadzie umowę, bardzo uczciwą - w gruncie rzeczy była tak korzystna, że grzechem byłoby z niej nie skorzystać.

- Jeśli nie kupisz tej ziemi, będę musiał ją wystawić na rynek i zapłacić jakiemuś agentowi nieruchomości prowizję za to, żeby mógł ją przejąć ktoś obcy. Nie mam dzieci i naprawdę chciałbym, żebyś to ty ją przejął.

Nevada podpisał umowę. Na terenie gospodarstwa znajdowało się pastwisko, cedrowy zagajnik, jezioro, które prawie nigdy nie wysychało, mały sad i skalisty kamieniołom. Stary dom na ranczu nie był wiele wart, bo Oscar Adams zapuścił go po śmierci żony, ale w oczach Nevady ten dwupiętrowy budynek miał wartość, i to większą niż jego własny dom. Zamierzał się tam wprowadzić zaraz po remoncie.

Powoli, przypominał sobie, jak to robił zawsze, gdy brała w nim górę niecierpliwość. Wszystko w swoim czasie.

Pogwizdując na Crocketta, wrócił do domu i zastanawiał się, czy znów nie zatelefonować do Levinsona. Jak na razie, prywatny detektyw nie potrafił odnaleźć dziewczynki.

Minęły trzy dni od momentu, gdy Nevada po raz pierwszy po latach wpadł na Shelby, ponad siedemdziesiąt od chwili, gdy powiedziano mu, że jest ojcem, i wciąż nie mógł uzyskać żadnych informacji. W erze elektronicznej, obejmującej cały świat i niemal błyskawicznej komunikacji, nie dowiedział się o swojej córce niczego - nie miał nawet pewności, czy rzeczywiście istnieje.

Jedynym, co miał, to zapewnienie Shelby, że przesłane jej zdjęcie jest autentyczne, że Elizabeth jest jego córką i chodzi tylko o to, żeby ją odnaleźć.

Jak przystało na sceptyka, Nevada zdawał sobie sprawę, że list i fotografia mogła być dziełem czyjejś chorej wyobraźni - okrutnym żartem, który miał zachęcić Shelby do powrotu do Bad Luck.

Ale po co? I kto za tym stał?

Jeżeli list i zdjęcie okazałyby się oszustwem, zabiłoby to Shelby.

Tak bardzo chciała znaleźć tę dziewczynkę. Zresztą, on też.

Otrzeptyjąc ręce z kurzu, wszedł po frontowych schodkach na ganek i do środka, gdzie, mimo że nie docierało tam słońce, temperatura nie była niższa choćby o jeden stopień. Uchylił okno, ale i tak w pomieszczeniu właściwie nie było przewiewu.

Parę razy rozmawiał z Shelby przez telefon, szperał na własną rękę i utrzymywał kontakt z prywatnym detektywem, ale na razie niczego się nie dowiedział.

Ktokolwiek przesłał Shelby zdjęcie dziewczynki, siedział cicho i nie kontaktował się z nią. Któż to mógł być i dlaczego wybrał akurat taki moment, żeby zaoferować informacje? Dlaczego teraz? Co takiego zdarzyło się w kilku ostatnich miesiącach, co mogłoby skłonić tę osobę do takiego czynu - czyżby komuś zależało na tym, żeby Shelby Cole akurat teraz wróciła do Bad Luck? Co się zmieniło?

Tylko jeden czynnik mógł to spowodować: Ross McCallum wyszedł z więzienia.

Nevada nie mógł się dopatrzeć innego związku.

A zatem co wiedział Ross? Czas poznać odpowiedź na to pytanie. Nevada już miał ponownie wykręcić numer do Levinsona, kiedy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę już po pierwszym dzwonku.

- Smith.

Po drugiej stronie wyczuwał wahanie.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi, tylko dźwięk muzyki w tle.

- Czy mnie słyszą?

Nic. Był środek dnia, lecz Nevada czuł się tak, jakby miał do czynienia z czymś bardzo mrocznym.

- Kto tam? - zapytał z większą stanowczością i usłyszał szcęk odkładanej słuchawki.

Przez chwilę patrzył na swoją słuchawkę. Może to była pomyłka, ktoś wykręcił niewłaściwy numer. Może on wyciągał pochopne wnioski - ostatecznie pomyłki telefoniczne to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Mimo wszystko nie opuszczało go nieokreślone uczucie niepokoju.

Zdjął klucz z haczyka w pobliżu drzwi i wyszedł z domu na bezlitosny żar prażącego słońca. Przymknął powieki i poczuł ból w zranionym przed dziesięciu laty oku. Okaleczył go Ross McCallum.

Ciekawe, że przypomniał sobie o tym właśnie dzisiaj.

Teczki nie zawierały zbyt wiele informacji o sposobie, w jaki rozumował sędzia. Shelby czytała każdą z nich bardzo uważnie w nadziei, że pomogą jej w poszukiwaniach, ale dowiedziała się tylko, jak nazywali się rodzice Nevada, i że Nevada był ubogim studentem, który świetnie radził sobie w wojsku. Jako młokos, nieraz popełniał wykroczenia - wszystkie były udokumentowane i opatrzone wycinkami z gazet na temat jego odejścia z Biura Szeryfa. Shelby nie pamiętała dokładnie tamtych okoliczności, ale musiały one mieć związek z aresztowaniem i skazaniem Rossa McCalluma. Przeprowadzono śledztwo ze względu na kradzież wozu i konflikt między Nevada a Rossem. Wprawdzie nie postawiono Nevadzie żadnych zarzutów, ale i tak oficjalnie zrezygnował z pełnienia służby, a ponadto istniały mocne poszlaki, że go do tego zmuszono. Czy przypadkiem jej ojciec nie powiedział, że Nevada został „wykopany”?

Zajęła się swoją teczką. Nie było w niej niczego osobistego. Metryka urodzenia, szkolne świadectwa, dokumentacja medyczna, wszystko bardzo suche. Kilka nagród. Kopie jej podań do college'ów, ale nic na temat ciąży albo dziecka. Chociaż znalazła informację o złamanym obojczyku, kiedy miała siedem lat, i o ospie, którą przebyła w wieku trzech lat, nie było w teczce żadnego dokumentu świadczącego o tym, że zaszła w ciążę i urodziła dziecko. Wyglądało to tak, jakby jej ojciec wypierał się tego istotnego momentu w jej życiu.

- Och, tato - szepnęła rozczarowana.

Udało jej się jednak wyszukać w dokumentach nazwisko adwokata ojca. Podpis Orrina Findleya widniał na wielu z nich. Shelby zanotowała jego numer telefonu i adres i postanowiła złożyć Findleyowi wizytę w San Antonio.

Postanowiła nie umawiać się z nim wcześniej. Po co? Na pewno zadzwoniłby wcześniej do jej ojca i go ostrzegł. Włożyła bawełnianą sukienkę i sandały, spakowała ubranie na zmianę do starej torby sportowej, którą znalazła w szafie, i zbiegła na dół. Sędzię znowu nie było, więc bez problemu odłożyła jego teczkę z powrotem do kredensu. Już miała zasunąć szufladę, kiedy zauważyła folder z napisem „Nasza Matka Boska Bolesna”.

To w tym szpitalu urodziła dziecko.

Niewiele myśląc, wyjęła cienką teczkę i odszukała dwa listy - jeden od dyrektora szpitala, a drugi od rady nadzorczej, z podziękowaniem dla Jerome'a Cole'a za donację w imieniu jego zmarłej żony. Kwota nie była

wymieniona, ale Shelby zauważyła, że listy te wysłano dwa miesiące po tym, jak urodziła dziecko.

Patrzyła na te listy z niedowierzaniem. Czy to możliwe, że zapłacono za sfalszowanie dokumentów? Z pewnością nie. Ale... przeszył ją chłodny dreszcz. Zanotowała nazwisko administratora szpitala na tym samym kawałku papieru, na którym wcześniej zapisała nazwisko Findleya.

Dlaczego jej ojciec zadał sobie tyle trudu, żeby nigdy nie dowiedziała się o Elizabeth? A może to wszystko było zbiegiem okoliczności? Może jej ojciec potrzebował ulgi podatkowej albo zapragnął być szczodry... nie, to niemożliwe. Te dokumenty dowodziły, że chciał zatuszować sprawę. Shelby włożyła kartkę do torby i poczuła potworny ból głowy.

Starając się nie robić hałasu, zamknęła szufladę na klucz i odłożyła go na miejsce.

Zaniepokojona tymi informacjami, weszła do kuchni. Lydia stała tyłem do pokoju i rozmawiała przez telefon. Z ukrytych głośników sączyła się łagodna hiszpańska muzyka.

Lydia nie zdawała sobie sprawy, że Shelby słucha. Rozwinęła kabel telefonu tak bardzo, że mogła patrzeć przez okno na strzygącego trawę ogrodnika. Mówiła szybko, prawie niezrozumiałą hiszpańszczyzną. Jej zachowanie i ton głosu wskazywały na to, że jest wściekła. Shelby nie rozumiała całej rozmowy. Dotarło do niej tylko, że Lydia czuje się uwięziona. Nie chciała dalej podsłuchiwać, więc głośno chrząknęła, przeszła przez pokój i wzięła winogrono z koszyczka z owocami.

Lydia odwróciła się gwałtownie. Było po niej widać, że jest zdenerwowana i że stara się nie rozplakać. Miała czerwoną twarz i błyszczące oczy, a wokół jej zazwyczaj wygiętych w uśmiechu ust utworzyły się małe, jasne bruzdy.

- *Niña* - powiedziała, spłoszona. - *Dios*, przestraszyłaś mnie. Och, przepraszam. - Przez chwilę słuchała głosu swojego rozmówcy, rzuciła zdawkowe *Esta noche* i szybko odwiesiła słuchawkę, jakby zakłopotana, że przyłapano ją na prywatnej rozmowie w godzinach pracy. Głośno zastukała w szybę, aż ogrodnik podniósł głowę, a wtedy pogroziła mu palcem. - Ten człowiek nie ma pojęcia, co robi. Chwileczkę.

Błyskawicznie wybiegła na dwór do ogrodnika, który wyjął z kieszeni paczkę papierosów i cierpliwie słuchał potoku słów po hiszpańsku. Po paru sekundach Lydia wróciła, już spokojniejsza, i Shelby pomyślała, że coś tu jest nie w porządku. Były w tej sytuacji podteksty, których nie rozumiała. Lydia należała do osób bardzo zrównoważonych i nigdy nie wpadała w taką wściekłość; zważywszy na solidną pracę ogrodnika, nie miała nawet powodu, żeby się zdenerwować. No, ale może ona dopatruje się w całym zdarzeniu zbyt wiele, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co niedawno znalazła w szufladzie ojca.

- *Hombres!* - burknęła Lydia, wywracając czarnymi oczami.

- Nie można z nimi żyć, nie można ich zastrzelić - dorzuciła Shelby, próbując rozładować atmosferę.

Lydia wybuchnęła śmiechem i chyba na moment się rozluźniła.

- *Si, si*. Zapamiętam sobie to powiedzonko.

Shelby przerzuciła pasek torby przez ramię.

- Czy coś się stało? - zagadnęła. Nie chciała się wtrącać, ale czuła, że powinna coś powiedzieć. - Wyglądałaś na zdenerwowaną.

- Zdenerwowaną? - Lydia pokręciła głową i sięgnęła do lodówki po przykryte folią danie.

- Podczas rozmowy telefonicznej.

- Aha. Och, rodzinne kłopoty. Moja siostrzenica, Maria, ma problemy ze swoją córką. Nic poważnego - odparła, kładąc rondel na ladzie. Zdjęła folię. Kuchnię wypełnił ostry zapach marynaty. Lydia nadziała na widelec sztukę mięsa i obróciła ją kilkakrotnie.

- Jesteś pewna?

- *Si*. - Lydia unikała wzroku Shelby, a ona nie chciała wywierać na niej presji. Czasami gospościa była bardzo wylewna, ale zdawało się też, że strzegła swojej prywatności. Wydawało się, że to jedna z tych bardzo osobistych chwil, toteż Shelby uznała, że powinna wyjść. - Wyjeżdżasz gdzie? - Lydia wskazała widelcem torbę Shelby.

- Do San Antonio. Nie wiem, czy wrócę przed wieczorem.

- Sprawy służbowe? - zapytała Lydia.

- Nie - Shelby starała się podtrzymać żartobliwy ton rozmowy. - Gorąca randka.

- Z *señorem* Smithem?

Shelby się spięła.

- Nie, przyłapałaś mnie. Tylko się z tobą drażniłam. Żadna randka. Pomyślałam, że pojedę do miasta i zrobię zakupy. - Włożyła do ust kolejne winogrono i przełknęła. - A tak dla ścisłości, to ja nie chodzę na randki z *señorem* Smithem.

Lydia uniosła sceptycznie brew. Znała Shelby zbyt dobrze.

- Bierzesz urlop i jedziesz na zakupy?

- Tak. Mam ze sobą tylko kilka rzeczy, a w Bad Luck, możesz w to wierzyć lub nie, butików jest zbyt mało.

Lydia zdobyła się na uśmiech.

- A zatem jeśli zadzwoni do mnie ktoś z mojego biura nieruchomości w Seattle, powiedz, że oddzwonię jutro. Ale jeśli zadzwoni niejaki pan Levinson, weź od niego numer, a ja zadzwonię i odsłucham wiadomości. Jeśli będziesz

musiała wyjść, to po prostu nagraj wiadomość ze wszystkimi informacjami na sekretarkę, dobrze?

- Spróbuję - odparła Lydia, ponownie wkładając rondel z mięsem do lodówki, z której wyciągnęła dużą gomółkę sera. Potem umyła ręce. - Ale twój ojciec w to nie uwierzy - powiedziała przy wtórce cieknącej wody. - Przecież wróciłaś tutaj, żeby znaleźć swoją córkę, prawda?

- Tak.

- Mówiłaś bardzo... *específico*.

- Jednoznacznie - podsunęła Shelby.

- *Si*. Jednoznacznie. - Lydia zakręciła kurek i wytarła ręce w ściereczkę. - Nie sądzę, żeby uwierzył, że interesuje cię teraz nowa para butów albo bransoletka.

Shelby wyciągnęła z koszyczka następne winne grono i włożyła je do ust.

- To naprawdę nie ma znaczenia, Lydio. Niech sobie myśli, co chce. - Już miała iść, ale doszła do wniosku, że teraz jest dobra pora, żeby pogadać z Lydią o rozmowie, którą podsłuchiwała na klatce schodowej. - Wczoraj podsłuchiwałam, jak rozmawiasz z sędzią.

- *Si, si*. - Lydią akurat wyciągała z kredensu tarkę do sera.

- Hm, konkretnie to rozmawiałeś z nim o mnie i jakichś rodzinnych sekretach. Byłam na schodach, a ty stałaś na korytarzu, w pobliżu foyer.

Lydią na moment zamarła, ale zaraz odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła odpakowywać ser.

- *Si* - mruknęła, wyraźnie zdenerwowana.

- O czym rozmawialiście? O jakich sekretach?

Lydią uniosła ramię i zaczęła tarkować ser.

- Jest ich wiele.

- Na przykład jakie?

- Nie pytaj, *niña*, bo nie mogę powiedzieć. - Podniosła głowę, a jej oczy wyrażały smutek, którego Shelby nie mogła zrozumieć. - O takich rzeczach możecie rozmawiać tylko ty i twój ojciec.

- Ale nie o takich rzeczach, które dotyczą mnie.

- Już ci mówiłam: zapytaj jego. - *Gospoia* odwróciła wzrok.

- Lydio.

- Już dość powiedziałam. Porozmawiaj z sędzią. - Spojrzała na kuchenny zegar. - Niedługo tu będzie.

- Ale on nie... - Shelby przestała przekonywać, widząc zdeterminowaną minę Lydi. Nic nie mogło zachwiać lojalności Lydi w stosunku do sędziego, chociaż Shelby nie rozumiała dlaczego. Owszem, *gospoia* miała dużą pensję i podejmowała wiele decyzji, ale chyba nie było warto zadawać się z oszustem pokroju Reda Cole'a.

Stary sędzia Cole

Okropną starą duszę miał

Wredny byt z niego wał...

Jeszcze jako dziecko Shelby domyślała się prawdy o swoim ojcu - że był kłamcą i wielkim manipulantom - ale nie chciała w nią uwierzyć. Teraz wyglądało na to, że jego sztuczki i wpływy sięgały o wiele dalej, niż podejrzewała.

- Posłuchaj, Lydio, mam pewne prawa - nalegała, wskazując kciukiem na siebie. - Jeśli wiesz coś o miejscu pobytu mojej córki...

W tym momencie zadzwonił telefon i Lydią podniosła słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, wycierając rękę w fartuch. - Halo? - Zmarszczyła czoło i ściągnęła wargi. - Kto mówi? Halo? - Odłożyła słuchawkę. - *Dios mio!*

- Co się stało?

- To już drugi raz. Nikt nie odpowiada.

- Może to pomyłka - zasugerowała Shelby.

- No, to przecież ten ktoś powinien coś powiedzieć. Idiota!

Shelby nie odpuszczała.

- Posłuchaj, Lydio...

Ale *gospoia* wyglądała przez okno i stukała kłykciami palców w patelnię.

- Ależ leniuch z tego Pabla. Co ta moja siostra w nim widzi, pojęcia nie mam. On jest moim *cuñado*, *si*, ale pracować nie umie. - Gestykulowała zamasyżycie w stronę mężczyzny, który właśnie wyrównywał trawnik i ledwo podniósł głowę.

- Pablo Ramirez jest twoim szwagrem? - powtórzyła Shelby. Wcześniej o tym nie wiedziała.

- *Si, si*, no wiesz. To mąż Carli. - Lydią cmoknęła w geście obrzydzenia. - Cud prawdziwy, że sędzia jeszcze nie wyrzucił go z pracy!

- Zaraz, zaraz, Lydią. Mam wrażenie, że wymigujesz się od odpowiedzi. Rozmawialiśmy o mojej córce.

- *Niña*, proszę cię, ja nic nie wiem. Sekrety, o których wspominałam, dotyczą twojej matki, świeć Panie nad jej duszą. - Szybko zrobiła znak krzyża na swojej obfitej piersi. - Te inne tajemnice powinnaś omówić ze swoim ojcem.

Shelby chciała pociągnąć temat, ale na razie musiała przerwać rozmowę, głównie dlatego, że usłyszała ryk silnika. Być może wrócił jej ojciec. Jeśli tak, to miała zamiar dać mu do wiwatu. Podeszła do miejsca, skąd widać było okna sąsiadujące z frontowymi drzwiami, ale nie dostrzegła srebrnego mercedesa ojca, natomiast mignął jej wóz pomalowany starą, zieloną farbą, wóz Nevady.

- No dobrze, Lydio - powiedziała. - Na razie dam ci spokój. Nie będę się teraz z tobą sprzeczać, ale jeśli mój ojciec nie powie mi prawdy, zwłaszcza o mojej córce, to mam nadzieję, że ty mi ją powiesz. - Przygwoździła go spością pełnym determinacji spojrzeniem. - To chyba sprawiedliwe, nie uważasz?

- Czasami, *niha*, świat nie jest sprawiedliwy.

- Ale powinien być sprawiedliwy, Lydio. Do diabła, powinien taki być. Nawet w Bad Luck.

I wyszła przed drzwi, gdy tymczasem Nevada zatrzymał wóz w pobliżu garażu. Wmawiała sobie, że nie chce go widzieć. Nie teraz. Ma za dużo roboty.

Wysiadł z wozu energicznie i głupie serce Shelby zatrzepotało na jego widok. Nie mogła pojąć dlaczego. Co z tego, że wyczuwała w nim coś elektryzującego, zwierzęcy magnetyzm, prymitywny i zmysłowy, odwołujący się do jej instynktu? Wielkie rzeczy.

Jest ojcem jej córki i tyle. O nic więcej tu nie chodzi. To, co łączyło ich dziesięć lat temu, było skończone. I to od dawna. Nawet jeśli postąpiła głupio i zareagowała na jego pocałunek, to po prostu była to typowa kobieca reakcja, nic więcej.

Ale...

Trzasnął drzwiami wozu i wyglądał tak, jakby miał za chwilę kogoś zabić. Patrzył gniewnie przed siebie. Miał okrutne oczy i zaciśnięte usta. I jeszcze znoszone dżinsy. Zakurzone buty, granatową koszulkę, która wyglądała na nieźle podniszczoną. Prawdziwy kowboj dwudziestego pierwszego wieku - zwinny i niepokromiony jak ogier z zachodniego Teksasu. I równie dziki.

Wmawiała sobie, że go nie chce, ale się oszukiwała. Bezczelnie oszukiwała. Na przekór wszelkim argumentom, oczywista i przykra prawda była taka, że nigdy jej nie przeszło na punkcie Nevady.

Co gorsza, obawiała się, że to się nigdy nie zmieni.

Rozdział 10

Wybierasz się dokądś? - zagadnął Nevada, podchodząc do Shelby wielkimi krokami i pokazując torbę, którą przewiesiła sobie przez ramię.

Shelby była przygotowana. Nie wątpiła, że czeka ich kolejna konfrontacja.

- Do San Antonio. Mam dosyć bezczynnego czekania, aż twój przyjaciel Levinson zadzwoni z informacjami o Pritchardzie. Pomyślałam, że spróbuję odszukać adwokata ojca i coś z niego wydobyć. Pewno wie coś o tym, co zaszło.

- Pojadę z tobą.

Ośłupiała.

- Nie musisz.

- Może chcę.

Shelby była zaskoczona; miała wrażenie, że te słowa wciąż rozbrzmiewają echem w jej umyśle, gdy tymczasem za jej plecami szczękały nożyce ogrodnika.

- Nie masz tu niczego do roboty?

Przestąpił z nogi na nogę i spostrzegła wahanie w jego oczach.

- Coś się stało - szepnęła i poczuła gwałtowne wzruszenie. Może odnalazł Elizabeth! Ale gdyby tak było, przecież od razu by jej powiedział.

Zobaczyła jakiś ruch po swojej prawej stronie i uświadomiła sobie, że ich rozmowę może usłyszeć ogrodnik. Nevada zauważył jej reakcję, wziął ją za łokieć i poprowadził przez altanę do ławeczki przy basenie. Nad jaskraworóżowymi i fioletowymi petuniami krążył koliber.

- O co chodzi? - zapytała, kiedy usiedli obok siebie w cieniu kwitnącego żywopłotu. Przez moment dotykał nogą jej uda i poczuła emanujące zeń ciepło.

- Chyba o nic. Jakiś czas temu odebrałem telefon. Kiedy podniosłem słuchawkę, nikt się nie odezwał. W tle słyszałem muzykę, ale ten ktoś po drugiej stronie nie powiedział ani słowa. - Ściągnął wargi w zamyśleniu.

- Lydia odebrała kilka takich telefonów tutaj, w domu. - Shelby poczuła niepokój.

Nevada gwałtownie podniósł głowę.

- Kiedy?

- Niedawno. Nie wiem, kiedy był ten pierwszy telefon.

- Cholera! - Żyły na jego karku mocno nabrzmiały. - Nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba.

- Mnie też nie - wyznała Shelby. - Jak myślisz, kto to może być?

- McCallum - syknął Nevada przez zaciśnięte zęby.

- Dlaczego miałby się bawić w głuchy telefon?

- Nie wiem i nie jestem pewien, czy to był on - odparł Nevada - ale to o nim od razu pomyślałem. Wydaje mi się

to najbardziej prawdopodobne. - Zmrużył gniewnie oczy i zerknął na taflę wody. - Chyba jestem tak samo podły jak inni ludzie w mieście.

- To znaczy?

- Teraz kiedy McCallum jest na wolności, ludzie są zdenerwowani i mówi się, że będą przez niego kłopoty.

- To akurat żadna nowość.

- Ale jeśli on dzwoni do ciebie...

- Zaraz, chwileczkę. Ktoś zadzwonił do domu. Nie do mnie. I nawet nie wiemy, czy to był McCallum.

Nevada zacisnął wargi.

- Jest coś jeszcze.

- Co takiego? - zaniepokoiła się.

- Kręci się tu jakaś reporterka, Katrina Nedelesky, i wszystkich wypytuje. Pisze dla magazynu „Lone Star”. Ludzie mówią, że ma powstać seria artykułów o zamordowaniu Estevana i wypuszczeniu na wolność Rossa McCalluma.

- A więc sprawa znowu zostanie rozgrzebana.

- Jeszcze jak. - Zauważyła lekkie drgnięcie w kąciку jego ust. - Mam przyjaciela w Biurze Szeryfa i wiem, że chcą wznowić śledztwo w sprawie Estevana.

- Żeby znaleźć prawdziwego zabójcę?

Kąciکی ust Nevady zeszytywniały jeszcze bardziej. Zacisnął rękę w pięść.

- Shelby, prawdziwego zabójcę znaleźliśmy dziesięć lat temu. Problem w tym, że teraz jest na wolności.

- Ty tak uważasz. Jeżeli Caleb Swaggert skłamał, to może Ross wcale nie zabił Ramóna Estevana.

Twarz Nevady stężała w grymasie.

- McCallum to zrobił, Shelby. Mógłbym się założyć o własne życie, że tak było. - Nagle wstał i podszedł do krawędzi basenu. Jego dżinsy były przetarte na siedzeniu, jedna kieszeń była częściowo odpruta, a pasek zwisał nad pewną wypukłością, którą Shelby pamiętała aż nadto dobrze. T-shirt ciasno opinał szerokie barki i plecy, w które kiedyś wpijała palce, kiedy się kochali. Nagle Shelby poczuła fale gorąca i oderwała wzrok od Nevady. Popatrzyła na dom i w duchu przeklinała własną słabość. Fantazjowanie o tym człowieku było niedorzeczne, zwłaszcza w takiej chwili, kiedy musieli się skupić na odnalezieniu córki.

- Masz jakieś wieści od Levinsona? - zapytała, odchrząknawszy.

- Nic nowego.

Właśnie tego Shelby się obawiała. Zerwała się i stanęła przy Nevadzie, w cieniu sędziwego drzewa pękań. Liście lśniły i szumiały na wietrze, wiewiórka przeskakiwała z gałęzi na gałąź, wydając hałaśliwe pomruki.

- A co z innymi ludźmi, którzy są w to zamieszani? - zastanawiał się Nevada. - Ten prawnik, jak on się nazywa?

- Findley. Orrin Findley.

- Można zacząć od niego, ale muszą być przecież inni, którzy wiedzieli o dziecku. Kim oni są?

Sama zadawała sobie to pytanie.

- Przez wiele tygodni ciąży mieszkałam z ciotką ojca w Austin. Wszyscy myśleli, że wyjechałam do szkoły, ale w rzeczywistości robiłam kursy korespondencyjne i walczyłam z ojcem. Żądał, żebym oddała dziecko do adopcji, a ja za wszelką cenę chciałam je zatrzymać. W każdym razie moja ciotka oczywiście o wszystkim wiedziała, ale nie żyje od trzech lat.

Nevada jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Jest jeszcze ktoś?

- Jasne. Wszyscy, którzy pracowali tutaj w domu, mogli słyszeć moje kłótnie z sędzią. Oczywiście Lydia wiedziała. No, ale ona wie wszystko. - Więcej niż ty wiesz, przemknęło jej przez głowę.

- A twoi przyjaciele?

Shelby potrząsnęła głową i odgarnęła grzywkę z oczu.

- Z tego, co wiem, nie. Nie mówiłam o tej historii nikomu, a ponieważ wyjechałam z miasta, jeszcze zanim ciąża stała się widoczna, nikt niczego nie podejrzewał. Wszyscy myśleli, że wcześniej wyjechałam do szkoły. Sądzę, że później mogli się czegoś dowiedzieć z innych źródeł, ale nic do mnie nie dotarło. - Obserwowała reakcję Nevady i nagle poczuła wstyd, że kiedyś mu nie zaufała, że nie powiedziała mu o jego dziecku. A wszystko dlatego, że nie czuła się pewnie, że uniosła się dumą i była zazdrosna o Viancę. No i jeszcze gwałt. O tym naprawdę nie była w stanie mu powiedzieć. - Posłuchaj, przepraszam, że o niczym ci nie powiedziałam.

Nevada posmutniał i wepchnął ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

- Teraz to już nieważne.

- Ale powinnam była...

- Tak, powinnas była. Za późno jednak na przeprosiny, Shelby. - Odwrócił się i spojrzał na nią tym swoim potępiającym wzrokiem. - Wróćmy do rzeczy. Przecież jacyś ludzie pracowali z Pritchartem, pielęgniarki czy ktoś inny, kto był w tamtym szpitalu.

Nieco poirytowana, Shelby odparła:

- Zadzwoniłam do szpitala i pytałam o dokumentację, ale mają tylko metrykę urodzenia i akt zgonu. Z tych

dokumentów wynika, że Elizabeth zmarła.

- Musieli być jacyś inni ludzie. Lekarze, twój anestezjolog, personel pomocniczy, pielęgniarki, ktoś kto pracował na porodówce czy oddziale pediatrycznym.

- Wiem. Na razie niczego nie udało mi się ustalić. - Shelby podniosła rękę, ale zaraz ją opuściła.

- Który szpital?

Spodziewała się tego pytania.

- Szpital Naszej Matki Boskiej Bolesnej w Coopersville.

- Ten, w którym przebywa Caleb Swaggert? - zapytał i widać było, że o czymś intensywnie myśli.

- Dziewięć lat temu to była mniejsza placówka. O wiele mniejsza. To było, jeszcze zanim ojciec przekazał szpitalowi darowiznę w imieniu mojej matki. Potem szpital został wchłonięty przez większą jednostkę.

Gwałtownie uniósł głowę.

- Kiedy to się stało?

- Mój ojciec przekazał darowiznę zaraz po tym, jak urodziłam dziecko - przyznała. - Nie wiedziałam o tym aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy przejrzałam część jego akt. - Zerknęła na dom i zauważyła, że Lydia obserwuje ich przez otwarte okno w kuchni. Po chwili uświadomiła sobie, że w pobliżu jest także Pablo, porządkujący rabaty na drugim końcu altany, która zasłaniała basen. Czy Lydia przyglądała się Shelby i Nevada, czy też starała się nie spuszczać z oka swojego szwagra?

- Jak duża była ta darowizna?

- Nie wiem. Właśnie odnalazłam list z podziękowaniami od zarządu i administratora szpitala. Jeszcze nie miałam okazji, żeby z ojcem o tym porozmawiać.

Nevada rozwierał i zaciskał pięść.

- Myślisz, że to była łapówka dla szpitala za zatuszowanie sprawy?

- Tak. - To była prawda, chociaż na samą myśl o niej robiło jej się niedobrze.

- A niech to. - Niecierpliwie przeczesał włosy palcami. - Dlaczego twój ojciec tak bardzo się sprzeciwiał, żebyś zatrzymała dziecko?

- Bał się skandalu - westchnęła. - Uważał, że bardzo chcę zmarnować sobie życie.

- A chciałaś?

Spojrzała mu w oczy, które kiedyś tak namiętnie kochała, na mężczyznę, dla którego kiedyś poszłaby do samego piekła.

- Może. Kto wie? Byłam jeszcze dzieckiem. Ale myślę sobie, że miałam prawo je sobie zrujnować.

- Sobie i naszej córce. - Wypowiedział te słowa lekko oskarżycielskim tonem.

- Ustalmy jedną rzecz, Nevada - odparła z naciskiem. - Bez względu na okoliczności, nigdy, przenigdy nie zrobiłam niczego, żeby zaszkodzić swojemu dziecku.

- Z wyjątkiem tego, że nie powiedziałaś o nim jego ojcu.

Poczuła się tak, jakby ją zdzielił czymś ciężkim.

- Myślałam... myślałam, że to jest już za nami, ale najwyraźniej się myliłam.

Uznała, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Ruszyła w stronę samochodu. Nevada dogonił ją, złapał za nadgarstek i odwrócił tak szybko, że omal się z nim nie zderzyła.

- No, dobrze, to był chwyt poniżej pasa, ale chcę wierzyć, że teraz jesteśmy w tym samym położeniu. Powiedziałaś mi o wszystkim, co powinienem wiedzieć. Zgadza się?

- Absolutnie. - Z wyjątkiem gwałtu. Nie powiedziałaś mi o gwałcie, Shelby.

- Dobrze. - Przez chwilę nie mówił nic i czuła tylko na przegubie ręki gorące opuszki jego palców. Jej serce zaczęło bić szybciej i kiedy wpatrywała się w twarz Nevada, bardzo żałowała, że nie może być w jakimś innym miejscu na kuli ziemskiej. Przebywanie tak blisko niego kosztowało ją zbyt wiele nerwów i emocji, stanowiło zbyt dużą pokusę. - Ja... muszę jechać.

- Ja też.

Nadal stał w miejscu. Do uszu Shelby dochodził odgłos grabi ogrodnika i kwilenie ptaka gdzieś wysoko w górze, ale przez krótką chwilę, patrząc na Nevada, znowu czuła się siedemnastolatka - młodziutką, niewinną i zbuntowaną dziewczyną. To było tak dawno temu. Jakby w innym życiu. Przełknęła ślinę, a on spojrzał na jej szyję.

- Uważaj na siebie.

- Będę uważała.

- Jeżeli znowu otrzymasz anonimowy telefon albo będziesz miała jakieś kłopoty... Do diabła, powinienem pojechać z tobą.

- Dam sobie radę. Ty zajmij się wszystkim tutaj. Pogadaj z Levinsonem. Odszukaj Pritcharta.

- Shelby..

Och Boże, czyżby znowu miał zamiar ją pocałować? Wyszarpnęła rękę, a Nevada nie nalegał.

- Mówię poważnie, Shelby. Nie rób niczego ryzykownego.

Najbardziej ryzykowne rzeczy robiłam z tobą.

- Powiedziałaś, że będę ostrożna, i dotrzymam słowa. Ty też uważaj na siebie, Nevada. - I poszła do samochodu.

Nie pożegnała się i nie patrzyła, jak Nevada idzie w stronę swojego wozu, a potem odjeżdża. Usiadła za kierownicą cadillaca, zdmuchnęła włosy z twarzy i poprawiła lusterko wsteczne, w którym na moment mignęły jej zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. - O, tak, no i jesteś idiotką. Kompletną, skończoną idiotką. - Musiała jakoś wziąć się w garść. Nie może, nie chce znów zakochać się w Nevadzie. Raczej piekło zamarnie, nim miałoby do tego dojść.

Shep Marson nie mógł się pozbyć złego przecucia, które towarzyszyło mu od paru dni, odkąd kazał się zatrzymać Mary Beth Looney i Rossowi McCallumowi. Niepokój ciągnął się za nim jak zły zapach. Prześladował go również teraz, kiedy zajeżdżał pod dom Estevanów i gasił silnik.

Oficjalnie Shep był już po służbie, ale nie chciał jeszcze wracać do domu. Peggy Sue na pewno się wścieknie z powodu jego spóźnienia, ale będzie musiała poczekać. Shep miał coś ważnego do załatwienia. Podciągnął spodnie i ruszył do frontowych drzwi.

Dom Estevanów był starannie utrzymanym bungalowem. W obejściu panował porządek, a w donicach na zacienionym frontowym ganku bujnie kwitły petunie i nagietki, pięknie kontrastujące z jaskrawym różem fuksji. Obok hydrantu stał wysłużony trycykl. Na okiennym gzymsie cętkowana kotka drapała się po uchu tylną łapką, ale na widok Shepa zeskoczyła i zniknęła za rogiem domu.

Wchodząc po stopniach, Shep słyszał kobiecy śpiew i szum cieknącej wody. Zza siatkowej zasłony dolatywał zapach jakiejś ostrej potrawy z chili i kminkiem. Shepowi zaburczało w żołądku. Wyciągnął puszkę Copenhagen, wypił łyk i zapukał do drzwi.

Śpiew natychmiast ucichł. Ktoś zakręcił wodę. Shep zajrzał do środka. W rogu salonu stał telewizor. Grał, ale cicho.

Pojawiła się Vianca z włosami owiniętymi w ręcznik, ubrana w bezrękawnik, jeszcze z mokrymi ramionami.

- Tak? - zagadnęła przez siatkowe otwory. Nie musieli się przedstawiać sobie nawzajem, bo już się znali. Shep uchylił kapelusza.

- Pomyślałem, że wpadnę zapytać, jak się miewacie, ty i matka - powiedział. - To nie sprawa służbowa, tylko przyjacielska wizyta. Domyślam się, że ciężko wam obu, odkąd Ross McCallum jest na wolności.

- *Cabrón!* - wycedziła. Jej oczy zapłonęły z wściekłości.

Nie zaprzeczył. Większość ludzi w Bad Luck uważała, że Ross McCallum to drań albo coś jeszcze gorszego.

Nachmurzona Vianca przecisnęła się przez siatkę i wskazała dwa plastikowe krzeselka na ganku.

- *Madre* ciężko to przeżywa.

- Wyobrażam sobie. - Shep usiadł na zakurczonym krześle, a krzesło obok zajęła Vianca. Zdjął kapelusz i zaczął się bawić jego rondem. Zazwyczaj był pewny siebie, ale Vianca Estevan należała do kobiet, które wprawiały go w wielkie zakłopotanie. Była seksowna, ale za fasadą szorstkości kryła się niewinność, niewinność, która niezmiernie pociągała Shepa. Krążyły plotki, że Vianca jest łatwa. Shep uświadomił sobie, że chciałby, żeby to była prawda.

- *Madre...* ona nie czuje się dobrze.

Shep kiwnął głową: słyszał, że po tym jak jej mąż został zamordowany, Aloise Estevan miała coraz większe kłopoty z psychiką. Chodziła na msze dwa razy dziennie, ponoć kazała wybudować ołtarzyk ku pamięci Ramóna w domu, w którym mieszkała ze swoją córką i wnukiem, i słyszano, jak rozmawia z Ramónem, chociaż on od dawna nie żył.

Vianca skrzyżowała swoje szczupłe nogi i Shep starał się nie patrzeć na białe szorty, które ledwo zakrywały jej pupę. Zastanawiał się, czy ma na sobie majtki i jakiego są koloru, ale w końcu ugryzł mocniej prymkę tytoniu i spojrzął jej w twarz.

- Przykro mi. Wiem, że jest jej ciężko i że nie będzie jej łatwiej przez kilka następnych tygodni. Zarządzono ponowne śledztwo w sprawie śmierci Ramóna, więc może będziesz musiała mieć do czynienia ze śledczymi, i zapewne z prasą.

- *Mierda!* Mój ojciec nie żyje. *Señor...* to znaczy zastępco szeryfa Marson. *Muerto*. Nikt nie przywróci mu życia. *I si*, dobrze byłoby, żeby łajdak, który go zabił, dostał sprawiedliwy wyrok, ale... - wzruszyła ramionami i ręcznik, którym owinęła głowę, trochę się obsunął. Przechyliła głowę na bok i utkwiała w nim swoje czarne, żarzące się jak węgiel oczy - ...to go nie wskrzesi.

- To nasza praca - powiedział. - Myślałem, że chciałabyś wiedzieć.

Ściągnęła usta i Shep zaczął zastanawiać się nad tym, co by poczuł, gdyby ją pocałował albo... coś więcej. Skoro miała taki gorący temperament, w łóżku musiała być istną kocicą. Wystarczyło, że spojrzął na nią i już czuł twardość w kroczu. Poprawiła ręcznik i odprowadziła wzrokiem furgonetkę sunącą po ulicy. Kiedy podnosiła rękę, jej bluzka trochę się rozchyliła i Shep widział przez chwilę kawałek miodowej skóry wystający z czerwonej koronki stanika. Czerwonej - prawie szkarłatnej. Shep nie widział takiego odcienia od lat. Ostatnio Peggy Sue nosiła białą bieliznę, która po kilku praniach nabierała odcienia nieapetycznej szarości. Ale to, co widział teraz, sprawiało, że nie mógł oderwać oczu i z wrażenia zupełnie zaschło mu w gardle.

- *Gracias*. - Jej głos był chłodny i szorstki.

Podniósł szybko głowę i zobaczył, że Vianca przypatruje mu się tymi swoimi ognistymi, czarnymi oczami.

Surowo.

Wytrzymał to spojrzenie. Nie było sensu ukrywać, że bardzo go pociągała. Nawet nie mrugnęła.

Chrząknął.

- Wiem, że pracowałaś w sklepie tamtej nocy, kiedy został zabity twój ojciec.

- *Si* - powiedziała, nagle czujna.

- Widziałaś tam Rossa McCalluma.

Bez słowa kiwnęła głową.

- Kogo jeszcze?

- Mówiłam to wiele razy, kiedy policja zaczęła mnie wypytywać. - Gdzieś na ulicy pies zaczął głośno ujadać.

- Wiem, ale odśwież mi pamięć.

Zawahała się. Zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Była tam jego siostra, Mary Beth - powiedziała - i, oczywiście, ta kurwa.

- Ruby Dee.

- *Si*. - Vianca zrobiła pogardliwą minę. - Ruby. I Joe Hawk, był tam wcześniej, o wiele wcześniej, z... Nevadą Smithem. - Odwróciła wzrok.

Bingo! Shep podejrzewał, że Nevada i jego kuzyn tam byli, ale nie zdążył jeszcze się przekopać przez tony zeznań z procesu McCalluma.

- Badger Collins, Etta Parsons... Celeste... och, ona jest córką Caleba, tego pijaka. - Niecierpliwie pstrykała palcami, usiłując wszystko sobie przypomnieć. Była teraz jak w transie.

- Swaggert, obecnie Hernandez.

- Tak, była tam, i jeszcze Manny Dauber i Lucy... kobieta, która pracuje teraz w pubie White Horse. - Vianca wymówiła kolejne słowa po hiszpańsku, jakby to miało ożywić jej pamięć.

- Lucy Pride - podsunął Shep, chociaż wiedział, że Lucy miała kilka zatargów z prawem, była notowana i używała niejednego nazwiska. Ostatnio sprawiała wrażenie porządnej obywatelki. Przypuszczał, że to dlatego wybrała sobie nazwisko Pride, Duma.

- *Si*, Pride - przytaknęła Vianca. Rozpamiętywała kolejne lata przygryzając dolną wargę. - Tylu ich było. Maria Ramirez i Juan Padilla, twoja żona też tam była - zauważyła i w tym momencie Shep zacisnął szczękę. Już sam fakt, że w to wszystko była zamieszona Peggy Sue, przejmował go wstydem.

- Poszła tam tylko po tylenol dla jednego z dzieciaków - wyjaśnił szybko, czując, że musi bronić kobiety, którą pojął za żonę tak dawno temu. - Timmy'ego bolała głowa, chyba z powodu grypy.

Vianca zbyła jego wytłumaczenie lekceważącym machnięciem ręki i właściwie miała rację. Tamtej nocy w sklepie było mnóstwo ludzi z tego przeklętego miasteczka. Zważywszy na brak motywu i narzędzia zbrodni, śledztwo prawdopodobnie utknie w martwym punkcie.

Jednak w umyśle Shepa raz po raz pojawiało się, i nie chciało zniknąć, jedno nazwisko: Nevada Smith. Przed laty pracował niestrudzenie nad sprawą Estevana, upierając się, że to Ross McCallum wykończył Ramóna, kiedy był pijany i sprzeczał się o jakiś karciany dług. W tamtym czasie wszystko układało się w logiczną całość, zwłaszcza że świadkowie widzieli, jak Ramón i Ross kłócą się zawzięcie na parkingu o dwa tysiące dolarów. Ale nawet dziesięć lat temu instynkt podpowiadał Shepowi, że Nevada nazbyt się stara przypisać to morderstwo McCallumowi, że w grę wchodzi jakieś osobiste porachunki. Może tu właśnie krył się klucz do zagadki - należałoby ustalić, co poróżniło McCalluma i Smitha.

Podejrzewał, że chodziło o kobietę - o samą księżniczkę.

Shep założyłby się o inkrustowane srebrem dziadkowe ostrogi, że to Shelby Cole była źródłem kłopotów. W dodatku łączyło ich pokrewieństwo - był jej dalekim kuzynem - więc miał w tej sprawie osobisty motyw.

- Vianca! - krzyknął czyjś piskliwy głos. Gdzieś w głębi domu dał się słyszeć głośny trzask drzwi, a potem tupot rozpedzonych nówek.

Vianca wstała w momencie, gdy do pomieszczenia wparował z wyglądu czteroletni chłopczyk.

- *Tia V, tia V* - zapłakał i z rozwianą czarną czupryną rzucił się Viance w ramiona.

Wzięła go na ręce i okręciła się z nim w kółko; chłopczyk chichotał. Ręcznik zupełnie zsunął się z jej głowy i czarne włosy opadły na ramiona bezładnymi lokami.

- Och, mały Ramónie, posłuchaj no, istny szatan z ciebie - powiedziała, całując malca w policzki i rzucając ręcznik na krzesło. - Kochany mały *diablo*. - Zerknęła na Shepa. - To synek mojego brata Roberto - wyjaśniła - i światło mojego życia. - Wtuliła nos w policzek chłopca.

Mały Ramón odchylił głowę i roześmiał się, gdy tymczasem drzwi znów się otworzyły i pojawiła się w nich zgarbiona, siwa Aloise Estevan. Miała udręczone, pozbawione duszy oczy, a niegdyś nieskazitelna skóra była teraz pomarszczona i ziemista. Wsparta o ciężką, metalową laskę, popatrzyła na Shepa, ale był pewien, że go nie poznała; prawdopodobnie nie pamiętała już wielu ludzi.

Vianca szybko przedstawiła ich sobie, ale właściwie bezskutecznie. Aloise wymamrotała coś niezrozumiałego pod nosem i swobodna radość na twarzy Vianki ustąpiła miejsca rozpacz.

- Nie, *madre*, tego tu nie ma. Pamiętasz? Podrę jest... odszedł. - Szybko spojrzała na Shepa i zrozumiał, o czym

myśli.

- Będę się zbierał - powiedział. Nagle poczuł, że musi się napić piwa.

Aloise wciąż mówiła, z pozbawioną wyrazu twarzą, skupiona na świecie, który tylko ona sama widziała. Znowu pojawiła się cętkowana kotka i mały Ramón zsunął się po szczytym ciele ciotki, żeby ruszyć w pościg za zwierzęciem.

Shep uchylił kapelusza.

- Jeszcze porozmawiamy.

- *Si* - odparła Vianca i nieśmiało się do niego uśmiechnęła. Ten uśmiech Shep miał przed oczami w drodze do domu, gdzie czekała na niego rozgniewana Peggy Sue i zimne łóżko.

Podróż Shelby do San Antonio okazała się kompletnym niewypałem.

Jak na razie, Orrin Findley na nic jej się nie przydał. Bo przecież jeszcze się z nim nie zobaczyła ani nawet nie porozmawiała przez telefon. Przez dwa dni usiłowała dostać się do jego biura, ale jej wysiłki studziła zawsze służbista jak sierżant musztry sekretarka. Teraz, siedząc w kafejce pod gołym niebem na River Walk i obserwując wypełnioną turystami barkę na rzece San Antonio, Shelby przypominała sobie wymówki, które słyszała:

„Pan Findley wyjechał z miasta”.

„Pan Findley jest w sądzie”.

„Pana Findleya nie ma w gabinecie”.

„Pan Findley jest na spotkaniu”.

Prawda była taka, że pan Findley jej unikał. Shelby oparła się na krześle i przypatrując liściom drzew poruszanych bryzą, sączyła lemoniadę i próbowała nie tracić szybko wyczerpującej się cierpliwości. Taktyka zaskoczenia również nie zadziałała: Findley za każdym razem był niechętny spotkaniu.

Tymczasem Shelby nie próżnowała. Skontaktowała się ze swoim biurem w Seattle i dopilnowała, żeby jej nieobecność nie odbiła się na klientach. Agent, który ją zastępował, spisywał się świetnie i jej nie ponaglał „nie śpiesz się, bo wszystko jest pod kontrolą”. Shelby mu ufała.

Zadzwoiła również do Lydii i dowiedziała się, że w końcu skontaktował się z nią Ben Levinson, ale kiedy wykręciła do niego numer podany przez gospozię, zgłosiła się elektroniczna sekretarka. Sfrustrowana nagrała się, podając numer w swoim hotelu, a potem poszła do biblioteki, gdzie przejrzała stare wycinki prasowe na mikrofilmach. Starła się przeczytać wszystko o rozprawie Rossa McCalluma. Nie mogła się uwolnić od myśli, że to jego wyjście z więzienia skłoniło kogoś do napisania anonimowego listu i wysłania jej zdjęcia Elizabeth. Ale kogo? I w jakim celu? I gdzie, na miłość boską, jest Elizabeth? Shelby znowu poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku - doświadczała go zawsze, ilekroć myślała o swojej córce i o tym, że nie potrafi jej odszukać.

Była tak zdesperowana, że zadzwoniła nawet do Smitha. Miała nadzieję, że Nevada pozostaje w kontakcie z Levinsonem albo czegoś się dowiedział, ale on również był nieuchwytny. Nie zostawiła mu wiadomości, ponieważ zamierzała szybko wrócić do Bad Luck. Postanowiła, że wtedy go odwiedzi.

Żeby porozmawiać z prawnikiem ojca, uciekła się do mniej uczciwych metod. Podśluchała, jak jego sekretarka zamawia dla niego stolik na lunch w restauracji na River Walk, zaledwie kilka lokali dalej od tej zacienionej kafejki, i postanowiła go zaczepić. Usadowiła się w takim miejscu, żeby widzieć wejście do restauracji, w której Findley umówił się ze swoim klientem. Czekaając, wypijała trzy szklanki lemoniady.

Findley miał się spotkać z klientem o pierwszej. Dochodziła trzecia. Shelby ponownie zerknęła na zegarek, zamieszała lemoniadę w szklance i obserwowała frontowe drzwi lokalu. Minęło kolejne dziesięć minut i pomyślała, że zaraz zwariuje. Stolik obok niej był pusty przez kilka minut. Potem usiadła przy nim kolejna para, sądząc po tym, jak blisko zestawili krzesła i jak splatali dłonie po stolem, bardzo zakochana. Częściowo zasłaniała jej widok. Wrony i gołębie krążyły wokół stolików, machając skrzydłami - polowały na okruszki, które spadały na kamienny bruk.

No, przyjdź, przyjdź, pomyślała, oglądając się przez ramię w nadziei, że nikt jej nie rozpozna. Od chwili, gdy Nevada opowiedział jej o głuchych telefonach, stała się bardzo, bardziej niż kiedykolwiek, nerwowa.

W końcu zobaczyła mężczyznę, którego obraz zdobił recepcję jego kancelarii prawniczej. Orrin Findley był bardzo wysoki, chudy i siwy; opalony na ciemny brąz, miał biały wąsik, nosił skrojony na zachodnią modłę garnitur, krawat na gumce i buty o srebrnych noskach. Był pochłonięty rozmową z klientem; szli wzdłuż rzeki, a potem, po schodach dotarli do głównej ulicy. Shelby zostawiła na stole szklankę i kilka dolarów, a potem, starając się nie zwracać na siebie uwagi, ruszyła za nimi po schodach, do położonego wyżej centrum miasta. Findley i jego klient rozstali się przy błyszczącym czarnym jaguarze prawnika; na tablicach rejestracyjnych widniał napis: S A LAW.

Shelby nie marnowała ani chwili.

- Pan Findley?

Odwrócił się i uśmiechnął od ucha do ucha.

- Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Mam taką nadzieję. Nazywam się...

- Shelby Cole - dopowiedział i rozpoznawszy ją, przestał się uśmiechać. - Wszędzie bym panią rozpoznał. Jest pani taka podobna do Jasmine.

- Pan mnie unika - zaatakowała go, a jemu starczyło godności, żeby się tego nie wypierać. - Muszę z panem porozmawiać o moim dziecku.

- Ja nic nie wiem.

- Oczywiście, że pan wie. Jest pan adwokatem mojego ojca, a pana kancelaria zajmuje się adopcjami.

- Legalnymi adopcjami.

- No, więc co się stało z moim dzieckiem?

- Nie wiem. Nawet nie wiedziałem, że pani miała dziecko.

- Na pewno wiedział pan, panie Findley - upierała się, patrząc na przejeżdżające samochody. - Jestem pewna, że ojciec się panu zwierzał.

- Nawet jeśli to robił, podpadałoby to pod kategorię przywileju relacji adwokat klient. Nie mógłbym o tym rozmawiać ani z panią, ani z kimkolwiek innym.

- Ale ona była moją córką i powiedziano mi, że zmarła zaraz po urodzeniu! - Shelby stanęła przy drzwiach jaguara i nie ruszała się z miejsca. Teraz niemal już nie zauważała przechodzących obok ludzi i sznura samochodów, które zaczęły jechać po zmianie świateł. Jej ukryte za ciemnymi szklami oczy wpatrywały się w sprytnego prawnika, którego jadowity uśmiešek kojarzył się z wężem. - Ja też miałam swoje prawa. Prawa, o których zapomniano albo które zlekceważono.

Szybko zerknął przez ramię na ulicę, po czym, ledwo poruszając wargami, syknął przez zaciśnięte zęby:

- Coś pani powiem, panno Cole. Nie dyskutuję o sprawach służbowych na środku ulicy.

- W biurze nie chciał pan ze mną rozmawiać.

- Ponieważ nie miałem nic do powiedzenia - wycedził, unosząc brwi. - Nic. - Chciał, żeby się zamknęła, siedziała cicho, zachowywała się przyzwoicie, ale ona nie dała sobie zamydlić oczu jego reputacją czy staroświeckim wdziękiem.

- Myślę, że ma pan coś do powiedzenia. Wie pan o dziecku, wie pan o darach mojego ojca dla Szpitala Naszej Matki Boskiej Bolesnej, a prawdopodobnie wie pan nawet, dlaczego sędzia uważa, że ma cholerne prawo urządzania mi życia wedle swoich własnych reguł.

- Nie. Wiem tylko, że powinna pani zrezygnować z tych poszukiwań. Jeśli miała pani dziecko, to jest ono teraz już duże, mieszka z rodzicami, którzy je kochają...

- A skąd pan to wie? - zapytała, opierając się biodrem o błyszczący zderzak i zakładając ręce na piersi.

- Słucham?

- Skoro pan nie wie, gdzie ona jest, to jak pan może zakładać, że mieszka z dwojgiem rodziców, że są szczęśliwi, że ma dobrą opiekę? Jeśli nie jest pan wtajemniczony w poufne informacje na temat mojej córki: gdzie jest, z kim mieszka, wszystko, co pan mówi, jest tylko przypuszczeniem, i sądzę, że mam prawo... nie, jestem cholernie pewna, że mam prawo moralne, prawne i etyczne dowiedzieć się, czy moja córka jest bezpieczna i szczęśliwa!

Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- W takim razie, panno Cole, proszę porozmawiać ze swoim ojcem.

- Już próbowałam. Na nic to się nie zdało. Wydaje mi się, że jedyne wyjście dla mnie to zatrudnić własnego adwokata i wkroczyć na drogę sądową. Otrzyma pan wezwanie do stawienia się przed sądem.

Twarz Findleya skamieniała.

- To będzie trudne, panno Cole. Z tego, co mi wiadomo, pani dziecko zmarło zaraz po urodzeniu. Chyba widziałem jego akt zgonu w dokumentach pani ojca. Do widzenia.

Kłamał. Shelby założyłaby się o własną głowę, że kłamał. Ale był również wyćwiczony w sztuce oszustwa i niezachwiany w swoich przekonaniach. Kiedy patrzyła, jak idzie do swojego jaguara, otwiera wóz i wsiada za kierownicę, poczuła się bezradna i sfrustrowana.

Tak, pomyślała, gdy błyszczący samochód ruszył spod krawężnika, cała ta podróż była stratą czasu.

- Jesteś tego pewna? - pytał Ross, podejrzliwie patrząc na blondwłosą barmankę. Akurat była poobiednia pora i garstka chłopaków, sądząc po wyglądzie, regularnych klientów, weszła do White Horse po całodziennej robocie, żeby wypić parę piw. Potem czekał ich powrót do zmęczonych, zręczliwych żon, zasmarkanych dzieciaków i żalosego życia. Ross przytknął do ust butelkę budweisera. Nie zazdrościł żadnemu z nich. Doszedł do wniosku, że każdy człowiek tkwi we własnym więzieniu.

Lucy otworzyła kolejną butelkę z długą szyjką i spojrzała na swoje odbicie w lustrze zawieszonym nad kontuarem. Wytarła tusz z kącika oka i pchnęła piwo w stronę Rossa.

- Sama słyszałam, jak Shelby mówiła o tym Nevadzie. Rozmawiali tu parę dni temu, o, w tym miejscu - wskazała stolik zajęty przez kobiety z długimi włosami, jaskrawymi kolczykami, ubrane w obcisłe dzinsy; paliły papierosy i rozglądały się wokół - i ona wyraźnie powiedziała, że mieli kiedyś dziecko. - Lucy oparła się łokciem o bar i przysunęła bliżej. - Powiem ci, że on od razu ją stąd zabrał, wyszli tylnymi drzwiami, i tyle ich słyszałam. - Pchnęła w kierunku Rossa koszyczek z popcornem.

- No, tej historii nic nie przebiję.

- Pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć. - Zaczęła wycierać ładę białym ręcznikiem.

Ross rzeczywiście chciał o tym wiedzieć. Pragnął wiedzieć o wszystkim, co miało jakiś związek z Nevadą sukinkotem Smithem i Shelby Cole. Lucy była jedyną przyjaciółką w mieście, na którą mógł liczyć. Wszyscy inni traktowali go tak, jakby był zawieszony albo cierpiał na jeszcze gorszą przypadłość.

Opróżnił butelkę jednym haustem, zostawił Lucy mamy napiwek i wyszedł z pubu. Energia go rozsadzała - chętnie by komuś przyłożył, a jeszcze chętniej zabawiłby się z kobietą. Z jakąkolwiek kobietą, chociaż na myśl o Shelby Cole odczuwał szczególną satysfakcję. Był z nią tylko raz i, no cóż, prawdę mówiąc, zmusił ją, ale miał wielką ochotę to powtórzyć.

To, że mógł jej dosięść, było fantastycznym przeżyciem. Nawet wtedy, gdy dźgnął Smitha nożem w oko, nie miał takiego poczucia władzy i satysfakcji, jak wtedy, gdy zerznął córkę sędziego. Nigdy przedtem nie czuł się tak macho, jak wtedy, gdy przygwałdził księżniczkę do siedzenia wozu jej ojca. Jasne, miał niezłego stracha, ale warto było zaryzykować, żeby potem przez wiele miesięcy rozkoszować się poczuciem brutalnej siły. Nawet kiedy dopadł go Nevada Smith i zaczęli się bić, jeden na jednego, nie doznawał najmniejszych wyrzutów sumienia. Ani trochę. Fakt, wylądował w szpitalu - Nevada nieźle mu przyłożył - ale sam też nie pozostał dłużny i na zawsze uszkodził Smithowi wzrok.

Wgramolił się do wozu dziadka i słuchał, jak stary silnik dodge'a rzezi, a potem zapala. Stare biegi skrzypiały, opony były mocno naddarte, a przednia szyba połamana, ale nie miał zbyt dużego wyboru. Przynajmniej ten żaloszny gruchot był na chodzie.

Sprawdził godzinę na zegarku. Według jednego z miejscowych, Ruby Dee kończyła pracę o ósmej. Skontaktował się z paroma facetami, którzy znali ją od wielu lat. Twierdzili, że pracuje w sklepie sieci Safeway. Ross zadzwonił tam i dzięki trzydziestopięcioprocentowej inwestycji dowiedział się, kiedy Ruby kończy zmianę.

Teraz miał mnóstwo czasu, żeby dojechać do Coopersville, miasta znajdującego się czterdzieści kilometrów na południe od Bad Luck, a przy tym jakieś pięć razy większego.

Przypalając papierosa i sprawdzając wsteczne lustro w obawie, że może go ścigać jakiś przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, wyjechał poza granice miasta. Ani na moment nie przekraczał limitu prędkości. Nie mógł ścigać na siebie uwagi, zważywszy że jechał takim gruchotem.

W niespełną godzinę później zaparkował na asfaltowym parkingu Safeway'a i czekał. Klienci i chłopcy do pakowania zakupów pchali terkoczące wózki do i ze sklepu, podczas gdy kilku kierowców rozglądało się za miejscem do parkowania. Dookoła latały szukające okruszków wrony, a między samochodami kluczył chuderlawy pies, który w końcu podniósł łapę na oponę jakiegoś szykownego sportowego cacka.

Niezły wybór.

Wypaliwszy trzeciego marlboro, Ross zajrzał przez okna i rozpoznał Ruby, który właśnie szykowała się do wyjścia. Obserwował ją, jak zagadywała innych kasjerów i odwiązywała fartuch. Wreszcie im pomachała, pchnęła szklane drzwi i wyszła w wieczorną spiekotę.

Ross uśmiechnął się łagodnie i cisnął niedopałek papierosa na asfalt.

Ruby wciąż była filigranową ślicznotką i Ross pamiętał ją w łóżku. To było wiele lat temu, jeszcze zanim zwróciła się przeciw niemu, ale w tamtych czasach miała porywczy temperament w łóżku i poza nim. Zastanawiał się, czy nadal świetnie robi łaskę. Na samą myśl o tym poczuł, że ma erekcję.

Przycięła włosy. Były teraz krótsze; loczki w kolorze mahoni uokalały jej szczupłą twarz o wielkich brązowych oczach. Niektórzy twierdzili, że wygląda jak Audrey Hepburn, tylko jest niższa, ale w rzeczywistości Ruby Dee była zbyt pulchna, żeby można je porównywać.

Ross nie mógł wytrzymać naporu stwardniałego członka. Tyle lat nie był z kobietą. Tyle lat. Już dawno należał mu się szybki numer. Walczył z erekcją praktycznie od momentu, gdy opuścił więzienie. Każda kobieta wydawała mu się teraz potencjalną zdobyczą. Był tak napalony, że miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

Czekał, aż Ruby wyjmie kluczyki z torebki i zacznie otwierać drzwi swojego forda escorta. Wtedy błyskawicznie wyskoczył zza starej furgonetki. Wielkimi krokami minął stojące w nieładzie supermarketowe wózki i okrążył zielonego el camino, na którego oknie znajdowała się kartka z napisem „Na sprzedaż”.

- Ruby - powiedział, a ona aż podskoczyła, odwróciła się i trzymała klucze w taki sposób, jakby dawały jej jakąś ochronę.

Szepnęła coś po cichu. Brzmiało to jak „Boże, dopomóż”. A potem odezwała się głośno:

- Ross. Słyszałam, że wyszedłeś na wolność. - Wyglądała jak sarenka spłoszona blaskiem reflektorów.

- Żadnych podziękowań dla ciebie.

- Ja... ja nie wiem, o co ci chodzi. - Ale w jej wielkich oczach czaił się strach.

Oparł się biodrem o drzwi escorta, żeby nie mogła otworzyć samochodu.

- Ależ doskonale wiesz, złotko. Przez twoje zeznanie trafiłem do mamra.

- Nie, Ross, to nie było tak. Ja... hm, ja po prostu powiedziałam sądowi, co widziałam. To wszystko.

- Czyżby? - Ross mierzył ją groźnym spojrzeniem. Wyciągnął rękę i owinał wokół palca jeden z jej zalotnych loczków.

Odskoczyła jak oparzona.

- Tak właśnie było. Byłeś w pikapie Nevady Smitha. Pijany jak bela. Widziałam cię w tym wozie, kiedy wychodziłam z White Horse. Podjeżdżałeś na parking przed sklepem Estevana. - Nagle przerwała. - Posłuchaj, Ross, ja nie chcę żadnych kłopotów. Nie widzę powodu, żeby jeszcze raz to przechodzić. Przecież wyszedłeś z więzienia, więc dlaczego tak ci na tym zależy?

- Dlaczego mi zależy? - powtórzył. - Dlaczego mi zależy? - Wzbierał w nim gniew. - Straciłem dziesięć lat swojego życia, bo skłamałaś, Ruby. Dziesięć lat. Dwa lata walki w sądzie i osiem lat w więzieniu. Czy ty masz pojęcie, ile to czasu? Masz? - Kiedy nic nie odpowiedziała, zmierzył ją surowym spojrzeniem. - No cóż, właśnie dlatego mi zależy.

- Ja... ja nie kłamałam.

- Może i widziałaś wóz Smitha tamtej nocy, ale to nie ja byłem za kierownicą. Według mnie Smith i Estevan pożarli się o coś, może o to, że Smith rzucił córkę Estevana dla Shelby Cole. Ramón był cholernie porywczy, wiedziało o tym całe miasteczko. Pewno poszedł za Smithem z nożem albo spluwą i sprawy wymknęły się spod kontroli. Smith go rozwalil.

- Jesteś stuknięty - powiedziała Ruby, czując, że sztywnieje. - Nevada nikogo nie zabił.

- Ja też nie, ale to ja musiałem zapłacić, co? - Zmrużył wpatrzone w Ruby oczy, a ona wyraźnie zadygotała. Poczł się silny. Podobało mu się, że Ruby pobladła na jego widok. Wyciągnął do niej rękę, ale Ruby się odsunęła.

- Nie dotykaj mnie, Ross, bo wezwę policję. To, że Caleb zmienił swoją wersję i zarobi kupę szmalu, sprzedając ją tej reporterce, nic nie znaczy. O tamtej nocy powiedziałam prawdę.

Ross zignorował ten pokaz odwagi. Chwycił ją za ramię; była tak drobna, że miał wrażenie, iż jednym ruchem mógłby ją zgnieść.

- Jaka reporterka? O czym ty mówisz?

- Reporterka z magazynu „Lone Star”, Katrina Coştam. Zawarła układ z Calebem.

- Ten załgany sukinsyn ma zamiar zarobić szmal na mojej historii? - Wściekał się bardziej. - No, trudno o lepszy dowcip. Najpierw wysłał mnie do pieprzonego więzienia, a potem jeszcze się na tym bogaci. I po co? Przecież on niedługo umrze, nie?

- Ja... nie wiem - wydusiła Ruby, ale on nie dawał za wygraną.

- To mnie naprawdę wkurza. - Potrząsnął nią, aż krzyknęła:

- Przysięgam, że zaraz zawołam gliny.

- Naprawdę? - szydził, przysuwając się do niej, tak że prawie ocierał się policzkiem o jej usta. Wyczuwał zapach jej strachu: był dla niego jak afrodyzjak, powodował gigantyczną erekcję. - A mnie się wydaje, że powinnaś raczej wezwać adwokata. Skłamałaś pod przysięgą, Ruby.

- Nie skłamałam. Powiedziałam, że widziałam, jak prowadziłeś wóz Nevady, i tak rzeczywiście było. - Wyszarpnęła się z jego uścisku z nadspodziewaną odwagą. Potem zamiast zmykać jak spłoszona klacz, wyciągnęła rękę za jego plecy i włożyła klucz do zamka. Próbowwała otworzyć drzwi, ale Ross je blokował, a w dodatku znowu chwycił ją za rękę.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Zejdź mi z drogi, Ross - warknęła. - I nigdy więcej mnie nie zaczepiaj.

- A co, właśnie to robię? Zaczepiam cię? - Spodobało mu się to określenie i uśmiechnął się w duchu, kiedy zauważył, jak zbladła. Mimo że Ruby trzymała fason, sprawiała wrażenie, że zaraz zemdleje ze strachu - ku satysfakcji Rossa. Człł się oszołomiony władzą, jaką nad nią miał. Może powinien zaciągnąć Ruby do przyczepy, spoić ją i...

Ulicą przejechało policyjne auto i Ross puścił Ruby tak gwałtownie, że omal się nie przewróciła. Nie, ani na to pora, ani miejsce. Musiał zwolnić, być cierpliwym. Nie chciał kłopotów z policją. Przynajmniej na razie. Ruby mogła poczekać.

Zresztą miał do upieczenia większą pieczeń.

Rozdział 11

Znalazłem twojego lekarza. - Głos Bena Levinsona brzmiał tak, jakby dochodził z sąsiedniego pokoju, a nie z odległości tysięcy kilometrów, poprzez światłowód.

- Gdzie? - zapytał Nevada. Wyjął z ust wykałaczkę.

- W ziemi.

A niech to.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że zapil się na śmierć. Mieszkał na Jamajce i miał romans z rumem. Zmarł jakieś dwa lata temu. Kolejny ślepy zaufek.

- Jesteś pewien, że to ten sam facet?

- Dokładnie sprawdziłem rejestry. Jeśli chcesz, to mogę ci je przeskanować i przesłać faksem.

Nevada nie wąpił w jego zapewnienia; w przeszłości Levinson udowodnił, że można mu ufać. Ale dobrze by było mieć te rejestry.

- Prześlij mi je - powiedział. - Z góry dziękuję.
- Przykro mi, że nie mam lepszych wiadomości.
- Mnie też jest przykro.
- Wiesz, próbowałem się skontaktować z Shelby Cole. Nie dodzwoniłem się.
- Nie ma jej w miasteczku - odparł Nevada i poprosił Levinsona, żeby sprawdził jeszcze kilka rzeczy. Żeby sprawdził Rossa McCalluma.
- Twój stary kumpel - zażartował Levinson. - Zobaczą, co uda mi się wygrzebać, ale przez ostatnich osiem, dziewięć lat był czysty.
- Prawdopodobnie dziesięć lat - przyznał Nevada - ale dowiedz się, co robił wcześniej.
- Myślałem, że ty to wszystko sprawdziłeś.
- Sprawdziłem. Ale powiedziano mi, że nie jestem obiektywny. A skoro już o tym mowa, jest ktoś jeszcze...
- Niech zgadnę. Sędzia Jerome Cole.
- Nie zaszkodziłoby go sprawdzić.
- Sprawdzanie nigdy nie szkodzi - zgodził się Levinson; jego głos zdradzał satysfakcję. - Załatwione.

Nevada odłożył słuchawkę. Poczł wielki niesmak. Poszedł do sypialni, gdzie na stoliku leżał laptop i stała drukarka. W ciągu dziesięciu minut drukarka wypuła raport i akt zgonu wypisany na Neda Charlesa Pritcharta, doktora medycyny, który, według zeznania miejscowego lekarza, zmarł śmiercią naturalną w wieku siedemdziesięciu jeden lat. Do raportu Levinson dołączył rachunek.

- Świetnie - wymamrotał Nevada, słysząc chrzęst opon na żwirowym podjeździe. Crockett zaczął ujadać na całego.

- Cicho! - rozkazał Nevada.

Szybko wyłączył komputer. Miał nadzieję, że to Shelby przyjechała go odwiedzić. Denerwował się, odkąd pojechała do San Antonio. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien ruszyć za nią, i wyrzucał sobie, że nie wie, gdzie się zatrzymała. Martwił się o nią. No tak, nie martwił się o nią wcale przez wszystkie te lata, kiedy nie było jej w Bad Luck, ale sytuacja się zmieniła. Teraz mieli do czynienia z anonimowymi listami i głuchymi telefonami, a w dodatku McCallum wyszedł na wolność. Odkąd Shelby zajechała mu drogę przed tygodniem, nie mógł przestać o niej myśleć - i tak, do diabła, bardzo się o nią niepokoił.

I nie tylko dlatego, że była matką jego dziecka. Wcale nie. Chodziło o głębsze uczucie. Wręcz zbyt głębokie. Nawet nie chciał myśleć o tym, jak bardzo zamieszala mu w głowie.

W nadziei, że zaraz zobaczy ją w wynajętym przez nią białym cadillacu, wyszedł na dwór. W pobliżu pompowni zatrzymał się mały, niebieski samochód. Za kierownicą siedziała kobieta. To nie była Shelby.

Crockett głucho warczał, obnażając zębiska. Miał zjezoną sierść na grzbiecie.

- Spokój, chłopie - rzucił ostrzegawczo Nevada.

Stał na ganku i patrzył, jak kobieta, której nie potrafił rozpoznać, wyciąga neseser. Poczł sztywność w okolicach karku. Nie był przyzwyczajony do gości, a ostatnio pojawiało się tu ich trochę za dużo. Kobieta, która zmierzała teraz ku niemu z neseserem na szczupłym ramieniu, była drobna, rudowłosa i stanowcza. Jej oczy wydawały się o wiele starsze niż ona sama. Ciemne okulary zsunęła na czubek głowy. Na pierwszym stopniu w ogóle je zdjęła i włożyła do bocznej kieszeni neseseru.

- Pan Smith? - zagadnęła i wyszczerzyła zęby w olśniewającym uśmiechu. Był to uśmiech jasny jak ośnieżony szczyt o świcie, a przy tym tak samo zimny.

Nevada natychmiast nabrał podejrzeń. Akwizytorzy zapuszczali się na tu bardzo rzadko, łudzę o misjonarskim zacięciu, którzy chcieli mu sprzedać swoją religię, też, a więc kim, u diabła, była ta kobieta? I wtedy coś mu zaświtało w głowie.

- Tak.

Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Katrina Nedelesky. Jestem reporterką magazynu „Lone Star”.

Mocny uścisk dłoni. No tak. Jednak w jej spojrzeniu było coś, co sprawiało, że Nevada jej nie ufał. Gestem zdradzającym zrozumiłość sięgnęła do kieszeni neseseru i wyjęła wizytówkę, po czym wcisnęła ją Smithowi do ręki.

- To na wszelki wypadek, gdyby miał pan wątpliwości.

- Gdzieżbym śmiał. - Mimo to zerknął na wizytówkę, przeczytał ją i uważnie przyjrzał się swojemu gościowi. - Co mogę dla pani zrobić? - Oparł się biodrem o framugę drzwi, skrzyżował ręce na piersi i przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

- Chciałabym zadać panu kilka pytań w sprawie zabójstwa Ramóna Estevana.

A więc o to jej chodziło. Nie był zaskoczony.

- Proszę posłuchać. Sporządziłem raport. Zeznawałem pod przysięgą. Wszystko można znaleźć w oficjalnych dokumentach.

- Wiem, wiem, ale gdybym mogła wejść i trochę z panem porozmawiać?... Naprawdę chciałabym usłyszeć pańską wersję tego zdarzenia.

- Moją wersję?

- No, pana pogląd na sprawę. Przecież pan tam był.

Nigdy nie przepadał za reporterami, uważał, że wszyscy gonią za sławą i wścibiają nos w nie swoje sprawy. Stojąca przed nim osobka również wydawała się pozbawiona skrupułów. Było też w jej intensywnym spojrzeniu coś, co go intrygowało. Czy przypadkiem już gdzieś jej nie spotkał? Chyba nie. Miał dobrą pamięć do twarzy, ale tej jakoś nie potrafił skojarzyć.

Wskazał plastikowe krzeselka na frontowym ganku. Kiedy usiadła, Crockett cicho zaszczekał i powłókł się do swojego ulubionego miejsca pod gankiem. Na pobliskich polach hasało i wierzgało kilka żrebaków o pałkowatych nogach. Ich włosie lśniło w promieniach zachodzącego słońca.

Nevada odchylił się do tyłu, skrzyżował nogi i czekał. Reporterka przysiadła na krawędzi krzesła, jakby w obawie, że kurz na siedzeniu zabrudzi jej czarną spódnicę.

- Mam dyktafon. - Otworzyła neseser.

- Żadnego dyktafonu.

- Ale...

- Proszę posłuchać. Nie sądzę, żebym miał pani cokolwiek do powiedzenia. Słyszałem, że przeprowadziła pani wywiad z Calebem, prawdę mówiąc, piał o tym na całe miasteczko, przechwalał się, ile to pieniędzy zgarnie za jakąś wyjątkową umowę, którą we dwoje sporządziliście, ale ja niewiele więcej mogę dodać.

- Był pan jednym z głównym uczestników śledztwa - argumentowała. Zapach jej perfum go drażnił. Nie były tanie i odniósł wrażenie, że kupowała sobie ubrania w prestiżowych butikach, a nie w zwykłym supermarkecie; mógłby się założyć o swoją ulubioną klacz, że jej spódnica, botki, zrobiony na drutach top i marynarka - a nawet perfumy - miały logo jakiegoś słynnego projektanta. Wprawdzie jej samochód był niedrogi i dość wysłużony, ale Karina Nedelesky nie oszczędzała na swoim wyglądzie. Taka dwoistość: kobieta reporter. O nie, nie wierzył ani jednemu z jej pomalowanych henną włosów. - Pan i Ross byliście zaprzysięgłymi wrogami - oznajmiła, racząc go uśmiechem z rodzaju: „kurczę, jesteś taki niesamowity”. - I twierdził pan, że tamtej nocy on ukradł panu pikapa.

- Ktoś to zrobił. W końcu to Ross wylądował w moim wozie.

- I omal nie zginął. Rąbnął w drzewo, zgadza się?

- To wszystko jest przecież w raporcie - odparł poirytowany. Nie podobała mu się ta kobieta; była zbyt gładka, zbyt skoncentrowana na sobie.

- Ale w szkole średniej byliście przyjaciółmi.

- Nie byliśmy przyjaciółmi. Graliśmy w tej samej drużynie futbolowej, kiedy on był w szkole. - Zaczynała porządnie działać mu na nerwy. Popatrzył na nią ze złością. Nawet nie drgnęła jej powieka.

- Z tego co wiem, interesowaliście się tą samą dziewczyną. - To nie była przypadkowa uwaga. Ona cały czas do tego zmierzała. - Shelby Cole. Sędzia Jerome... hm, zdaje się, że w tych okolicach mówią o nim Red. Tak czy owak, obaj spotykaliście się z córką sędziego Cole'a.

Już i tak nieźle wkurzony, Nevada wybuchnął:

- Przez pewien czas umawiałem się z Shelby.

- A Ross? - zagadnęła.

- To jego będzie pani musiała o to zapytać. - Teraz odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. - Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Ross nie cieszy się dobrą opinią, pani... - zerknął na wizytówkę, którą wciąż trzymał w ręku.

- ...Nedelesky. I ma dość paskudny charakter. Gdybym był na pani miejscu, nie naciskałbym zbyt mocno.

Trochę ją zdenerwował, ale nie zdołał całkowicie wyprowadzić z równowagi.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć o pańskich stosunkach z Rossem McCallumem?

Prychnął pogardliwie.

- Nie sądziłem, że w ogóle jakies mam.

- Nienawidzi pan McCalluma. Wszyscy w miasteczku to wiedzą. Stoczyliście kilka bójek jako nastolatki, a później, raptem kilka tygodni przed śmiercią Ramóna Estevana, pan i McCallum poturbowaliście się nie na żarty i obaj wylądowaliście w szpitalu. Pan nie widzi odtąd na jedno oko, a McCallum miał chyba pęknięte żebra i złamany obojczyk. O co poszło?

- Pokłóciliśmy się. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Jak już mówiłem, McCallum jest wyjątkowo porywczy.

- A pan?

- A ja się potrafię obronić. Proszę posłuchać, wystarczy już tych pytań. Jak powiedziałem, wszystko, co chce pani wiedzieć, jest w sądowych kartotekach. - Nevada wstał, dając do zrozumienia w ten sposób, że uważa rozmowę za skończoną.

Zignorowała jego sugestię.

- A więc gdzie pan był, kiedy zastrzelono Ramóna Estevana?

- To jest w moim raporcie. Patrolowałem miasteczko.

- Sam? - Nawet nie starała się ukryć podejrzliwości.

- W tamtym czasie nie miałem przydzielonego partnera.

Uniosła obie brwi, jakby dla niej ta informacja była z jakichś względów ważna.

- Narzędzie zbrodni nigdy nie zostało znalezione. To prawda?
- Z tego co wiem, nie.
- A panu zginęła broń; z broni takiego samego kalibru zastrzelono Ramóna.
- Zgadza się. - Przeszedł z jednej nogi na drugą.
- Nigdy nie odnalazł pan swojej broni?
- Pistoletu. Nie, nigdy.
- Ale pana strzelba myśliwska była w wozie, kiedy znalazł się w nim Ross McCallum.
- To nie było narzędzie zbrodni.

Zignorowała jego uwagę.

- Wkrótce po zakończeniu śledztwa poproszono pana, by odszedł z Biura Szeryfa. Dlaczego?
- Czuł, jak mięśnie u podstawy szyi tworzą sztywny splot.
- Zrezygnowałem, pani Nedelesky. Z przyczyn osobistych.
- Jakże to były przyczyny?

Na ganku robiło się ciemno, ale Nevadzie nie chciało się zapalać światła. Nie ustępowała na krok, więc postanowił postawić kropkę nad „i”.

- Ten wywiad jest skończony.
- Czy to prawda, że wrobił pan Rossa McCalluma w więzienie?
- Został osądzony i skazany.
- Dzięki świadkom, którzy nie byli wiarygodni. Świadkom, których sam pan przedstawił do dyspozycji sądu.
- Powiedziałem, że ten wywiad jest skończony.

Niechętnie wstała i wzięła do ręki nesesper.

- Wie pan, panie Smith, w tej opowieści oprócz łatwo dostępnych faktów jest jeszcze mnóstwo niejasnych szczegółów.

- Naprawdę?

- O, tak. - Skinęła głową, jakby zgadzała się z samą sobą; zarzuciła na ramię pasek nesesperu i szukała swoich kluczy. - I ja dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Proszę to zrobić - odparł.

Błysnąwszy jeszcze raz lodowatym uśmiechem, Katrina pomaszerowała do samochodu. Kręciła tym swoim małym, sprężystym tyłkiem, jakby był nie wiadomo jak nadzwyczajny, ale Nevada nie odczuwał zainteresowania. Równie dobrze mógłby chcieć przytulić zmię.

Kiedy usiadła za kierownicą, słońce już schowało się za zachodnimi wzgórzami i szybko nadciągał mrok. Długie fioletowe cienie wpełzały na pola i kilka pierwszych gwiazd zamrugało na niebie. Gdzieś w oddali zawył kojot.

Nevada stał w szerokim rozkroku, z rękami założonymi na piersi, i obserwował sypiącego się gruchota Katriny. Powtarzał sobie, że nie może brać do serca jej insynuacji. Była oportunistką i niczym więcej. Czuł, że ma ona własny plan, że jest osobiście zainteresowana uwolnieniem Rossa McCalluma.

O co może jej chodzić? Patrzył, jak między drzewami mrugają tylne światła escorta. Zmrużył oczy. Zapomnij o niej. Nie wygrzebie niczego kompromitującego, pomyślał. Mimo to nie mógł zlekceważyć faktu, że ona może narozrabiać. Podenerwowany, wszedł do środka i sięgnął po słuchawkę. Machinalnie wykręcił numer Shelby. Zaczekał. Nikt nie odebrał telefonu w domu sędziego Cole'a.

Nie zadał sobie trudu, żeby zostawić wiadomość.

Ogarnęło go złe przeczucie z powodu wścibskiej reporterki, ale również dlatego, że martwił się o Shelby i był przynębiony tym, że Ned Pritchard zmarł i zabrał do grobu wszelkie informacje na temat Elizabeth. Fakt, że doktor Pritchard nie żył, nie był specjalnym zaskoczeniem, ale oznaczał, że mieli o jeden trop mniej, poszukując córki. Jego dziecko. Dziecko Shelby. Dziwne, ale zaakceptował to, że jest ojcem.

Nevada Smith uświadomił sobie jednak, że nie wie, co robi, kiedy w końcu odnajdzie Elizabeth - a wiedział, że na pewno tego dokona. Po raz pierwszy w życiu nie miał planu. I to go niepokoiło. Nawet bardzo.

Na wielkim czarnym niebie świeciły miriady gwiazd, a nad wzgórzami stałe piął się do góry półksiężyc.

Shelby nacisnęła klawisz rozsuwający dach w samochodzie. Otworzył się w momencie, gdy cadillac wjechał na ostatnie wzniesienie na trasie do Bad Luck. Okna były pootwierane i gorący, teksański wiatr wdarł się do środka, smagał jej policzki i plątał włosy. Była mokra od potu, zmęczona i sfrustrowana. Widząc przed sobą światła miasteczka, zacisnęła palce na kierownicy. Nie słyszała muzyki z radia i nie zauważała niczego poza asfaltową wstęgą, którą omiatały reflektory jej wozu. Dwa dni w San Antonio - i po co?

Nic.

Zero.

Totalny kłops.

A niech to wszystko diabli! Wiedziała o możliwym miejscu pobytu Elizabeth tyle samo, co w dniu, gdy powróciła do Bad Luck wiedziona matczyną determinacją i słusznym oburzeniem.

Wydawało jej się, że od czasu, gdy otrzymała list i zdjęcie, upłynęła wieczność, chociaż tak naprawdę minął

niespełna tydzień. Dlaczego więc codziennie miała wrażenie, że zmarnowała kolejny dzień, że straciła dwadzieścia cztery godziny, które mogłaby spędzić ze swoim dzieckiem?

- Gdzie jesteś? - pytała córkę, której nigdy nie poznała. Nie chciała jednak dopuścić do tego, żeby jej duszę ogarnęła rozpacz. Znajdzie Elizabeth. Musi. Nie spocznie, dopóki tego nie dokona.

Światła Bad Luck majaczyły coraz bliżej. Zrobiło jej się niedobrze na widok powitalnego neonu z napisem **WELL COME INN** na skraju miasteczka.

Zamierzała pojechać do domu i zanurzyć się w basenie, żeby zimna woda uśmierzyła ból mięśni i dokuczliwą migrenę, ale zanim dotarła do obrzeży miasteczka, zwolniła i wybrała drogę, która skręcała na zachód, w kierunku rancza Nevada. Może przez tych kilka dni dowiedział się czegoś?

A może po prostu chcesz znowu go zobaczyć?

Na myśl o tym mocniej ścisnęła kierownicę i zerknęła we wsteczne lustro, co zresztą robiła co każde dziesięć, dwadzieścia kilometrów, jak tylko wyjechała z San Antonio. Była rozdrażniona i niespokojna, bała się, że może być śledzona, chociaż ten strach wydawał się niedorzeczny. Nie powinna wariować tylko dlatego, że ktoś zadzwonił do jej pokoju w hotelu tuż przed jej wyjazdem i nie powiedział ani słowa. To był zwykły zbieg okoliczności, nic więcej. Nikt za nianie jechał.

Przejeżdżając obok kolczastych grusz i żywodębów, tłumaczyła sobie, dlaczego musi się zobaczyć z Nevada, i to szybko. Łączyło ich coś bardzo ważnego: byli rodzicami zaginionej dziewczynki.

Ale chodzi o coś więcej, Shelby, i dobrze o tym wiesz.

Nie chciała słuchać dręczącego ją wewnętrznego głosu. Jechała z bardzo dużą prędkością, aż znalazła się na drodze prowadzącej na ranczo Nevada. Suche zielsko szorowało o podwozie samochodu. Owady rozbijały się o przednią szybę. Serce Shelby biło mocno ze strachu i przez chwilę żałowała, że zdecydowała się na ten mały objazd. Była tak zdenerwowana, że jej ręce nagle zrobiły się wilgotne. Spojrzała na swoje odbicie we wstecznym lusterku i upewniła się, że jeszcze ma na ustach szminkę.

- Śmiechu warte - zganiła siebie, kiedy cadillac podskoczył na bliźniaczych koleinach, wrytych w twardej powierzchni. Przecież nie jest podlotkiem przeżywającym swoje pierwsze miłosne zauroczenie. To coś innego. Patrzyła na przednią szybę. W blasku księżycy zobaczyła sylwetki longhornów pasących się na pobliskich polach, a przed nią widać było światło w oknach i otwartych drzwiach domu Nevada.

Czuła suchość w ustach. Zaparkowała auto i wysiadła z niego tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Crockett zaczął szczeleć i kiedy przeskoczyła jedyny schodek prowadzący na ganek, Nevada pojawił się w drzwiach - barczysty i muskularny.

Dlaczego zawsze zauważała, jak bardzo jest męski, surowy, twardy i nieokiełznany? Zupełnie jak te suche, wietrzne wzgórza, był prosty, dziki, taki teksański.

I właśnie takiego mężczyzny powinnaś unikać jak jadowitego węża.

- No, no, Shelby - wycedził i zaczął się uśmiechać od ucha do ucha. - A to niespodzianka. - Jego błyszczące, białe zęby kontrastowały z ciemnym w mroku nocy ciałem. Szare oczy bacznie jej się przyglądały. - Tęsknisz za mną?

- Tak bardzo, że nie mogłam zasnąć - zadrwiła.

- Ja też nie mogłem. - W jego oczach tliło się rozbawienie i Shelby trochę się rozluźniła. Nevada uniósł brew, a na uśmiechniętej twarzy pojawiły się dołki. - Ale nigdy nie myślałem, że się do tego przyznasz.

Wabił ją i chociaż mówiła sobie, że nie może tańczyć tak, jak on jej zagra, to jednak nie oparła się pokusie i powiedziała:

- No, już przestań się tak sobą zachwycać, Nevada. Ja przestałam.

- Akurat - mruknął. Kiedy próbowała przejść obok, szybko ją objął. Zanim zdążyła pomyśleć, już przyciągał ją do swojej płaskiej i twardej klatki piersiowej, tak że widziała jego nie raz złamany nos, i patrzył na nią oczami, które wydawały się srebrzyste w księżycowej poświacie. - Pani jest największą kłamczuchą, jaką w życiu spotkałem, a to dużo powiedziane, bo poznałem ich wiele, i to całkiem sprytnych.

- To na pewno. - Uniosła podbródek, nie mając zamiaru się cofać. Nie mogła nie czuć ciepła jego ciała i tego, że jego mocne, stwardniałe palce spoczęły na dolnej części jej pleców. - I co zamierzasz z tym zrobić, Smith? - szdyziła.

Białe zęby znowu błysnęły w szelmowskim uśmiechu.

- Chcesz się przekonać?

Nie!

- Może. - Dobry Boże, dlaczego się z nim bawiła w ten sposób? Ledwo oddychała, będąc tak blisko niego, nie mogła skupić uwagi na niczym oprócz cienkiej linii jego warg.

Nevada uniósł jedną krzaczastą brew.

- Patrz.

Powiodł stwardniałym od ciężkiej pracy palcem po szyi Shelby.

O Boże, kolana się pod nią ugięły. Czuła, jak wrze jej krew, zadygotała, a serce zaczęło mocno walić w oszalałym wyczekiwaniu.

Położył rękę na jej ramieniu, tak że palce sięgały pleców, a kciuk ocierał się o wgłębienie szyi. Gdyby zechciał,

mógłby zmiażdżyć jej krtań i skrócić kark. Ale nie bała się powierzyć mu swojego życia ani, nieroztropnie, swojego serca.

Przycisnął ciepłe usta do jej szyi i wtedy Shelby jęknęła.

Zatrzymaj to, Shelby. On cię uwodzi, a ty na to idziesz. Zatrzymaj to, póki jeszcze możesz.

Podniósł głowę i patrzył na nią. Powoli wodził kciukiem po kościach u podstawy jej szyi, robił zmysłowe kółeczka.

Pragnę cię.

Czy to on powiedział?

A może ona?

Rozgorzał żar dawno zakazanego ognia. Wiedziała, że to szaleństwo być sam na sam z nim, dotykać go i pozwalać, by jego zapach przenikał jej zmysły, a mimo to nie potrafiła powiedzieć „nie” ani myśleć o czymś innym oprócz tej chwili.

Nevada oparł ją o ścianę i opuścił głowę. Chociaż wiedziała, że nie powinna go całować, to jednak nie potrafiła się oprzeć pokusie. Kiedy dotknął wargami jej ust, zadygotała. Trzymał ją mocno w nagich, umięśnionych i silnych ramionach i czuła, że uginają się pod nią kolana. I właśnie w tym momencie szepnął:

- Jesteś najbardziej irytującą, upartą i seksowną kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- A... a ty jesteś moim najgorszym koszmarem.

- Wiem.

Och Boże, prawie nie potrafiła myśleć, a co dopiero mówić. Coś zaiskrzyło. Jej umysł przepełniało pożądanie. Najchętniej chwyciłaby go i już nigdy nie wypuściła z objęć.

Pocałował ją. Mocno. Całym sobą. Jak gdyby nigdy nie chciał przerwać tego pocałunku. Wpił się w jej usta i przywarł do niej całym ciałem. Shelby była zdolna tylko do szalonych, rozwiązłych myśli. Gdzieś w głębinach jej duszy szalało pragnienie, niepodobne do niczego, gorące jak wschodnioteksański wiatr i jeszcze bardziej nieokielznane. Nie mogła złapać tchu. Nie była w stanie się opierać. Westchnęła, gdy Nevada niecierpliwie wepchnął język między jej zęby. Zatrzepotała powiekami. Pamięć podsuwała obrazy z młodzieńczych lat. Och Boże, jak ona go wtedy kochała. I jak bardzo pożądała nadal.

Nevada dotykał językiem jej języka, przekomarzał się z nią, by za chwilę drasnąć czułe miejsce na szyi, podczas gdy ustami pieścił jej wargi. Był wszędzie, ścisnął ją mocno i oddychał tak samo nieregularnie jak ona.

Nie rób tego, Shelby. To bardzo niebezpieczne.

Przypomniała sobie, jak kiedyś kochali się w wiosennej burzy, jego zwinne, mokre ciało, nagie biodra konwulsyjnie napierające na jej ciało, jego zapach, dotyk skóry, smak. Teraz było podobnie.

Podniósł głowę i Shelby wtuliła się w niego.

- Tęskniłaś za mną? - prowokował ją, wplatając stwardniałe palce w jej włosy i ciągnąc je tak, że musiała otworzyć oczy i popatrzeć na niego.

- Ani przez moment.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Chociaż nie nadajesz się na kłamczuszkę, Shelby Cole, to na pewno nie wiesz, kiedy przestać.

- Co? - spytała zdyszana. - I popsuć całą zabawę?

- Prowokujesz mnie, kochanie, a to może być groźne.

- Naprawdę? - Roześmiała się. - Nie rozumiem, w jaki sposób.

- No przecież mówiłem, patrz. - Znowu ją pocałował i tym razem jego powolny rytm ustąpił miejsca zapałowi. Gwałtownie zaatakował jej usta, palce natrafiły na rząd guzików w sukience. Rozpinał je jeden po drugim, aż jego oczom ukazał się delikatny stanik, dobrze podtrzymujący krągłe piersi Shelby. Teraz to jej sutki przypominały guziczki, wciskały się do czarnej koronki, stwardniałe pod wpływem dotyku Nevady.

Shelby miała wrażenie, że się roztopiła, a jej kości skurczyły.

Ukrył twarz w zagłębieniu między jej piersiami. Jego oddech był gorący i wilgotny, parował wręcz w zetknięciu ze skórą na jej brzuchu. Pomyślała o tym, co mógłby jej zrobić, i ile czasu upłynęło od ostatniego razu, kiedy się kochali. Pragnęła więcej.

- Jesteś taka piękna - powiedział, całując jej pierś. Potem jego język ześliznął się po koronkowym materiale, żeby dotrzeć do sutka. Shelby wiła się w ramionach Nevady, z rękami w jego włosach, mocno przytulając do siebie jego głowę. A on zaś gryzł ją i pieścił, nie dając jej ani chwili wytchnienia i cicho pojękując.

Pożądanie rozpałało jej mózg, dudniło w jej uszach.

- Nevada! - krzyknęła głosem, którego sama nie rozpoznawała.

- Co, kochanie? - zapytał, pieszcząc jej skórę swoim oddechem.

- Ja... ja...

- Wiem. - Chwycił ją na ręce i przeniósł przez otwarte drzwi do małej, ciemnej sypialni. - Ja też.

Razem potoczyli się na miękki materac, który ugiął się pod ich ciężarem. Całowali się namiętnie i Shelby czuła, jak pulsuje w niej pożądanie. Wiedziała, że powinna zatrzymać to szaleństwo, że kochanie się z tym człowiekiem będzie najgorszym błędem życiowym. Jednak ta buntownicza część jej osobowości, którą wyzwolił w niej przed

dziesięciu laty, dziś wieczorem uległa odrodzeniu i, z dala od wścibskich oczu ojca oraz zmartwień wywołanych poszukiwaniami dziecka - ich dziecka - Shelby poddała się emocjom.

Nevada ściągnął jej sukienkę przez ramiona i cisnął stanik na podłogę. Shelby zaczęła go rozbierać i widok jego umięśnionych barków zagłuszył wszelkie wątpliwości. Tak dawno, cholernie dawno, nie kochała się z nim. Jego usta były wszędzie, sprawiały, że robiło jej się coraz bardziej gorąco, a żądza przyśpieszała puls.

Nevada odpiął kolejne guziki sukienki, tak że została tylko w majtkach. Miał szorstkie palce i czuła jego cudowny, magiczny oddech na swoim brzuchu. Wydała przeciągły jęk, kiedy dotarł językiem do jej pępka i wsunął ręce pod jej pośladki, a potem podciągnął ją w górę, bliżej siebie. Całował ją delikatnie i pieścił językiem, zsuwając się coraz niżej.

W wyobraźni Shelby przewijały się zmysłowe obrazy; wodziła palcami po mięśniach jego rąk. Nevada zrzucił buty i dzinsy.

Nie, nie, nie! Nie rób tego!

Gładził ją po plecach.

- Powiedz mi nie.

Tak, powiedz mu!

- Ja... ja nie mogę.

- Shelby, to niebezpieczne - szepnął, wtulony w jej wzgórek łonowy, roztrzepując włoski, które go porastały.

Dygocząc i wijąc się z pożądania, nie potrafiła ani nie chciała znaleźć słów, które by ich powstrzymały. Dzisiejszy wieczór należał do nich.

Postanowiła nie pamiętać o przeszłości ani nie zastanawiać się, co przyniesie jutro. Nevada całował wewnętrzną część jej uda mokrymi, ciepłymi wargami.

Zaparło jej dech w piersiach.

Jego wargi otarły się o miejsce, które aż bolało z pożądania. Serce Shelby biło bardzo mocno i czuła zawroty głowy. Noc dobiegała końca, roztopiała się w cieniach. Nevada całował Shelby w najbardziej intymnych miejscach, a ona otwierała się przed nim, tak podniecona, że brakowało jej powietrza.

Pragnęła go tak jak zawsze, jak przedtem. Był jedynym mężczyzną, któremu kiedykolwiek powierzyła swoje serce, i jedynym mężczyzną, któremu pozwoliła to serce złamać.

Zatopił palce w jej pośladkach i mocno ją przytrzymał. Shelby kołysała się coraz szybciej, czując, jak rośnie tętno jej krwi w żyłach, aż w końcu, gdzieś w najgłębszych zakamarkach jej ciała, pękła jakaś tama. Gwałtownie, dziko. Jej dusza, tak beznadziejnie spętana nieszczęściem, nareszcie wybrała wolność. Shelby głośno krzyknęła, choć jeszcze przed chwilą jej głos wydawał się taki słaby.

- Nevada...

- Jestem tutaj, kochanie - powiedział i przysunął się trochę, żeby mocniej ją przytulić. Jeszcze z trudem łapał oddech i drapał ją zarośniętą brodą w policzek. Pocałował ją w usta, a kolanami rozsunał jej nogi. - O Boże, Shelby, tęskniłem za tobą - szepnął i wbił się w nią głęboko.

Shelby zamknięta oczy i zatraciła się w jego cieple i dotyku. Całkowicie się rozluźniła i szybko przystosowała do jego rytmu, jakby byli kochankami od wielu lat.

- Shelby... piękna Shelby - szepnął zachrypniętym głosem.

Był mokry od potu. Coraz szybciej, jak koń, który wyrwał się z pęt i galopuje ku wielkiej przepaści, napierał na nią i ścisnął ją z całej siły, ciężko dysząc. Shelby nie była w stanie myśleć; ledwo oddychała. Kocham cię, Nevada. Otworzyła usta, by wypowiedzieć te słowa, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Przed jej oczami wybuchła błyskawica. Jej ciałem wstrząsnęły spazmy.

- Nie mogę przestać... nie mogę... - Nevada zeszywniał, napiął mięśnie pośladków i wygiął plecy, po czym wytrysnął i opadł na nią, z trudem łapiąc oddech. - Dobry Boże - szepnął w zagłębienie na jej szyi.

Shelby przywarła do niego i zamrugała, próbując zwalczyć nagłe i niechciane łzy.

- Przykro mi. Nie chodziło mi o to, że...

- Pst. Nic się nie stało. - Otoczył ją muskularnymi ramionami i wielką dłonią przytulił jej twarz do swojej piersi, w której mocno i miarowo biło jego serce. Pociągnęła nosem, starając się nie rozkleić, nie chciała tracić panowania nad sobą choćby na moment. Pocałował ją w czoło i znowu musiała walczyć ze sobą, żeby nie wybuchnąć szlochem.

- Martwiłem się o ciebie - wyznał, kiedy leżeli w ciemnościach. Przez uchylone okno słyszała odgłosy nocy: pomruki krów albo szum samochodów przejeżdżających odległą autostradą.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale dzieją się rzeczy, które mnie niepokoją. - Materac zaskrzypiał, gdy Nevada stoczył się z niego i zapalił lampkę.

Wtedy Shelby po raz pierwszy zobaczyła jego sypialnię. Była mała i nad podziw schludna. Przy łóżku stała bardzo stara toaletka z lustrem, a w rogu pokoju stolik z komputerem i drukarką. Ściany były gołe, jedną tylko zdobiła miedziana rzeźba sosen, nad wejściem wisiała podkowa, a obok drzwi szafy wieszak z mosiężnymi haczykami na ubrania. Na drewnianej podłodze leżało kilka dywaników.

- Denerwujesz się, bo Ross McCallum wyszedł z więzienia. Wszyscy się niepokoją.

- Ty nie?

Zawahalała się. Nie był to najwłaściwszy moment, żeby opowiedzieć mu o gwałcie i o tym, że być może Ross jest ojcem Elizabeth. Chrząknęła i oblizała wargi, nagle suche.

- Ja chyba najbardziej - przyznała. Zaczęła się pocić. Jak miała to wszystko wytłumaczyć? Co on sobie o niej pomyśli, gdy pozna okropną prawdę? Ból przeszłości, poczucie, że ją wykorzystano, i wstyd sprawiły, że znowu stanęły jej łzy w oczach. - Ale próbuję się nie bać.

Przysunął się, popatrzył jej prosto w oczy i ujął w dłonie jej twarz.

- Wiem, co się stało - powiedział cicho.

Och, Nevada, nie. Nie wiesz tego. Nie mógłbyś. Wzruszenie dławilo jej gardło. Wybuchnęła śmiechem, w którym nie było ani trochę radości i który odbijał się pustym echem od ścian.

- Nie. Nie sądzę, żebyś to wiedział.

Popatrzyli sobie w oczy i Shelby natychmiast zrozumiała, że on zna jej największą tajemnicę.

- McCallum zgwałcił cię, Shelby. I to dlatego wyjechałaś.

O Boże.

Czuła bolesny ucisk w sercu. Bała się, że znowu zacznie płakać.

- Nie rozumiem tylko jednego - szepnęła łagodnie Nevada, zmuszając Shelby, żeby na niego spojrzała. - Byłaś w ciąży i dopóki sędzia nie stwierdził, że nie powiedziałaś mi o wszystkim, nie znałem całej prawdy, ale jak mogłem nie wpaść na to, że McCallum może być ojcem Elizabeth?

- Nie jest. - Shelby uderzyła kódrę pięścią. - Los nie mógłby być aż tak okrutny. - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Chodzi mi o to... o to, że... no, że to po prostu nie może tak być.

- To nie ma znaczenia, Shelby.

- Ależ naturalnie, że ma. - Nie chciała i nie mogła uwierzyć w to, że jej dziecko, jej najdroższe dziecko zostało poczęte w przerażeniu i wściekłości, na skutek poniżającego ataku. Poczowała falę mdłości, na jej twarzy pojawił się pot i znowu zaczęła gwałtownie dygotać.

- Chodź tutaj. - Nevada przytulił ją i pocałował we włosy. - Nie wiesz, czy ojcem twojej córki jestem ja, czy on, i to cię rozdziera.

- Nie - zaprzeczała.

Ujął jej podbródek i zmusił do tego, żeby ponownie spojrzała mu w oczy.

- To nie twoja wina.

- Ale...

- Słyszysz, co mówię? - zapytał kategorięcznym tonem, nie pozwalając, żeby się od niego odwróciła. - To nie twoja wina.

Tym razem nie była w stanie powstrzymać łez. Trysnęły strumieniem z jej oczu, świeże, gorące i przepełnione wstydem.

- Ja... ja...

- Cicho. - Znów mocno ją przytulił i zupełnie się rozkleiła. Wtuliła twarz w jego ramię i wyplakiwała gorzki tłumioną przez prawie dziesięć lat. Swoją tajemnicę zdradziła wcześniej tylko ojcu, kiedy po paru tygodniach od tamtej strasznej nocy zmusił ją do szczegółowej relacji.

Teraz Nevada obejmował ją swoim silnym ramieniem. Przyciskał wargi do jej czoła i gładził ją po plecach, a ona płakała i płakała.

- Wszystko będzie dobrze, Shelby. Wszystko będzie dobrze.

Gdyby tylko mogła mu uwierzyć. Zaufać. Uczepić się tych cudownych słów. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy odnalazła siłę. Musiała wziąć się w garść - choćby ze względu na Elizabeth. Zaciskając zęby, starała się walczyć z udręką i strachem. Ross McCallum zbrukał jej ciało. Nikt więcej już tego nie zrobi. Prędzej ona umrze.

Powoli się uspokoiła i kiedy w końcu przestała szlochać, znalazła w sobie odwagę, by zapytać:

- Skąd wiedziałeś?

- O McCallumie? - zapytał, prawie nie poruszając wargami. - Od Badgera Collinsa.

Patrzyła załzawionymi oczami na jego zaciętą twarz, zaciśnięte usta, poruszające się nozdrza - wyglądał tak, jakby wyczuł jakiś brzydki zapach.

- McCallum nie potrafił trzymać języka za zębami. Pochwalił się Collinsowi, a ten powiedział o wszystkim mnie.

Czuła obrzydzenie. Było gorzej, niż myślała. O jej odrażającej tajemnicy, którą kiedyś wyznała tylko ojcu, i to pod presją, szeptało się w zaułkach, barach i ławach kościelnych Bad Luck - prawdopodobnie aż po Coopersville, Austin i San Antonio. Sędzia w końcu zaczął podejrzewać, że jej depresję wywołuje nie tylko lęk przed szkołą i ciążą. Któregoś wieczoru była tak zdesperowana, że wyznała mu wszystko, błagając, żeby nikomu nie wyjawiał jej sekretu, nie chcąc, żeby ktokolwiek inny dowiedział się o jej wstydzie. Ojciec, który tak dbał o swoją reputację, stał przy jej łóżku z poszarzałą twarzą i próbował ją pocieszyć, lecz nie był w stanie zrobić niczego: pogładził ją tylko po głowie i obiecał, że nikomu nie zdradzi jej tajemnicy.

Ale najwyraźniej tak się nie stało. Nawet Nevada przez wszystkie te lata wiedział, że padła ofiarą przemocy i gwałtu, gdy tymczasem ona cały czas miała nadzieję, że ukryje to przed ukochanym.

Tym razem patrzyła mu w oczy, chociaż wolałaby uniknąć jego spojrzenia.

- Nie byłem pewien, czy to prawda, więc sam spytałem McCalluma - wyjaśnił Nevada, wciąż ją przytulając. - Nie chciał się przyznać, ale sprawiał wrażenie tak zadowolonego i pełnego satysfakcji, że każdy by się zorientował, co zaszło.

- I wtedy się pobiliście.

- Tak.

- To było kilka tygodni przed tym, jak zabito Ramóna Estevana?

- Mniej więcej. - Nie odrywał od niej wzroku i musiała mu zadać dręczące ją pytanie.

- Ludzie mówili, że sterowałaś śledztwem w taki sposób, żeby pominąć inne tropy, że bardzo chciałaś udowodnić McCallumowi, że on to zrobił. Że go...

- Wrobiłem? Posłałem niewinnego człowieka za kratki? - W głosie Nevady nie było ani odrobiny żalu czy wyrzutów sumienia. - Może moje dowody nie były dość silne, żeby go skazać, ale uwierz mi, Ross McCallum zasłużył sobie na więzienie. - Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł. Shelby otarła łzy i odsunęła się od niego. Sprężyny łóżka zaskrzypiały.

Powoli wróciła jej przytomność umysłu i uświadomiła sobie, że leży naga na łóżku Nevady i że zachowują się tak, jakby byli kochankami od wielu lat, ludźmi, którym na sobie zależy, darzącymi się wzajemnym zaufaniem. Ale tak nie było. Po prostu tkwili w tej samej pułapce. Uprawiali miłość ze względu na przeszłość, a nie przyszłość, seksem rozładowywali frustrację i chociaż wydawało jej się, że go kocha, to w gruncie rzeczy dzieliło ich prawie wszystko. Owszem, byli kiedyś kochankami, a teraz wspólnie prowadzili poszukiwania. I nic ponadto.

Sięgnęła po ubranie, ale on położył się na niej i przycisnął ją do łóżka.

- Chwileczkę.

- Nie, myślę, że powinnam już iść. Nie miałam zamiaru tu przychodzić i... no wiesz...

- Wykorzystywać mnie?

Zaśmiała się wbrew sobie pomimo bólu przenikającego jej serce.

- Hm, no cóż, naprawdę nie miałam takiego planu.

- I okazało się, że nie można mi się oprzeć.

- Bingo. - Otarła oczy. - Właśnie w tym rzecz, Smith. Kiedy jestem blisko ciebie, po prostu nie potrafię logicznie myśleć.

- Taki już mam dar - odparł, a ona zachichotała cicho.

Co w nim było takiego, że miała ochotę go spoliczkować, a zaraz potem uprawiała z nim seks i po chwili oboje zaśmiewali się do rozpuku? To było absurdalne. Ubierała się, a Nevada leżał na łóżku półnagi i tylko na nią patrzył.

- Co wie Findley? - zapytał, kiedy włożyła majtki i poczuła, że się rumieni.

- Cokolwiek wie, nie zdradził mi niczego. - Nasunęła ramiączka biustonosza; nagle zapragnęła być ubrana. - Orrin Findley zabierze tę wiedzę ze sobą do grobu. A co u ciebie?

- Żadnych dobrych wieści. - Wyciągnął rękę do drukarki po jakieś dokumenty. Wręczył je Shelby.

- Pritchard nie żyje.

- Co? - Właśnie zapinała sukienkę i jej palce znieruchomiały.

- Parę godzin temu zadzwonił Levinson. Wytropił lekarza o nazwisku Ned Charles Pritchard aż na Jamajce, ale ten człowiek zapisał się na śmierć.

Shelby już oglądała relację i załamywała się coraz bardziej.

- Dwa lata temu. - Zgarbiła się. - Wiem, że robimy to dopiero od tygodnia, ale miałam nadzieję, że niedługo uda nam się... - Bała się, że wzruszenie odbierze jej mowę, i walczyła z rozpaczą. Nie może się poddać. Musi być silna. Dla Elizabeth.

- Znajdziemy ją. - Jego głos brzmiał tak pewnie. Objął ją swoimi mocnymi ramionami i popychał do tyłu, aż znowu położyła się z nim na łóżku i wtuliła głowę w jego ramię. - To może trochę potrwać, ale znajdziemy ją - obiecał i pocałował jej włosy. Dlaczego czuła się tak dobrze w tej malutkiej chatce, z mężczyzną, którego przysięgała sobie unikać przez resztę życia, a który teraz ją przytulał? - Gdzieś tu mamy sojusznika... albo przynajmniej osobę, która chce, żebyśmy wiedzieli, że Elizabeth żyje.

- Ale kto to taki? I dlaczego nie powie mi, nam, wprost, gdzie ona jest?

- Dobre pytanie. - Zmarszczył brwi i intuicja podpowiadała jej, że myśli to, co ona: że cały ten scenariusz może być podłym żartem, że ktoś, jakiś nieznany wróg, może przysłał jej ten list po to, by się teraz śmiać z ich złudnych nadziei i udreki, a cały czas wie, że nigdy nie znajdą swojej córki. Zdjęcie Elizabeth mogło być zwykłym fotomontażem - ot, fotografia innej dziewczynki z nałożoną i komputerowo przetworzoną twarzą Shelby. Ludzie nieraz robią takie rzeczy.

Ale nie wolno jej rozumować w ten sposób! W każdym razie dopóki się nie upewni, że Elizabeth nie istnieje.

Telefon głośno zadzwonił, wytrącając ją z zamyślenia. Nevada przewrócił się na bok i chwycił słuchawkę.

- Smith - powiedział i Shelby zauważyła, że cały zeszywniał i spochmurniał. - Kiedy? - zapytał. - Jak? - Słuchał przez chwilę, a potem rzucił: - Czekam. Odłożył słuchawkę na widełki i odwrócił się do Shelby. - To był Shep Marson. Właśnie tu jedzie.

- Dlaczego? - zapytała i poczuła śmiertelnie zimny dreszcz na plecach.

- Caleb Swaggert zmarł dzisiaj. - Nevada przerzucił nogi przez łóżko i zabrał koszulę z pogniecionej pościeli.

Shelby się nie poruszała.

- Nagle.

- Tak. I w tym problem. - Wciągnął koszulę przez głowę i przeczesał włosy sztywnymi palcami. - Zdaje się, że ktoś nie mógł poczekać tych kilku tygodni, aż kostucha dokona dzieła.

- Nie...

- Właśnie, że tak, Shelby. Policja podejrzewa, że Caleb Swaggert został zamordowany.

Rozdział 12

Zamordowany? Przecież... no przecież, on leżał w szpitalu i był umierający, i... czy to nie jest wyciągnięcie pochopnych wniosków? - zapytała Shelby, ale dzwonek telefonu podziałał na nią jak zimny prysznic. Leżała w łóżku Nevady, prawie naga. W dodatku kochała się z nim, chociaż wcześniej obiecywała sobie, że tego nie zrobi.

- Nie wiem. - Nevada sięgnął po dżinsy, włożył je i zapiął rozpiorek. - Ale ta sprawa musi być ważna dla Shepa, skoro zamierza tu wpaść.

Shelby nie podobał się ten pomysł. Była daleką kuzynką Shepa i zawsze uważała go za człowieka bardzo wulgarnego, wręcz prymitywnego.

- Przekonajmy się, co ma do powiedzenia. - Poprawiła sukienkę, przejrzała się w lustrze i wygładziła palcami rozwichrzone włosy. Niewiele to pomogło, więc wzięła szczotkę z komody i rozczesała splątane pasma.

- Jeśli chcesz, możesz wyjechać, zanim tu dotrze.

- Dlaczego? - zapytała, napotykając jego spojrzenie w lustrze. - Nie widzę żadnego powodu, żeby uciekać.

- Może się zrobić nieprzyjemnie. - Miał ponury wyraz twarzy.

Odłożyła szczotkę.

- Dla kogo? Dla ciebie? - zapytała.

- Dla wszystkich.

- Nie boję się prania brudów. - Odwróciła się i wycelowała szczotką w jego pierś. - Czy ty coś przede mną ukrywasz, Nevada? - zapytała, a potem wyciągnęła rękę w stronę łóżka. - Bo jeśli tak, to wybrałaś sobie niezły moment, żeby mi o tym powiedzieć.

- Po prostu nie chcę, żebyś wdała się w coś, na co nie jesteś gotowa.

- Coś strasznie kręcisz. Przypomnę ci, Smith, że właśnie się kochaliśmy, o, w tamtym miejscu. Dźgnęła szczotką przestrzeń nad łóżkiem. - A poza tym oboje szukamy naszej córki. Uzgodniliśmy, że to nie przypadek, że Ross McCallum wychodzi na wolność dokładnie w tygodniu, w którym ja dowiaduję się, że moje, nasze, dziecko żyje, niespełna dwie doby po moim powrocie do Bad Luck. Dlatego mówię, że chcę w tym brać udział. W jakiś sposób wolność McCalluma, zamordowanie Ramóna Estevana i przesłanie mi zdjęcia Elizabeth są ze sobą powiązane. A teraz mężczyzna, który zmienił zeznanie i który doprowadził do uwolnienia McCalluma, nie żyje... prawdopodobnie został zamordowany. A ty myślisz, że nie chcę brać w tym udziału? - Założyła ręce na piersi i z wrażenia uderzyła się szczotką w zębra.

Uśmiechnął się słabo.

- To chyba uczciwy układ, Shelby. Oczywiście jesteś zaangażowana w tę sprawę.

- Dziękuję - odparła niby-obojętnie. Położyła szczotkę na komodzie, poprawiła pogniecioną sukienkę i miała nadzieję, że Nevada nie dostrzeże w niej tej słabej strony, którą zawsze usiłowała w sobie tępić i która podpowiadała, żeby uciekać gdzie pieprz rośnie. Nigdy nie lubiła Shepa Marsona i nie chciała wchodzić z nim w żadne układy, ale musiała to zrobić, jeśli miała zamiar odnaleźć Elizabeth, a na tym zależało jej przecież najbardziej.

Po dziesięciu minutach między drzewami błysnęły światła reflektorów. Crockett zaczął ujadać, ale Nevada kazał mu się zamknąć i wyszedł z domu razem z Shelby.

Shep wygramolił się z pikapa i Shelby odetchnęła z ulgą - nie przyjechał furgonetką, nie był nawet w mundurze. Ale kiedy znalazł się na oświetlonym pojedynczą żarówką ganku, zauważyła, że ma zaciętą minę, i zobaczyła jego zapadnięte oczy, kontrastujące z pełną twarzą. Jego górną wargę przysłaniał wąs, a kiedy spojrział w oczy Shelby, kąciki jego ust wyraźnie stężały.

- Dobry wieczór - powiedział powoli, przechylając głowę. Jeden policzek miał wypchany prymką tytoniu. - Shelby, słyszałem, że wróciłaś do miasteczka. Ile to już czasu? Jakiś tydzień? - Patrzył na nią, na jej pogniecioną sukienkę. Nevada nawet nie wsunął koszuli do spodni i chodził boso, ale jeśli Shep to zauważył, miał dość przyzwoitości, by tego nie komentować.

- Niecały tydzień - uściśliła, bardzo zdenerwowana. Nigdy nie ufała Shepowi i nie zamierzała zmieniać swojego nastawienia akurat tej nocy, na tym zakurzonym ganku.

- Z tego, co słyszałem, zamieszkałaś u swojego taty.

- Zgadza się.

- Co to za historia z Calebem? - wtrącił się Nevada. Stał obok Shelby, prawie dotykając jej ręki. Był spięty, jak bokser gotowy uchylić się przed ciosem.

- Salowy go znalazł, już nie żył. Pół godziny wcześniej Caleb popijał sok i przechwalał się jednej z pielęgniarek, że opuści ten padół jako bogaty człowiek. A potem nagle ni stąd, ni zowąd umiera. Wygląda na to, że ktoś mu pomógł stanąć przed bramami raj, którymi ostatnio tak się fascynował.

- Ale on już był umierający - zauważył Nevada. - Kto by się nim przejmował?

- Dobrze pytanie. Właśnie nad tym pracuję. Caleb miał znacznie więcej wrogów niż przyjaciół.

- Dlaczego uważasz, że nie umarł śmiercią naturalną? - zagadnęła Shelby.

- Gdyż to właśnie lekarze dziwili się, że umarł tak nagle. Myśleli, że pociągnie jeszcze dobrych kilka tygodni. Ale zobaczymy. Może to wszystko na nic się nie zda. Może Caleb naprawdę wyzionął ducha z naturalnych przyczyn, ale dopóki się nie upewnimy, będziemy sprawdzać, co było w kroplówce, zrobimy sekcję zwłok, sprawdzimy szpitalne rejestry, żeby zobaczyć, kto go odwiedzał tego popołudnia. No, cóż, wiecie, jak to jest w Coopersville, ochroną w tym szpitalu nikt się specjalnie nie przejmuje. - Podciągnął spodnie, a potem splunął tytoniową śliną, która przeleciała nad poręczą ganku i spadła na suchy krzak.

- Jaki jest motyw? - zapytał Nevada.

- A kto to wie? Pewnie komuś się nie spodobało, że stary Caleb za dużo gada. - Shep utkwiał w Nevadzie surowe, natarczywe spojrzenie. - A może ktoś się wkurzył, że Caleb występował wszystko tej reporterce.

- Komu? - zapytał Nevada.

- Hm, miałem nadzieję, że właśnie to mi powiesz. McCallum jest już na wolności. Gdyby nie to, że stary Caleb zmienił swoje zeznanie, Ross nadal by siedział, więc jest mało prawdopodobne, żeby to on zamordował naszego gościa. Caleb nie miał żadnej rodziny z wyjątkiem córki, a ją już sprawdziliśmy. Celeste od ponad miesiąca nie wyściubiła nosa z El Paso. - Shep pochylał się i podrapał Crocketta za uchem, a potem się wyprostował. - No więc sprawdzaliśmy wszystkich, którzy odwiedzili Caleba w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pojawiło się również twoje nazwisko. - Popatrzył Nevadzie prosto w oczy.

- Widziałem się z nim w szpitalu.

- Dlaczego?

- Po prostu zastanawiałem się, dlaczego zmienił swoją wersję. - Nevada czuł jak przeży się każdy muskuł jego ciała. - Okazuje się, że on to wszystko zrobił dla szmalu. Żeby po jego śmierci córka mogła skorzystać z dużego spadku. - Spojrzał nieprzyjaźnie na Shepa. - Czy przyszedłeś tutaj oficjalnie?

- Skądże znowu. Ot, pogawędka dwóch kumpli, którzy kiedyś razem pracowali - skłamał gładko Shep. Shelby nie wierzyła mu nawet przez chwilę. - Zastanawiam się tylko, kto mógłby chcieć załatwić tego gościa.

- Ja tam wciąż stawiam na McCalluma.

- No, ale ty zawsze śpiewasz tę samą piosenkę, co? - Shep znowu splunął, a potem zamyślony przygryzł dolną wargę. - Jak już mówiłem, według mnie Ross powinien całować ziemię, po której chodził Caleb. Gdyby nie to, że Caleb nagle poczuł się świętoszkiem, nie oczyścił swojej duszy i nie zmienił zeznania, Ross nadal siedziałby w mamrze.

- No, ale przecież znalazł się tam przede wszystkim za sprawą zeznania Caleba.

- A ty bardzo mu w tym pomogłeś. - Oczy Shepa załśniły, jasne punkciki wyglądały demonicznie na jego tłustej twarzy. - Jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze, co mogłoby okazać się przydatne, zadzwoń do mnie. - Skinął głową w kierunku Shelby. - Zawsze przyjemnie jest się z tobą spotkać. Przekaż sędziemu moje najlepsze życzenia. - Mówiąc to odmaszerował z ganku, wsiadł do pikapa i włączył silnik. Odjechał, zostawiając za sobą smród kurzu i wyziewów z rury wydechowej. Gdzieś w pobliżu zarżał koń, ale zaraz się uspokoił.

- On myśli, że to ty zabiłeś Caleba - powiedziała Shelby, kiedy zapadła cisza.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Nie wiem, ale Shep wydaje się przekonany.

- Tonący brzytwy się chwyta. - Nevada odwrócił się w kierunku domu. - No, chodź, postawię ci drinka.

- Lepiej już sobie pójdę - powiedziała, kręcąc głową. Ten wieczór już i tak był pełen emocji, a ona chciała odzyskać dystans do Nevady, potrzebowała czasu, żeby uporządkować myśli.

- Mogłabyś zostać.

Miała wrażenie, że jego słowa zawisły w powietrzu, jakby na niewidzialnych sznurkach.

- No... nie sądzę. - Och Boże, co za pokusa. Leżeć w jego silnych ramionach, znowu się z nim kochać; potem obudzi się zaspokojona, a promienie słońca będą tańczyły na jego twarzy i nagiej skórze. Poczwała, że ma zaschnięte gardło.

- Ja nie gryzę.

- Jak to nie? - droczyła się z nim, unosząc brew. - Dobrze pamiętam.

- Kochanie, jesteś niegrzeczna.

- Naprawdę?

Chwycił ją w te swoje cudownie silne ramiona i przyciągnął do siebie, tak że nie zdążyła uciec.

- O, zdecydowanie tak. - Złapał ją za ramiona i wpił się w jej usta. Był to mocny, gorący pocałunek, który zapowiadał przyływ namiętności. Shelby zamknęła oczy i przez chwilę miała wrażenie, że topnieje w środku. - Zdecydowanie - powtórzył, podnosząc głowę; jego oczy były czarne jak noc.

- Dokończymy innym razem.

Spojrzał na nią i jego twarz wykrzywił zawadiacki uśmiech, który pamiętała z młodości.

- Trzymam cię za słowo. - I puścił ją.

Omali nie zatoczyła się do tyłu, ale w końcu zabrała rzeczy i ruszyła do samochodu. Jechała na pamięć, widząc jego profil we wstecznym lusterku; z szeroko rozstawionymi nogami, w koszuli, której końce powiewały na wietrze, wydał jej się bardzo męski.

Dobry Boże, w co się pakujesz. Traciła z oczu najważniejszy cel, znowu zakochiwała się w Nevadzie - nie! Nagle ścisnęła kierownicę tak mocno, że aż zabolęły ją palce. Wcale się w nim nie zakochiwała. Co za niedorzeczne określenie. Po prostu dała się ponieść chwili, ot i wszystko. Emocje zapanowały nad zdrowym rozsądkiem, no i wylądowała w łóżku z Nevadą. To, co robili, trudno byłoby nazwać miłością. Owszem, doprowadził ją do orgazmu. Utulił. Powiedział jej, że wszystko będzie w porządku. No i co z tego? Nie pierwszy raz takie rzeczy dzieją się na świecie.

Nie, ale tobie przydarzyło się to pierwszy raz!

Zacisnęła zęby i rozkazała sobie: to nie może się powtórzyć. Nie mogła dać się odwieść od celu, a ten był prosty - znaleźć Elizabeth.

Choćby się waliło i paliło.

Jadąc w kierunku Bad Luck zauważyła we wstecznym lusterku światła samochodu, które utrzymywały tę samą bezpieczną odległość od jej wozu bez względu na to, czy dodawała gazu, czy zwalniała.

- Wydaje ci się. - Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy zauważyła, że jest śledzona. Czy było to wtedy, gdy tylko wyjechała spod domu Nevady, czy też ktoś czekał na nią na jednym ze skrzyżowań na drodze? - Nic się nie dzieje - powiedziała na głos, ale nie odrywała oczu od lusterka.

Zbliżając się do Bad Luck, zwolniła do wymaganej prędkości i spodziewała się, że jadący za nią samochód ją dogoni. Jednak zanim zdążyła mu się przyjrzeć w ulicznym świetle, wóz skręcił, zapewne zgodnie z pierwotnym zamiarem kierowcy.

- Daj już spokój - mruknęła do siebie. Zazwyczaj nie była taka przeczulona i niechętnie dawała wiarę spiskowym teoriom.

Być może to przewrażliwienie było spowodowane spotkaniami z Nevadą, śmiercią Caleba i bezowocnymi poszukiwaniami Elizabeth. Musiała wybrać inną metodę działania i zacząć szukać nie tam, gdzie szukała. Kiedy wjechała na teren Bad Luck, przyglądała się małej, zakurzonej miścinie, w której dorastała - miasteczku pełnemu tajemnic i kłamstw, zwartej społeczności przyjaciół i wrogów. Przejechała obok apteki i hurtowni pasz, a potem skręciła w prawo i minęła sklep Estevana. Wciąż był otwarty, sączyła się z niego hiszpańska muzyka. Zza drzwi wyłoniła się Vianca. Zapaliła papierosa i podniosła nogę, opierając się jak bocian o jedno z okien. Zaciągnęła się papierosem, strzepnęła popiół i zapatrzyła się ponuro przed siebie. Shelby jechała dalej.

Prawdę mówiąc, sklep Estevanów niewiele się zmienił przez tych dziesięć lat od śmierci Ramóna Estevana. Shelby próbowała sobie wyobrazić, co dokładnie wówczas zaszło.

Z tego, co wiedziała, tamtej nocy Ramón pracował sam i czekał, aż zmieni go syn, Roberto. Vianca pracowała wieczorem, a potem pojechała do domu, żeby się zobaczyć z matką, ale wróciła tuż przed spodziewanym przyjściem Roberta. Porozmawiała z ojcem, a później, zanim pojawił się Roberto, Ramón poszedł na zaplecze, żeby wypalić papierosa... i widziano go prawie trzy godziny później. Jego ciało znaleziono na wysypisku za warsztatem mechanika Walta Sawyera, w odległej o kilkaset metrów uliczce. Kula kaliber 38 utkwiała głęboko w mózgu. Narzędzia zbrodni nie udało się znaleźć.

Według sędziego, który opowiedział Shelby, co się stało, w sprawie tego morderstwa przesłuchano kilkudziesięciu podejrzanych i świadków. Wprawdzie Ramón odniósł duży sukces i wybijał się w latynoskiej społeczności, to jednak nie cieszył się powszechnym uznaniem. Ponoć był chorobliwie skąpy i miał bardzo wybuchowy temperament, przez co narobił sobie wielu wrogów. Mało kto odważyłby się wejść Ramónowi w drogę. Niektórzy biali w miasteczku uważali go za zarozumialca i nie mogli przeżyć tego, że Estevan wraz z rodziną całymi dniami pracuje i dużo zarabia, podczas gdy im, nie tak zaradnym, wiodło się mamie. Sukces Ramóna Estevana niejednego kłuł w oczy.

Ross McCallum głośno manifestował swoją niechęć do tego „zasmarkanego meksykańskiego brudasa”. Przed laty Badger Collins wybił szybę w jednym z okien sklepu, a Nell Hart, kelnerka z miejscowego baru, musiała uciekać z Bad Luck, bo potajemnie umawiała się z Ramónem na randki. Została wyklęta nie dlatego, że Ramón miał żonę, ale dlatego, że był z pochodzenia Meksykaninem.

Taki wstyd dla białej dziewczyny!

Upředzenia były nieodłączną częścią życia w Bad Luck. Nawet ojciec Shelby, sędzia, zobowiązany wymierzać sprawiedliwość bez względu na rasę, kolor skóry czy wyznanie obywateli, wyraził dezaprobatę dla zachowania Nell.

Oczywiście, wszystko to działo się wiele lat temu, kiedy Shelby była małą dziewczynką, jeszcze zanim umarła jej matka. Od tamtego czasu trochę się pod tym względem poprawiło. Ale nawet teraz, pod fasadą dobrych manier i politycznej poprawności, w miasteczku wciąż żyły zadawnione urazy i nietolerancja. Fanatyzm nie znika z dnia na dzień.

Shelby zatrzymała samochód, skręciła w prawo i minęła sklep z artykułami żelaznymi i zakład elektryka, a potem zwolniła i dotarła do dziwacznej, dwupoziomowej, równie starej jak samo Bad Luck budowli przy Liberty Street. Mieściły się tu biura jej ojca. Podjechała na wolne miejsce parkingowe i, zostawiając silnik na jałowym biegu, zastanawiała się, jakie sekrety kryje ten stary gmach. Podejrzewała, że nie będzie jej dane wejść do środka, mimo to wysiadła z wozu i sprawdziła zarówno frontowe, jak i tylne drzwi. Były zamknięte na klucz, a małe nalepki na oknach ostrzegały, że obiekt jest chroniony. No cóż, będzie musiała poczekać.

Ale nie da za wygraną. Jeszcze nie. Pojechała do sklepu Estevanów, jedyne czynnego o tej porze, weszła do środka i zapłaciła za kawę z samoobsługowego automatu. Za kasą stała Vianca.

- Coś jeszcze? - zapytała niby obojętnie i zacisnęła czerwone wargi. Gdyby spojrzenie mogło zabić, Shelby już spoczywałaby w trumnie. Vianca podała jej jednorazowy kubek.

- To wszystko... nie, chwileczkę. - Shelby nie jadła od wielu godzin, ale z wrażenia zapomniała o głodzie i dopiero teraz zaburczało jej w żołądku i nie mogła się oprzeć eksponowanym przy kasie słodyczom. Chwyciła torebkę orzechowych cukierków M&M. - Proszę jeszcze to doliczyć.

- Si. - Vianca wstukała kod, szybko poruszając idealnie wypielegnowanymi paznokciami po klawiaturze. Cały czas unikała wzroku Shelby. - Dolar osiemdziesiąt dziewięć - oznajmiła.

Shelby wręczyła jej banknot pięciodolarowy, zaczekała na resztę i podeszła do lady, gdzie stały trzy różnie oznaczone, chromowane dzbanki z kawą. Wlała sobie bezkofeinową i otworzyła torebkę ze śmietanką w proszku. Drzwi znowu się otworzyły, ale Shelby nawet tego nie zauważyła, zajęta mieszaniem kawy.

Podniosła kubek do ust, posmakowała gorącej kawy i zaczęła rozmyślać nad tym, jak dostać się do gabinetu ojca. Mogłaby spróbować się włamać albo ukraść klucze, albo złożyć mu wizytę, a potem ukryć się w toalecie, albo...

- Pani nazywa się Shelby Cole!

Aż podskoczyła, słysząc damski głos. Gorąca kawa wylała się z kubka i poparzyła jej palce. Podniosła głowę i spojrzała w oczy filigranowej kobiety, której nie poznawała.

- Katrina Nedelesky - powiedziała nieznajoma, wyciągając rękę.

- Ach, ta reporterka.

- Zgadza się. Magazyn „Lone Star”. - Ujęła dłoń Shelby małymi, mocnymi palcami i uściśniła ją zdawkowo. - Chciałabym z panią porozmawiać.

Shelby zerknęła na zakrzywione lustro w pobliżu sufitu. Na zniekształconym odbiciu było widać, że stojąca przy kasie Vianca bacznie obserwuje obie panie.

- O czym?

- O wszystkim. Zapewne słyszała pani, że robiłam wywiad na wyłączność z Calebem Swaggertem, ale on zmarł dziś po południu.

Shelby spojrzała w błękitne oczy kobiety. Chociaż nigdy wcześniej jej nie widziała, było w Katrinie coś znajomego, jakiegoś od dawna zagrzebane wspomnienie, które przebijało się na powierzchnię, ale, tak jak jej własne odbicie w zakrzywionym lustrze, to coś było zniekształcone i dalekie.

- Nie wiem, jak mogłabym pomóc - powiedziała Shelby, czując na plecach wzrok Vianki.

W końcu Katrina chyba zrozumiała, że to nie jest to odpowiednie miejsce na rozmowę o morderstwie Estevana.

- Zadzwoń do pani. Mieszka pani z ojcem, prawda?

- Na razie.

- Jak długo jeszcze?

- Nie wiem. - Wypiła kolejny łyk kawy i poczuła na czole krople potu.

- Wobec tego zadzwonię do pani.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wparował Roberto, brat Vianki. Terkotał po hiszpańsku tak szybko, że Shelby zrozumiała zaledwie kilka słów. Miał czerwoną twarz i rozdygotane ręce, które wsunął głęboko we włosy. Raz po raz padało słowo *madre*. Wprawdzie Shelby niewiele z tego rozumiała, ale trudno było pomylić takie nazwiska jak McCallum czy Swaggert. W pewnym momencie Roberto wspomniął coś o jakimś *cabrón* ale Vianca przerwała mu i spojrzała surowo w stronę Shelby. Roberto nie pojął aluzji i w dalszym ciągu złorzeczył po hiszpańsku, a nazwiska takie jak Swaggert, Smith i McCallum opatrywał przekleństwami. Twarz Vianki poszarzała. Dziewczyna zaczęła mówić coś gwałtownie, przewiesiła przez ramię pasek skórzanej, wysadzonej paciorkami torby i wybiegła frontowymi drzwiami. Rozgniewany Roberta wciąż kłął po hiszpańsku.

Katrina obserwowała tę scenkę z uniesionymi brwiami.

- Ciekawe, o co im poszło - mruknęła, odprowadzając wzrokiem Viancę.

Przez zabrudzoną szybę Shelby zobaczyła, że Vianca wskazuje do swojego el camino i szybko wyjeżdża z parkingu.

- Nie odważyłabym się snuć domysłów na ten temat.

- A ja wręcz przeciwnie. Czy jej matka nie jest... no... delikatnie mówiąc, trochę nie tego?
- Czyli stuknięta?
- Właśnie.
- Nigdy jej nie poznałam.
- Hm, rozmawiałam tu w Bad Luck z wieloma ludźmi. Podobno Aloise, tak brzmi jej nazwisko, prawda? Nazwisko panięńskie?
- Chyba tak.
- Podobno Aloise jest na granicy obłądu.
- Już mówiłam, że nie znam Estevanów - odparła Shelby i Katrina znowu zwróciła na nią swoje zimne, niebieskie oczy.
- To co, może jutro? - zagadnęła. - Mogłabym się z panią spotkać wczesnym popołudniem.
- Naprawdę nie sądzę, żebyśmy miały o czym ze sobą rozmawiać.
- Katrina się uśmiechnęła.
- Nie byłabym tego taka pewna - rzuciła z błyskiem w oku, jakby sugerowała, że w przeciwieństwie do niej wie o czymś bardzo ważnym. - Zatem do zobaczenia.
- Proszę najpierw zadzwonić.
- Dobrze, zadzwonię. - Katrina odwróciła się i podeszła do lady, a Shelby usiłowała stłumić w sobie przecucie, że z tą reporterką pojawiają się wielkie kłopoty.

W domu Estevanów panowało wielkie zamieszanie. Światła zaparkowanej byle jak karetki pulsowały w nocy. W pobliżu stał wóz policyjny na wolnych obrotach - jeden funkcjonariusz nadawał przez radio, drugi zapewne znajdował się wewnątrz budynku.

Kiedy Shep podjechał pod dom i wygramolił się z wozu, usłyszał płacz dziecka i podniesione głosy. Skończył służbę parę godzin wcześniej, a potem siedział w White Horse i spijał piankę z piwa, słuchając, jak Lucy flirtuje z niektórymi ze stałych klientów. Z głośników sączyła się muzyka country, a Shep ciągle znajdował nowe wymówki, żeby nie wracać do domu, do ciężarnej i marudnej żony. Peggy Sue ostatnio naprawdę dawała mu się we znaki: naciskała na niego, żeby zrobił sobie wasektomię i żeby się wystarał o posadę szeryfa. Na dodatek zawsze wynajdywała sto powodów, żeby nie mógł się z nią kochać - nie pozwalała mu nawet się pomacać. Odpychała go, mówiąc przez zaciśnięte zęby: „Nie, dopóki nie zrobisz sobie zabiegu, a skoro już mowa o zabiegu, weź ze sobą Sporta. Doprowadza mnie do szału. Ciągłe szczeka i próbuje uciec, bo spanielka Fentonów znowu ma cieczkę”.

Żadne namowy z jego strony nie skutkowały. Była w ciąży, z jego winy, wykrzykiwała, że wszystkich męskich osobników, włącznie z psami, należy kastrować. Ale on, Shepherd Belmont Marson nie da z siebie zrobić sopranisty. Przynajmniej na razie.

Kiedy zaczął iść po schodach, przepychając się przez tłumek sąsiadów, którzy zebrali się na trawniku, z domu wybiegła zapłakana Vianca. Przyciskała do biodra małego Ramóna i próbowała uspokoić krzyczące dziecko, chociaż sama wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć.

- Co się tu dzieje? - zapytał Shep. W drodze do domu usłyszał, że ktoś wezwał karetkę na ten adres, adres, który on sam znał na pamięć. Szybko zawrócił i nawet nie pomyślał o własnej rodzinie.

- *Madre*, och, biedna, biedna *madre*. Ona jest... - Vianca zupełnie się załamała, kiedy z domu wybiegło dwóch sanitariuszy. Na noszach leżała przywiązana Aloise Estevan. Jej twarz była blada, kościste palce kurczowo ścisnęły różaniec, usta wypowiadały cichą modlitwę. Vianca biegła za sanitariuszami i Shepowi serce się krajało na widok biednej dziewczyny. Wciąż mocno przytulając do siebie swojego bratanka, próbowała złapać matkę za rękę, podczas gdy sanitariusze wsuwali nosze do karetki, a gapie szepotali między sobą:

- *Madre... och, Dios, Madre...*

Sanitariusze zatrzasnęli drzwi karetki i wsiedli do wozu. Zawyła syrena i błysnęły kolorowe światła. Czerwonobiałe pojazdy ruszyły z piskiem opon.

- Podwiozę cię. - Shep zaproponował Viancę, obejmując ją opiekuńczym ramieniem. Dobry Boże, ależ przyjemnie było jej dotknąć, miała taką gładką skórę. - Czy ktoś może się zaopiekować tym chłopczykiem?

- Nie...

- Ja go popilnuję - zaofiarowała się starsza kobieta w szlafroku i kapciach. - Mieszkam trzy domy dalej i...

- Nie! - Vianca splunęła. Jej twarz stężała niczym beton. - Ramón zostanie ze mną.

- Ale to może długo potrwać - zauważył Shep.

- Roberto przyjedzie po swojego syna. - Mówiła z naciskiem. - Zamknie sklep i przyjedzie do szpitala.

- Ale...

- Jesteśmy rodziną. Może ty tego nie rozumiesz.

Mały Ramón wciąż kurczowo trzymał się ciotki. Wtulił głowę w zagłębienie jej szyi i oplatał ją pulchnymi rączkami.

- W porządku - powiedział Shep. Widział, że jej nie przekona. Zwrócił się do tłumu i podniósł ręce, żeby przyciągnąć jego uwagę. - Możecie teraz pójść do domów. Wszystko jest w porządku.

Nie chciał czekać, aż tłum się rozejdzie, tylko zaprowadził Viancę do swojego wozu i pomógł jej wsiąść. Przypięła sobie pasem, a potem usadowionego pośrodku malca i wtedy Shepa dopadły wyrzuty sumienia. Powinien pojechać do domu, do swojej rodziny. Peggy Sue na pewno była zmęczona po całym dniu uganiania się za Donnym i Candice. Kiedy była w ciąży, zawsze narzekała i czuła się zmęczona, a teraz, nosząc w brzuchu piąte dziecko, musiała się bardziej opiekować starszymi, Timmym i Robbym, którzy stawali się dla niej coraz większym utrapieniem. Timmy już wpadł w tarapaty; Shep przyłapał go parę razy na paleniu marihuany z przyjaciółmi. Inna sprawa, że nie powiedział o tym Peggy Sue. A Robby? - Robby kolegował się z tymi cholernymi dzieciakami Dauberów. Shep uważał, że z Robbym zawsze coś było nie w porządku, właściwie już od dnia narodzin. To tak jakby w sześciopaku brakowało dwóch piw. A może trzech. Oczywiście Shep nikomu się nie przyznał, co myśli. Candice była słodka, ale Shep zdążył już się zorientować, że strasznie rządzi swoim młodszym braciszkiem Donnym, okropnym, zasmarkanym, rozlazłym marudą. A teraz następne dziecko w drodze. Cholera. Na razie jednak Shep nie był w stanie myśleć o swoich latoroślach. Wręcz tego nie chciał.

Wnętrze wozu wypełnił zapach perfum Vianki. Spojrzał na nią ukradkiem, zobaczył łzę ciekącą po jej policzku i bardzo żałował, że nie może jej zlizać.

- Co się stało? - zapytał, wrzucając kolejny bieg. Mijali kilku sąsiadów, którzy powoli wracali do swoich domów.

- *Madre*. Ona... połknęła za dużo pastylek.

- Pastylek?

- *Si*. Nasennych.

- Celowo? - zapytał, skręcając w jedną z dróg wyjazdowych.

- Nie. - Ściągnęła swoje piękne usta. - Ona... bywa oszołomiona. Czasami jeśli mnie nie ma, zapomina, że już je wzięła, i wtedy... bierze następne. Tym razem... - Głos jej się załamał i szybko się przeżegnała.

Shep próbował nie patrzeć na jej piersi. Po prostu to byłoby nie w porządku. Podobnie jak erekcja, którą właśnie miał. Nie, spróbuje skierować swoje myśli gdzie indziej. Ale w drodze do Coopersville nie mógł się powstrzymać, by nie zastanawiać się, co Vianca nosi pod czarnym T-shirtem i dżinsami.

Czerwony stanik?

A może czarny.

Do diabła, jego penis mocno się teraz naprężył. Shep wlepił wzrok w upstrzoną owadami przednią szybę, przez którą było widać światła nadjeżdżających samochodów. Przekroczył prędkość o trzydzieści kilometrów i przypominał sobie, że jest żonaty.

Czy mu się to podoba, czy nie, Peggy Sue, niegdyś najlepsza tamburmajorka w całym okręgu Blanco, jest jego żoną.

Rozdział 13

Chyba powinniśmy porozmawiać - powiedziała Shelby, zbiegając po frontowych schodach. Ojciec stał przy drzwiach i właśnie wkładał ręce do rękawów marynarki, a ona była jeszcze w piżamie i miała potargane włosy po źle przespanej nocy.

Sędzia zachichotał, chociaż jego twarz wcale nie była pogodna.

- Odkąd to masz mi coś do powiedzenia?

Poczuła, jak sztywnieją mięśnie jej karku.

- Odkąd nie mam wyboru.

- Czy to może poczekać? - Zerknął na zegarek i się nachmurzył. - Muszę wpaść do biura, potem na ranczo, a potem spotykam się z inwestorami na śniadaniu w Coopersville.

- Sądzę, że wiesz, gdzie jest Elizabeth.

Poprawił marynarkę i sięgnął po swoją kościaną laskę, do stojaka na parasole w pobliżu frontowych drzwi.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Wiem, ale myślę, że kłamiesz. Ona żyje i ty wiesz, gdzie jest.

- Skończ już z tym, Shelby.

- Nie mogę! - Złapała go za rękaw, wbiła palce w delikatny materiał. - Czy ty nie rozumiesz, tato? To jest ważna sprawa. Najważniejsza sprawa w moim życiu. Muszę odszukać Elizabeth i zrobię wszystko, absolutnie wszystko, żeby ją znaleźć. Właśnie dlatego błagam cię, żebyś mi pomógł. - Była zdesperowana, na skraju wytrzymałości nerwowej. Ojciec był dla niej jedynym ogniwem łączącym ją z jej dzieckiem. - Proszę... - Dławiła się ze wzruszenia. - Proszę cię, tato.

Westchnął.

- Ja nie potrafię ci pomóc, Shelby. - Nagle zgarbił się, sprawiał wrażenie zmęczonego, bardzo starego. - Daj już temu spokój. Jesteś młoda. Wyjdiesz za jakiegoś miłego, młodego człowieka i jeszcze urodzisz dzieci. Mówiłem ci, że chciałbym cię poznać z kilkoma mężczyznami. Jest taki prawnik w San Antonio. Trzydzieści dwa lata. Nigdy nie był żonaty. Przystojny i diabelnie inteligentny. On wejdzie do świata polityki i...

- Nie! - Puściła rękaw jego marynarki i zrobiła krok do tyłu, tak że dotknęła pośladkami słupka przy schodach. - Ty nic nie rozumiesz, prawda? - Patrzyła na niego tak, jakby był kimś zupełnie obcym. - Nie masz pojęcia, co człowiek czuje, gdy wie, że gdzieś na świecie żyje jego dziecko, lecz nie może go znaleźć.

- Wiem, co człowiek czuje, gdy ma dziecko, które kocha tak bardzo, że chce dla niego tylko tego, co najlepsze.
- Nawet jeśli to dziecko się nie zgadza?
- Nawet jeśli mną za to pogardza. - Sędzia podniósł neseser i otworzył drzwi. - Kiedy wróci Lydia, powiedz jej, że nie zdążę na kolację. Nie wiem, o której zjawię się w domu, ale pewnie dość późno. - Wyszedł i wtedy Shelby zrozumiała, że ojciec nigdy jej nie pomoże. Jeśli chciała ustalić miejsce pobytu swojej córki, mogła liczyć tylko na siebie.

Nie jesteś całkiem sama. Masz przecież Nevadę. On jest po twojej stronie.

Czy aby na pewno? Czy naprawdę może mu ufać?

Gdzieś w tylnej części jej głowy powoli narastał ból. Zmęczenie wywołane niewyspaniem i nadmiar trosk sprawiały, że przez większość nocy nie mogła zmrużyć oka. Dlaczego flirtowała z Nevadą? Co ją napadło, żeby go całować? I Boże drogi, dlaczego się z nim kochała? To, co ich kiedyś łączyło, już nie istniało. Oboje byli tego świadomi, a mimo to nie umiała się powstrzymać.

Weszła do kuchni i naląła sobie szklankę soku pomarańczowego. Tak, wydawało się, że on próbuje jej pomóc odszukać ich córkę, ale co potem? Co będzie, jeśli ją odnajdą? Czy on sam nie sugerował, że byłoby lepiej zostawić ją z jej przybranymi rodzicami?

Nagle sok wydał jej się kwaśny. W gruncie rzeczy nie wybiegała myślami aż tak daleko w przyszłość. Najpierw odnajdzie córkę, a potem zastanowi się nad tym, co powinna zrobić.

Telefon głośno zadzwonił. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Och, *Niña*. - Głos Lydii był stłumiony. - Myślałam, że złapię twojego ojca.

- Już pojechał. Jakieś wczesne spotkanie. Powiedział, że może nie zdążyć na kolację.

- Pracuje zbyt ciężko. Za dużo od siebie wymaga. Jeżeli nie będzie uważał... - Jej głos znowu przycichł. Po chwili chrząknęła. - Dzwonię, bo trochę się spóźnię. Aloise jest w szpitalu.

- Aloise Estevan? - zapytała zdumiona Shelby. Była przekonana, że sam Bóg musiałby interweniować, żeby oderwać Lydię od jej domowych obowiązków. Zresztą, nawet w takim przypadku Wszechmogący musiałby zapewne stoczyć walkę.

- *Si. Si.*

- Czy ona dobrze się czuje?

- Nie wiem. Wzięła tabletki. Za dużo tabletek.

- Co to za tabletki?

- Też nie wiem, ale kiedy zadzwoniła Vianca, zaproponowałam, że zaopiekuję się małym Ramónem przez kilka godzin, żeby Vianca i Roberto mogli być z matką i dziś rano pogadać z lekarzami...

- Oczywiście. - Shelby wypita kolejny łyk soku.

- Ale jeżeli potrzebujesz mnie w domu, to przyprowadzę ze sobą tego chłopca...

- Och, nie, wszystko jest w idealnym porządku - odparła Shelby i przełożyła kabel telefonu, żeby móc wyjrzeć na basen. Powierzchnia wody przypominała szkło, odbijała błękit wczesnego porannego nieba. - Nie śpiesz się. - Odłożyła słuchawkę, wypita resztę soku, a potem, wiedząc, że w domu nie ma nikogo oprócz niej, wybiegła na dziedziniec, zrzuciła piżamę i zanurkowała w basenie.

Woda przywitała ją lodowatą falą.

Poruszając szybko nogami, popłynęła do góry, dotarła na powierzchnię, wzięła oddech i zaczęła spokojnie płynąć na drugi koniec basenu, koncentrowała przy tym uwagę nie na pływaniu, lecz na swoim życiu i zmianach, jakie w nim zaszły. Gdzieś na tym świecie mieszka jej córka. Ale gdzie? W pobliżu czy daleko stąd? A może to wszystko jest tylko żartem? Och Boże, kto mógłby być taki okrutny i dlaczego?

Dotknęła ściany basenu, zrobiła fikołka pod wodą i zawróciła. Pruła wodę coraz szybciej. Jej umysł nagle zrobił się bardzo przejrzysty. Przypomniała sobie zdjęcie Elizabeth, jedyną fotografię córki, jaką widziała. Kiedy dopłynęła do drugiej ściany basenu, ten obraz ustąpił miejsca wizerunkowi Nevady. Shelby przypomniała sobie, jak łatwo było się z nim kochać ostatniej nocy. Wydawało jej się, że to jest takie naturalne, takie właściwe... och, nie może myśleć o ich seksie. Ma na głowie ważniejsze sprawy.

Pomyśl, Shelby, pomyśl. Jesteś inteligentną kobietą. Jak zamierzasz odszukać swoje dziecko? Jest jakiś sposób. Musisz tylko na niego wpaść.

Kolejny raz przepłynęła długość basenu. Przewróciła się na plecy i zaczęła swobodnie się unosić, wpatrzona w niebo. „Można się założyć, że sędzia wie, gdzie przebywa twoja córka”.

Stary sędzia Cole

Okropną starą duszę miał

Wredny był z niego wał.

Stryczkiem albo spluwą groził...

Zadzwonił telefon i to wybiło Shelby z rytmu.

Może ktoś ma jakieś wieści o Elizabeth?

Skręciła do boku basenu, wyszła z wody naga i, ociekając, pognęła do kuchni. Chwyciła słuchawkę i

powiedziała:

- Halo?

Usłyszała głośnie szcęknięcie po drugiej stronie.

- Halo? - powtórzyła, ale zdała sobie sprawę, że osoba, która do niej dzwoniła, odłożyła słuchawkę. - Halo? - Na moment ogarnął ją niepokój, za wiele było tych głuchych telefonów, ale potem uznała, że ktoś po prostu źle wykręcił numer, chociaż ten ktoś mógł przynajmniej zachować się przyzwoicie i przeprosić. - Kretyn - mruknęła pod nosem, a potem pobiegła tylnymi schodami do swojego pokoju.

W ciągu piętnastu minut wzięła prysznic, włożyła koszulkę i szorty, uszminowała się lekko i pomalowała rzęsy, i znowu zbiegła na dół. Wytarła kuchnię ręcznikiem i, uświadomiwszy sobie, że może się jej już nie trafić druga okazja, żeby być w domu sama przez dłuższy czas, wstawiła kawę i od razu poszła do gabinetu ojca. Dzisiaj przetrząśnie wszystkie teczki. Jeżeli będzie w nich jakakolwiek informacja o miejscu pobytu córki, Shelby jej nie przeoczy.

Idiota! - Nevada wymyślał sobie w duchu. Co on sobie myślał? Seks z Shelby Cole. Głupiec. Masz to, na co zasłużyłeś. Wrzucił trochę siana do żłobu i patrzył, jak klacze zanurzają pyski w paszę. Co było takiego w Shelby, czemu nie potrafił się oprzeć? Przed laty wmówił sobie, że fascynowała go, bo była jedyną córką sędziego Cole'a, zakazanym owocem, wielkim tabu.

Ale teraz?

- A niech to wszyscy diabli! - burknął.

Gwizdnął na Crocketta i powoli wyszedł przed dom, w popołudniową, teksańską spiekotę. Boże, jaki upał. W oddali falowało rozgrzane powietrze, a tuż nad głową Nevady bzycały gzy. Wszędzie unosił się kurz, a mimo to Nevada uwielbiał to miejsce. Nieraz słyszał, że kto urodzi się Tekszańczykiem, już na zawsze nim pozostanie. W jego przypadku to powiedzenie chyba się sprawdzało, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. Cały ranek dręczyły go myśli o Shelby i o tym, jak ją całował, dotykał, o tym, jak jej skóra błyszczała od potu, gdy Shelby z całej siły wtulała się w jego ciało. Zeszłej nocy nie potrafił odeprzeć pokusy kochania się z nią i, prawdę mówiąc, wątpił w to, czy kiedykolwiek mógłby tego nie chcieć.

Ocierając pot z czoła roboczą rękawicą, poszedł do szopy z narzędziami, gdzie powietrze stało z upału. Osy brzęczały w gniazdach między krokwiami, a zapach nafty mieszał się z wszechobecnym zapachem kurzu. Na zewnątrz któraś z klaczy cicho zarżała. Nevada ukląkł przy przyczepie i spoglądał ponuro na łusą oponę, która w ciągu kilku ostatnich tygodni niemal całkiem się zużyła. Znalazł klucz nasadowy i zaczął się mocować z nakrętkami, podczas gdy jego myśli krążyły wokół Shelby i ich córki. Albo córki Rossa McCalluma.

Zrobiło mu się niedobrze, żółć podeszła mu do gardła. Zaciśnął prawą rękę na kluczu tak mocno, że aż mu pobielały kłykcie. McCallum nie powinien był wyjść z więzienia. Nigdy.

Nevada odkręcił pierwszą nakrętkę i złapał ją w lewą rękę. Przyłożył klucz do następnej nakrętki. W Bad Luck coś się działo. McCallum był na wolności. Shelby wróciła do miasteczka, żeby odnaleźć swoją córkę, która rzekomo zmarła zaraz po przyjeździe na świat. Caleb Swaggert zmarł - albo został zamordowany - a teraz Aloise Estevan przebywała w szpitalu po tym, jak przedawkowała tabletki (tak przynajmniej powiedziano mu w sklepie z artykułami żelaznymi). Te wydarzenia musiały być jakoś ze sobą powiązane. W miasteczku takim jak Bad Luck, gdzie niewiele się działo, trudno byłoby uwierzyć, że nic tych wydarzeń nie łączy.

Ściągnął oponę, przywłókł ją do pikapa i cisnął na podkładkę.

Kto przesłał Shelby zdjęcie dziewczynki? Kto? Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy szedł do domu po portfel i kluczyki. Był pewien, że gdyby zdołał namierzyć tę osobę, wszystkie inne elementy gry by się wyjaśniły.

Umył ręce w kuchni, a potem przeszedł do sypialni i na komodzie znalazł portfel i kluczyki. Popatrzył na teraz już posłane łóżko i poczuł, że jego cholerny penis już twardnieje. Przypominał sobie, jak Shelby leży pod nim naga, przypominał sobie jej białą, cudowną skórę, oczy błękitne jak teksańskie niebo, burzę włosów na poduszce, noc pełną obietnic. Nagle jego dzinsy zrobiły się niemożliwie ciasne: na samo wspomnienie seksu z Shelby. Zauważył, że w powietrzu wciąż jeszcze czuć zapach jej perfum.

Nie mógł się pozbyć uczucia, że coś jej grozi, że zwabiono ją tutaj fotografią córki. Ale w jakim celu? Ciarki przeszły mu po plecach, kiedy wrócił myślą do Rossa McCalluma. Czy to on stał za tym wszystkim? Były skazaniec, który zgwałcił Shelby, człowiek, który nadal powinien siedzieć za kratkami.

Nevada zmienił koszulkę i wepchnął portfel do tylnej kieszeni dzinsów. Wyszedł z kluczami i wmawiał sobie, że jedzie do miasteczka tylko po to, żeby dać oponę do naprawy. Ale były też inne powody. Powody wiążące się z Shelby Cole, księżniczką sędziego Cole'a - matką dziecka Nevady.

Przyczepa przypominała chlew. Ross zgniótł papierosa w starym opakowaniu po prażonej kukurydzy i uświadomił sobie, że w popołudniowym upale czuje się jak w piekarniku.

Zamieszkał w tym starym blaszaku, jak tylko wyszedł z więzienia. Z początku próbował doprowadzić to miejsce do jakiegoś takiego porządku, gdyż jego wredna siostra, Mary Beth, nie chciała mu już pomagać. Może dlatego, że rozglądała się za kolejnym nicponiem, który mógłby zostać jej mężem.

Ross posprzątał więc przyczepe, ale i tak czuł się w niej niewiele lepiej niż w więziennej celi. Z dawna zaniedbane panele rwały się od ścian, dywan był zupełnie wyświechtany, a wszystkie kurki zardzewiały. Na oknach zebrały się pajęczyny, kurz i martwe owady, parapety były wyblakłe i popękane, prymitywne meble w większości uszkodzone. McCallum zdołał przywrócić elektryczność, ale instalacja wodna doprowadzała go do szału, a za dnia było tu goręcej niż w piekle. Zresztą noc nie przynosiła ulgi i chociaż McCallum cieszył się, że wyszedł na wolność, to potrzebował jakiejś odmiany na lepsze.

I właśnie otrzymał szansę.

Caleb Swaggert nie żył i teraz nie było już nikogo, kto mógłby zdradzić reporterce, co naprawdę zdarzyło się tej nocy, kiedy zabito starego Ramóna Estevana. Któż mógłby zaoferować lepszą historię niż on sam, człowiek, który został wrobiony w morderstwo i wtrącony do więzienia?

Tak, McCallum doszedł do wniosku, że będzie musiał skontaktować się z reporterką i wejść z nią w układ. Poza tym miał jeszcze inne stare długi do uregulowania. Musiał wyrównać rachunki z Nevada, i ten dzień zbliżał się szybko i nieuchronnie, jak rozpędzony pociąg.

Nie złożył jeszcze wizyty Shelby, ale to ze względu na nieodpowiednią porę. Wkrótce jednak ją odwiedzi.

Ross uśmiechnął się do siebie i stanął na dwóch sfatygowanych schodkach od frontu. Część śmieci została porzucana ostatniej nocy i Ross pomyślał, że powinien sobie sprawić broń, żeby obronić się przed kojotami lub innymi zagrożeniami. Poza tym fajnie byłoby znowu mieć w rękach strzelbę. Mężczyzna nie jest prawdziwym mężczyzną bez broni. McCallum patrzył na krajobraz suszy. Kilka skarłałych drzew, wypalona trawa i twarda ziemia. Jak, u diabła, jego dziadek mógł prowadzić tu ranczo i jeszcze utrzymać żonę i pięcioro dzieci?

Będzie musiał znaleźć sobie broń, i to szybko. Może sprawi sobie również psa - pitbull albo rottweiler świetnie by się nadawały. Ross McCallum potrzebował ochrony. Ostatnimi czasy w Bad Luck działo się wiele dziwnych rzeczy. Potarł kark, poczuł ukłucie żądła pszczoły i mocno ją uderzył. Z gniewnym bzyčeniem padła na rozklekotany stopień. Ross szybko przydeptał ją czubkiem buta, czując wielką satysfakcję.

Tak, pomyślał, w Bad Luck w stanie Teksas dochodzi do wielu dziwnych zdarzeń i jeśli dobrze oceniał sytuację, będzie ich jeszcze więcej w najbliższym czasie.

Shelby wsunęła ostatnią teczkę do kredensu i w duchu przeklinała samą siebie. Zapoznała się z zawartością wszystkich teczek; wносиła ich po kilka do swojego pokoju, czytała i nie znajdowała niczego, co byłoby pomocne. Najwyraźniej strzeżone przez sędziego tajemnice pozostawały bezpieczne: dokumenty, które trzymał w swoim gabinecie, nie dawały do nich dostępu.

Lydia przyjechała do domu po dwunastej i oprócz tego, że zaproponowała Shelby lunch i wyjaśniła, iż Aloise natykała się za dużo tabletek nasennych, w ogóle się nie odzywała. Miała zaczerwienione oczy, nie uśmiechała się, a w pewnym momencie Shelby wydawało się, że słyszy jej cichy szloch.

W sumie ten poranek okazał się bezowocny i dawał powody do niepokoju.

Kiedy Shelby zamknęła kredens i włożyła mały pęk kluczy do naczynia przy pojemniku na cygara, dochodziła już druga trzydziści. Jeden z tych kluczy na pewno pasował do drzwi biura sędziego w centrum i tam mogłaby znaleźć informacje na temat Elizabeth. Postanowiła, że zabierze klucze do Coopersville, znajdzie jakiegoś ślusarza, który jej nie będzie znał, a potem przyniesie oryginalny zestaw kluczy do gabinetu ojca. W ten sposób uzyska dostęp do biura sędziego. W nadziei, że nie widać na jej twarzy poczucia winy, przeszła z gabinetu do kuchni. Klucze cicho brzęczały w jej kieszeni.

Lydia znowu płakała, ocierała oczy rogiem fartucha i mamrotała do siebie po hiszpańsku, niosąc do jadalni plastikowy kubek ze środkami czyszczącymi.

- Lydio, czy stało się coś złego? - zapytała Shelby, nalewając sobie kawy.

- Co? Och, *niña*. Nie. - Lydia odchrząknęła i zniknęła w sklepionym przejściu. Shelby poszła za nią.

- Płakałaś. Posłuchaj, nie chcę się wtrącać, ale nie jestem ślepa ani głucha. Coś cię gnębi, Lydio. Coś poważnego.

Gospośia uśmiechnęła się słabo i postawiła kubek na podłodze. Kwiatowa kompozycja z zeszłego tygodnia zaczęła usychać na stole, ale rzadko używany kryształowy wazon ładnie lśnił za szklanymi drzwiczkami bufetu.

- Po prostu smutno mi z powodu Aloise. Ona jest... przyjaciółką i krewną.

To było coś nowego.

- Jesteś spokrewniona z Estevanami?

- *Si*. No, nie z rodziną Ramóna. - Lydia wykrzywiła usta, jakby zjadła coś kwaśnego. - Ten to... był *tirano*. - Szybko zrobiła znak krzyża na wydatnym biuście.

- Tyranem?

- *Si*. Gorzej. On zawsze był szefem. Wszystko musiało być tak, jak on zarządził. A jak nie, to wtedy on... *reventar*, wybuchał jak wulkan i szalał ze złości. - Złapała się za głowę, jakby chciała go naśladować albo modlić się do Boga. - Ten Ramón nie był miłym człowiekiem. Ale... - przechyliła głowę i promienie słońca wpadające przez okna jadalni rozświetliły siwe pasma jej włosów - ...Był mężem Aloise, a ona jest kuzynką Pabla, mojego szwagra.

- Pabla, tego ogrodnika? - zapytała Shelby, opierając się o ścianę i sącząc kawę. Jak mogła przeoczyć taką

informację? Dlaczego nie zwróciła na to uwagi?

- *Si*. - Lydia zabrała wazon z usychającymi kwiatami, które nagle wydały się Shelby obrzydliwe. Doszła do wniosku, że ojciec wynosił na piedestał kobietę, której nie zawsze był wierny, nie z miłości, ale z poczucia winy.

- Aloise i ja wychowywałyśmy się razem w tej samej wiosce w Meksyku, niedaleko Mazatlan... słyszałaś o tym kurorcie? Leży nad oceanem.

- Tak.

- Później wszystkie rodziny się przeprowadziły. Blżej granicy - tłumaczyła Lydia. - Ale to było bardzo dawno temu, kiedy obie byłyśmy jeszcze dziewczynkami.

- I stamtąd obie przeniosłyście się do Bad Luck?

Stawiając wazon na serwantce, Lydia skinęła głową, ale kąciki jej ust wyraźnie zadrgały.

- *Si*. Nasze rodziny przeprowadziły się tutaj. - Odwróciła się do stołu i zaczęła spryskiwać ciemną powierzchnię olejkiem cytrynowym; robiła to z taką determinacją, jakby zamierzała rozetrzeć blat na proch.

- A Pablo jest ojcem Marii. - Dlaczego o tym nie wiedziała, kiedy dorastała?

Lydia znowu skinęła głową, ale tym razem lekko zeszywniała i unikała spojrzenia Shelby.

- Ona jest jego jedyną córką, ale ma też trzech chłopców, Enrique, Juana i Diega.

- Lydia, co się tutaj dzieje? Kiedyś byłaś przygnębiona, bo Maria miała kłopoty ze swoją córką. Dzisiaj płaczesz, bo Aloise Estevan omal się nie zabiła, a ja nawet nie wiedziałam, że jesteście spokrewnione. - Shelby nie dała Lydii dojść do głosu. - Potem podsłuchałam twoją rozmowę z sędzią. O tajemnicach, które powinny być mi znane.

Lydia podniosła butelkę z detergentem i znowu nie chciała spojrzeć Shelby w oczy.

- Mówiłam, żebyś porozmawiała ze swoim ojcem.

- Próbowałam. Wiele razy. - Shelby postawiła swoją filiżankę na blacie, blisko wazonu. - Guzik z pętelką mi powie.

- Powie. Z czasem.

- Ja tego czasu nie mam zbyt wiele.

- Jak my wszyscy - przyznała gospoia, szybko mrugając oczami.

Shelby poczuła, że w końcu jakoś dotarła do kobiety, która właściwie ją wychowała. Teraz nie mogła już odpuścić. Delikatnie dotknęła ramienia Lydii.

- Posłuchaj, Lydio, bez względu na to, co ukrywa tata, powinnaś mi o tym powiedzieć. Sekrety w tym domu szkodzą nam wszystkim.

- Och, *niña* - szepnęła Lydia. W jej ciemnych, pełnych udręki oczach błysnęły łzy. - Proszę cię, proszę przez wzgląd na mnie, nie draż tego. Ja nic ci nie mogę powiedzieć.

- To znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć.

- Dla mnie to bez różnicy. - Lydia wzięła się do polerowania mahoniowego stołu z taką energią, jakby od tego zależało jej życie. Na jej czoło wystąpiły krople potu, a widoczna spod mankietu krótkiego rękawa skóra lekko się fałdowała.

- Sędzia nie chce mi nic powiedzieć. - Shelby była tak sfrustrowana, że miała ochotę potrząsnąć gospoia, ale kiedy zobaczyła ból w ciemnych oczach Lydii, a może raczej strach, i pogłębiający bruzdy na twarzy smutek, szepnęła tylko:

- Jeśli wiesz cokolwiek o Elizabeth, proszę cię, powiedz mi. Też jesteś matką. Wiesz, jakie to ważne, żeby matka była ze swoim dzieckiem...

- *Si*, ale nie mogę.

- Na miłość boską, Lydio, ona jest moją córką! Moją jedyną córką. Proszę...

Usłyszały, że ktoś dzwoni do drzwi. Ciche, łagodne dźwięki wydawały się natarczywe, jakby zwiastowały strzelaninę.

- Przepraszam. - Lydia rzuciła szmatkę do polerowania, wytarła ręce w fartuch i, szeleszcząc nylonowymi rajstopami, pobięła do foyer.

- Ta rozmowa nie jest skończona - upierała się Shelby, idąc za Lydia jak pies tropiący zbiegłego przestępcę.

Kiedy gospoia otworzyła drzwi, Shelby się podłamała. Na środku frontowego ganku stała, zgodnie z obietnicą, Katrina Nedelesky. Zdążyła już przygotować swój firmowy uśmiech i właśnie zdejmowała okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy zwróciła błękitne oczy na Lydię, gospoia zapało dech w piersiach, a twarz zrobiła się blada jak kreda.

- *Espiritu Santo!* - Lydia się przeżegnała.

- Co się stało? - zapytała Shelby, chociaż zastanawiała się, czy naprawdę chce poznać odpowiedź. Czuła napięcie w powietrzu i dostrzegła strach w oczach Lydii. - Znaie się?

- Nie. - Lydia wzięła głęboki, drżący oddech i dotknęła włosów palcami. - Nie.

Katrina zmrużyła oczy, przez co jej uśmiech wydawał się jeszcze bardziej nienaturalny.

- Nazywam się Katrina Nedelesky - przedstawiła się, wyciągając rękę. - I nie, nie znamy się.

- A ja jestem Lydia Vasquez. Myślałam, że przed przyjściem jeszcze pani zadzwoni.

- No tak. - Katrina skrzywiła się. - Przepraszam. Chyba wyleciało mi to z głowy.

Shelby nie wierzyła jej słowom. Mogłaby się założyć, że Katrina nie należy do osób, które o czymkolwiek zapominają.

Lydia wymamrotała pośpiesznie:

- Miło mi panią poznać. Podała rękę gościowi, ale zaraz opuściła ją, jakby ten uścisk parzył jej skórę.

Katrina uśmiechnęła się sztucznym uśmiechem do Shelby.

- Wiesz, odkąd wylądowałam w tej części Teksasu, prawie wszyscy mówią mi, że kogoś im przypominam.

- Czyżby? - zapytała Shelby. - Kogo?

- Nie - wtrąciła się Lydia. - To bez sensu.

Ale Katrina patrzyła tymi swoimi niesamowitymi błękitnymi oczami na Shelby.

- Nie domyślasz się?

Shelby poczuła chłód, który przenikał jej czaszkę i spływał w stronę kręgosłupa. Wiedziała, że nie spodoba jej się to, co Katrina ma do powiedzenia.

- Nie wiesz, naprawdę nie wiesz? - Katrina wywróciła oczami, a potem westchnęła teatralnie. - Hm, nuży mnie ten cały melodramat, więc miejmy to już z głowy. Jestem twoją siostrą, Shelby. No, właściwie to siostrą przyrodnią. Sędzia jest także moim ojcem.

Rozdział 14

Chyba lepiej będzie, jak wejdiesz do środka i wyjaśnisz całą sprawę - powiedziała Shelby. Nie potrafiła ukryć podejrzliwości. Oszołomiona, wpatrywała się w kobietę stojącą na frontowym ganku, próbując odkryć podobieństwa między Katrina Nedelesky i sędzią. No dobrze, oboje mają charakterystyczne błękitne oczy, ale przecież mają je miliony ludzi na świecie. Katrina jest ruda tak jak sędzia, ale kto wie, może jej krótkie loki są farbowane. Jedno Shelby wiedziała na pewno: że jej nie ufa. Ani trochę.

- Jestem podobna do matki - powiedziała Katrina.

- Dogodna wersja.

- Prawdziwa. - Błysnęła tym swoim irytującym, pełnym samozadowolenia uśmiechem, który już działał Shelby na nerwy.

- Dlaczego o tobie nie słyszałam?

- Ponieważ byłam wielką, mroczną tajemnicą sędziego Cole'a.

Shelby nie zwracała w tym momencie uwagi na Lydię. Gospościa wciąż stała przy drzwiach i patrzyła na Nedelesky w taki sposób, jakby reporterka była duchem; jej reakcja była o wiele bardziej wymowna niż słowa pewnej siebie kobiety, która stała na zacięzionym ganku.

- To dlaczego tak długo się nie pokazywałaś?

- To nie był właściwy czas, Shelby.

- I teraz jest właściwa pora?

- Bingo.

No cóż, nie zaszkodziłoby wysłuchać historii Katriny. Shelby miała w tym własny interes. Poczula, że schowany w kieszeni pęk kluczy ojca uwierają w udo. Musiała pojechać do Coopersville, dorobić zapasowe klucze i odłożyć oryginały na miejsce, zanim zostanie zdemaskowana.

- Wejść - powiedziała, szeroko otwierając drzwi.

Była sceptyczna. Wprawdzie zawsze wiedziała, że jej ojciec podoba się kobietom i nie żył w celibacie przez ostatnich dwadzieścia parę lat, ale był ostrożny i dyskretny - z pewnością zadbałby o to, żeby nie płodzić nieślubnych dzieci, choćby dlatego, że zależało mu na reputacji. Zapewnienia Katriny mogły być oszustwem, sposobem na zdobycie rozgłosu, a poza tym miała więcej niż dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Może i zaliczała się do świetnych reporterek, ale gołym okiem było widać, że jest karierowiczką. I Shelby niechętnie musiała przyznać, że pod tym względem bardzo przypomina sędziego Jerome'a Cole'a.

- Możemy porozmawiać w salonie.

- Prowadź.

Kiedy Katrina weszła do domu, wciąż zszokowana i drżąca Lydia zmusiła się do uśmiechu, mruknęła, że przyniesie napoje, a potem z ulgą wycofała się do innej części domu.

- Miło tu - zauważyła Katrina, zarzucając na ramię pasek neseseru. Zachowywała się tak, jakby tu było jej miejsce: przyglądała się lśniącym marmurowym posadzkom, szerokim schodom i dziełom sztuki wiszącym na ścianach. Wreszcie jej wzrok spoczął na palisandrowym stoliku, gdzie stały zdjęcia Shelby i jej ojca. - Tak, bardzo miło - dotknęła srebrnej ramki i jej oczy napotkały spojrzenie Shelby w lustrze. W tych błękitnych czeluściach jak w kalejdoskopie pojawiały się na moment rozmaite emocje: zazdrość, gniew i rozpacz, ale Katrina szybko je ukrywała.

Ona chciała być mną. Ta myśl poraziła Shelby niczym cios pięścią w brzuch. Czy to możliwe? Czyżby Katrina mówiła prawdę? Czyżby była jej siostrą przyrodnią?

- Tędy - powiedziała Shelby, prowadząc ją do salonu. Otworzyła przeszkłone drzwi i weszła do pokoju, którego łukowe okna wychodziły na różany ogród, a meble w zgaszonych odcieniach brzoskwini, szarości i leśnej zieleni były przemyślnie porzucane wokół marmurowego kominka, kolejnej kapliczki ku czci Jasmine Cole.

Kiedy Katrina weszła do środka, Shelby zamknęła za sobą drzwi i oparła się o szyby, po czym spojrzała jej prosto w oczy.

- Od razu ustalmy sobie pewną rzecz - powiedziała. - Wszystko, o czym rozmawiamy, jest nieoficjalne. Jeśli odważysz się wydrukować choć słowo bez mojej autoryzacji na piśmie, pozwę ciebie i tego szmatławca, dla którego piszesz.

Katrinę niełatwo było zastraszyć.

- Posłuchaj, Shelby, redakcja magazynu jest zainteresowana tylko śmiercią Ramóna Estevana, zeznaniem Caleba Swaggerta, powodami, dla których je zmienił, i tym, kto mógł go zabić, mam na myśli Ramóna. Jeżeli okaże się, że Caleb został zamordowany, redakcja będzie chciała informacji również na ten temat.

- W tej sprawie nie mogę ci pomóc. Nie wiem nic o morderstwie Estevana.

Katrina wypatrzyła białe pianino we wnęce pokoju.

- Nie po to tu jestem.

- Hm, to prowadzi nas do interesującej kwestii. - Shelby podeszła do kanapy z obiciem w kwiaty i usiadła na jednym z oparc. - Czego chcesz?

Katrina patrzyła przez szybę na różane krzewy i ich obfite pąki.

- Dobrze, rzecz wygląda tak. Nie jestem tylko dziennikarskim wolnym strzelcem - odwróciła się od okna i usiadła na antycznej kanapie. - Przygotowuję książkę.

Shelby się zaniepokoiła. Powinna była liczyć się z taką ewentualnością.

- O czym?

- Oczywiście o tajemnicy Estevanów. To główny wątek, ale to jest również opowieść o Bad Luck i wszystkich sekretach miasteczka. - Oczy Katriny pojaśniały.

- Włącznie z tym... stwierdzeniem, że jesteś córką mojego ojca?

- Tak.

- Może powinnaś to jakoś wyjaśnić. - Shelby chciała wierzyć, że ta kobieta jest naciągaczką, kimś, kto próbuje zrobić jej ojca, ale fakt, że jej samej żołądek podchodził do gardła, a w głowie kręciło się od nadmiaru wątpliwości, przekonał ją, że Katrina nie jest tylko królową pozorów. - A zatem dlaczego uważasz, że sędzia jest twoim ojcem?

Kątem oka Shelby dostrzegła przez okienne szyby srebrzysty blask. Mercedes ojca właśnie pojawił się na podjeździe, a jego lśniąca karoseria odbijała smugi słońca prześwitujące między koronkowe gałęzie drzew.

- Poczekaj, chyba będziesz miała szansę powiedzieć to sędziemu osobiście. - Poczula duży niepokój. - Wygląda na to, że zmienił plany i wrócił do domu. - Miała wrażenie, że skradzione klucze przepalają kieszeń i parzą ją w nogę. Odłożyć je na miejsce, zanim ojciec się zorientuje?

Katrina wciąż się uśmiechała.

- Dobrze. To tylko ułatwi sprawę.

Shelby w to wątpiła. Odkąd tylko wylądowała w Bad Luck, wcale nie było jej łatwiej. Wręcz przeciwnie, jej życie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

- Powiem Lydii, żeby go tu przysłała. - Wstała i wyszła z pokoju. Dokładnie w tym momencie usłyszała kroki gospozi we foyer.

Lydia niosła srebrną tacę, a na niej kryształowe szklanki i takie same dzbanki z lemoniadą i herbatą z lodem. Była już prawie przy przeszklonych drzwiach, kiedy i ona zobaczyła, jak mercedes sędziego zwalnia i zatrzymuje się przed garażem.

- *Dios* - szepnęła wstrząśnięta.

Srebrna taca zachybotwała.

Shelby w gnieniu oka podbiegła do Lydii.

Szklanki przesunęły się na tacy.

Shelby zareagowała szybko, chwytając jej brzeg, ale było za późno. Herbata i lemoniada zaczęły się wylewać z dzbanków, a szklanki spadły na podłogę i się rozbiły. Kostki lodu ślizgały się po marmurowej posadzce. Plasterki cytryny pospadały, a herbata chlusnęła na twarz i bluzkę Shelby.

Frontowe drzwi się otworzyły. Do foyer wszedł, wsparty na lasce, sędzia Red Cole.

- Do diabła, co wy tu wyrabiacie? - zapytał. Miał czerwoną twarz, a z czoła ściekała mu strużka potu.

- Och, sędzio, przepraszam. - Połykając łzy, Lydia próbowała podnieść szybko topniejące kostki lodu. - Strasznie przepraszam. Ja... nie spodziewaliśmy się, że pan wróci do domu tak wcześnie.

- Moje spotkanie w San Antonio zostało przełożone.

- Przyniosę mopa.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał surowym tonem.

- Jest tu ktoś, kogo chyba powinieneś poznać - powiedziała Shelby, podając tacę roztrzęsionej Lydii. Potem otarła twarz.

- Kto, do jasnej ciasnej... - Sędzia przeniósł spojrzenie z Shelby na oszklone drzwi. Shelby dostrzegła stojącą po drugiej stronie Katrinę.

- Na miłość boską - wyszeptał. Sposepniał i aż się przygarbił.

W tym momencie Shelby zrozumiała, że Katrina mówiła prawdę. Reporterka z Dallas rzeczywiście była jej przyrodnią siostrą. Zaschło jej w gardle i zawirowało w głowie na myśl o prawie dwudziestu pięciu latach kłamstw.

- Chyba musimy porozmawiać, tato - wydusiła. - Tym razem żadnych wykretów.

Sędzia gapił się na kobietę w salonie.

- Masz rację, Shelby - przyznał cicho. Nie odrywał wzroku od Katriny. Jego twarz miała w sobie coś tragicznego.

- Naprawdę musimy porozmawiać. I to zaraz.

A więc Caleb Swaggert został zamordowany, pomyślał Shep, patrząc przez upstrzoną owadami przednią szybę swojego pikapa.

Ktoś chciał, żeby stary człowiek zginął - ktoś zbyt niecierpliwy, by zaczekać tych kilka tygodni.

Kto?

Zadręczając się tym pytaniem, Shep zajechał przed swój dom i spostrzegł, że talerz satelity na dachu znowu się przekrzywił. Powinien go poprawić, a przy okazji przytwierdzić kilka nowych asfaltowych gontów. Ale cóż, dach, farba, talerz satelity i wszystkie inne domowe obowiązki, których listę Peggy Sue sporządziła i przytwierdziła magnesem do lodówki, będą musiały poczekać. Po prostu nie miał teraz czasu na takie rzeczy - musiał się zająć drugim morderstwem. Prokurator okręgowy będzie żądał odpowiedzi. Szeryf też. I to natychmiast. Shep wreszcie miał okazję się wybić.

Lekarze Caleba Swaggerta byli pewni, że ktoś przyspieszył wędrówkę starego człowieka na tamten świat, zarządzenie sekcji zwłok było więc jedynie formalnością. Siniaki na żyłastej szyi Swaggerta wskazywały, że ktoś najpierw przycisnął mu poduszkę do twarzy, a potem go przytrzymał. Ale komu zależało na jego śmierci? Kto ryzykowałby oskarżenie o morderstwo, skoro za tydzień, dwa Caleb i tak miał się przywitać ze świętym Piotrem?

Zatrzymał wóz przed garażem, wysiadł i poczuł gorący powiew późnego popołudnia. Był spocony pod pachami i na plecach. Miał wrażenie, że w miarę jak przybywa mu lat i kilogramów, każde kolejne lato w Teksasie robi się coraz bardziej gorące i uciążliwe. Minivan Peggy Sue stał w garażu, co oznaczało, że jest z dziećmi w domu. Nie mógł pojąć, dlaczego świadomość, że rodzina na niego czeka, wprawia go w przygnębienie, lecz naprawdę był w podłym nastroju.

Zarówno pranie zwisające ze sznurków, jak i to, że większość krzaków pomidorów uschła w ogrodzie, nie poprawiły mu humoru. Miejsce, które nazywał domem przez prawie dwadzieścia lat, nie miało w sobie niczego ujmującego. Prawdę mówiąc, ten zakurzony dom - który należałoby natychmiast pomalować - wydawał mu się ostatnimi czasy pułapką, a nie azylem. Powiedzenie, że dom jest dla człowieka jak twierdza, nigdy przedtem nie brzmiało tak fałszywie.

Wyciągając z tylnej kieszeni puszkę piwa, myślał o Vianca Estevan, nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz tego dnia. Cholera, ma w sobie kobiecość, o jakiej Peggy Sue mogłaby tylko marzyć. I mógłby się założyć, że w łóżku jest wcieloną diablicą.

Przeżuł prymkę tytoniu, włożył ją sobie pod dolną wargę i przystanął, żeby podrapać Skipa, który wrywał się na łańcuchu i chciał skoczyć na swojego pana.

- Siad, łobuziaku, dobry pies - powiedział. Poczul wyrzuty sumienia, że pies musi być uwiązany. Takie męczenie go było niesprawiedliwe: przecież zwierzak chciał tylko podkopać się pod ogrodzenie i obsłużyć sukę sąsiadów. Komu to szkodziło? W końcu to naturalna potrzeba.

Już on coś wiedział na ten temat. Godzina, którą spędził z Viancą w szpitalu, sprawiła, że był bardziej napalony niż byczek na polu z jałówkami w rui. Tamtego wieczoru w szpitalu Vianca wyplakiwała mu się w rękaw, a on czuł jej drżące wargi na swojej koszuli, jędrne piersi wciśnięte w brzuch i wdychał zapach jej perfumowanych włosów. Miał ochotę objąć ją, pocałować i obiecać, że wszystko będzie w porządku. Ale powstrzymał się jakoś i zachował pozory stoickiego spokoju, a przy tym miał nadzieję, że nikt z krewnych, którzy siedzieli w poczekalni, nie zauważy jego gigantycznej erekcji.

Co do starej Aloise, natychmiast zabrano ją na oddział psychiatryczny; tam oświadczone, że ze względu na wiek będzie musiała zostać przeniesiona aż do Austin, gdzie jest oddział psychiatryczny dla starszych osób. Vianca odmówiła. Kiedy lekarz zasugerował, że Aloise mogłoby być lepiej w domu opieki, Vianca omal go nie opluła.

- Nie *madre* - powiedziała, kręcąc głową. Wyjaśniła, że chce jak najszybciej zabrać matkę do domu.

W końcu przyjechał Roberto i Shep miał dobry pretekst, żeby wyjść. Vianca zwróciła ku niemu te swoje wielkie, brązowe oczy i powiedziała słodkim tonem:

- *Gracias*, panie zastępczo szeryfa. Jestem pana dłużniczką.

Shep ją poprawił, nalegał, żeby mówiła do niego po imieniu, a potem opuścił szpital jak na skrzydłach.

- Shep!

Koniec snu na jawie. Wyprostował się, słysząc przenikliwy głos Peggy Sue. Poczul, jak tężeją mu mięśnie u podstawy czaszki. Skip znowu zaczął się szamotać.

Shep odwrócił się i zobaczył, że jego żona stoi w tylnych drzwiach i patrzy na niego zmrużonymi oczami.

- Zatrzymałeś się przy sklepie i kupiłeś hamburgery i cebulę, jak ci kazałam?

Cholera.

- Na śmierć zapomniałem - przyznał i zobaczył, jak żona ściąga usta w charakterystycznym grymasie: tak też myślałam. Wokół ust i między cienko wyskubanymi brwiami miała zmarszczki. - Ale zaraz pojedę do sklepu i przywiozę, co chcesz.

- Bądź łaskaw to zrobić, bo trudno, żebym jednocześnie pilnowała dzieciaki, gotowała i jeszcze robiła zakupy. - Wyglądała na zmęczoną i przybitą. Starą i zniechęconą. Miała dosyć życia tak samo jak on swojego.

- Migiem obróćę - zapewnił.

Był zaskoczony tym, jak bardzo chciał stąd prysnąć. Dawniej marzył tylko o tym, żeby wrócić do domu, włączyć telewizor, przeczytać gazetę i pobawić się z dziećmi, podczas gdy ona krzątała się w kuchni, gotowała rodzinny posiłek i nuciła coś tym swoim słodkim głosikiem. Idąc do samochodu, Shep zastanawiał się, kiedy ostatni raz słyszał jej śpiew. Rok temu? Dwa? Dziesięć?

Do diabła, nie mógł sobie przypomnieć kiedy.

Wsiadł do pikapa i w tym momencie z domu wybiegli, wzniesając tuman kurzu, Donny i Candice. Minęli budę psa, który się rozszczękał i zaczął szarpać na łańcuchu.

- Ja też jadę! - wrzasnął Donny.

- Nie, ja! - Candice odepchnęła młodszego brata i Shep nagle poczuł dumę, że ta mała dziewczynka pokazała pazurki, podczas gdy jego synek jęczędusza wybuchnął płaczem i pociągał nosem. Chryste, ten dzieciak był utrapieniem. Starsi chłopcy nie byli takimi maminsynkami.

Shep wyciągnął rękę i otworzył drzwi od strony pasażera. Oboje wgramolili się do środka.

- Macie być grzeczni - burknął, ale oni w ogóle nie zwrócili na niego uwagi i musiał im przypomnieć, żeby zapięli pasy. Dokuczali sobie nawzajem przez całą drogę do sklepu Estevanów. Shep dał Donny'emu chusteczkę, żeby mógł wytrzeć wiecznie ciekący nos, i obiecał dzieciom lody, jeżeli zostaną w kabinie na czas zakupów. Miał nadzieję zobaczyć Viancę, ale nigdzie nie było jej widać.

Za kasą stał meksykański, z wyglądu może dwudziestoletni chłopak o ospowatej skórze. Spuścił wzrok na widok munduru Shepa. Shep skądś go pamiętał. Podejrzywał, że młokos pracuje nielegalnie, ale zupełnie się tym nie przejmował. Chłopak wydawał się zdenerwowany. Bez słowa wydał mu resztę z dwudziestodolarowego banknotu.

- Jest Vianca? - zagadnął Shep, biorąc papierową torbę.

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie? A wiesz, kiedy wróci?

Znowu nieme potrząśnięcie krótkich, czarnych włosów. Tym razem chłopak wzruszył również ramionami.

- Wciąż jeszcze jest w szpitalu?

Chłopak zastanowił się i skinął głową.

- Si. Szpital - powiedział, odsłaniając przerwę między przednimi zębami.

- Jak ci na imię?

Dzieciak zamarł.

- Enrique.

No, właśnie. Teraz Shep już sobie przypomniał. Enrique był jednym z dzieciaków Ramirezów, jakoś tam spokrewnionym z Estevanami.

- Dziękuję, Enrique. - Shep wiedział, że to głupie, ale czuł rozczarowanie, że nie zobaczył Vianki. Przez kilka ostatnich dni miał obsesję na jej punkcie i starał się korzystać z każdej sposobności, żeby na nią popatrzeć choćby przez chwilę.

Może to przez ten upał. Albo jego wiek. Albo zwykły niepokój. Jakoś nie mógł tego rozgryźć; nigdy wcześniej nie pomyślałby, że zechce zdradzić Peggy Sue, ale do diabła, mężczyźni mają swoje potrzeby.

Wrócił do nagrzanego wozu i kapryśnych dzieci, wręczył im lody i ostrzegł, że nie wolno im nabrudzić w środku. Powiedział, że muszą je zjeść, zanim dojadą do domu.

- Nie mówcie mamie, że jedliście lody przed obiadem, bo już nigdy wam nie kupię - postraszył, wyjeżdżając z parkingu na ulicę. - I lepiej zjedzcie dzisiaj cały obiad, bo będzie coś podejrzewała. Wiecie, jaka jest mama. Czasami, słowo daję, ta kobieta ma oczy z tyłu głowy.

- Ja zjem cały - uroczyście obiecał Donny, a Candice spojrzała na niego wymownie: lizus.

Shep wrzucił pierwszy bieg, ominął wybój i znalazł się na ulicy.

Przejeżdżając obok pubu White Horse, zauważył Rossa McCalluma; akurat z buńczuczną miną wyszedł z lokalu i stanął w cieniu markizy podtrzymującej plastikowego konia naturalnej wielkości, który stawał dęba. Shep poczuł, że jeża mu się włoski na rękach.

- Sukinsyn - mruknął pod nosem.

- Mama nie lubi, jak przeklinasz. - Candice oblizała usta i zgarnęła językiem kawałek czekolady.

- Nie mów jej. - Shep nie miał czasu zachwycać się błyskotliwymi uwagami swojej córeczki. Nie w tej chwili.

- Ale...

- Powiedziałem: trzymaj język za zębami, Candy, i dokończ cholernego loda.

- No! - przytaknął Donny i Shep miał ochotę zakuć dzieciaka w kajdanki. Jechał powoli i jednym okiem patrzył

we wsteczne lusterko. Ross zapalił papierosa i powoli podszedł do jakiegoś zdezelowanego pikapa, który pamiętał o wiele lepsze czasy.

- On coś knuje - znowu mruknął Shep - on coś knuje, do cholery.

- Znowu to zrobisz! - Candice z wyższością zadarła głowę, naśladując święte oburzenie Peggy Sue.

Shep nie zareagował, tylko patrzył, jak Ross włącza się do ruchu i jedzie na północ, ku obrzeżom miasta. Gdyby Shep nie miał ze sobą dzieci i hamburgerów, które pewno już się zagotowały w rozgrzanej kabinie, na pewno by pojechał za tym łajdakiem.

Minął róg i zwolnił na światłach. Po co McCallum wrócił? Dlaczego nie zaczął nowego życia, nie przeniósł się gdzieś, gdzie nic o nim nie wiedziano - tam, gdzie ludzie nie mieliby pojęcia, do jakich zbrodni jest gotów? Co takiego sprowadziło go z powrotem do Bad Luck?

Bębniąc nerwowo palcem o kierownicę, ruszył przez skrzyżowanie i nagle zauważył, że obok banku, w kierunku centrum miasteczka, przejeżdża wóz Nevady Smitha. Nevada siedział za kierownicą, a obok jego pies, który wystawiał łeb za okno i wywieszał jęzor. Strzelba Nevady leżała na półce za jego głową. Oczy miał zasłonięte odbłaskowymi okularami. Z zaciętą miną wyglądał tak, jakby szykował się do walki.

Tak, Nevada Smith sprawiał wrażenie zdeterminowanego i, chyba instynktownie, skręcił w ulicę przed pubem. Jechał na pomocny zachód, tak jak Ross.

Shep zwracał większą uwagę na lusterko wsteczne niż na samochody jadące z przeciwka. Powiedział sobie, że to tylko zbieg okoliczności - że w miasteczku wielkości Bad Luck obecność kilku nienawidzących się osób w jednym miejscu nie jest niczym nadzwyczajnym.

Ale też nie zapomniał o tym, co zobaczył.

McCallum i Smith razem zawsze byli niebezpieczni.

Widok Smitha jadącego za McCallumem dawał Shepowi do myślenia przez całą drogę powrotną. Prawie nie zwracał uwagi na to, że jego dzieci się biją. Wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć im buzie, ale one były na bakier z higieną, więc wyskoczyły z wozu i puściły się pędem przez podwórze. Shep wysiadł z dodge'a, wepchnął chusteczkę do tylnej kieszeni, zignorował zawzięcie ujadającego Skipa i wszedł do domu.

W domu panował wielki zaduch. Wiatraczki tylko rozgarniały gorące powietrze.

- No, najwyższa pora - stwierdziła Peggy Sue, kiedy wszedł do kuchni. Garnek już stał na ogniu, na desce leżały pokrojone pomidory i sałata, a kukurydziane, ociekające oliwą tortille czekały na to, żeby je nadziewać. - I następnym razem nie dawaj dzieciom lodów - dodała spokojnie. - Wiesz, że potem marudzą przy obiedzie.

Nawet nie chciało mu się zgadywać, skąd wiedziała, że kupił dzieciakom łakocie. Jeśli chodziło o tego rodzaju rzeczy, Peggy Sue miała szósty zmysł.

- Będę pamiętał - odparł sucho, a ona rzuciła mu spojrzenie mówiące, że nie znosi jego sarkazmu.

Wręczył jej małą torbę z zakupami. Pokroiła mięso na drobniejsze kawałki, podgrzała fajerkę. Kiedy hamburgery zaczęły skwierczeć, poszatkowała cebulę i wrzuciła ją do garnka.

Shep wyjął z lodówki piwo i zastanawiał się, dlaczego przed laty Peggy Sue tak bardzo go podniecała. Wtedy, przed urodzeniem dzieci, była inna, mniej od niego wymagała. Otworzył puszkę i pomaszerował do salonu, gdzie Timmy i Robby grali w grę wideo. Byli dorośli tylko metrykalnie. Większość czasu kłócili się o grę albo oglądali „Playboya” czy „Penthouse’a”, których egzemplarze przechowywali na górnej półce w szafie, pod starymi pudłami z kartami. Ostatnio chyba nawet nie wiedzieli, czy mają po osiem, czy po osiemnaście lat.

- Teraz oglądamy wiadomości - zarządził Shep i zmarszczył brwi, widząc, że Timmy leży na jego sfatygowanej kanapie.

- Jeszcze zabiję tego gościa...

- Wyłącz to cholerstwo. Natychmiast!

Rozległ się głośny dzwonek telefonu i Peggy Sue krzyknęła:

- Odbierz, dobrze?! Ktoś dzwoni całe popołudnie i odkłada słuchawkę.

Chłopcy zignorowali ją i Shep chwycił słuchawkę.

- Marson - powiedział.

Ktoś po drugiej stronie się zawahał. Tymczasem Robby wydał triumfalny okrzyk. Kolejny czarny charakter w grze wideo został unieszkodliwiony.

- Kto tam? - zapytał Shep.

Czyjś stłumiony głos odpowiedział:

- Gość, który zabił Ramóna Estevana, jest w kamieniołomie w gospodarstwie starego Adamsa. W jaskini.

Krew zastygła Shepowi w żyłach.

- Co? - zapytał. Tętno mu podskoczyło. - Kto mówi?

Szczęknięcie.

- Halo?

Ktoś odłożył słuchawkę.

- Halo? Niech to cholera! - Przez chwilę gapił się na słuchawkę, potem ją odłożył. Ręce miał spocone, a serce waliło jak tam-tam. Przeszedł przez korytarz i wyjął ze spiżarni swoją ulubioną, dużą latarkę. - Wychodzę -

powiedział akurat w momencie, gdy Peggy zdjęła garnek z ognia i zaczęła odsączać tłuszcz.

- Ale obiad już prawie gotowy. - Zmrużyła oczy i odstawiła garnek, podczas gdy on sprawdzał, czy latarka działa i czy nie trzeba do niej włożyć nowych baterii. - Kto dzwonił i po co ci ta latarka?

- Ktoś złożył anonimowy donos.

- O czym? - nagle Peggy bardzo się zainteresowała.

- Jeszcze nie jestem pewien - odparł, nie chcąc dopuścić do tajemnicy nikogo, nawet swojej żony. Najpierw sam to sprawdzi. - Może nic takiego.

- Ale ty tak nie uważasz.

- Po prostu nie wiem. Wróć późno - zawołał przez ramię i wyszedł na dwór.

Drzwi zatrzasnęły się za nim. Czuł szalejącą w krwi adrenalinę. Miał kilka godzin do zachodu słońca i zamierzał dobrze wykorzystać. Weźmie wykrywacz metalu i sam namierzy przekłętą uzbrojonego bandytę. Załatwienie nakazu rewizji nie powinno być problemem, nawet gdyby dostał je po fakcie. Znał dostatecznie wielu sędziów w okręgu Blanco, którzy mogliby coś dla niego zrobić. Potem zabierze dowody do laboratorium - pod warunkiem, że znajdzie jakieś dowody. Ale to będzie jego śledztwo. Sam przyskrzyni winnego. Właśnie tak, do diabła!

Od dziesięciu lat Shep Marson nie jechał tak szybko. Albo to wyprawa z motyką na słońce, albo uda mu się rozwikłać dziesięcioletnią zagadkę i mieć swoje pięć minut zasłużonej sławy.

Może jednak będzie się ubiegał o posadę szeryfa.

Szeryf Shepherd Belmont Marson.

Brzmi nieźle, naprawdę nieźle.

- Zgadza się - powiedział sędzia; stał przed zimnym kominkiem, opierając się na lasce. - Katrina jest moją córką.

Shelby miała wrażenie, jakby po kolei osuwały się wszystkie fundamenty, na których opierało się jej życie. Bezwładnie opadła na krzesło z obiciem w kolorze moreli.

- Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Miałem zamiar - odparł, ale nie była w stanie mu uwierzyć. - Tylko że czas szybko mijał. Najpierw byłaś za młoda. Potem nigdy nie było odpowiedniego momentu, a później bałem się, że to, co powiem, zwróci cię przeciwko mnie, zniszczy ci życie... - Podniósł rękę. - Wiem, to wszystko są wymówki.

- A co ze mną? - zapytała Katrina. Rozsiadła się na kanapie w kwiaty, ale już nie była taka stanowcza i wyniosła; w konfrontacji z sędzią wydawała się filigranowa i bardziej wrażliwa. Odchrząknęła. - Miałam nadal myśleć, że mój ojciec był jakimś włóczęgą, kowbojem, który przyjechał do miasta, zrobił mojej mamie dzieciaka i uciekł?

- Uważałem, że tak będzie najlepiej.

- Dla kogo? - szepnęła Katrina.

- Dla nas wszystkich.

- A więc przez szesnaście lat swojego życia nie znałam prawdy.

- A jaka jest ta prawda? - zagadnęła Shelby. - Kto jest twoją matką?

Katrina uniosła brwi i spojrzała gniewnie na sędziego, jakby zachęcała go do odpowiedzi.

- Słodki Jezu. - Wziął głęboki oddech, a potem się wyprostował. - Miałem romans z kelnerką. Nazywała się Nell Hart - wyznał.

Miał teczkę z tym nazwiskiem, Shelby ją przeczytała.

Zobaczyła ruch za oszklonymi drzwiami i domyśliła się, że to wycierająca podłogę Lydia przysuwa się bliżej.

- Myślałam... to znaczy, słyszałam, że miała romans z Kanionem Estevanem i dlatego wyjechała z miasta.

- Nawet nie miałem pojęcia, że o niej wiesz.

- To mała miejscowość, sędzio.

- W każdym razie to się stało, kiedy byłaś jeszcze bardzo młoda. - Jego twarz wyrażała poczucie winy i po raz pierwszy Shelby go rozumiała.

- Kiedy mama jeszcze żyła? - szepnęła, czując, że jej głowę rozsadza głuchy ryk.

- Tak. Ja jeszcze pracowałem w sądzie.

Shelby zamrugła i zerknęła z niedowierzaniem na Katrinę, która siedziała na oparciu kanapy Jasmine Cole.

- Chcesz mi powiedzieć... że... co? Mama dowiedziała się i... - Przeknęła ślinę. Nie dopuszczała do siebie tej myśli.

- Twoja matka była wstrząśnięta - powoli pokiwał głową i pociągnął nosem, jakby zaraz miał się rozplakać. - Zażądała rozwodu, a ja odmówiłem. Powiedziałem jej, że rozwód zniszczyłby wszystko. No, więc zażądała, żebym zapłacił Nell, przestał się z nią widywać i odprawił ją z kwitkiem.

- Ale Nell już spodziewała się dziecka - dokończyła z rozgoryczeniem Katrina. - Ja byłam tym dzieckiem. Zmieniłam swoje nazwisko na Nedelesky kilka lat temu, kiedy brałam ślub, i zachowałam je po rozwodzie.

- Twoja matka nie mogła ścierpieć myśli, że Nell jest w ciąży - ciągnął sędzia. - To, że byłem niewierny, mogła jeszcze znieść, ale nie to, że zostałem ojcem innego dziecka. Chyba powinienem był przewidzieć rozwój sytuacji, powinienem był zmusić ją do jakiejś terapii... do diabła, mogłem jej dać ten cholerny rozwód. Tymczasem ona...

- ...popelniła samobójstwo - dokończyła za niego Shelby. Mdlilo ją i skręcało z bólu na myśl o wszystkich

plotkach, których musiała wysłuchiwać w dzieciństwie. - Powiedziałeś, że to był wypadek, a doktor Pritchard zgodził się tak to zakwalifikować. - Wstała i podeszła do ojca. - Dla mnie wersja była taka: mama za dużo wypija podczas przyjęcia, poczuła się niedobrze i zażyła nie te lekarstwa co było trzeba, tabletki nasenne zamiast przeciwbólowych, i to całą garść... ale zawsze pozostawało pytanie, czy zrobiła to rozmyślnie, czy przypadkowo.

- Nie zrobiła tego celowo - upierał się sędzia, patrząc Shelby w oczy. - Twoja matka nie popełniła samobójstwa. Nie zostawiła żadnej notatki, żadnego listu pożegnalnego. Po prostu się pomyliła. - Zesztywniał mu kręgosłup, więc podniósł się i wyprostował; na oczach Shelby zmienił się ze słabego starca z poczuciem winy w silnego, pełnego determinacji i zdolnego manipulować ludźmi sukinsyna, który kiedyś ją spółdził.

- To nie ona pierwsza popełniła błąd, prawda? - rzuciła Shelby. Nie mogła się pozbierać, czuła się osierocona. Sama. Pozbawiona matki. - A w ogóle to dlaczego miałabym ci wierzyć? Całe moje życie bezczelnie mnie okłamywałeś. - Pamiętała, że w pokoju jest też Katrina, wiedziała, że nie powinna mówić zbyt wiele, nie mogła jednak się powstrzymać. - Ale to się skończyło, jasne? Dość już tajemnic. Została tylko jedna, której jeszcze nie wyjawiałeś.

- To nie jest dobry moment - ostrzegł sędzia, zerkając z ukosa na Katrinę, która siedziała jak urzeczona za szklanym blatem stolika.

- Dość tych wymówek. Chcę odnaleźć Elizabeth, tato. I zrobię to, choćbym miała dać ogłoszenie do „Coopersville Gazette” albo nawet - zamaszystym gestem wskazała Katrinę - do następnego numeru „Lone Star”.

- Kto to jest Elizabeth? - zapytała Katrina.

- Elizabeth Jasmine Cole. Moja córka. Myślałam, że nie żyje. Powiedziano mi, że umarła zaraz po porodzie, ale teraz okazuje się, że ona żyje.

- Jasny gwint! - Katrina otworzyła usta ze zdziwienia.

Shelby przyglądała się tej kobiecie-intruzowi, a zarazem swojej przyrodniej siostrze.

- Posłuchaj mnie teraz. Nie wolno ci wydrukować ani słowa z tej rozmowy, dopóki nie dam ci zezwolenia. Zawartyśmy układ, pamiętasz?

- Ale...

- Nie, dopóki na to nie pozwolę, bo inaczej łeb ci urwę w sądzie. - Ponownie zwróciła się do ojca. - Przemyśl to, tato. Albo mi powiesz, gdzie jest - Elizabeth, albo rozgłoszę wszystko w prasie i ta rodzina nie będzie już miała żadnych tajemnic!

Ruszyła do drzwi i kiedy wyszła, omal nie wpadła na Lydię i jej wiadro z mopem.

- Och, przepraszam - powiedziała machinalnie.

- Nie, nie, to nie twoja wina. - Zakłopotana Lydia wyniosła z foyer wiadro z brudną wodą i mopa.

Shelby obserwowała ją i nagle uświadomiła sobie, że gosposia cały czas podsłuchiwała. Ale dlaczego? Ze zwykłej ciekawości? A może ona również była uwikłana w rodzinne tajemnice?

Stała z ręką na kłamce i zorientowała się, że ojciec patrzy na nią ze swojego miejsca w salonie. Jakim był człowiekiem? Prawnik. Sędzia, na miłość boską, a przy tym człowiek, który szedł przez życie jak buldożer, nie licząc się z uczuciami innych, który porzucił dziecko i oczekiwał tego samego od niej.

Nic z tego!

- Muszę się stąd wynieść.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Lydia.

- Nieważne dokąd. Byleby nie być tutaj. - Shelby gwałtownie otworzyła drzwi i szła energicznym krokiem po trawniku, pełnego koników polnych. Pomimo surowych słów i determinacji była przytłoczona świadomością, że została oszukana, miała wrażenie, że to, co się jej przytrafia, to jakaś złuda. Wiedziała, że ojciec ją okłamywał, naginał prawo do swoich potrzeb, grał według własnych, błędnych reguł, ale nigdy nie spodziewała się czegoś takiego: że ukrywał własne dziecko, że wyparł się własnej krwi i jeszcze przyczynił się do śmierci własnej żony, a wszystko po to, żeby ratować już i tak mocno podejrzaną reputację.

No cóż, to się skończyło.

Shelby walczyła z bólem głowy, brzucha i napiętych mięśni. Musiała się stąd wyrwać, na spokojnie przemyśleć to, czego się dowiedziała.

- Powoli - mówiła sobie, wsiadając do wynajętego samochodu. Uruchomiła silnik i rozsunęła dach kabrioletu. Mogła pognać do Nevady, rzucić mu się w ramiona, obnażyć przed nim swoją duszę, a on by ją objął i zapewnił, że wszystko będzie dobrze i że znajdą córkę.

Ale nie zrobiła tego.

To była jej walka. Nie zamierzała odgrywać roli bezbronnej ofiary, która polega na mężczyźnie.

Skierowała cadillaca na północ, w stronę rancza i cmentarza rodziny Cole'ów. To ranczo było kiedyś jej azylem, ale potem unikała go przez dziesięć długich lat. Wszystko z powodu Rossa McCalluma, który zbrukał jej ciało.

Doszła jednak do wniosku, że to się musi zmienić. Włożyła ciemne okulary i mocno zacisnęła palce na rozgrzanej kierownicy. Słońce prażyło na zamglonym niebie.

Shelby Cole powiedziała sobie, że już nigdy nie pozwoli, aby jakiś mężczyzna - czy to będzie jej ojciec, czy ten padalec McCallum - ją skrzywdził albo nią manipulował. Wolałaby umrzeć, niż znowu do tego dopuścić.

Rozdział 15

Jak burzowe chmury zbierające się nad wzgórzami na wschodzie w umyśle Nevady narastało przekonanie, że coś jest nie w porządku. Ta świadomość budziła w nim niepokój, usztwytniała jego barki i kregosłup. Pojechał do domu starego Adama, który od niedawna należał do jego posiadłości. Powtarzał sobie, że nie można być przewrażliwionym. Jednak fakt, że zaledwie w odstępnie sekundy zobaczył w Bad Luck Rossa McCalluma i Shepa Marsona, źle wróżył.

Na rozwidleniu ulicy zerknął w kierunku starej zwirowni, która mieściła się na terenie posiadłości. Wydawało mu się, że widzi obłok kurzu, ale powiedział sobie, że zapewne znowu przesadza. Był zgrzany, zmęczony, a w dodatku cały dzień walczył z pokusą zadzwonienia do Shelby.

Zatrzymał wóz przy bardzo starej topoli w pobliżu stajni i wysiadając, zagwizdał na Crocketta. W promieniach mocno prażącego słońca zaczął wyładowywać worki z owsem. Wnosił je do stajni, podczas gdy Crockett obwąchiwał słupki ogrodzenia i ganek, szukając królików lub wiewiórek, lub jakiegokolwiek zwierzęcia, które mogłyby wystraszyć. W zagajniku żywodębów mozolił się dzieciąt, a na dach stajni z łopotem skrzydeł wzbijała się wrona.

Nevada otworzył drzwi, ustawił worki z ziarnem i pracował w pocie czoła, próbując uwolnić się od przecucia, że zanim będzie lepiej, będzie gorzej. O wiele gorzej. Kilka koni weszło do stajni. Nevada odmierzał im porcje owsa, gładził ich błyszczące nozdrza i czuł gorące oddechy klaczy, które prychały przy żłobach.

Napełnił koryta wodą i zadowolony z obrządku poszedł do starego domu, i otworzył kluczem drzwi. Kiedy wszedł do środka, powitało go stęchłe powietrze. Przy jednej ze ścian znajdowały się schody. Salonik, którego tapeta w blade róże pochodziła prawdopodobnie jeszcze sprzed drugiej wojny światowej, zasługiwał najwyżej na miano alkowy. Krótki korytarz prowadził do kuchni. Było to największe pomieszczenie w domu, z boazerią, piecykiem na drewno i ręczną pompą przy zardzewiałym zlewie. Łazienka mieściła się w dobudówce na końcu ostłoniętego tarasu.

Oscar nie zmodernizował tego domu, ale Nevada pomyślał, że może jemu się to uda. Kiedyś rozwali i przerobił kuchnię, dodał kolejne schody do łazienki między dwiema sypialniami i wprowadził się tutaj. W końcu.

Ale na razie musi odnaleźć córkę. To najważniejsze.

I co wtedy? Z ponurą miną otwierał kolejne okna, żeby puste pokoje choć trochę się przewietrzyły. Co z Elizabeth? Co zamierzasz zrobić w sprawie swojej córki? I co, u diabła, zamierzasz zrobić z Shelby?

Oczami wyobraźni widział Shelby i ich córkę tutaj; mieszkająby z nim, a do tego jeszcze stary pies... Stop! Co to za wizja, do jasnej cholery?! On i Shelby pochodzą z różnych światów, a dystans między tymi światami stale się powiększa. Ona dorastała w komfortowych warunkach, a kiedy sprawy przybrały zły obrót, wyjechała z miasteczka i urządziła sobie nowe życie. On nigdy nie znał swojej matki, wychowywał go ojciec-pijak, a w szkole średniej był jednym z największych łobuzów. Gdyby nie służba w wojsku, może już nigdy nie wróciłby na dobrą drogę.

Jego i Shelby dzieli przepaść. Tak zawsze było i będzie. Owszem, mają córkę, ale ich ewentualny związek byłby bez przyszłości. Tak to wygląda.

Nevada przeszedł się z psem, zauważył, że nadciągają coraz gęstsze burzowe chmury, i znowu wyczuwał, że coś złego się święci. Pojechał do domu, wytłumaczył sobie, że nie powinien dzwonić do Shelby, i otworzył butelkę piwa. Zdjął ubranie, poszedł do łazienki i wziął zimny prysznic, dokończył piwo, a potem zakręcił prysznic, zostawił pustą butelkę na toalecie i nagi poszedł do sypialni.

Zdążył wciągnąć dzinsy, gdy zadzwonił telefon. Zapinając rozporek, wpadł do kuchni, chwycił słuchawkę, położył ją sobie między uchem a ramieniem i wymamrotał:

- Halo?

Cisza.

- Kto dzwoni?

Szczęknięcie.

- A niech to! - Rzucił słuchawkę i znowu ogarnęło go złe przecucie. Komuś to bardzo odpowiadało. Ale dlaczego? Czy to był tylko kawał? Być może ktoś o chorym poczuciu humoru chciał podziałać jemu i Shelby na nerwy. A może to było coś poważniejszego i naprawdę groźnego?

Ross McCallum wrócił do miasta.

Ktoś specjalnie zwabił tu Shelby.

Obserwując przez siatkowy parawan nadciągające chmury, Nevada zacisnął zęby tak mocno, że aż zabolą go szczeka. Coś zdecydowanie wisiało w powietrzu. Coś złego, niegodziwego. On to coś wyczuwał: doświadczał takiego wrażenia, kiedy zaglądał w zimne oczy zabójcy.

Wyjrzał na zewnątrz i patrzył na zbliżającą się burzę.

Wiedział, że może być ofiarą jakiejś wymyślnej pułapki. Podniósł jednak słuchawkę i wykręcił numer do sądziego. Po trzecim dzwonku zgłosiła się Lydia Vasquez.

- Rezydencja państwa Cole'ów - powiedziała, wciąż jeszcze z wyraźnym akcentem w głosie.

- Mówi Nevada Smith. - Postanowił sobie, że nie będzie owijał niczego w bawełnę. - Szukam Shelby.

- Och, señor Smith, przykro mi, ale Shelby... nie ma jej.

- Dokąd pojechała?
- Ja... ja nie wiem. Wyjechała jakąś godzinę temu, może wcześniej. Powiedziała, że... - Lydia zniżyła głos - ... jest bardzo przygnębiona.
- Czym?
Lydia się zawahała.
- Nie mam pojęcia.
- Na pewno masz, Lydio. - Nie zamierzał łatwo się poddawać.
Lydia chrząknęła i Nevada miał ochotę złapać ją przez telefon i porządnie nią potrząsnąć.
- Gdzie ona jest?
Lydia po hiszpańsku wymamrotała coś pod nosem.
- Naprawdę nie wiem. Wspominała, że po prostu chce się stąd wyrwać. Ja... Ona mnie martwi.
Mnie też, pomyślał Nevada, odkładając słuchawkę. Martwię się o nią jak diabli.
- Cholera jasna! - Cisnął słuchawkę na widełki tak mocno, że spłoszony Crockett zerwał się ze zjeżonym włosiem na karku i zaczął głośno ujadać.
- Cicho! - Nevada wyszedł na zewnątrz i stanął na ganku. Niektóre klacze podniosły łby i poruszały nerwowo nozdrzami. One również wyczuwały zagrożenie.
Złe przecucie, które nie opuszczało Nevady cały dzień, zdecydowanie przybrało na sile. Ściemniało, a słońce ginęło pod grubą warstwą stalowych chmur. Powietrze było przesycone zapachem nadciągającej burzy.

Znaleźć narzędzie zbrodni w tym miejscu byłoby zbyt łatwo, pomyślał Shep, świecąc latarką na podłoże jaskini. Dlaczego ktoś zadzwonił w tej sprawie akurat teraz, dziesięć lat po tym, jak Ramón Estevan został odesłany do swojego Stwórcy? To wszystko po prostu nie miało sensu. Kto mógłby chcieć dać mu cynk? I dlaczego zadzwonił do niego do domu? Dlaczego nie do Biura Szeryfa? Nie, coś tu było nie tak.

Omam nie potknął się o kupkę kamieni, pozostałości po dawno wygasłym ognisku. Zwęglone kamienie okalały hałdkę zimnego popiołu. Klnąc pod nosem i sięgając prawą ręką do broni, Shep omiótł światłem latarki podłoże jaskini. Zapadał zmrok i nietoperze, o tej porze dnia zawsze niespokojne, robiły mnóstwo hałasu i przelatwały nisko nad jego głową, tak że cierpła mu skóra. Jaskinia została stworzona ręką ludzką, a ściślej, wykopał ją dziadek Oscara Adamsa, którego nie zadowalało sprzedawanie kamieni i żwiru i który na terenie swojej posiadłości miał nadzieję znaleźć srebro, złoto i Bóg wie jaki jeszcze inny szlachetny metal. Zawalone odchodami nietoperzy, bielejącymi kośćmi po jakiejś zwierzynie, zaciągniętej tutaj przez kojoty albo psy, podłoże nie odsoniło żadnych tajemnic.

A może to wszystko dowcip, oszustwo? - pomyślał. Tylko jeden Bóg wiedział, ilu przyzwoitych obywateli życzyło Shepowi, żeby krążył w kółko, jak głupi pies, który gryzie własny ogon.

Skierował snop latarki na krokwie i wystraszył kolejne nietoperze. A potem zobaczył to coś.

Na jednej z belek leżał plastikowy worek. Shep wciągnął powietrze. Używając chusteczki, ostrożnie zdjął paczkę i przez przezroczyste opakowanie dojrzał broń kaliber 38. Powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nie wątpił nawet przez moment, że to zaginiony pistolet Nevady, z którego najprawdopodobniej zastrzelono Ramóna Estevana.

Ale kto go tu podłożył? I dlaczego zadzwonił teraz, dziesięć lat po fackie? I w ogóle, o co w tym wszystkim chodzi, do diabła? Trybiki w umyśle Shepa pracowały bardzo intensywnie, karmione wieloma pytaniami, lecz najważniejsze było to, że zaraz rozwiąże sprawę Estevanów.

Czy naprawdę było takie ważne, kto do niego zadzwonił i dał cynk? Shep miał przed sobą dowód rzeczowy.

Shep odłożył pistolet na miejsce, w którym broń została znaleziona, poszedł do swojego wozu i przez telefon komórkowy poprosił o wydanie nakazu przeszukania. Sędzia, wujek Peggy Sue, nie zadawał zbyt wielu pytań, bo akurat jadł kolację. Od razu wydał zgodę. Uśmiechając się od ucha do ucha, Shep zadzwonił do swojego partnera i polecił, żeby do starej kopalni przyjechała ekipa śledcza. Niech wszystko odbędzie się zgodnie z regułami. No, prawie. Jego partner o nic się nie dopytywał i Shep zakończył rozmowę, czując się lepiej niż w dniu, w którym po raz ostatni widział Viancę.

Jeśli się nie pomylił, analiza balistyczna i odciski palców powinny wkrótce dać odpowiedź na pytanie, kto zabił Ramóna Estevana.

Na ranczu jej ojca praktycznie niewiele się zmieniło. Główny budynek mocno się zestarzał i pokryto go nowym dachem oraz wymieniono okiennice, ale siodlarnia oraz inne zabudowania wyglądały nietknięte upływem czasu.

Kiedy Shelby wysiadła z samochodu, była bardzo spięta. Wcześniej pojechała z domu ojca do Coopersville. Tam zatrzymała się pod warsztatem ślusarskim i czekała, aż mężczyzna z własnoręcznie zawijanym papierosem w ustach dorobi dla niej zapasowy zestaw kluczy. Zapłaciła mu gotówką, stwierdziła, że nie miał pojęcia, kim ona jest, i przyjechała bezpośrednio tutaj. Teraz mrużyła oczy i zasłaniała je ręką. Jednocześnie patrzyła na stajnie, stodołę i połączone ze sobą zagrody. Z bólem w sercu i zaschniętym gardłem przypominała sobie tamtą noc sprzed wielu lat, kiedy Ross McCallum ją zgwałcił.

Nie było powodu, żeby ten nikczemny akt nazywać inaczej. Robiło jej się niedobrze na wspomnienie gorącego, spoconego ciała napastnika, który przygniatał ją do fotela w samochodzie jej ojca. Teraz żaden pies nie zaszczekał, żeby obwieścić jej przybycie, a w pobliżu zabudowań stało tylko kilka pojazdów. Na asfalt padały wydłużające się cienie; niebo było mgliste, chmury zasnuwały słońce.

Na pobliskich polach pasły się konie i krowy. Shelby od razu poszła do stajni, znalazła uzdę i siodło, a potem złapała pierwszego lepszego konia, jaki jej się nawinął. Wcześniej nigdy nie widziała tego gniadego wałacha i nie zadała sobie trudu odszukania kogoś, kogo mogłaby zapytać, czy może go dosiąść. Wszystko na tym ranchu należało do jej ojca - połacie ziemi, rozgrzane słońcem budynki, ciągnące się kilometrami ogrodzenie, cały dobytek, a nawet, do pewnego stopnia, ludzie, którzy tu pracowali. Znowu zrobiło jej się niedobrze.

Nie jeździła konno od lat, ale teraz nie namyślała się długo, tylko założyła wałachowi uzdę i siodło, a potem ruszyła przez otwartą bramę w pola. Niesiona przez konia próbowała oczyścić umysł, zwalczyć przytłaczające uczucie, że została zdradzona, uczucie, którego doświadczała od momentu, gdy dowiedziała się, że ma przyrodnią siostrę - dziecko, którego jej ojciec się wyparł, skrzętnie ukrywany przez niego sekret. Ile jeszcze rodzinnych tajemnic chowa się w mrokach?

Wałach galopował żwawo, wzbijając tumany kurzu - płoszył bażanty i koniki polne, mijał pasące się longhorny, którym nawet nie chciało się podnieść łbów na jego widok. Kątem oka Shelby dostrzegła grupkę robotników, którzy prowadzili stadko cieląt bez wypalonego znamienia. Odwrócili się, żeby spojrzeć na galopującego konia, a potem wrócili do swoich zajęć.

Shelby od razu pojechała na rodzinną działkę, a ściślej cmentarz, gdzie byli pochowani jej przodkowie. Teren był otoczony ogrodzeniem z kutego rdzewiejącego już żelaza. Najwyraźniej nikt nie dbał o to miejsce; niektóre nagrobki były poprzewracane, inne się kruszyły.

Zsiadła z wałacha, przypięła jego lejce do ogrodzenia i otworzyła skrzypiącą bramę. Wysoka, sucha trawa ocierała jej nogi, a do szortów przyczepiały się rzepy.

W nowszej części działki znalazła grób matki, jeden z nielicznych, o które tutaj dbano. Nagrobek nie porastało zielsko; wciąż było widać wyryte na nim przed wielu laty informacje o Jasmine Cole; jej data urodzenia i śmierci oraz proste słowa nad bukietem kwiatów ze wstęgami: **KOCHAJĄCEJ ŻONIE I MATCE**

- Tak mi przykro - wyszeptała Shelby; dławilo ją w gardle na myśl o bólu, który musiała znosić jej matka. Małżeństwo z Jerome'em Cole'em byłoby ciężką próbą dla każdej kobiety; miłość do niego była przekleństwem.

Shelby nie przywiozła żadnych kwiatów, żadnych dowodów pamięci. Poczowała coś w rodzaju wyrzutów sumienia, że nie wracała na ten grób przez tyle lat, ale prawda była taka, że prawie nie pamiętała swojej matki. Pojawiające się w jej umyśle obrazy kobiety, która ją urodziła, zapewne pochodziły z oglądanych przez nią fotografii, kilku filmów wideo z rodzinnych uroczystości i upiększonych wspomnień ojca i Lydii.

Nasłuchiwała śpiewu ptaka ukrytego w zaroślach mesquite i wbiła suche oczy w ziemię.

- Żałuję, że cię nie poznałam - wyznała. - Och, mamó, myślę, że ty byś mi pomogła.

Jej dziecko nie miało nagrobka. Wtedy rozsypała popiół nad wzgórzami, sądząc, że ono nie żyje. Teraz nie pamiętała, skąd je wzięła. Wtedy myślała, że brak kamiennego pomnika wynika z tego, że jej ojciec bardzo się wstydzi - jego córka w ciąży, i to bez ślubu?! Teraz uświadomiła sobie, że nagrobka nie było, bo dziecko nadal żyło.

- Znajdę cię, Elizabeth - przyrzekła wrzuszonym głosem. - Znajdę.

Odgarnęła splątane włosy z twarzy i się wyprostowała. Kiedy wychodziła z cmentarza, zauważyła, że na horyzoncie zbierają się burzowe chmury.

Odpięła lejce konia, dosiadła go i ruszyła wzgórzami, jeszcze bardziej zdecydowana odnaleźć swoje dziecko. Jadąc, kierowała się instynktem; chciała odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Jej serce biło szaleńczo, kiedy mijała starą chatkę, dziś w tak opłakanym stanie, że ledwo ją rozpoznała. Większość starych belek się zawałiła, dach się rozpadł i, oprócz kamiennego komina, była to tylko sterta liczących ponad wiek wspomnień. Shelby nacisnęła kolanami boki konia, który przyspieszył, tratując zielsko i suchą trawę. Pachnący deszczem wiatr mocno wiał Shelby w twarz, gdy ona prowadziła gniadego skalnym występem, a potem kazała mu zejść do wąwozu, w pobliżu rzeczki, gdzie kochała się kiedyś z Nevadą.

Przypominała sobie dotyk jego rąk, wargi całujące jej ciało... i jeszcze chłodną pieśczętotę deszczu. Powiedziała mu wtedy, że go kocha i że żaden inny mężczyzna nigdy nie budził w niej takich uczuć.

Wierzyła wtedy - wręcz modliła się o to - że dziecko, które poczęła tamtej nocy, należało do niego, że było świadectwem ich miłości, a nie dzieckiem Rossa McCalluma.

Ale czy to naprawdę miało znaczenie? W miarę upływu czasu to, kto był ojcem Elizabeth, schodziło na dalszy plan. Ściągnawszy lejce wałacha, zobaczyła ciemne plamy potu na jego skórze.

- Dobry chłopiec - szepnęła, klepiąc dzielnego konia po karku. Zeskoczyła na ziemię i szła wzdłuż koryta rzeki. Kręciło jej się w głowie od myśli o Nevadzie, a serce biło taką samą miłością, jaką czuła przed dziesięciu laty.

- Głupia babo - mruknęła i usiadła na skale, żeby popatrzeć na wyschnięte koryto rzeki. Zobaczyła czmychającego do lasu zająca i wysoko w górze krążące jastrzębia.

Sięgnęła do kieszeni i dotknęła zestawu kluczy, który kazała dorobić. Były błyszczące i jeszcze chropowate na krawędziach, połączone zgiętym spinaczem. Zastanawiała się, co znajdzie w biurze ojca. Kolejne obciążające go tajemnice? Ze zdenerwowania miała ściśnięty żołądek.

Czy w końcu uda jej się odszukać córkę?

A może odkryje dowody przekroczenia innych granic etycznych i moralnych? Co z Lydią? Dlaczego gosposia nie chciała jej się zwierzyć? I dlaczego Ross McCallum wyszedł na wolność akurat teraz, kiedy skontaktowano się z nią w sprawie Elizabeth?

Była w Bad Luck od ponad tygodnia i miała wrażenie, że cały ten czas miota się bez rezultatu i ugania za upiorami z przeszłości, i wcale nie jest bliżej odnalezienia dziecka niż w dniu, w którym wróciła do miasteczka po raz pierwszy po wielu latach. Wepchnęła klucze do kieszeni i już miała odejść, kiedy nie tyle zobaczyła, ile wyczuła, że ktoś się do niej zbliża, nie od strony rancza, ale z przeciwnego kierunku, gdzie tereny rządowe graniczyły z północnym skrawkiem posiadłości - przed laty często chodził tędy Nevada.

Wstała, widząc, że idzie do niej szybko i energicznie, smukły, w dżinsach. Jej niemądre serce bardzo się ucieszyło i po raz kolejny powiedziała sobie, że należy do najgorszego gatunku idiotek - inteligentnych kobiet, które świadomie zakochują się w nieodpowiednich dla siebie mężczyznach.

- Szukałem cię - powiedział, stając przy niej. Bruzdy wokół jego ust wydawały się głębsze niż zwykle, a dolną część twarzy pokrywał ciemny zarost. Widziała, jak pulsuje mięsień w okolicach jego skroni. Nevada wyglądał, jakby chętnie gołymi rękami zadusił niedźwiedzia grizzly.

- Na piechotę?

- Zostawiłem wóz kawałek drogi stąd - odparł, pokazując podbródkiem na pomoc; przed laty zaparkował swoje auto w tej samej okolicy.

- Pomyślałeś, że będę tutaj?

- Nie. Sądziłem, że będziesz w domu sędziego albo że jeździsz po miasteczku i sprawdzasz tropy prowadzące do twojej córki, albo że wypuściłaś się na wycieczkę za miasto, ale w końcu pogubiłem się w domysłach, więc zaryzykowałem i przyjechałem tutaj.

- Boczna drogą.

- Nie chciałem ryzykować, bo sędzia mógł być na ranczu i potraktowałby mnie niemile. - Chwycił ją za ramiona silnymi, gniewnymi dłońmi i mocno do siebie przycisnął. - Kiedy zadzwoniłem do domu, Lydia powiedziała, że wyjechałaś bardzo przygnębiona, że musiałaś się stamtąd wyrwać, i wtedy przypomniałem sobie, że dawniej ilekroć miałaś problem do rozwiązania, szłaś popływać albo urządzałaś sobie konną przejażdżkę. Ponieważ nie było cię w domu, doszedłem do wniosku, że pojechałaś na ranczo, żeby trochę pojeździć. - Przyglądał się jej badawczo. - A jeśli jechałaś wzgórzami, to istniała możliwość, że znajdziesz się tutaj. Po prostu miałem szczęście.

- Oparł się czołem o jej czoło i stopniowo opadało z niego napięcie. - Do diabła, Shelby, miałem nadzieję, że cię tutaj znajdę.

- Czyżby? - Jej nastrój również się poprawiał, gdy patrzyła w jego szare oczy, w źrenice, z których jedna była trochę większa od drugiej na skutek rany zadanej nożem przez Rossa McCalluma. - Jakiś specjalny powód? - Z jakiejś niepojętej dla siebie przyczyny nie mogła przestać się z nim droczyć.

- Nie prowokuj mnie.

- Gdzieżbym śmiała.

- Akurat. - Jego palce znowu zacisnęły się mocniej na ramionach Shelby; z suchej ziemi biło teksańskie ciepło. - Nie przegapisz żadnej sposobności.

- Jezu, Nevada, nie męczyci cię to wieczne demonstrowanie swojego „ja”?

- Znowu zaczynasz - ostrzegł ją.

- Przepraszam. - Uniosła brew i usiłowała nie reagować na ciepło jego ciała, na pożądanie w jego oczach. - Po prostu nie mogę się powstrzymać.

- Ja też nie - przyznał i wpił się w jej wargi tak szybko, że nie zdążyła złapać oddechu. Jego zarost drażnił jej skórę, a język napierał na jej zęby. Obejmował ją, a ona otwierała się przed nim, jak zawsze. Nevada był w jej krwi. Teraz i zawsze. Przeklinała, a jednocześnie błogosławiła ten fakt.

Zamykając oczy, całowała go z taką samą dziką energią, jak w czasach, gdy była nastolatką. Głodna jego ciała, czuła, że pod jego ciężarem opada na dywan z dzikich kwiatów i suchej trawy. Przesuwała palce po jego rękach do góry, dotykała wyraźnie zarysowanych, twardych mięśni. Skóra Nevada napinała się na muskularnym ciele. Jęknął, kiedy Shelby ściągnęła z niego koszulkę.

Podniósł głowę, a ona całowała jego piersi, wodząc rękami po plecach. Polizała ukryty w gąszczu sprężystych włosów sutek. Znowu jęknął, a potem wplótł palce w jej włosy i odchylił jej głowę do tyłu, żeby mogli sobie patrzeć w oczy.

- Co jest w tobie takiego? - zapytał, kiedy podmuch wiatru potargał mu czuprynę. - Dlaczego nie mogę przestać?

- Dlaczego ja nie mogę?

- Mówię poważnie, Shelby. To jest chore.

- Absolutnie.

- Emocjonalne samobójstwo.
- Tak.
Puścić jej włosy.
- Ty się nie przejmujesz.
- Bardzo się mylisz - powiedziała z westchnieniem; liście drzew zaszumiły, zagłuszając ciche rzenie konia i bicie jej serca. - Ja się przejmuję, Nevada - wyznała. - Aż nazbyt się przejmuję. Właśnie na tym polega mój problem.
- Ja mam chyba taki sam problem - odparł.
Nie miała odwagi mu uwierzyć, nie chciała znów zanurzyć się w otchłani smutku i bólu, a jednak nie mogła przestać go kochać. Nie odrywając spojrzenia od jej oczu, mocno ją pocałował. Kiedy ściągnął jej koszulkę i szorty, jego szorstkie, stwardniałe dłonie budziły w niej dreszcz rozkoszy.
Dla miliona powodów powinna go odepchnąć, lecz ona zlekceważyła je i napawała się dotykiem wysportowanego, męskiego ciała. Całował i pieścił ją całą, aż dostawała gęziej skórki, a jej wewnątrz rozgrzewał żar podniecenia. Jakoś udało mu się zrzucić buty, a Shelby odpięła mu rozporek.
- Prosisz się o kłopoty.
- Tak? A będę je miała?
Nevada zaniósł się śmiechem, głębokim i mrocznym jak nadchodząca noc. Ściągnął dzinsy i obnażył przed nią twarde jak skała ciało, mięśnie wyrzeźbione wielogodzinną pracą w pocie czoła.
- O, tak, Shelby. Będziesz je miała, i to duże.
Osunęli się na ziemię. Znowu odnalazł jej usta, gorące, spragnione, niecierpliwe. Lekko czuć było od niego alkoholem i mydłem. Ich języki rozpoczęły swój namiętny taniec. Nevada odpiął Shelby stanik i jej piersi wypełniły mu dłonie. Szorstkimi od pracy opuszkami zapamiętałe pieścił jej sutki.
Świat zaczął wirować, dźwięki zza wzgórz przycichły. Shelby odwzajemniała szalone pocałunki. Pragnęła go. Teraz. Na zawsze. Albo chociaż na tę chwilę. To nie miało znaczenia. Pocałował ją w zagłębienie szyi i coś w niej się zmieniło, pękła tama, która dotąd hamowała żądze.
- Trzymaj się, Shelby - wyszeptał i przesunął się niżej. Przesuwał język po już nabrzmiewających sutkach.
Zadygotała i się wyprężyła. Zsunął jej majtki, rzucił je na bok, a potem dotykał wprawnymi palcami, otwierał, masował to czułe miejsce w środku, a ona wiła się i krzyczała. W rozkoszy zmieszanej z nutą bólu chciała więcej, o wiele więcej.
- Nevada - szepnęła ochryple. Świat wirował wokół jak szalony i Shelby miała wrażenie, że wszystko, czego chce, to mieć go teraz w sobie.
- Rozluźnij się, kochanie.
- Och Boże, nie mogę... - Zamknęła oczy. Przełknęła ślinę. Czowała narastający w niej spazm. Nevada przewrócił ją tak, że siedziała na nim okrakiem. Wystarczyło jedno pchnięcie i wypełnił ją swoim nabrzmiałym członkiem. Krzyknęła i oparła się na jego ramionach, podczas gdy on mocno trzymał ją za biodra i zmuszał do poruszania się wraz z nim, w zgodnym rytmie, uwalniając w niej ekstatyczną radość i poczucie, że topnieje od środka.
Poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej. Oboje ciężko dyszeli. Niebo pociemniało i ciało Shelby pokryła warstewka potu.
- O, tak... - mruczał, kiedy targał nią spazm i miała wrażenie, że świat rozpada się przed jej oczami. - O, tak... właśnie tak. - Ledwie dyszał. Napiął mięśnie bioder, chwycił Shelby mocniej i szarpnął ciałem do góry.
- O Boże. - Wyczerpana położyła się na nim, a on otoczył ją ramionami i przytulił; oboje próbowali odzyskać oddech i uspokoić rozszalałe serca.
Oparła głowę na jego ramieniu i poczuła, że Nevada muska wargami jej czoło. Dopiero gdy zaczął oddychać w normalnym tempie, podparła się na łokciu i rozkoszowała tym, że wiatr owiewa jej plecy. Wpatrzyła się w Nevadę, jej włosy opadły na bok.
- No, dobrze, kowboju, czy ty czegoś chciałeś - zagadnęła, starając się nie uśmiechać - czy może po prostu rozglądałeś się za jakąś zdesperowaną kobietą, która nie umiałaby ci się oprzeć?
- Dokładnie o to chodziło - powiedział i na jego twarzy pojawił się uśmiech.
- Tego właśnie się domyślałam.
Uścisnął ją, westchnął przeciągle, a potem pocałował w skroń.
- Zastanawiałem się...
- O, o, teraz mamy kłopot.
Jego chichot odbił się echem po całym wąwozie.
- Chcesz powiedzieć, kolejne kłopoty.
- Tak. Właśnie to mam na myśli. - Dotknęła palcem czubka jego nosa, lecz on błyskawicznie, jak atakujący grzechotnik, chwycił ją za nadgarstek.
- Mówię poważnie. Chcę, żebyś się do mnie przeprowadziła.
- Co? - Przypatrywała się uważnie jego twarzy, szukała w niej choć odrobiny miłości, jej serce rosło, czekało na odzew. - Dlaczego?

- Dla ochrony. Dopóki to wszystko się nie skończy. Dopóki nie znajdziemy Elizabeth i nie uporządkujemy wszystkiego.

Jej usychające z miłości serce spadło na zimny, twarde bruki rzeczywistości. Dla ochrony?

- Dzisiaj znowu odebrałem głuchy telefon. Poza tym widziałem, jak McCallum jeździ po mieście; chyba powinniśmy być ostrożni.

- Chcesz powiedzieć, że to ja powinnam być ostrożna - uściśliła gniewnie, sięgając po swoje ubranie. - Dlaczego? Bo uważasz, że jestem jakąś bezbronną kobietką, która nie potrafi o siebie zadbać?

Znowu chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- To ty zostałeś zgwałcona, Shelby - wycedził, patrząc na nią uważnie. - Ja tylko chcę mieć pewność, że ta historia się nie powtórzy.

- Nie powtórzy się - zapewniła. - Ale nie z twojego powodu, Smith. Nie oczekuję od ciebie szlachetnych czynów. Nie jestem żadną damą w opresji i na pewno nie potrzebuję białego... niech będzie, czarnego rycerza, który pospieszy mi na ratunek.

- A czego potrzebujesz, Shelby? - zapytał. Jego oczy już dawno nie były tak poważne.

- Muszę znaleźć moją córkę, a poza tym nie wiem - odparła, przesywając go gniewnym spojrzeniem. - Ale mówmy na temat, Nevada. Czego ty potrzebujesz?

- Chciałbym to wiedzieć.

- Ja też. - Cofnęła rękę gwałtownie i zaczęła się ubierać. Co ona sobie wyobrażała? Znowu kochała się z nim. Jakby była jedną z tych idiotek, które zupełnie tracą rozum, kiedy całuje je Pan Ideał albo, jak w tym przypadku, Pan Nic Dobrego. Włożyła koszulkę, a potem naciągnęła szorty. Była wściekła na siebie.

Dwa pęki kluczy wypadły jej z kieszeni, lekko pobrzękując.

Podniosła je i wepchnęła do kieszeni. Nevada obserwował ją podejrzliwie.

- Nie chciałabym ich zgubić i w końcu znaleźć się w tarapatkach - rzuciła z udawaną swobodą.

- Shelby... - Znowu wyciągnął do niej rękę, ale ona się cofnęła.

- Posłuchaj. Mam za sobą ciężki dzień. Limit żalów już wyczerpałam, okej? - Ruszyła w stronę konia. Im szybciej nabierze dystansu do Nevady Smitha, tym prędzej zacznie znowu logicznie myśleć.

- Co się stało?

Szybko włożył dzinsy, dogonił Shelby, chwycił ją za nadgarstek i odwrócił do siebie. Jego twarz wyrażała niepokój i gdyby była jedną z tych gąsek, którymi tak pogardzała, to mogłaby wręcz uwierzyć, że on ją kocha. Ale przecież jej nie kochał. Z pewnością troszczył się o nią; nie była aż tak głupia, żeby zaprzeczać czemuś tak boleśnie oczywistemu, i co on sam przyznał, ale żeby zaraz miłość? Niemożliwe. To nie w stylu Nevady Smitha. Nigdy nie było w jego stylu,

- Dowiedziałam się, że ta reporterka, która weszła po cały miasteczku i wszystkich zagadywała...

- Katrina Nedelesky?

- Tak, ona. - Podniosła palec i zamrugała. Zaczęło się na dobre zmierzchać. - No cóż, okazuje się, że to nie tylko niezależna reporterka pisząca dla magazynu „Lone Star”. Nie jest też jej jedynym zamiarem napisanie demaskatorskiej, częściowo fikcyjnej, częściowo prawdziwej książki o Bad Luck.

- Co takiego?

- To nie wszystko - ciągnęła z uporem Shelby. - Tak się składa, że jest ona również moją przyrodnią siostrą, córką Nell Hart, kelnerki, z którą sędzia miał romans i której potem zapłacił, żeby się wyniosła z miasta, zanim przyjdzie na świat owoc ich miłości.

- Chwileczkę...

- Ale nie to jest najgorsze. O, nie. Ta historia robi się coraz bardziej dramatyczna - Shelby mówiła tak szybko, że nie panowała nad słowami. - Dziecko Nell Hart, Katrina, jest powodem samobójstwa mojej matki. Tak, zgadza się: wcale nie było tak, że któregoś wieczoru wypita za dużo i niechący przedawkowała. Nie. Była w takiej depresji, że miała myśli samobójcze, zażyła więc śmiertelną dawkę tabletek nasennych, popiła je alkoholem, a potem... a potem mój ojciec... przeklęty sędzia zatuszował sprawę, żeby broń Boże nie wybuchł skandal; nigdy nie uznał swojej córki, nigdy nie przyjął do wiadomości, że jego żona, a moja matka, doświadczała tak wielkiego bólu emocjonalnego, że postanowiła odebrać sobie życie.

- Och, kochanie...

- Nie rób tego! - powiedziała, kiedy wyciągnął do niej rękę. - Tylko mnie nie dotykaj i nie mów mi, że wszystko będzie w porządku i nigdy nie... nigdy, przenigdy nie mów mi, co mam robić.

Mimo że się opierała, wziął ją w ramiona i mocno przytulił, i nawet nie drgnął, kiedy zaszlochała pierwszy raz. Łzy płynęły jej z oczu strumieniami, szarpała włosy na jego klatce piersiowej, próbując zapanować nad gwałtownymi emocjami.

- Och, na miłość boską! - pociągnęła nosem. - Nie miałam zamiaru rozklejać się jak jakieś żałosne, słabe babsko. A niech to, Nevada, dlaczego tak się zawsze dzieje?

- Nie wiem. - Objął ją mocniej i wybuchnął śmiechem. - Ale uwierz mi, Shelby, nigdy nie pomyślałbym o tobie jak o żałosnym, słabym babsku.

- Dobrze. - Wytarła nos wierzchem dłoni i potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć. Zapadł już zmrok, a w oddali zabrzmiało wycie kojota. - Ale jeśli urządzę więcej takich przedstawień, będziesz musiał zmienić zdanie.
- Wątpię. - Oplótł ją ramionami i odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć jej w oczy. - Ale martwię się McCallumem.
- Nie powinieneś.
- Shelby...
- Nic mi się nie stanie - zapewniła. Nie chciała dać się zastraszyć. Pocałowała go w policzek. - Byłby głupcem, gdyby znowu czegoś ze mną próbował.
- No, tak, z tego, co wiem, nie dostał ostatnio żadnych nagród za inteligencję, a poza tym nie mówimy o człowieku zachowującym się racjonalnie.
- Będę ostrożna. - Wyrwała się z jego objęć i wzięła do ręki lejce konia. Przesłał się uśmiechać.
- Wiesz, nie musisz być ostra.
- Oczywiście, że wiem, Nevada. - Wskoczyła na siodło i patrzyła na niego przeciągle. - Oboje to wiemy.

Katrina rozmasowała sobie zdrętwiały kark i wpatrywała się w cztery obskurne ściany malutkiego pokoju w zajeździe Well, Come Inn; spoglądała na pościółkę, niegdyś beżowe draperie i na łóżko, zapadnięte pośrodku.

Wcześniej włączyła stojący w rogu telewizor. Dźwięk był ściszony. Nadawali sitcom, którego nie знаła, i co kilka sekund słyszała nagrany śmiech. Leżąc z laptopem na okropnie niewygodnym łóżku, usiłowała uporządkować swoje notatki. Na nocnym stoliku stała szklanka z tequilą. Na razie wypila tylko jeden łyk - trunk był okropny i palił jej gardło.

Po konfrontacji ze swoim stukniętym ojcem Katrina czuła się zmęczona, niespokojna, sfrustrowana. Zastanawiała się nawet, czy nie wrócić do dawnego nałogu i nie skombinować skręta. Nawet na tym zadupiu musiał być jakiś diler, który by ją zaopatrzył w marihuanę albo kokainę.

- Nawet o tym nie myśl - mruknęła wściekła na siebie. Kiedyś rzuciła narkotyki, a przy okazji także męża, i nic nie zmusi jej do powrotu na tę drogę, nawet spotkanie z wszechmocnym sędzią.

Wypiła kolejny łyk teraz już ciepłego alkoholu i pomyślała, że na pewno są lepsze sposoby, żeby powoli się zabijać. Potem zapisała wiersz, który usłyszała wcześniej tego dnia w pubie White Horse. Brzmiał jak dziecięca wyliczanka. Wtedy pomyślała, że jest zabawny, ale teraz wydał jej się aż nadto prawdziwy.

Jak to szło? Aha:

Stary sędzia Cole

Okropną starą duszę miał,

Wredny był z niego wał.

No, właśnie. Znowu zaczęła szybko stukać w klawisze, gdy usłyszała łomot i gniewny krzyk z sąsiedniego pokoju; jakaś kobieta wrzeszczała po hiszpańsku, a mężczyzna jej odpowiadał. Świetnie, pomyślała Katrina. Zaczęła się zastanawiać, czy zaraz padnie ofiarą przypadkowej kuli wystrzelonej podczas domowej sprzeczki.

Telewizor zaczął grać głośniej, bo lokalna stacja nadała reklamę jakiejś odchudzającej mikstury. Choć Katrina z trudem się koncentrowała, nie przestawała pracować. Obiecywała magazynowi swój materiał od jakiegoś czasu, ale ciągle mówiła redaktorom, że jeszcze nie skończyła, a ze względu na śmierć Caleba Swaggerta musi dodać nową perspektywę: wziąć pod uwagę możliwość, że ktoś go zamordował, żeby zamknąć mu usta.

Taka ewentualność zdecydowanie wchodziła w grę.

Caleb Swaggert oczywiście nie był postacią formatu Karen Silkwood*. W gruncie rzeczy może wierutnie kłamał tylko po to, żeby napchać kieszenie swojej córce, ale istniało prawdopodobieństwo, że wiedział zbyt dużo, że za bardzo rozpuścił język i wkurzył kogoś, kto postanowił wziąć życie starego człowieka w swoje ręce i uciszyć Caleba raz na zawsze. Jeżeli rzeczywiście tak było, Katrina wkrótce również mogła znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Cudownie.

Myśl, że ktoś mógłby chcieć ją załatwić, nie opuszczała jej od paru dni, i kiedy rozejrzała się po ścianach pokoju, przeniknął ją dreszcz. Nie ryzykujesz, nie masz, napomniała siebie. Wszyscy dobrzy reporterzy narażają się na niebezpieczeństwo. Na przykład zostają w krajach, gdzie toczą się wojny, żeby zrobić dobry materiał, albo podchodzą do płonących samolotów, albo przeprowadzają wywiady z despotycznymi władcami, a wszystko to dla sławy.

Ale mimo to... Katrina nie była aż tak głupia, żeby narażać życie dla jakiejś historii. Sława była ważna, pieniądze jeszcze bardziej, lecz nie na tyle, by dla nich umierać. I chociaż marzyło jej się zdemaskowanie sędziego Jerome'a „Reda” Cole'a i pokazanie, jakim jest sukinsynem, to nawet dla takiej satysfakcji nie warto było nadstawiać karku. I dlatego kupiła broń - mały, srebrny pistolet, świetnie dopasowany do jej dłoni.

* Karen Silkwood zginęła w 1973 roku w wypadku samochodowym, jadąc na spotkanie z reporterem „New York Timesa”, któremu chciała udostępnić materiały dotyczące niebezpiecznych warunków pracy w elektrowni jądrowej. Okoliczności wypadku do dziś nie zostały wyjaśnione (przyp. tłum.).

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała go użyć.

Ponownie skoncentrowała uwagę na monitorze laptopa, a walka w sąsiednim pokoju ucichła. W telewizji leciał jakiś film, ale Katrina rozmyślała o Shelby Cole. Księżniczka. Jej przyrodnia siostra. Niezameżna matka. Hm, ta historia była naprawdę interesująca. Sędzia, zgodnie ze swoim odrażającym, samolubnym charakterem, odmówił uznania Katriny za swoją córkę, a potem zrobił to samo własnej wnuczce, czyli córce Shelby.

Kto jest ojcem tego dziecka? Katrina postanowiła, że to ustali. Wydawało się, że Shelby bardzo zależy na tym, żeby ją odnaleźć, ale czynnie byłoby zabawnie, gdyby Katrina ją uprzedziła? Ostatecznie знаła sporo ustosunkowanych ludzi.

Uśmiechnęła się do siebie i omal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - zapytała, odsuwając laptopa. Wstała z łóżka. Pamiętała, że trzyma pistolet w torebce.

- To pani jest tą reporterką? - zagadnął jakiś męski głos.

- Tak. - Wyciągnęła rękę po torebkę.

- Świetnie. Nazywam się Ross McCallum.

Jej serce przestało bić z wrażenia.

- Słyszysz mnie pani?

- Tttak. - O Boże. To była dla niej życiowa szansa albo najstraszniejszy koszmar. Kiedy otwierała torebkę, serce podchodziło jej do gardła. - Co mogę dla pana zrobić?

- Może pani otworzy drzwi, to pogadamy?

Nie ryzykujesz, nie masz, powtarzała sobie kolejny raz, jakby to była litania. Trzymając w jednej ręce torebkę, drugą odsunęła zasuwę, zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi na oścież.

Stał przed nią w błękitnej łunie ulicznych latarni i oparł się o framugę drzwi. Wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciach, które oglądała - jak bandzior.

- Pan McCallum - powiedziała spokojnym tonem, chociaż czuła, że zaraz zsika się w majtki ze strachu. Z tego człowieka emanowało czyste zło. - Czyż to nie zbieg okoliczności? Właśnie miałam zadzwonić i zaproponować spotkanie.

Prychnął z niedowierzaniem i wlepił w nią swoje zimne, surowe oczy, które niemo oskarżały ją o kłamstwo.

- No, dobrze, przystąpmy do rzeczy - powiedział, obrzucając spojrzeniem malutki, ciasny pokój i stojącą na stoliku zakorkowaną butelkę tequili. - Skoro Caleb Swaggert nie żyje, to pewno będzie pani chciała podpisać umowę ze mną.

A więc o to mu chodziło.

- Możliwe.

- Co? - Szybko odwrócił głowę i przeszył ją zimnym spojrzeniem. - Proszę posłuchać, oczekuję takiej samej umowy, jaką dała pani Swaggertowi. W zamian dostaje pani moją wersję zdarzenia.

- Pańskie zeznanie już figuruje w publicznych rejestrach, podczas gdy pan Swaggert zmienił swoje, narażając się na zarzut krzywoprzysięstwa. Nie dam panu ani centa, dopóki nie uzyskam od pana zapewnienia, że ma pan coś do dodania, coś nowego, i nawet gdyby tak było, muszę jeszcze porozmawiać z redakcją magazynu.

- Hej, odsiedziałem swoje. Spędziłem osiem lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniłem, więc niech mnie pani nie wkurwia.

- To pan niech mnie nie wkurwia. Posłuchajmy, co ma pan do powiedzenia, nieoficjalnie. Jeżeli zdecyduję, że warto zapłacić za pańską relację i wydrukować ją, zadzwonię do magazynu. - Wytrzymała jego spojrzenie i ani na moment nie dała po sobie poznać, że w środku trzęsie się jak galareta.

Zaskoczony uniósł brew. Wykrzywił usta.

- No dobrze, panienko.

- Katrina. Albo pani Nedelesky. Pan wybiera.

- Niech będzie Katrina. Może postawisz mi drinka? - Skinął głową w stronę prawie pełnej butelki.

- Czemu nie. - Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. - Chodźmy do White Horse. - Chociaż bardzo chciała usłyszeć jego historię, nie zamierzała być z nim sam na sam w motelowym pokoju. Pub był naprzeciwko i gdyby McCallum zaczął jej grozić albo zachowywać się brutalnie, miałyby dużo świadków.

- Ktoś może nas usłyszeć.

- Jestem gotowa podjąć ryzyko. - Zrzuciła pasek torebki na ramię. Samą torebkę trzymała mocno w prawej ręce.

Przeszli przez parking, a potem na drugą stronę ulicy, klucząc między rozpędzonymi samochodami.

W White Horse Ross McCallum otworzył jej drzwi. Owionął ją papierosowy dym. Z pubu dobiegały dźwięki muzyki country i rozmowy klientów.

Bardzo zdenerwowana, świadoma, że za chwilę być może przeprowadzi wywiad swojego życia, Katrina weszła do lokalu, zastanawiając się, czy czeka ją drink z mordercą.

Rozpoznała kilkoro stałych bywalców. Manny Dauber i Badger Collins grali w bilard w rogu pomieszczenia. Grupka Latynosów opierała się o kontuar i oglądała mecz baseballowy w telewizorze nad barem. Parę kobiet siedziało przy stolikach, śmiały się, paliły papierosy i rozglądały dookoła. Była wśród nich Ruby Dee, która na widok przechodzącego obok niej Rossa aż się skurczyła i wpatrzyła w neonową reklamę piwa w oknie. Za barem stała

Lucy Pride, która obserwowała każdą wchodzącą do pubu osobę. Mrugnęła do McCalluma, gdy ten podszedł z Katrina do narożnego stolika.

Spojrzenia, które rzucono w ich kierunku, świadczyły o niemałym, wręcz nadmiernym zainteresowaniu. Karina wyczuła zmianę nastroju w barze, jak gdyby powietrze się naelektryzowało.

- Co dla państwa? - zapytała Lucy; podeszła w momencie, gdy Katrina położyła torebkę na ławie obok siebie.

- Dla mnie to co zwykle - powiedział Ross.

- Tylko coca-colę. - Katrina nie chciała pić alkoholu.

- Już się robi. - Lucy zniknęła.

- Waga lekka, co? - zauważył Ross, odchylając się do tyłu i obrzucając ją wzrokiem.

- To sprawa służbowa.

- A mogłoby być coś więcej.

- Nie sądzę. - Pochyliła się do przodu. - To teraz może mi powiesz, dlaczego uważasz, że będę chciała ci zapłacić za twoją wersję.

Uśmiechnął się chytrze.

- Bo wiem, kto zabił Ramóna Estevana.

- A mimo to spędziłeś osiem lat w więzieniu.

- Zostałem wystawiony. Wrobiony. Przecież Caleb Swaggert sam to powiedział, prawda? Czy nie zapłacono mu, żeby wskazał mnie palcem?

Lucy przyniosła zamówione drinki, a Ross powiedział:

- Zapisz to na rachunek tej damy.

- Zgadza się - przytaknęła Katrina. Chciała wysłuchać Rossa, chociaż uważała, że on nie do końca wie, o czym mówi.

- Proszę bardzo.

Z ukrytych głośników szafy grającej popłynął stary przebój Patsy Cline. Ross pociągnął duży łyk piwa, a Lucy szybko wróciła za kontuar, bo zauważyła, że do White Horse wchodzi nowi klienci.

- No, dobra, zaczynamy - powiedziała Katrina. Zamieszała colę i dostrzegła pośród kostek lodu jedną wisienkę maraschino. - Kto zabił Ramóna Estevana?

Rosowi nawet nie drgnęła powieka.

- Nevada Smith.

- Zaraz, zaraz. Przecież on pracował wtedy w Biurze Szeryfa. Byłeś w jego wozie, a poza tym jaki mógłby mieć motyw?

- Nienawidził Estevana. Stary był strasznie porywczy. Wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli.

Katrina sączyła colę. Czekwała.

- Zanim Smith związał się z Shelby Cole, bywał często w domu Estevanów, bo spotykał się z córką Ramóna.

- Viancą.

- Tak.

- No i... - ponaglała go Katrina; Patsy nadal zawodziła, a dym w barze gęstniał coraz bardziej.

- Staremu nie spodobało się, że Nevada rzucił jego córkę dla Shelby Cole. - Ross pociągnął duży łyk i zmarszczył brwi. - Estevan łatwo wpadał w szał. Jak mi nie wierzysz, zapytaj kogokolwiek w mieście.

O tym akurat wiedziała. Caleb Swaggert określił Ramóna Estevana mianem „krewkiego Meksykanina”, a kilku innych mieszkańców miasteczka, przepytywanych przez nią, chyba się zgadzało z tą oceną, chociaż co do tego nie miała pewności.

- A więc Nevada Smith i Shelby Cole chodzili ze sobą mniej więcej w okresie, kiedy Ramón został zabity.

Oczy Rossa były jak szparki.

- Tak.

Policzyła pewne rzeczy w pamięci i domyśliła się, że to Nevada Smith jest ojcem dziecka Shelby. Hm, czyż to nie interesujące? Mężczyzna, którego Ross McCallum próbuje obwiniać o morderstwo, mężczyzna, który dopilnował, żeby to Ross odpowiedział za śmierć Estevana, okazuje się ojcem dziecka Shelby!

- Robi się coraz ciekawiej - mruknęła i wypila kolejny łyk coli. - Masz jakiś dowód?

- On nie miał żadnego dowodu, kiedy mnie wystawiał.

- Chwileczkę. Wystawiał? Chcesz powiedzieć, że on cię wrobił?

- Nazywaj to, jak chcesz. - Ross dopił piwo i dał Lucy znak, że chce jeszcze jedno. - A teraz posłuchaj. Mamy umowę czy nie? - Pochylił się do przodu, oparł łokciami o blat stołu, ściskając pustą szklanekę wielkimi łapskami. - Za darmo nie będę się wywnętrzał. Mam dostać co najmniej tyle, ile dawałaś Swaggertowi.

Błyszczały mu oczy i Katrina uznała, że on całkiem nieźle się prezentuje. Oczywiście w wyblakłym T-shircie, znoszonych dżinsach i startych butach wyglądał jak prostak, ale to jego wybuchowy charakter i wiecznie ponura mina sprawiały, że nie uważano go za przystojniaka.

- Zrobię, co się da - obiecała. - Jaki jest twój numer? Zadzwoń do ciebie.

Ross uśmiechnął się przeciągle i złowrogo.

- Telefonu nie mam, ale nie martw się, złotko. Odezwę się do ciebie. - Mrugnął do niej, a ona miała wrażenie, że coś zmroziło jej krew.

- Dobrze. - Pogrzebała w torebce i znalazła dwudziestodolarowy banknot, który położyła na stole. Jej palce musnęły mały pistolet. Zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, żeby go użyć. - A więc do następnego razu. - Zdobyła się na uśmiech, ale wychodziła z pubu tak, jakby miała nogi z waty.

Zrozumiała natychmiast i bez najmniejszych wątpliwości, że miejsce Rossa McCalluma jest za kratkami.

Rozdział 16

Nie obchodzi mnie, co musisz zrobić, Levinson. Pomóż mi tylko odnaleźć mojego dzieciaka - Nevada burknął do telefonu. Był zgrzany, zmęczony i cholernie sfrustrowany. Dwie kłaczki nie zjadły paszy, traktor na południowym wybiegu się zepsuł, a w dodatku Nevada miał wrażenie, że z sąsiedniego podjazdu - drogi do domu Adamsów, obecnie jego posiadłości - wczoraj po południu wyjechał wóz Shepa Marsona. Ale nie miał pewności. Słońce okropnie dawało mu się we znaki. Jego gorące, oślepiające promienie odbijały się od zderzaka pikapa. Zanim Nevada zdążył uruchomić swoją starą furgonetkę i ruszyć w pościg za intruzem, tamten wóz był już tylko małą plamką w tumanie kurzu.

Nevady nie opuszczało przecucie, że wkrótce wydarzy się coś ważnego. Co gorsza, bardzo się martwił o Shelby. Uważał, że ona na pewno wpakuje się w jakieś kłopoty. Ta myśl nie dawała mu spokoju i podzielił się nią z Levinsonem.

- Musi być jakiś sposób, żeby ją znaleźć.

- Robię, co mogę. - Głos Levinsona brzmiał obojętnie. Niezobowiązująco.

- Ja też.

Nevada pojechał do szpitala, w którym urodziła się Elizabeth, przekupił pracownika administracyjnego i wydobyl informacje na temat tego, kto pracował na oddziale położniczym tamtego feralnego tygodnia. Rozmawiał ze wszystkimi lekarzami, pielęgniarkami i osobami z personelu administracyjnego, których udało mu się odszukać, ale nikt z tych ludzi nie miał dyżuru w tę noc, kiedy Shelby Cole urodziła dziecko. Albo nikt się do tego nie przyznał.

- Będę nadal nad tym pracował.

- Dobrze. I sprawdź niektóre z tych osób. - Nevada podał listę pracowników szpitala, których nie był w stanie odszukać - ludzie ci być może pracowali w noc, podczas której Shelby rodziła.

- Zrobi się.

- I nie zapomnij o Rossie McCallumie.

- Och, nie zapomnę - odparł Levinson z uśmiechem w głosie. - Zamierzam znaleźć na temat tego kolesia wszystko, co się da.

- Dobrze.

Przez chwilę milczeli, a potem prywatny detektyw powiedział:

- Skoro już o tym mowa, pomyślałem, że mógłbym ci pomóc w odnalezieniu matki.

Twarz Nevady skamieniała.

- Nie trudź się.

- Ja tylko pomyślałem, że skoro próbujesz odnaleźć córkę, może byłaby to odpowiednia pora...

- Daj sobie spokój. - Nevada był nieprzejednany. Kobieta, która go urodziła, wyszła z domu i nie wróciła, kiedy był jeszcze tak mały, że nawet jej nie zapamiętał. Stwierdził, że po prostu go nie chciała, chociaż nie umiał sobie wyobrazić, z jakiego powodu. Jako chłopiec próbował zrozumieć odrzucenie i gdzieś w najmroczniejszych zakamarkach jego duszy zagościła myśl, że nie był dość dobry, choć racjonalny umysł sugerował inne, bardziej konkretne i oczywiste przyczyny. Była młoda. Jej mąż był pijakiem. Musiała uciec, żeby przetrwać.

Ale zostawiła Nevadę.

Z tego, co było mu wiadomo, nigdy nie wróciła. Może nawet już nie żyła. Albo mamie egzystowała w jakimś domu opieki. Albo zaliczała się do wyższych sfer i miała willę nad Morzem Śródziemnym. Zresztą, to było bez znaczenia. Matka nie liczyła się w jego życiu, chociaż stanowiła jeden z osobliwych powodów, dla których postanowił sobie, że odnajdzie własne dziecko i nawiąże z nim kontakt.

O ile pozwolą na to sama Elizabeth i osoba, która ją zaadoptowała.

O ile w ogóle ją znajdzie. Zacisnął pięść w geście frustracji, a drugą ręką nadal kurczowo trzymał słuchawkę.

- Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie - powiedział Levinson.

- Nie zmienię.

Nevada odwiesił słuchawkę. Był niespokojny, jak wystraszony ogier, który wyczuwa obecność drapieżnika w pobliżu. Zmierzwiał włosy palcami. Wmawiał sobie, że to tylko wyobraźnia, ale nie mógł uwolnić się od uczucia, że zdarzy się coś złego. I że on sam nie może zrobić absolutnie nic, żeby temu czemuś zapobiec.

- A niech to dunder świśnie - jęknął, żałując, że nie ma przy sobie marlboro, chociaż rzucił palenie wiele lat temu. Potrzebował czegoś na uspokojenie. Do szafu doprowadzało go to, że przebywał w tym samym okręgu co Shelby i wiedział, jak niewiele kilometrów ich dzieli, a także świadomość, że Shelby nie jest bezpieczna i że McCallum coś

knuje, a on sam nie jest w stanie odnaleźć swojego dziecka.

Zadzwoił telefon i Nevada się spiął. Prawdopodobnie znowu jakiś anonim. Chwycił słuchawkę i burknął „halo” opryskliwym tonem.

- Smith?

Rozpoznał głos. I poczuł jeszcze większe napięcie w ramionach. Oparł się biodrem o blat i skupił całą uwagę na rozmowie.

- Sędzia Cole.

- Myślę, że powinniśmy się spotkać - oznajmił bez żadnych wstępów ojciec Shelby.

- Po co?

- Przekonasz się, jak dojedziesz na miejsce.

- A gdzie mam dojechać?

Jego rozmówca wahał się przez chwilę. Nevada zastanawiał się, co takiego ma w zanadru sędzia Red Cole. Spojrzał przez podarty ekran na tylny ganek, gdzie na macie leżał zawsze czujny Crockett.

- Moje biuro w centrum - zdecydował sędzia. - Dziś wieczorem o dziesiątej.

Nevada zerknął na swój zegarek. Nie było jeszcze ósmej.

- Dlaczego nie powie mi pan, o co chodzi, przez telefon?

- Nie zadawaj pytań. Przyjedziesz, to się dowiesz.

- Nie rozumiem po co.

- To wiąże się z Shelby. I Rossem McCallumem.

Nevada poczuł, że jeżą mu się włoski na karku, ale zaraz przypomniał sobie, z kim ma do czynienia. Nie zdziwiłby się, gdyby Red Cole okazał się człowiekiem, który ucieka się do melodramatycznych sztuczek, żeby przeforsować swoje stanowisko.

- I nie może mi pan powiedzieć tego przez telefon?

- Nie.

- Niech pan posłucha, sędzio. Cały ten cyrk spod znaku płaszcza i szpady jakoś do mnie nie przemawia. Proszę po prostu powiedzieć to, co ma pan do powiedzenia.

- Zrobię to. O dziesiątej.

Na linii coś szczyknęło i połączenie zostało przerwane.

Nevada odwiesił słuchawkę i spojrzał na zegarek. Jeszcze dwie godziny do randki z diabłem.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Przez telefon głos Vianki brzmiał stanowczo. Choć Shep był w biurze, poczuł, jak czerwienięją jego uszy, i wyobrażał sobie, że wszyscy dookoła ją słyszą. Rozejrzał się nerwowo po niegdyś zielonych ścianach pomieszczenia. Kiedyś była to otwarta przestrzeń zawalona biurkami, lecz teraz urządzono tu boksy z przenośnych i teoretycznie dźwiękoszczelnych ścianek.

- Chodzi o... to ma związek z morderstwem mojego ojca - powiedziała Vianca. Shep wyczuł wahanie w jej głosie.

- Zaraz przyjadę. - Już samo to, że ją usłyszał, poprawiło mu nastrój. Natychmiast zapomniał o wykonywanej przez siebie papierkowej robocie.

- Nie, ja wciąż jestem w szpitalu. Przyjedź później. Do domu.

Jego głupie serce zaczęło walić w oszałamiającym tempie.

- Muszę pracować w sklepie, potem opiekuję się *madre*. Dzisiaj wraca do domu ze szpitala.

Jego nadęte ego mocno ucierpiało. A zatem będzie tam i starsza pani. Zero szansy, żeby być z Vianca sam na sam.

Jednak przez resztę dnia pamiętał o prośbie Vianki, również gdy odwiedził laboratorium i przeglądał akta morderstwa Estevana.

Teraz, kiedy parkował wóz przy krawężniku naprzeciwko bungalowowi Estevanów, uśmiechnął się do siebie. Dzisiaj mu się powiedzie - w ten czy inny sposób. Czuł to jak trzask błyskawicy w powietrzu.

Poświęcił trochę czasu na to, żeby się ogolić, a nawet wyszorował zęby i włożył czystą koszulę; potem ruszył w miasto, zmagając się z wyrzutami sumienia. Fakt, miał tu do załatwienia sprawę. Nawet gdyby Vianca nie zadzwoniła, powinien jeszcze raz przesłuchać wszystkich członków rodziny Ramóna. Ale to nie ze względów służbowych miał lśniące buty i świeży oddech i skropił się wodą kolońską Right Guard. O, nie. Zrobił to wszystko po to, żeby Vianca zobaczyła w nim mężczyznę.

Spojrzał na swoje odbicie we wstecznym lusterku i przyglądał końce wąsów; nachmurzył się, bo zobaczył, że jest w nich więcej siwych niż rudych włosów. Do diabła, zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał obwisły brzuch, włosy mu się przerzedzały, i jeszcze nigdy nie zdradził Peggy Sue. Nigdy nie myślał, że będzie chciał - przecież jego żona była taka ładna i w ogóle - ale oto był tutaj i czuł się jak młodzieniaszek. A wszystko z powodu Vianki.

Prawdę mówiąc, Peggy Sue się zmieniła. Zubożała. Zawsze była zbyt zmęczona na szybki numer i przez piętnaście lat, kiedy byli małżeństwem, zapomniiała, jak się śmiać.

Shep westchnął i zastanawiał się, czy za chwilę zniszczy resztę swojego życia. Wiedział, że wszyscy uważają go za wrednego sukinkota w pracy i, szczerze mówiąc, zasłużył sobie na to. Kiedyś był dumny ze swojej reputacji.

Nigdy nie bał się użyć pałki, żeby zdzielić delikwenta po głowie albo w brzuch, albo w plecy. Posuwał się nawet do tego, że „dopasowywał” dowody, jeżeli trzeba było skazać odpowiednią osobę, albo przyrykał oko, kiedy któryś z jego przyjaciół złamał prawo.

Miał swój zestaw zasad i były one nader rozciągliwe. Za odpowiednią cenę. Nie widział nic zdrożnego w tym, że brał od przyjaciela parę dolarów za przysługę. Do diabła, gdyby nie uporządkował sprawy Johnsona juniora, który po pijaku strzelał do znaków drogowych „stop” i jakimś cudem zdołał zabić rozplodowego byka starego Cowana, dzieciak wylądowałby w więzieniu i pewno nigdy nie skończyłby college’u. Shep strasznie go zbeształ, trochę obił, powiedział, jaki jest z niego gówniarz, a potem przyjął dowód wdzięczności od jego ojca.

Wszystko dobrze się skończyło. Byk Cowana był ubezpieczony, a dzieciak Johnsona został księgowym, sporządzał, nawet poślubił metodystkę i miał z nią bliźnięta. A najstarszy syn Shepa, Timmy, dostał aparat na zęby.

Numer z Johnsonem wypalił. Czy to było opłacanie się stróżowi sprawiedliwości? Łapówka? A kogo to obchodziło? Zdaniem Shepa sprawiedliwości stało się zadość, nie kosztowało to podatnika ani centa, a najgorszym efektem całej sprawy było to, że stary Cowan jadał najgrubsze, najtwardsze steki po tej stronie Amarillo.

To nie tak, że Shep był nieuczciwy. Co to, to nie. On był po prostu praktyczny. A praktyczny człowiek musi umieć zadbać o sprawę.

Ale ani razu nie zdradził Peggy Sue. Oczywiście miał mnóstwo okazji. Mnóstwo kobiet interesowało się nim. Mnóstwo. Ale nie chciał ryzykować utraty żony i dzieci.

Aż do teraz.

Do spotkania z Vianca.

Bębnił palcami po kierownicy i patrzył, jak jakiś beżpański pies biegnie z podwiniętym ogonem po ulicy. Otworzył drzwi i wyszedł na parne powietrze. Uskrzydlał go nie tylko fakt, że Vianca chciała się z nim widzieć. O, nie. Ściągnął do tego śledztwa cały zastęp ludzi i dzięki chłopakom z laboratorium, którzy w ekspresowym tempie zrobili analizę balistyczną i zbadali odciski palców na trzydziestkoósemce znalezionej przez niego w starej kopalni na działce Adamsa, udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie z tej broni zastrzelono Ramóna Estevana. Jak należało się spodziewać, broń była zarejestrowana na Nevadę Smitha i znajdowały się na niej tylko jego odciski palców.

Pracownicy laboratorium sprawdzili plastik, w który została owinięta trzydziestkaósemka, i nie znaleźli na nim żadnych odcisków, próbek włosów ani niczego, co mogłoby im jakoś pomóc. Pozostało jeszcze ustalenie, ile czasu broń leżała na krokwi, ale na razie Nevada Smith był w tej sprawie osobą budzącą największe zainteresowanie.

I to niepokoiło Shepa. Miał na temat Nevady nie najlepsze mniemanie. Podejrzywał nawet, że Smith przekupił Caleba Swaggerta i Ruby Dee, żeby zeznawali na niekorzyść Rossa McCalluma. Smith i McCallum bez wątpienia mieli ze sobą na pieńku. Ale zaraz morderstwo? Wrabianie? Dla Shepa to było jak gorzka pigułka. Na swój sposób lubił Nevadę.

Ale wcześniej się pomylił i teraz Nevada Smith był w niewesołym położeniu.

Wszedł po schodach do domu Vianki. Dręczyła go myśl, że ktoś jeszcze wiedział o pistolecie: anonimowy cynk musiał przecież skądś pochodzić. Czyżby Nevada nie umiał trzymać języka za zębami? Może się przechwalał? Albo niechcący, może nawet po pijanemu, wygadał, gdzie jest broń. Coś tu nie grało.

Kiedy podszedł do drzwi, cętkowana kotka zeskoczyła ze swojego legowiska na parapecie okiennym i zniknęła za terakotową donicą z kwitnącymi bugenwillami.

Shep zapukał w ekran z siatki i zajrzał do zaciemnionego wnętrza. W rogu pokoju stał telewizor, nastawiony na hiszpańskojęzyczny kanał.

- *Momento* - zawołała Vianca gdzieś ze środka domu. Puls Shepa poszybował ku stratosferze, gdy tylko usłyszał jej głos.

Pojawiła się niemal natychmiast. Patrzyła na niego spokojnymi, ciemnymi oczami, kiedy otwierała drzwi.

- Dziękuję, że przyjechałeś.

- Nie ma za co. - Ściągnął kapelusz i trzymał jego kres w spoconych palcach.

- Proszę, daj mi go. - Wzięła od niego kapelusz, muskając przy tym jego palce. Przeszył go rozkoszny dreszcz, od rąk aż po miejsce, w którym barki łączą się z kręgosłupem. Zapachy korzennych przypraw i papierosowego dymu mieszały się z wonią jej perfum. - Chciałbyś się czegoś napić? Mam colę albo kawę, albo...

- Nie, dziękuję - skłamał. Zupełnie zaschło mu w gardle. Jej włosy były ciemne i błyszczące; delikatne loki okalały twarz w kształcie serca. Świetliste oczy spoglądały na niego sponad prostego, krótkiego nosa. Vianca miała najpełniejsze wargi, jakie kiedykolwiek widział. Była ubrana w białe dżinsy, szeroki, czarny pas ze srebrną sprzączką i intensywnie różowy top, który opinał jej piersi. - Mówiłaś, że masz informacje o tej sprawie.

- Tak... chwileczkę. Muszę sprawdzić, co u *madre*. Proszę, usiądź. - Pokazała mu kanapę w pokoju, gdzie grał telewizor.

Shep czuł się staro i niezdarnie; zażenowany, przemknął obok małego ołtarza, ustawionego między salonem a jadalnią. Malowidło przedstawiające Jezusa z wyraźnie pokazanym sercem było podświetlone od tyłu. Stół pod obrazem był przykryty serwetą; całości dopełniały migoczące świece i kilka fotografii uśmiechniętego Ramóna,

oprawionych w ramki.

Shep poczuł się nieswojo. Urodził się w rodzinie metodystów i w tym obrządku był wychowywany, toteż nie do końca ufał katolikom; zresztą luteranom czy mormonom też nie. Nie był pewien nawet baptystów, ale się z tym nie zdradzał, bo rodzice Peggy Sue należeli akurat do tego Kościoła.

Usiadł na przykrytej pledem kanapie, która czasy świetności miała zdecydowanie za sobą, i śledził wzrokiem Viancę. Miała na sobie tak obcisłe dzinsy, że widać było szczelinę między jej sprężystymi, małymi pośladkami. Shep zastanawiał się, co by czuł, gdyby udało mu się przebiec palcami albo językiem po tym seksownym miejscu.

Weszła do małej sypialni; dostrzegł krawędź łoża małżeńskiego, przykrytego narzutą. Zobaczył też dwa wzgórki: stopy pani Aloise. Najwyraźniej starsza pani odpoczywała. Vianca pojawiła się po paru sekundach. Po cichu zamknęła za sobą drzwi i leciutko uśmiechnęła się do swojego gościa.

- Hm - zaczęła, siadając obok niego na kanapie i składając ręce między kolanami. - Jest coś, co muszę ci powiedzieć. - Uśmiech zniknął. Zastąpiła go kamienna powaga i Shep odniósł wrażenie, że pomimo ciemnej skóry Vianca trochę pobladła.

- Co?

- Chodzi o Nevadę.

Shep natychmiast zrobił się czujny. Dawno temu Nevada i Vianca chodzili ze sobą. Mówiło się, że nigdy nie przeboleła tego, że zostawił ją dla Shelby Cole.

Vianca wciągnęła powietrze.

- Przedtem kłamałam na jego temat. Nie chciałam, żeby wpadł w tarapaty. Och, *Dios*. - Nerwowo oblizała wargi i Shep pomyślał, że zaraz oszaleje. Jego przeklęty penis był twardy jak skała. - Widziałam go tamtej nocy, kiedy został zabity mój ojciec. W sklepie.

- Tak mówiłaś. Ale to było wcześniej. Kiedy był z twoim kuzynem Joem Hawkiem.

- Nie, wrócił później. Sam. - Mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał. Przygryzała swoje cudowne usta, a do jej oczu napływały łzy. - Ja... byłam w nim zakochana i nie chciałam, żeby coś mu się stało. Nie mogłam uwierzyć... - Głos jej się załamał i zasłoniła usta małą dłonią.

- W porządku. Po prostu powiedz mi, co widziałas.

- Byliśmy sami w sklepie. Nas troje. *Padre*, ja i Nevada. Wywiązała się kłótnia. Mój ojciec... on nie lubił Nevady. Padły słowa... gniewne słowa, i Nevada wyszedł.

- Wyszedł ze sklepu?

- *Si*. - Sięgnęła po paczkę papierosów na stole, wytrząsnęła jednego papierosa i chciała go zapalić. Była tak roztrzęsiona, że nie mogła przytknąć płomienia zapalniczki do papierosa. Shep miał ochotę jej pomóc, ale oparł się pokusie i czekał, aż Vianca zdołała się uspokoić i zaciągnąć dymem.

- Czy prowadził swój wóz?

- Nie zauważyłam... za bardzo byłam przygnębiona. - Potarła ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno, i znowu walczyła ze łzami.

- Co stało się potem?

Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Jej oczy skupiły się na obrazie Jezusa. Jeszcze raz zaciągnęła się dymem i odłożyła papierosa do popielniczki.

- Jakiś czas potem mój ojciec wyszedł ze sklepu przez zaplecze i już nigdy nie wrócił. - Jej głos się załamał i zaczęła płakać. Shep nie mógł się powstrzymać. Objął ją ramieniem w geście pociechy. Zamierzał tylko ją tulić, aż dziewczyna się uspokoi, ale kiedy lekko uniosła podbródek i zaoferowała swoje słodkie, czerwone usta, pocałował ją, najpierw delikatnie, żeby pokazać, że mu na niej zależy, ale kiedy otworzyła się przed nim i gorliwie wepchnęła język między jego zęby, a jej piersi - o Chryste, te niewiarygodne piersi - wcisnęły się w niego, nie panował już nad sobą. Pachniała i smakowała niebiańsko.

Dotknął językiem jej języka i zaczęli pieszczotliwy, roztańczony rytuał.

Vianca cicho jęczała, obsypywała Shepa gorączkowym pocałunkami i nie powstrzymywała go, kiedy wyciągnął jej bluzkę z dzinsów i wodził palcami po jej żebrach i w górę. Westchnęła, gdy dotarł do stanika i przez chwilę myślał, że zostanie skarcony. Zamiast tego położyła małą dłoń na rozporku jego dzinsów i ścisnęła go.

Do diabła, myślał, że skończy już w tym momencie.

- A... a co z twoją matką? - wyjąkał, kiedy odsunęła zamek rozporka.

- Śpi.

- Ale może się obudzić. - Cały płonął. Nigdy w życiu nie pragnął kobiety tak jak teraz, ale to było niebezpieczne. Starsza pani mogła w każdej chwili ich zaskoczyć.

- Nie. Nie obudzi się. - Vianca podniosła głowę i wytrzymała jego spojrzenie. Zobaczył w jej oczach pożądanie i coś jeszcze: cień wyrachowania, który zniknął tak szybko, że Shep uznał, iż coś musiało mu się przywidzieć. - Tabletki na sen - wyjaśniła, rozchylając jego spodnie i sięgając mu do bokserów.

Jęknął, gdy poczuł jej palce, przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatrzymać tego szaleństwa. Ale wtedy ona pochyliła się i pocałowała go, a potem jej cudowne, mokre wargi zaczęły pieścić jego członka.

Vianca kontynuowała swoje magiczne zabiegi, a zastępca szeryfa Shep Marson przestał się opierać. Zanurzył

ręce w jej włosy i starał się, żeby ta wspiana chwila trwała jak najdłużej. Gdzieś w mrocznych zakamarkach jego duszy rodziło się przeświadczenie, że zaraz przekroczy granicę, po raz pierwszy, jak nigdy dotąd. Nie dość, że zamierzał zdradzić Peggy Sue, to jeszcze chciał to robić tak długo i tak często, jak to będzie możliwe.

Shelby otrząsnęła włosy z kropelek wody, wyskoczyła z basenu i otuliła się ręcznikiem. Księżyc wzeszedł już wysoko na nocnym niebie. Lydia wyjechała parę godzin temu, wyjaśniając, że dzwonił sędzia i że nie będzie go w domu do późna w nocy, że ma spotkanie w San Antonio i może nie wrócić do domu wcześniej niż rano. Ogrodnik też poszedł i Shelby zmusiła się do czekania, aż nad Bad Luck zapadnie ciemność; dopiero wtedy będzie mogła się włamać do biura swojego ojca.

Wycierając twarz ręcznikiem, weszła po schodkach do swojego pokoju, zamknęła drzwi i zaczęła ściągać ramiączka kostiumu kąpielowego. Szybko zdjęła mokry strój, rzuciła go na górną część zasłonki prysznica i znalazła stanik i bieliznę. Przygładziła włosy i związała je w kucyk, nasunęła opaskę, a potem włożyła swoje ulubione czarne dzinsy, dopasowaną kolorystycznie koszulkę i buty do biegania. Znalazła zestaw kluczy, które kazała dorobić w Coopersville. Zabrała też zegarek i małą latarkę, zapakowała to wszystko razem z portmonetką do małego plecaka i zbiegła po schodach.

Czuła, że powinna się pośpieszyć, że jeśli teraz nie skorzysta z nadarżającej się okazji, to nie otrzyma drugiej szansy. Otworzyła tylne drzwi i ruszyła brukowaną drogą do cadillaca. Po dwóch minutach już wjeżdżała do miasteczka.

Ostatnie dni były dla niej męką. Bez ustanku zastanawiała się, jak ma użyć duplikatów kluczy, które kazała wykonać, co ma zrobić w sprawie siostry przyrodniej, której nie ufała, i jak powinna zareagować na oczywisty i smutny fakt: że znowu zakochiwała się w Nevadzie.

- Jesteś idiotką - mruknęła do siebie i włączyła radio. Przez głośniki popłynął głos Lyle'a Lovetta:

- To fakt, nie jesteś z Teksasu, to fakt, nie jesteś z Teksasu...

To fakt, Lyle. Już nie jestem. A jednak jakaś część jej osobowości wypierała się tego okropnego faktu. Przecież była z Teksasu i zawsze będzie, i chociaż lubiła północno-zachodni region kraju, było tutaj głęboko zakorzenione dziedzictwo, którego nie mogła ignorować. Ze złością wyłączyła radio. Miała zbyt skołataną nerwy, by słuchać jakiegokolwiek muzyki, a co dopiero piosenek, których teksty zdawały się szydzić z niej i z okupionej tak ciężką pracą niezależności.

W trakcie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Shelby powoli traciła równowagę. Sfrustrowana, spocona, zmęczona i chora na myśl o tym, że kolejne dni wcale nie przybliżają jej do odnalezienia Elizabeth, była gotowa spełnić groźbę wobec sędziego i Katriny. Jeżeli coś się szybko nie zmieni, uda się do gazet, radia i stacji telewizyjnych, a nawet kilkunastu prywatnych detektywów: do wszystkich i wszędzie, nieważne gdzie. Po prostu musi odnaleźć Elizabeth. I to szybko.

Nacisnęła klawisz i opuściła boczne okno od strony kierownicy. Do wnętrza cadillaca wtargnęło ciepłe powietrze, gdy tymczasem światła centrum miasta odbijały się w przedniej szybie wozu upiornym odcieniem błękitu.

Pomimo niepokoju Shelby nie siedziała beczynnym. Kilka razy zadzwoniła do Seattle, spędziła trochę czasu, taksując dane swojemu agentowi z biura nieruchomości, znowu próbowała skontaktować się z Orrinem Findleyem i czekała niecierpliwie, aż jej ojciec wyjedzie z Bad Luck na kilka dni.

Ale on nie wyjeżdżał. Przynajmniej aż do teraz, wręcz spędzał w biurze więcej czasu niż zazwyczaj. Shelby przejeżdżała kilka razy obok tego miejsca, nawet późną nocą, i zawsze widziała jego mercedesa na parkingu i światło w oknach, chociaż rolety były spuszczone. Raz, kiedy przejeżdżała, stał od frontu i opierał się na swojej lasce, a przy tym palił cygaro i rozmawiał z tymi samymi dwoma pomagierami, których widziała w pierwszym dniu wizyty w Bad Luck.

Modliła się, żeby jej nie zobaczył, ale on oczywiście ją widział i gdy zapytał ją o to później, zmyśliła wymówkę, że szukała Katony. Nie była pewna, czy w to uwierzył, ale w każdym razie nie kwestionował jej słów.

Teraz, kiedy dojechała do handlowej części miasteczka, czuła coraz większy ucisk w żołądku. Przejechało obok niej kilka samochodów; nie znała kierowców ani też oni jej nie rozpoznawali. Z pubu White Horse dobiegała muzyka, a w stronę głównego wejścia szedł Ross McCallum we własnej osobie.

Nie.

Zmroziło jej krew.

McCallum zatrzymał się, żeby przypalić papierosa, zasłonił płomień swoją wielką łapą, a Shelby odwróciła głowę i pojechała dalej. Może jej nie zobaczył, nie rozpoznał samochodu? Jednak kiedy zerknęła we wsteczne lustro, zauważyła, że stał przed pubem i patrzył na tył wynajętego przez nią cadillaca z tak chłodną intensywnością, że aż zadygotała. Przypomniła jej się horror, ból i upokorzenie tamtej nocy sprzed wielu lat i poczuła, że między jej łopatkami pojawiają się krople potu. Nie pozwól mu tego robić, ostrzegła samą siebie. Nie da się pokonać ani powstrzymać. Ross już nic jej nie zrobi. Nic i nigdy. Już ona się o to postara.

Jechała prosto przez miasto na wypadek gdyby przyszedł mu do głowy idiotyczny pomysł śledzenia jej wozu. Kiedy zniknęły za nią światła Bad Luck, dłuższy czas po przejechaniu ostatniego mostu, skręciła w boczną drogę, zawróciła i przejechała przez Bad Luck od innej strony.

Cały czas mocno ścisnęła kierownicę; pokonała kilka bocznych uliczek, aż wreszcie dotarła do starego budynku, w którym jej ojciec spędzał większość czasu.

Parking był pusty. Ani śladu Etty Parson i jej markowego samochodu, o ile sekretarka jeszcze go miała. Nie było też widać mercedesa sędziego. W biurze panowały ciemność i cisza.

Dobrze. Shelby przejechała się bocznymi alejkami i uliczkami, i jeszcze raz znalazła się pod biurem. Nadal nie było tam nikogo. No, zrób to, mruknęła do siebie. Przekonana, że nikt tu się nie pokaże, zaparkowała wóz cztery przecznice dalej, w bocznej uliczce przy samoobsługowej pralni i pralni chemicznej, niedaleko budynku, w którym doktor Pritchard prowadził kiedyś klinikę. Niestety, zawsze istniała możliwość, że ktoś zauważy jej samochód i jutro wspomni o tym w barze czy kafejce, czy nawet pubie White Horse. Zważywszy na to, jak szybko plotki rozchodziły się w tym miasteczku, w ciągu dwóch dni zapewne wszyscy w Bad Luck dowiedzieliby się o jej pobycie w mieście. Ale musiała zaryzykować.

Szybko zamknęła samochód i zaczęła biec. Powietrze tej nocy było parne, lepkie: dosłownie napierało na jej pierś. Nie było porównania z rześkim, słonawym powietrzem Seattle. Opuściła Zachodnie Wybrzeże dopiero dwa tygodnie temu, a już miała wrażenie, że upłynęły lata.

Czas szybko leci, kiedy człowiek dobrze się bawi, pomyślała, klucząc po bocznych uliczkach i unikając głównej alei, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Nigdy nie złamała świadomie prawa. Dasz radę, powtarzała sobie. Ostatecznie nie tacy jak ona na co dzień włamywali się do domów i biur.

Na ulicy za biurem ojca Shelby zawahała się, stając pod ogrodzeniem. Dzięki temu zorientowała się, że nadal panuje tu cisza i nikt nie zaparkował wozu w ciągu dziesięciu minut, które minęły od chwili, gdy przejeżdżała tędy ostatni raz. Teraz albo nigdy.

Unikając oświetlonych przez latarnie miejsc, pobiegła wprost do tylnych drzwi budynku. Spoconymi palcami wkładała kolejno klucze do zamka. Dopiero trzeci pasował; obracał się tak łatwo, jakby był naoliwiony.

Klik. Rygiel ustąpił. Shelby manipulowała przy gałce innym kluczem i zamek się otworzył. Wystarczył jeden ruch nadgarstka i drzwi stanęły przed nią otworem.

Nagle włączył się cichy alarm, sygnał, że ma tylko kilka sekund, żeby wyłączyć to cholerstwo, zanim uruchomi znacznie głośniejszy alarm, który zapewne mógłby obudzić umarłego w grobie albo, co gorsza, po cichu zawiadomić miejscową policję, a ona przyjechałaby z wyciem syren i migoczącymi światłami.

Och Boże, gdzie to jest? Zrobiła dwa kroki, wpadła na biurko i zakłęta pod nosem.

Biip! Biip! Biip!

Złana potem, zapaliła latarkę i skierowała snop światła na ścianę niewielkiej recepcji, a potem na kalendarz i kontakt, aż w końcu natrafiła na małą tablicę rozdzielczą w pobliżu szafy. Modląc się po cichu, obeszła biurko Etty i stanęła przed urządzeniem alarmowym.

Jaki był kod? Urodziny ojca. Wcisnęła odpowiednią kombinację klawiszy, a potem Enter.

Biip! Biip! Biip!

O cholera! No i co teraz?

Rozgorączkowana, spróbowała daty urodzin matki. W końcu sędzia nadal trzymał ulubione kwiaty Jasmine na stole i dbał o jej grób.

Biip! Biip!...

Do diabła. Szybko wyczerpały jej się pomysły. Zdesperowana, wcisnęła liczby oznaczające jej datę urodzenia i alarm nagle ustał. W biurze zapanowała cisza. Tylko serce Shelby waliło jak młotem.

Dzięki Bogu. Serce uspokoiło się, ale po nosie nadal ściekał jej pot, a kolana zaczęły się pod nią uginać. Postanowiła wziąć się w garść. Podeszła do drzwi biura ojca, wykonanych ze szkła żwirowego, i otworzyła je. W środku pachniało lekko cygarami.

Shelby szybko zaciągnęła rolety. W rogu pokoju stał wieszak na kapelusze; na wyrzeźbionym z drewna konarze wisiał jeden z ulubionych czarnych stetsonów sędziego, na innym - zapomniany sweter do golfa. Biurko sędziego było funkcjonalne. Metal i blat z formiki. Na jednym rogu pojemnik z cygarami, popielniczka i telefon, na przeciwległym trzy fotografie: małe zdjęcie ślubne sędziego i Jasmine, zdjęcie ośmioletniej Shelby i zdjęcie z uroczystego wręczenia dyplomów.

A zatem jej ojcu chyba trochę na niej zależało - użył przecież daty jej urodzin w kodzie. Nigdy by go o to nie podejrzewała. Przez kilka sekund wpatrywała się w fotografie, ale zaraz powiedziała sobie, że nie może i nie chce dać się zaślepić bezsensownej nostalgii. Wyparła ze świadomości niepożądane emocje i zabrała się do pracy.

Szuflady biurka były zamknięte na klucz, ale w dorabianym zestawie znalazła mały kluczyk, który idealnie pasował do zamków. W pierwszej szufladzie znajdowały się ołówki, spinacze, zapalki, nożyk do otwierania kopert i tym podobne rzeczy. Nic nadzwyczajnego. Druga zawierała nowsze dokumenty, związane głównie z ranczem. Żaden nie wydawał się interesujący. W trzeciej szufladzie stała niedopita buteleczka Jacka danielsa, był też zapas cygar.

Jak na razie wykorzystała dziesięć minut i nie znalazła niczego ciekawego. Ocierając pot z czoła, dobrała się do kredensu. Otworzył się bez trudu; przypominał szafkę w domu. Wszystko było schludnie poznaczane i Shelby nie była zaskoczona, że powtarzają się tutaj niektóre nazwiska znalezione przez nią w domu.

Bingo.

Znalazła teczkę doktora Neda Pritcharta i otworzyła ją drżącymi rękami. Folder był cienki, zawierał tylko kilka notatek. Nic szczególnego, może z wyjątkiem tego, że sędzia zapisał jego ostatni adres i datę śmierci. A zatem wiedział, że Pritchart nie żyje, a mimo to pozwolił, żeby Shelby go szukała, zapędzała się w ślepe zaułki i marnowała cenny czas.

- Och, tato, padalcu jeden - powiedziała, rozczarowana, chociaż wiedziała, że trochę to niemądre z jej strony. Jej ojciec zawsze był i będzie wielkim manipulatem. Z siebie tylko wiadomych powodów nie chciał, żeby Shelby odnalazła Elizabeth, i stawiał na jej drodze wszelkie możliwe przeszkody. Człowiek, który wypierał się własnej córki z nieprawego łoża, zrobi to samo swojej wnuczce. - A niech cię, tato - szepnęła Shelby i wróciła do dokumentów.

Następna byłateczka Nevady.

Położyła ją sobie na kolanach i oświetlała latarką kolejne strony. Pełno było na nich wpisów, głównie na temat burzliwej młodości Nevady, ale były również inne strony, strony z uwagami natury osobistej. Sędzia Cole nie silił się na powściągliwość i pisał pogardliwie o „chuliganie Metysie”, który już jako dziecko zachowywał się okropnie, a mimo to sędzia później przyjął go do pracy. Na jednej z kartek widniała notatka, że sędzia podejrzewa, iż jego córka jest w ciąży, a ojcem dziecka jest ten „pozbawiony matki sukinsyn Smith”.

- No i kto tu jest prawdziwym draniem? - zapytała, zamykając teczkę. Drżącymi palcami dotknęła teczki z własnym imieniem i nazwiskiem. Zerknęła na zegarek. Dziewięć czterdzieści pięć. Była tu od dwudziestu minut, a każda następna budziła w niej coraz większe zdenerwowanie. Na regale z książkami w rogu tykał budzik. Na zewnątrz czasem przejeżdżał samochód, ale w biurze panowała zupełna, wręcz niesamowita cisza. Ile zawarto tutaj niezbyt uczciwych umów? Ile losów ludzkich na zawsze zmieniono?

Nie zważając na zdenerwowanie, otworzyła grubą teczkę opatrzoną jej imieniem i nazwiskiem. Miała wrażenie, że z tych kartek wylewa się całe jej życie. Kopie świadectw ze szkoły, dane o zatrudnieniu, dokumentacja medyczna, którą widziała w folderze w domu, chociaż tutaj było jej więcej. Na samym spodzie znajdował się odręcznie pisany pamiętnik: lista znaczących wydarzeń w życiu Shelby i krótkie komentarze mężczyzny, który ją spłodził. Czytając każdą notatkę, z trudem przełykała ślinę. Zaczynało się od jej narodzin. Potem lata w szkole podstawowej i średniej, śmierć jej matki i nie tylko jej ciąża, ale i gwałt. Informacja o nim została wciśnięta między inne notatki, bo jej ojciec dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy zapytał Shelby, czy jest w ciąży.

Łzy stanęły jej w oczach, ale postanowiła, że nie będzie płakać. Znalazła inne notatki, o jej szkole i kolejnych rodzajach pracy, ale najciekawszy okazał się zapisek o Lydii Vasquez, gosposi.

Dlaczego?

Bo Lydia była jedyną matką, którą kiedykolwiek знаła? Kobieta, która nauczyła ją szyć, gotować i układać kwiaty, i przyniosła jej do domu pierwszą paczkę podpasek? Lydia bandażowała jej zdarte kolana, dawała rady, z których Shelby rzadko korzystała, i wypełniała dom śmiechem oraz zabawnymi historyjkami na temat swojej rodziny.

Tak, były ze sobą związane, ale Shelby wyczuwała, że za pośpiesznie nabazgraną przez ojca notatką kryje się coś więcej. Musiała tylko ustalić co. Może nic nadzwyczajnego, ale z drugiej strony...

Rzuciła folder na biurko, a potem odszukała teczkę Lydii Vasquez, wyciągnęła ją z szuflady i natychmiast rozłożyła na blacie.

Na temat Lydii było mnóstwo zapisków, ponieważ pracowała u sędziego od wielu lat. Znajdowały się tu skopiowane i spięte dokumenty dotyczące jej samej, a także rozmaite wzmianki na temat wszystkich członków jej rodziny, włącznie z Carlą i Pablem Ramirezami i ich dziećmi. Każde dziecko również zostało odnotowane. Znalazła się tu nawet wzmianka o rodzinie Estevanów, spokrewnionej z Ramirezami.

Shelby patrzyła na folder w osłupieniu. Dlaczego jej ojciec robił tak skrupulatne notatki o każdym z tych ludzi? Gdzieś w głębi jej umysłu zaczęła się tworzyć chłodna interpretacja. W grę musiało wchodzić coś więcej... coś paskudnego.

Przejrzała imiona dzieci, wpisane specyficznym charakterem pisma sędziego - Enrique, Juan, Diego i Maria. Czwórka dzieciaków. Trzech chłopców, jedna dziewczyna. Znała ich wszystkich od dzieciństwa. Maria była najstarsza, chłopcy rodzili się później, w regularnych odstępach. Nie pozwalano jej jednak bawić się z Marią. A że to Lydia ją wychowywała, sędziemu nie przeszkadzało. Natomiast co do zawierania przyjaźni z hiszpańskojęzycznymi dziećmi sędzia Cole wyznaczał granicę, którą Shelby często przekraczała.

Przypomniła sobie Marię, bystrą, pogodną dziewczuszkę, która wcześniej rzuciła szkołę. Shelby nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

Już miała przewrócić stronę, ale imię Marii przykuło jej uwagę. Czy Lydia nie mówiła, że córka Marii sprawia jej mnóstwo kłopotów? Jej dziewięcioletnia córka? Czy Lydia nie płakała, rozmawiając z Marią przez telefon? Shelby miała wrażenie, że jej serce przestało bić. No i co z tego? Nie wyciągaj pochopnych wniosków, mówiła sobie. To tylko zbieg okoliczności.

Ale okręciła się na krześle i, trzymając latarkę w zębach, przeszukiwała szufladę, aż natrafiła na teczkę Marii. Była grubsza niż teczki jej braci.

Shelby wstrzymała oddech i ją otworzyła. W środku znajdowała się kolorowa fotografia dziecka - Shelby domyślała się, że wykonano ją na potrzeby szkoły.

- Elizabeth - powiedziała. Łzy wezbrały jej w oczach, kiedy wpatrywała się w dziewczynkę o dużych ząbkach, z niebieską wstążką w kręconych brązowych włosach. Na opalonej skórze wyraźnie odznaczały się piegi, a turkusowe oczy patrzyły wprost w aparat fotograficzny.

Shelby serce krwawiło z powodu tych wszystkich zmarnowanych lat, ale zdobyła się na drżący uśmiech przez łzy.

- Dobry Boże - wyszeptała, szlochając z ulgą.

Po dziesięciu latach kłamstw i zwodzenia wreszcie udało jej się odnaleźć córkę.

Rozdział 17

Shelby odsunęła krzesło, wsunęła najważniejszy folder pod pachę i w tym momencie usłyszała, że jakiś samochód zwalnia i zatrzymuje się na opustoszałej ulicy przed biurem.

Świetnie, pomyślała. Kolejna osoba, która mogłaby ją rozpoznać. Nie żeby to miało większe znaczenie. Chyba żeby to był Ross McCallum.

Omam nie dostała zawału.

Nie panikuj, Shelby. Ross nie ma tu żadnych spraw do załatwienia. Po prostu jesteś przewrażliwiona. Ruszaj dalej. Jedź do Lydii. Zażądaj, żeby powiedziała ci prawdę.

Wepchnęła swoją teczkę do szafki, zgasila latarkę, wsunęła szufladę i zamknęła ją na klucz, podobnie jak biurko. Nie chciała, żeby jej ojciec się zorientował, że poznała prawdę. Najpierw musi zobaczyć swoją córkę, porozmawiać z nią, zdecydować o dalszym postępowaniu. Gdyby sędzia dowiedział się, że Shelby ustaliła miejsce pobytu Elizabeth, mógłby znowu sabotować jej wysiłki.

- Drań - mruknęła, okrążając biurko ojca, podczas gdy jej oczy przywykały do ciemności.

Nie mogła narażać się na ryzyko przyłapania. Nie teraz.

Usłyszała trzaskanie drzwi.

- Niech to diabli wezmą! - szepnęła.

Zdenerwowana, wybiegła z biura sędziego i skierowała się do tylnych drzwi, przez które weszła. W oknie naprzeciwko parkingu widać było blask reflektorów.

Uświadomiła sobie, że ta droga odwrotu została odcięta, i to ją trochę podłamało. Zerkając przez rolety, rozpoznała mercedesa ojca. Wóz zatrzymał się blisko ogrodzenia. Nie! Co on tutaj robi? Przecież Lydia powiedziała, że całą noc będzie poza miastem.

Mimo zdenerwowania Shelby zrozumiała, że musi zaryzykować i uciekać frontowymi drzwiami, bo inaczej czeka ją konfrontacja z ojcem. I wtedy ktoś przekreślił gałkę w drzwiach naprzeciwko, a potem rozległo się stanowcze pukanie.

A więc sędzia nie przyjechał tu tylko po to, żeby coś zabrać albo przeprowadzić późną rozmowę telefoniczną czy popracować w ciszy. Nie, on tu się z kimś umówił. To nie była dobra pora na grę w otwarte karty.

Niewiele myśląc, Shelby schowała się do dużej szafy i przycisnęła drogocenną teczkę do piersi. W szafie było ciasno. Prawie dotykała ramionami półek z papierami i artykułami biurowymi, a temperatura sięgała chyba miliona stopni. Pot ściekał jej po czole, kiedy usłyszała, że ktoś otwiera tylne drzwi.

- Co jest, do pioruna? - zabrzmiał tubalny głos ojca. - Wynalazek przygłupa. - Ktoś minął recepcję, stawiając ciężkie, nierówne kroki, w odpowiedzi na walenie do drzwi. Shelby usłyszała szcęk otwieranych zamków, a potem zobaczyła światło pod drzwiami. - A więc przyjechałeś.

- Czekałem na pana.

Nevada? O Boże. Nevada umówił się na spotkanie z jej ojcem? Shelby nie mogła i nie chciała w to uwierzyć.

- O czym chciał pan ze mną rozmawiać? - zapytał Nevada.

- Nie wchodziłeś jeszcze do środka?

Chwila ciszy.

- Drzwi były zamknięte na klucz, sędzio. Właśnie mnie pan wpuścił.

Przez moment obaj milczeli.

- Nie widziałeś, żeby ktoś wchodził albo wychodził?

- Dopiero przyjechałem.

Shelby umierała w sensie psychicznym. Jej ojciec jakimś sposobem zorientował się, że ona gdzieś tu jest.

- Cholerna Etta - burknął sędzia. - Nie ma dość rozumu, żeby zamknąć te przeklęte tylne drzwi na klucz albo włączyć głupi alarm. Po co mieć system ochrony, jeśli się go nawet nie włącza?

Serce Shelby łomotało. Spoczone dłonie swędziały. W każdej chwili ojciec mógł otworzyć drzwi szafy, włączyć światło i ją zdemaskować.

No i co z tego? Włamanie jest niczym w porównaniu z jego przestępstwami: fałszowaniem kartotek, oszustwem, kidnapingiem i tego typu rzeczami.

- No, więc o czym chciał pan ze mną porozmawiać? - powtórzył pytanie Nevada. - Wspominał pan coś o Shelby i

McCallumie.

O Boże. Shelby zacisnęła szczęki tak mocno, że aż poczuła ból.

- Wejdz do mojego biura. Tam można usiąść.

Nie! Jeśli się przeniosą, nie będzie ich słyszała. Niestety, oddalające się kroki uprzytomniły jej, że tak się właśnie stało.

To była jej szansa ucieczki. Zaczekała parę sekund, a potem uchyliła drzwi szafy. W pomieszczeniu było bardzo jasno. Biurko Etty Parsons, na którym stał wazon ze stokrotkami i zdjęcia jej wnuków, świecił się jak choinka bożonarodzeniowa. Shelby zerknęła przez szczelinę w drzwiach i zobaczyła tył głowy i barki Nevady. Naprzeciwko niego siedział sędzia. Miał doskonały widok na recepcję.

Była zatem uwięziona w pułapce, chyba że postanowi się ujawnić.

- Wiem, że wsadziłeś McCalluma do więzienia - oznajmił sędzia zaskakująco wyraźnym głosem.

Serce Shelby na moment przestało bić.

- Dowody wskazywały na jego winę.

- Czyżby? A co tam, to przecież nie ma znaczenia, prawda? Obaj wiemy, że dostał to, na co zasłużył.

- On zabił Estevana.

- Na pewno? - Długa cisza. Shelby pociła się jak mysz. Zauważyła, że żyły na karku Nevady nabrzmiewają. - Tego nie wiemy, ale wiemy, że zgwałcił Shelby, i za to dostał to, co mu się należało. Albo i więcej.

O co właściwie chodzi? Shelby miętoszyła tęczkę w palcach.

- Właśnie dlatego wsadziłeś McCalluma. Dowiedziałeś się o gwałcie i wdałeś się w bójkę z nim. Obaj wylądowaliście w szpitalu i kosztowało cię to częściową utratę wzroku. Ale to ci nie wystarczyło. W nocy morderstwa Estevana jakoś udało ci się wykombinować, że Ross będzie w twoim wozie, a ty stwierdzisz, że wóz został skradziony. Zaginał twój pistolet. Estevana zastrzelono z broni tego samego modelu i kalibru.

- I myśli pan, że ja to zrobiłem.

- Możliwe.

- Po co?

- Dla wygody. Żeby zrobić Rossa. Poza tym Estevan był wrednym, zarozumiałym kutasem, który bił swoją żonę. Ty byłeś w pewnym momencie związany z Viancą.

Shelby poczuła się okropnie. Czy to wszystko było możliwe? Czyżby Nevada naginał prawo tak samo jak jej ojciec? I wszystko to z powodu gwałtu?

- Bzdury.

- Domysł.

- Najważniejsze jest to, że Ross McCallum zabił Estevana - odparł Nevada. - Ja tego nie ustawiałem, sędzio. Takie gry są pańską specjalnością, nie moją.

- No cóż, przekonamy się, prawda? W Biurze Szeryfa doszło do przecieku i już słyszałem pogłoskę, że narzędzie zbrodni się odnalazło.

Nevada nawet nie drgnął.

- Ta trzydziestkaósemka?

- Twoja trzydziestkaósemka. Była zarejestrowana na ciebie. Znaleziono ją w skalnym kamieniołomie, na działce Adamsów, która teraz należy do ciebie.

- Chwileczkę... Ta broń była w kamieniołomie? - Nevada wydawał się zaskoczony.

- W jaskini albo szybie górniczym. - Sędzia pochylił się do przodu. Serce Shelby biło teraz jak tam-tam. - To twój pistolet, został znaleziony na terenie twojej posiadłości, ma twoje odciski palców i już dowiedziono, że to z niego pochodziły kule, które zabiły Ramóna Estevana.

- Naprawdę?

- Prokurator okręgowy domaga się aresztowania, a ty nie masz alibi.

- Ani motywu. - Nevada wstał. - Jak już powiedziałem, sędzio, nie zabiłem Ramóna Estevana. Domyślam się, że McCallum to zrobił i wyszedł z przyczyn proceduralnych, ponieważ ktoś zapłacił Calebowi Swaggertowi, żeby go wrobił.

Jej ojciec? Jej ojciec przekupił świadka? Shelby kręciło się w głowie od tych rewelacji.

- Ktoś przyszedł z pięcioma tysiącami dolarów do tego starego człowieka. Myślę, że to był pan.

Jej ojciec wpatrywał się groźnie w Nevadę.

- Możesz sobie myśleć choćby do końca świata.

- A sędzia, który posłał McCalluma do mamra, był pańskim starym partnerem od golfa, nieprawdaż? - Nevada wstał i pochylił się nad biurkiem, tak że dzins opinał jego pośladki. - Pociąga pan za tyle sznurków w tym mieście, sędzio, że nie wszystkie dają się wyprostować. Pan jest jak przeklęty lalkarz, który spletał sznurki wszystkim swoim marionetkom. - Dotknął jego piersi wyciągniętym palcem. - Ja nie zabiłem Ramóna Estevana i obaj o tym wiemy.

- Ktoś to zrobił.

- Może to był pan - oskarżył go Nevada. - Teraz proszę przejść do rzeczy. Dlaczego, do diabła, uważał pan, że

nasze spotkanie jest takie ważne?

- Chcę, żebyś zostawił moją córkę w spokoju.

Nevada się najeżył. Shelby przeszył gniew.

- Dlaczego?

- Ona nie chce, żebyś komplikował jej życie.

Nevada ani drgnął. Shelby słyszała tykanie budzika i dudnienie własnego serca.

- Zaraz, zaraz - powiedział wreszcie i opadł na krzesło. - Pan się na mnie uwziął wiele lat temu, sędzio. Zawsze pan twierdził, że to dlatego, że jako dzieciak byłem na bakier z prawem. Ale ja zawsze czułem, że chodzi o coś więcej, o coś, czego pan nigdy nie przyznał.

- Ja tylko chcę tego, co najlepsze dla mojej córki.

- Według pana. - Nevada wyciągnął się na krzesło, kładąc but na kolanie drugiej nogi. - Podejrzewam, że to ma głębsze przyczyny.

Sędzia odwrócił wzrok.

- O co chodzi, Red? Dlaczego tak bardzo mnie pan nienawidzi? - zapytał Nevada i Shelby poczuła, że nie da się oddychać powietrzem w szafie. Jej nerwy były tak napięte jak struny gitary, które zaraz pękną. - Dlaczego nie daje mi spokoju podejrzenie, że pańska awersja ma coś wspólnego z moją matką?

Twarz sędziego poszarzała. Shelby z trudem trzymała się na nogach.

- Niech mi pan nie mówi, że miał pan romans z moją starą?

- Nie! - Sędzia wyrzwał pięścią w biurko.

Shelby aż podskoczyła.

Nevada nawet nie drgnął.

- No, więc o co chodzi, do diabła?

Sędzia przez długą chwilę wpatrywał się w swoją pięść, a potem powoli przeniósł wzrok na twarz Nevady.

- Jeśli ci powiem, musisz obiecać, że zostawisz Shelby w spokoju.

- Tego nie mogę zrobić.

- Jasne, że możesz, ty Metysie, nieudaczniku. Bo bez względu na to, co o tobie myślę, wiem, że chcesz tego, co najlepsze dla Shelby, a ty nie jesteś tym czymś. Jesteś przeklętym, narwanym synem indiańskiej dziwki i pijaka, który nie umiał trzymać łap z dala od kobiet, nawet tych, którym nie dorastał do pięt.

Shelby się nie poruszyła. Nie była w stanie.

- To znaczy?

- Od mojej żony, ty łajdaku! - wybuchnął sędzia. - Jak myślisz, do diabła, dlaczego odebrała sobie życie? Bo miałem romans z Nell Hart? Bo spółdziłem nieślubne dziecko? Nie, do cholery. Ona odpłaciła mi pięknym za nadobne. Z twoim ojcem.

Shelby czuła dudnienie w uszach, świat wymykał jej się spod kontroli, a nogi nagle zamieniły się w galaretę. Usiłowała zebrać te informacje w spójną całość. Czyżby jej ojciec twierdził, że Nevada jest jej przyrodnim bratem? Że - och Boże - jej ojcem był... Poczowała piekący ból w żołądku. Jakoś udało jej się nie zwymiotować.

- Właśnie po tym wszystkim, kiedy Jasmine uświadomiła sobie, co zrobiła, umarła.

- Zabiła się - poprawił go Nevada i sędzia nic nie odpowiedział. - Ty przebiegły draniu. - Nevada poderwał się i popatrzył na sędziego zapalczywymi, pełnymi nienawiści oczami. Sięgnął do jego gardła, ale zacisnął ręce w powietrzu. - Łzesz.

- Chciałbym kłamać - odparł sędzia, zwiesiwszy ramiona. Sięgnął do szuflady biurka i wyjął buteleczkę z alkoholem - Ale nie wezwałem cię tutaj, żeby o tym wszystkim mówić. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że musisz się jakoś zabezpieczyć. Jeśli się nie mylę, postawią ci zarzut zamordowania Estevana.

- A panu na tym zależy? - wycedził Nevada.

- Nie, Smith. Naprawdę mam gdzieś to, co się z tobą dzieje. Chcę tylko znaleźć sposób na to, żeby McCallum wrócił do więzienia, bo tam jest jego miejsce.

- I chce pan, żebym panu w tym pomógł? - zakpił Nevada.

- Już kiedyś zgwałcił Shelby. Co go powstrzyma teraz?

- Ja - odparł Nevada, gdy tymczasem sędzia odkręcił buteleczkę z Jackiem danielsem. - Niech tylko na nią spojrzysz, a zabiję drania!

- Przez takie gadanie na pewno trafisz do więzienia.

Nevada pochylił się nad starym wrogiem.

- Niech i tak będzie. Postanowiłem spotkać się z panem tylko dlatego, że chcę się czegoś dowiedzieć o moim dziecku.

- Twoim czy McCalluma?

- Nieważne. Gdzie ona jest, sędzio? Pan wie. Pan przekupił doktora Pritcharta i zadbał o to, żeby wyjechał z miasta. Pan jakimś sposobem dotarł do wszystkich osób, które pracowały na tamtej zmianie, kiedy Shelby rodziła. Na dodatek przekazał pan Szpitalowi Naszej Matki Boskiej Bolesnej okazałą sumę, tak na wszelki wypadek, żeby nikt nie ośmielił się puścić pary z ust. Ale pora się z tego rozliczyć, sędzio. Gdzie jest to dziecko?

- Nie wiem.
- Akurat - mruknął Nevada, czując, jak napinają się wszystkie mięśnie jego ciała.
- Znalazłam ją - wydusiła Shelby. Wskoczyła z szafy i stanęła w oświetlonym gabinecie Etty. Trzy kroki wystarczyły, by ponownie znaleźć się w azylu ojca.
- Co ty tutaj robisz, u diabła? - zagrmiał sędzia.
- Dochodzę prawdy.
Sędziemu natychmiast zrzęda mina.
- Co ty tutaj robisz, u diabła? - powtórzył Nevada.
- Zbieram informacje. - Zamachała teczką Marii Ramirez, jakby to był miecz, i cisnęła ją na biurko obok ojcowskiej whisky, a potem spojrzała Nevadzie prosto w oczy. - Elizabeth wychowuje Maria Ramirez.
Sędzia się zgarbił.
- Maria jest spokrewniona z Lydią.
- Pamiętam Marię - odparł Nevada.
- Daj temu spokój, Shelby - zaklinał ją sędzia.
- Nie mogę. - Podniosła słuchawkę i podsunęła ją ojcu pod nos. - Chcesz zaszczyścić ją rozmową czy ja mam to zrobić?

- Popełniasz błąd.
- Nie sędzę.
Pełna determinacji wykręciła znajomy numer do domu Lydii.
- Będziemy teraz załatwiali tę sprawę. Właśnie dzwonię do Lydii i zamierzam odnaleźć swoje dziecko. Nie zmarnuję już ani sekundy. Co do tej hecy między moją matką a twoim ojcem, zajmijmy się nią później. Oboje już nie żyją, więc ta sprawa jest skończona, choć niewątpliwie bolesna. A co do Rossa McCalluma... uwierzcie mi, dam sobie z nim radę.
- Włamałaś się tutaj - oskarżył ją jej ojciec.
Tymczasem na drugim końcu miasta zadzwonił telefon.
- Pewno, że się włamałam, sędzio. I zrobiłabym to jeszcze raz. - Teraz to Shelby nachyliła się nad biurkiem. Pot z jej podbródka kapał do pojemnika na cygara, ale nie przejmowała się tym. Nawet tego nie zauważyła, patrząc najpierw na ojca, a potem na Nevadę. Usłyszała szcęk odbieranego telefonu.
- Choćby nie wiem co, spotkam się z moją córką.

- Ramón, nie! *Dios*, nie rób tego. Och, Ojcie Przenajświętszy...
Shep wyprostował się gwałtownie. Dotknął swego boku, gdzie zazwyczaj miał przewieszoną broń, i zaczął się zastanawiać, co on tu robi, do cholery. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jest całkiem nagi.
- Nie, nie, nie rób tego, Ramón! - Aloise krzyczała wniebogłosy i płakała w sąsiednim pokoju, a on... o kurczę, był sam, zupełnie goły w łóżku Vianki. Widocznie zasnął po całonocnych zapasach. Sypialnia wciąż pachniała dymem, potem i seksem.
Kiedy trochę oprzytomniał, zgarnął swoje ubranie, jednocześnie robiąc sobie wyrzuty. Elektroniczny budzik na stoliku pokazywał pierwszą czterdzieści pięć, z radia sączyła się łagodna hiszpańska muzyka, a w małżeńskim łóżu był tylko on. Co go napadło, że został tu z Viancą? Peggy Sue na pewno się o niego zamartwia.
Jak jej wytłumaczy... o cholera. Włożył ubranie, usłyszał, jak Vianca uspokaja matkę swoim jedwabistym głosem, a stara kobieta nic sobie z niej nie robi. Była wytrącona z równowagi; w chaotycznych strzępkach rozmów i modlitw ciągle przewijało się imię jej męża.
Shep znalazł swoją koszulę - leżała pognieciona na biurku. Co on sobie myślał? Jego wóz stał przed domem, a on oddawał się pieprzeniu, podczas gdy Peggy Sue nawet nie mogła się wyspać i pewno była na nogach już od świtu, walcząc z porannymi mdłościami i z dziećmiakami.
Okazał się głupcem. Co do tego nie miał wątpliwości. Marzyło mu się, że zostanie następnym szeryfem, szykował się na bohatera śledztwa w sprawie Estevana i był gotów to wszystko zaprzepaścić dla jednego szybkiego numerka.

Dopiął koszulę, gdy jęki ustały i do pokoju weszła Vianca, ubrana tylko w czerwony szlafrok. Stanęła, widząc, co robi Shep.

- Wychodzisz?
- Muszę.
- Ale jest jeszcze wcześniej.
- Nie, Vianca, jest późno.
Wydeła wargi, już nie tak błyszczące, a ciemne od tuszu oczy milcząco oskarżały go, że ją wykorzystał.
- Chcę, żebyś mnie przytuliła - powiedziała, wzdychając z nadąsaną miną.
- Tylko na chwilę. - Otworzył ramiona i przyciągnął ją do siebie. Westchnął, wtulony w jej włosy, i ubolewał nad tym, że jest nie tak, jakby mogło być. Gdyby był młodszy o dwadzieścia lat, gdyby nie miał tylu dzieci i jeszcze jednego w drodze, gdyby nie poślubił dobrej kobiety, która mu ufała, gdyby już został wybrany na szeryfa...

Pocałował Viancę w czoło. - Muszę już iść.

- Wrócisz?

Zawahał się i zobaczył, że w jej oczach pojawiają się łzy.

- Oczywiście, że wrócę - powiedział, ale ona się nie uśmiechnęła, a jej ciemne, podejrzliwe oczy zdawały się przeszywać jego duszę na wylot.

Przeniósł buty na frontowe schody i wyszedł na dwór; powietrze było ciepłe, lepkie i gęste jak miód. W połowie drogi usłyszał, że Vianca zamyka za nim drzwi. Na razie musiał przestać o niej myśleć. Zeznanie Vianki, że widziała Nevadę samego w sklepie tej nocy, kiedy zamordowano Ramóna Estevana, a także w szpitalu w dniu, w którym zmarł Caleb Swaggert, wystarczyło Shepowi, żeby przyskrzynieć Smitha.

Musiał dopilnować paru szczegółów, napisać raport, osobiście porozmawiać z prokuratorem okręgowym, a potem, jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, aresztować Nevadę i przedstawić mu zarzuty.

Kiedy przechodził przez ulicę, ogarnęły go wątpliwości, a nawet wyrzuty sumienia. To wszystko układało się zbyt łatwo i z daleka załatwiał wrabianiem. Dlaczego wszystkie elementy tej zagadki ułożyły się akurat teraz, po tak długim czasie?

Otworzył drzwi wozu i wsiadł do środka. Nie lubił Nevady Smitha, nigdy go nie lubił. Smith był zbyt zarozumiały i arogancki, jak na syna dziwki i pijaka. Ale Shep nie widział w nim kogoś, kto mógłby zamordować z zimną krwią.

Nie takie rzeczy się działy, pomyślał, uruchamiając silnik dodge'a. Miał robotę do wykonania i nie zamierzał się wycofywać. Jeżeli Nevada jest niewinny, to będzie miał szansę to udowodnić.

Shep nie bardzo wierzył w zasadę domniemanej niewinności. To prawo było zbyt wygodne i nadużywane zbyt często przez litościwych liberałów, którzy nie musieli na co dzień toczyć bojów z przestępcami. Niech człowiek udowadnia, że jest niewinny, a nie na odwrót. W każdym razie taka procedura wydawała się Shepowi o wiele prostsza. Znalazł puszkę z piwem Copenhagen, wziął łyżeczek na działo i ruszył z krawężnika. Po raz ostatni spojrzął na dom Estevanów i się uśmiechnął. Vianca stała w oknie i patrzyła na niego tak, jakby nie mogła się już doczekać następnego spotkania.

Przez chwilę czuł dumę i nie pamiętał o winie względem Peggy Sue i dzieciaków. Ujeżdżał Viancę jak ogier. Nic dziwnego, że chciała jeszcze.

Katrina przetarła oczy. Była diabelnie zmęczona. Bolały ją plecy i szyja od leżenia na nierównym materacu i nie miała pojęcia, kiedy w końcu uda jej się porządnie wyspać w tym zapchlonym motelu. Nie mówiąc już o tym, że łóżko, wyposażone w opcję „magiczne palce”, za jedyne ćwierć dolara miało jej zapewnić masaż. Nie mogła się doczekać wyprowadzki z tego miejsca.

Pomyślała o rezydencji sędziego, domu jej ojca, ze starannie przystrzyżonymi trawnikami, kafelkami na podłogach, lśniącem basenie, drogich meblach i dziełach sztuki. Żałosne. Podczas gdy jej przyrodnia siostra dorastała w luksusie, Katrina wychowywała się w dwupokojowym bungalowu w malutkim miasteczku blisko granicy z Oklahomą. Mieli dość pieniędzy, by jakoś przeżyć, ale ich styl życia bardzo, ale to bardzo różnił się od wspaniałego losu Shelby Cole.

Katrina dobrze się przygotowała do reportażu. Shelby była rozpieszczona. Jej przekłety koń - Appaloosa - na którym Shelby jeździła jako dziecko - był wart więcej niż chevrolet matki Katriny. A jej mały samochód... Porsche. Cholera.

Wstała i się przeciągnęła. Zerknęła przez żaluzje na neon motelu Well Come Inn i zmarszczyła brwi na widok pierwszych promieni szarawego światła na wschodnim niebie. Życie nie jest sprawiedliwe, ale to się wkrótce zmieni, i to radykalnie.

Materiał dla „Lone Star” był tylko czubkiem góry lodowej. Zamierzała napisać książkę, swego rodzaju exposé na temat sędziego Cole'a, które wzbudzi ciekawość każdej liczącej się osoby w Teksasie. W szafie starego człowieka było dostatecznie dużo szkieletów, żeby stworzyć pikantne dzieło.

Odwróciła się od okna.

Jako jedyna załatwiła wywiad z Calebem Swaggertem, a teraz wysłuchiwała wersji Rossa McCalluma, który przysięgał, że został wrobiony, i to przez sędziego.

- Nieładnie, tatko, nieładnie - mruknęła, kręcąc głową i zastanawiając się, czy nie powinna się zdrzemnąć, a dopiero potem wrócić do pracy.

Poprzedniej nocy spała tylko kilka godzin, serwując sobie duże ilości kawy. Dowiadywała się coraz więcej o przeszłości, a obywatele Bad Luck, przeważnie straszni prowincjusze, zaczęli się do niej przyzwyczajać. W myśl zasady, że cel uświęca środki, powróciła nawet do tego okropnego, przeciągłego akcentu, którego tak usilnie pozbywała się w college'u. Ale tutaj ten sposób mówienia pasował. Tak samo jak czarne stetsony na łysiejącej głowie sędziego.

- Drań - burknęła cicho. Zastanawiała się, kiedy zadzwoni do niej Ross McCallum. A on był jak wąż z ostrymi zębami i zwiniętym cielskiem, gotowy w każdej chwili przypuścić atak. Ale go potrzebowała. To on stanowił klucz do zagadki śmierci Estevana. Była tego pewna. Jeżeli Ross wkrótce nie zadzwoni, będzie musiała wepchnąć swój

mały pistolet do torebki i rozejrzeć się za nim.

Ta myśl ją zmroziła. Prawda była taka, że Katrina nie lubiła zadawać się z McCallumem. On był uosobieniem zła. Ale postanowiła sobie, że przezwycięży strach i zrobi wszystko, co konieczne.

Wróciła do stojącego na kiczowatym stole laptopa. Właśnie zaczynała przetwarzać treść swoich notatek, żeby mogły się stać kanwą krótkiej historii o egomanii pewnego teksańskiego sędziego, który już wkrótce będzie żałował dnia, w którym odciął się od swojej nieślubnej córki. A Shelby - może nie ponosiła winy za to, że była rozpieszczoną księżniczką, ale spójrzmy prawdzie w oczy: ta dziewczyna to idiotka. Jak ktoś w jej wieku i w tych czasach mógł zająć w ciążę i uwierzyć, że dziecko zmarło? Kretynka. Shelby miała świat na wyciągnięcie ręki i nawet o tym nie wiedziała. Z tego, co ustaliła Katrina, Shelby rozpoczęła samodzielne życie gdzieś na północnym zachodzie. Boże, dlaczego? Przecież wszystko, czego mogła chcieć, to wszystko znajdowało się tutaj. Nie dość, że w przyszłości odziedziczy nieograniczone bogactwo, to jeszcze ma kochającego ojca.

Ze wzruszenia Katrina przełknęła ślinę i zamrugowała. Nie będzie płakać, do diabła. Podniosła szklankę, wysączyła resztki mountain dew i schrupała kilka topniejących kostek lodu. Jerome Cole był debil, który ani trochę nie zadbał o swoje drugie dziecko. Ukrył też własną wnuczkę przed jej matką, zasłużył więc na wszystko, co go spotkało.

Katrina miała tylko nadzieję, że to od niej sędzia otrzyma to, na co zasłużył.

Ross wyrzucił pustą szklankę w kontuar. Tłum w White Horse znacznie się przerzedził. Zostało tu tylko kilku starych pijaków, ale plotka, która zainspirowała większość rozmów, wciąż robiła mu zamęt w głowie. Chodziło o reporterkę, sędziego i Shelby Cole. Snuto domysły, że Katrina jest nieślubnym dzieckiem i że przyjechała tutaj, żeby załatwić własne sprawy.

Śmieszne, ale nie wspomniała mu o tym, kiedy ucieli krótką pogawędkę poprzedniego wieczoru. Może nadeszła pora, żeby złożyć jej wizytę. Ale przede wszystkim liczyły się jego cele - mała gra, w którą uwielbiał grać.

Dał znak Lucy, a ona uśmiechnęła się lekko. Ona zawsze go lubiła. Dzisiaj wyglądała nieszczególnie. Zlizwała szminkę i miała nieumalowane oczy. Przecierała kontuar. Ross wręczył jej dwadzieścia dolarów za cztery wypite przez siebie piwa. Szybko wydała mu resztę, a on zostawił jej przywoity napiwek, zgarniając monety do kieszeni.

- Powiedz ode mnie „cześć” swojej siostrze, jak się z nią zobaczysz - powiedziała Lucy, a Ross wymamrotał, że to zrobi.

Kłamał. Oboje o tym wiedzieli. Nie lubił Mary Beth, i to z wzajemnością. Trzymali się razem wyłącznie dlatego, że w dzieciństwie mieli tylko siebie. Połączyła ich praca na roli u dziadka, który zasypywał ich cytatami z Biblii równie często jak uderzeniami paska. Wtedy ze strachu przytulali się do siebie. Aż pewnego dnia Ross zauważył, że Mary Beth rosą piersi. Pocałował ją i wsadził rękę do jej majtek, kiedy miała dwanaście lat. Mary Beth krzyczała jak opętana. Dziadek omal nie zatłukł go na śmierć, a potem zabrał malca do rowu irygacyjnego, gdzie omal nie utopił Rossa na oczach ich psa.

Wpychał głowę Rossa pod wodę, aż piekły go płuca; gdy udawało mu się zaczerpnąć powietrza, dziadek znowu przytrzymał go pod wodą.

- Wynijdz, szatanie! - wrzeszczał. - Odstąp od mojego wnuka! - Przetykając ciepłą, zatechłą wodę, Ross wyciągnięty na powierzchnię, kaszlał i spluwał. Dziadek dawał mu spojrzeć na niebo na parę sekund, a potem znów pakował mu głowę do rowu. Trwało to chyba w nieskończoność, aż Ross stracił przytomność i obudził się na swoim łóżku, z gorączką, a babka opiekowała się nim w milczeniu, spoglądając na niego ponuro podkrążonymi oczami.

- Zostaw swoją siostrę w spokoju, bo cię rozbiorę i wrzucę do gniazda skorpionów - ostrzegał go później dziadek, smarując chleb domowego wypieku masłem i polewając go miodem. Generał McCallum nosił szkła bez oprawek, trochę łysiał i brakowało mu kilku zębów. Był jednak dobrze zbudowanym mężczyzną i nikt, ani żona, ani dzieci, ani wnuki, nie ośmieliłby się podnieść na niego głosu. Jego słowo było najważniejsze. - Ja nie żartuję.

Ross nie miał powodu, żeby mu nie wierzyć.

Już nigdy nie tknął Mary Beth.

Odtąd zachowywał się ostrożniej, a jego seksualne fantazje dotyczące siostry przeniosły się na inne dziewczyny. Pierwszy raz odbył stosunek w wieku piętnastu lat. Nic nadzwyczajnego. Dziewczyna miała siedemnaście lat i była napalona. Żadnego wyzwania, a Ross lubił wyzwania. Im bardziej kobieta się opierała, tym bardziej na nią napierał. Za pomocą obietnic, których nigdy nie zamierzał dotrzymywać, i muskularnej sylwetki zazwyczaj dostawał to, czego chciał.

Aż do chwili, kiedy poznał Shelby.

Była jedyną kobietą, wobec której użył przemocy. I myślał później, że to jej się podobało. W przeciwnym razie powiedziałyby przecież o wszystkim swojemu ojcu i Ross miałby nie lada kłopoty. Ross podejrzewał, że Shelby lubi ostry seks.

Teraz pchnął ramieniem drzwi i wyszedł na dwór. Powietrze było lepkie i ciężkie, a noc równie mroczna jak jego nastrój. Znowu pomyślał o Shelby. Chętnie oddałby ostatnie pieniądze, żeby ją dorwać sam na sam. Pamiętał gwałt bardzo dobrze, raz po raz odtwarzał jego szczegóły, kiedy leżał na pryczy w swojej celi przez tych osiem długich,

samotnych lat, które spędził za kratkami. Wmawiał sobie, że właśnie tego chciała, że opierała mu się tylko dlatego, że miała jakieś seksualne zahamowania. Następnym razem będzie go prosić.

Podszedł do swojego gruchota, którego zaparkował tuż za rogiem. Wsiadł i zmarszczył czoło. Kiedy dostanie trochę pieniędzy z magazynu, kupi sobie nową furgonetkę i strzelbę, nawet na czarnym rynku. Nie bardzo wiedział, co prawo mówi o posiadaniu broni przez osoby z wyrokiem. No, ale on nie był prawdziwym skazańcem - przecież posłali go do więzienia na podstawie wyssanych z palca zarzutów.

Ale na wszelki wypadek sprawi sobie broń w którejś z tych reklamujących się firm. I jeszcze psa. Zmieni samochód. Kupi najbardziej odlotowe koła, na jakie będzie go stać.

I tym czy innym sposobem dorwie Shelby jeszcze raz. To jest mu pisane.

Uruchomił zapłon w swoim wozie i włączył radio. Nic. Cholera. Walnął pięścią w tablicę rozdzielczą, aż kapryśne głośniki ożyły z trzaskiem, a potem ruszył spod krawężnika. John Cougar Mellencamp śpiewał energicznie:

Urodziłem się w małym miasteczku...

- Wiem, o czym mówisz, koleś.

Ross zauważył po drodze aptekę i sklep z paszami. Bad Luck to chyba największa dziura na świecie. Splunął przez okno i pojechał na skraj miasta, do automatu telefonicznego, z którego jeszcze nie korzystał. Budka stała obok opuszczonego budynku, w którym kiedyś mieścił się posterunek dróżnika. W każdym razie znajdowała się z dala od wścibskich oczu i wydawała się bezpieczna. Wyłączył radio w chwili, gdy stary John zaczął zawodzić o życiu, strachu przed Jezusem i umieraniu w małej mieścinie.

Czy nie to właśnie przytrafiło się Calebowi? Odnalazł Jezusa, a potem umarł. Ale Ross nie sądził, by stary zgred trafił do nieba. O, nie. Caleb smażył się pewnie w piekle. I dobrze. Świetnie. Zasłużył sobie na taki los, bo jego bezczelne kłamstwo pomogło zapuszkować Rossa.

I tak łatwo było go zabić. Ross wszedł na salę, kiedy Caleb spał i nikt nie zwracał na niego uwagi. Przycisnął poduszką twarz i patrzył, jak starzec żałośnie wymachuje chudymi rękami i nogami, aż w końcu przestaje oddychać.

Ten gość powinien mu podziękować. Ross uważał, że zaoszczędził Calebowi mnóstwo bólu i cierpienia. Ani chemoterapia, ani operacja, ani naświetlenia nie mogły go uratować, więc Ross tylko pomógł mu umrzeć. I to było przyjemne. Bardzo przyjemne.

Poczułby się jeszcze lepiej, gdyby mógł zrobić to samo Ruby Dee i Nevadzie Smithowi. Nikczemnicy zasługiwali na śmierć po tym, jak go wrobili.

Cicho pogwizdując refren Smali Town, Ross przejechał przez przekrzywioną bramę i zaparkował wóz za pustym, metalowym barakiem, z dala od ulicy. Wysiadł z samochodu. Było tu ciemno. Tylko w budce telefonicznej paliło się światło. Ross podszedł do niej. W kieszeni brzęczały mu drobne. Szybko wystukał numer, odwrócił się plecami do ulicy i czekał na połączenie. Nie potrafił się nie uśmiechać, bo nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak działanie na nerwy Nevadzie Smithowi.

Jeden dzwonek.

Drugi dzwonek.

Trzeci dzwonek.

Cholera, czy ten facet zasnął? A może nie żyje?

Albo posuwa Shelby?

Ross natychmiast przestał się uśmiechać. Stracił rachubę dzwonek, a kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, nawet nie odsłuchał wstępu, tylko odwiesił słuchawkę i pluł sobie w brodę, że stracił trzydzieści pięć centów.

Nie mógł spokojnie myśleć o Smisie z Shelby Cole. Coś ścisnęło mu żołądek i postanowił sobie, że już dość uników, głuchych telefonów, zabaw z Shelby.

Nie. Pora znowu ją zobaczyć.

I to on będzie ustalał warunki.

Rozdział 18

To ty mi przysłałaś to zdjęcie - stwierdziła Shelby, patrząc na gospozię zupełnie innymi oczami. Wraz z Lydią i sędzią siedziała przy stoliku na patio, blisko basenu na terenie posiadłości Cole'a. Nevada stał oparty o ścianę; był sztywny i z ponurą miną wpatrywał się w nalaną twarz Cole'a.

- *Si, niña.* - Lydia powoli skinęła głową i zaciągnęła się papierosem. Smuga dymu uleciała ku niebu. Świt zbliżał się szybko. Ptaki już wyśpiewywały poranne piosenki, a na gładkiej tafli basenu tańczyły pierwsze promienie słońca. - Przesłałam je. *Si.* I skłamałam. - Lydia spuściła na chwilę oczy, ale potem powoli uniosła podbródek w niemal prowokacyjnym geście. Zobaczyła cichy wyrzut w oczach swojego chlebobdawcy i zwróciła się bezpośrednio do niego. - I zrobiłabym to jeszcze raz. To nie było w porządku, że Shelby nie wiedziała o Isabelli... Elizabeth. To przecież jej córka.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - zapytała Shelby wciąż oszołomiona tym, że miejsce, które niegdyś nazywała rodzinnym domem, oplatała, niczym pajęczyna, sieć intryg i kłamstw.

- Ja ją o to poprosiłem - przyznał sędzia, ale widząc gniewne spojrzenie Lydii, sprostował: - Właściwie to zagroziłem jej, że jeśli nie zachowa milczenia...

- Zagroziłeś jej? - powtórzyła Shelby i spostrzegła błysk w ciemnych oczach Lydii.

- Deportacją? - zgadywał Nevada.

Lydia ściągnęła usta. Ostatni raz zaciągnęła się dymem, a potem zgasiła papierosa w popielniczce.

- Ja... ja nie martwiłam się o siebie, ale o Carlę, Pabla, dzieciaki i... - Wzruszyła ramionami. - I o Isabellę. Oni wszyscy by ucierpieli.

- Dopuszcilibyś do deportacji swojej wnuczki? - Shelby zrobiło się niedobrze. Tego było już naprawdę za wiele. Wstrząśnięta, odepchnęła krzesło i nawet nie spojrzała na ojca. - Co z ciebie za potwór?

- Chory potwór. - Lydia w końcu się wyprostowała, wstała i zaniósła popielniczkę do kuchni. - Niech pan jej powie - rzuciła przez ramię. - Ona ma prawo wiedzieć. Jest pana *hija*, pana córką. Zasluguje na to, żeby znać prawdę. Dość już sekretów. Naprawdę dość. Ja... nie mam siły, żeby sobie z nimi radzić.

- O czym ona mówi? - zapytała Shelby, chociaż zaczynała rozumieć, o co chodzi. Sędzia wydawał się stary. Zmęczony. Czy już wcześniej coś nie obito jej się o uszy na temat jego zdrowia? Czy nie podsłuchiwała rozmowy Lydii i sędziego?

- Do diabła, mam raka, Shelby. Nie takiego samego jak Caleb Swaggert, ale też kończy się śmiercią. - Machnął ręką, zanim zdążyła zadać pytanie. - Prostata. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. - Oparł się o krzesło; worki pod jego oczami były wyraźniejsze niż zazwyczaj. - Lekarze dają mi rok... może dwa lata, ale to maksimum.

Shelby miała wrażenie, że zapada się fundament jej świata.

- Nie... nie wierzę. Tyle jest dzisiaj metod leczenia. - Spojrzała na Nevadę, ale on tylko wzruszył ramionami. Śmierć jej ojca? Brała już pod uwagę taką ewentualność, ale nigdy nie myślała, że utraci człowieka, który traktował ją brutalnie i manipulował jej życiem, odkąd tylko sięgała pamięcią.

- Pogódź się z tym, Shelby - powiedział wolno Jerome. - Ja już się pogodziłem. Gdyby nie ściągnęła cię tu Lydia, w końcu bym cię do siebie wezwał. Wiesz, że odziedziczysz wszystko, co mam. Ranczo, szyby naftowe, ten dom i...

- Nie - przerwała mu schrypniętym, pełnym emocji głosem. - Nie chcę tego słuchać. Nie teraz. Nie w dniu, kiedy wreszcie mam się spotkać z córką, o której powiedziałaś mi, że umarła, z córką, którą przede mną ukrywałeś. Dobrze? Nie umiem się pogodzić z tym, że kiedy w końcu mam poznać moją córkę, okazuje się, że ty... jesteś umierającą. - Serce biło jej mocno, do oczu napłynęły piekące łzy gniewu.

- Będziesz musiała stawić czoło wielu problemom - powiedział sędzia, powoli wstając; jego szczękę pokrywał srebrzystosiwý zarost. Oparł się o laskę i obrzucił Nevadę zmęczonym spojrzeniem. - Ty zresztą też. Czy ci się to podoba, czy nie, zostaniesz aresztowany za zamordowanie Estevana. Prokurator okręgowy ma przeciwko tobie całkiem mocne dowody. Tak przynajmniej słyszałem. - Zmrużył swoje stare oczy. - Jesteś na to przygotowany?

- Już panu mówiłem. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Hm, może, może. Ale kto cię tam wie, czy nie kłamiesz. - Sędzia zmarszczył brwi i użył czubka laski, żeby zgnieść mrówkę, która była niemądra, bo spacerowała blisko niego na werandzie. - Tak czy owak, lepiej bądź gotowy i załatw sobie dobrego adwokata. Wiesz, w San Antonio jest pewna kobieta; zna Orrina Findleya. Ma swoją firmę. Stahancyk, tak się nazywa. Jest bardzo wysoka, ma jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu... i nie uwierzyłbyś, jaki ma niewyparzony język. Ona nikomu nie ułatwia życia i niczego się nie boi. Prokurator okręgowy ma przed nią wielkiego stracha. Ona i ten jej partner... och, do diabła, jak on się nazywa... - Pstryknął palcami i pokręcił głową. - Joe albo John Crawford, nie pamiętam. On z kolei jest malutki i wiecznie uśmiechnięty. Wygląda niewinnie, ale potrafi zachować się jak twardziel. Powiem ci, że tych dwoje tworzy świetny zespół. Mógłbym ich namówić, żeby ciebie bronili.

Wyraz twarzy Nevady się nie zmienił.

- Niech pan nie robi sobie kłopotu.

- Stahancyk i Crawford. Oni są ponoć najlepsi.

- Nieważne. Teraz mam poznać moją córkę.

- Ha. - Sędzia zaczął iść w stronę domu. - Chcesz powiedzieć, córkę Shelby. - Nie czekał na reakcję, tylko poszedł prosto do kuchni. - Co człowiek musi zrobić, żeby dostać filiżankę świeżej kawy? - zapytał Lydię i serce Shelby pękło na tysiąc kawałeczków. Podając nazwiska adwokatów, sędzia Jerome „Red” Cole w pewnym sensie oferował Nevadzie gałązkę oliwną. Inna sprawa, że Nevada nie potrzebował adwokatów. Shelby ani przez chwilę nie wierzyła, żeby był zdolny do morderstwa.

Drzwi zamknęły się za jej ojcem. Dobry Boże, czyżby odzyskiwała córkę, a jednocześnie traciła ojca - człowieka, którym pogardzała, choć w głębi duszy wiedziała, że starał się jak najlepiej ją zabezpieczyć? Kobieciarz, kłamca, oszust, wielki krętacz?

Starała się zdusić w sobie litość dla mężczyzny, który ją spłodził. Zbyt wiele lat próbował zniszczyć jej życie.

- Chodźmy stąd - powiedziała do Nevady, który właśnie przechodził obok donic z bujnie kwitnącymi roślinami. Samolot z Elizabeth miał wylądować na ranczu w ciągu godziny. - Ja poprowadzę.

Nevada nie spierał się z nią. Minęli różany ogród. Wsiadł do cadillaca, na fotel dla pasażera, i włożył okulary

przeciwności. Shelby ruszyła z miejsca, wzniesając obłok kurzu; jechała, nie zważając na dozwolone prędkości, pokonywała zakręty szybciej, niż nakazywały przepisy.

- Wciąż masz ciężką nogę - zauważył, kiedy wjechali na wzniesienie tuż przed zakrętem na północ, na obrzeżach miasta.

- Przestraszony? - zapytała, zerkając na niego.

- Twoją jazdą? - Uśmiechnął się rozbawiony.

- Całą tą historią z Estevanami.

- Nie boję się o siebie. - Przechylił głowę i spojrzał na nią znad okularów.

- Co? Martwisz się o mnie? - prychnęła. - No, to się nie martw. Jestem dużą dziewczynką. Daję sobie radę.

Nic na to nie odpowiedział. Odwrócił się i patrzył na okolice przez upstrzoną owadami szybę. Rozpędzony samochód mijał ciągnące się kilometrami ogrodzenie, połacie suchej trawy, sosnowe i dębowe zagajniki, pięknie rozświetlone promieniami porannego słońca. Na nawadnianych przez kanały i rozpryskiwacze łąkach pasło się bydło i konie.

Shelby czuła się tak, jakby ktoś związał jej żołądek na supełki. Kiedy skręcili na drogę prowadzącą do rancza, wybiegła myślami w najbliższą przyszłość. Co będzie, jeśli Elizabeth znienawidzi ją od pierwszego wejrzenia? Albo jeśli Maria będzie miała do niej żal. A jeśli... och, do diabła, nieważne. Jakoś uda jej się dogadać z własnym dzieckiem, ale układ z Nevada to co innego.

On może nie być biologicznym ojcem Elizabeth. Spójrz prawdzie w oczy, Shelby, ta dziewięcioletnia dziewczynka mogła zostać spłodzona przez Rossa McCalluma.

Zacisnęła palce na kierownicy. To absolutnie niemożliwe. Bóg nie byłby tak okrutny. Nie teraz, kiedy zaszła tak daleko.

Przejechała przez bramę rancza; prawie nie zwolniła, kiedy dotarła do głównego budynku i przybudówek, do miejsca, w którym dziesięć lat wcześniej dopadł ją Ross.

- A więc cały ten czas była w Galveston? - zagadnął Nevada.

- Tak. - Shelby kiwnęła głową i zmniejszyła prędkość. - Według Lydii.

- A twój ojciec kupił milczenie Lydii - uściślił Nevada, kiedy podjeżdżała pod szopę z narzędziami. - W zamian za prawo pozostania w tym kraju i pracy dla niego, Lydia i wszyscy inni, którzy wiedzieli o dziecku, musieli udawać, że Elizabeth zmarła.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Miły gość z tego twojego ojca.

- Zawsze taki był - odparła szyderczo Shelby, kiedy zatrzymała wóz i zgasiła silnik. Wsiadła z już mocno nagrzanego cadillaca i poszła cementową drogą do drzwi domu, z którego przed wielu laty wykradła kluczyki do pikapa ojca. Poranna bryza owiewała kaniony, a wokół pasło się bydło i konie. Jeb Wilkins, który dozorował pracę na ranczu, przywitał Shelby na frontowym ganku. Nigdy nie lubiła tego człowieka; pamiętała go z czasów, gdy był zwykłym robotnikiem i, wraz z Rossem McCallumem, ślinił się na jej widok, wygadywał świństwa za jej plecami i naśmiewał się z „księżniczki” sędziego. Tamtego wieczoru grał w karty z Rossem McCallumem.

Shelby lekko zacisnęła wargi.

Tego ranka Jeb był ugrzeczniejszy.

- Dzień dobry, Shelby - powiedział, obnażając w uśmiechu żółte zęby. - Jeśli chcesz, mogę podjechać z tobą do lądowiska - zaproponował.

- Nie ma potrzeby - odparła, kiedy wręczał jej kluczyki, a potem wskazała furgonetkę z ponadwymiarową szoferką.

- Jeżeli jesteś pewna...

- Całkowicie.

- Ja tylko chcę pomóc.

- Pani da sobie radę. - Nevada zmierzył mężczyznę surowym spojrzeniem.

- W porządku. W takim razie otworzę bramę. - Jeb skinął głową.

Shelby chwyciła leżące na jego wyciągniętej dłoni klucze, podeszła do dużej furgonetki i wsiadła za kierownicę. Nevada usiadł obok, na szerokiej ławie, i patrzył przez ciemne okulary na bliźniacze bruzdy prowadzące do lądowiska, podczas gdy Jeb, zgodnie z zapowiedzią, odryglował aluminiową bramkę i otworzył ją na oścież.

- Nie bądź rozczarowana, jeśli jej się nie spodobaś - powiedział Nevada, kiedy zabudowania rancza pozostały w tyle.

- Nie będę.

- Ależ na pewno będziesz. - Patrzył na otaczający ich krajobraz. Wysoko w górze krążył jastrząb.

- Wiem, że obie potrzebujemy czasu. - Pikap podskoczył na wyboistej drodze.

- Będzie ciężko.

- Dzięki za tanią psychologię - warknęła u kresu wytrzymałości.

- Polecam się na przyszłość, kochanie - odparł z tym swoim cholernym, seksownym uśmiechem na twarzy i skupił uwagę na pokrytych kurzem cielętach, ociążale stąpających obok swoich matek, które pasły się na łące albo

przeżuwały pokarm.

- Wiesz - powiedziała, wracając do bolesnego tematu, gdy tylko ich oczom ukazało się lądowisko - jak na człowieka, który może zostać oskarżony o morderstwo, nie wydajesz się specjalnie przejęty.

- Jestem dostatecznie przejęty.

- Ale...

- Ale nie zrobiłem tego, okej? - Odwrócił się do niej z zaciśniętymi ustami wyraźnie zdenerwowany. - Nie wiem, jak ta broń znalazła się u mnie. McCallum ukradł mój wóz tamtej nocy. Trzydziestkaósemka była zamknięta w schowku na rękawice. Po wypadku okazało się, że jej tam nie ma, więc albo ktoś ją wyciągnął, zanim wóz wpadł w poślizg i rąbnął w drzewo, albo pistolet zabrano później. Tak czy owak, ja go nie miałem i nie zabiłem Estevana!

- Ja to wiem - wykrztusiła.

- Dobrze. O to będziemy się martwić później. Na razie lepiej skupmy się na spotkaniu z twoją córką.

- Twoją też - zauważyła i zmniejszyła prędkość, bo furgonetka zbliżyła się do cementowego lądowiska, którego pas przebiegał wzdłuż płaskiej części rancza.

- Może. - Patrzył jej w oczy przez kilka długich, pełnych napięcia sekund. - Ale musisz brać pod uwagę fakty, Shelby. W żyłach tego dziecka może płynąć krew McCalluma. Lecz i tak pozostaje twoim dzieckiem.

- Wiem - przyznała Shelby. Czowała coraz większy chłód w sercu i nie odrywała wzroku od jego stalowoszarych oczu. Wciąż kurczowo ścisnęła kierownicę. O Boże, jakże pragnęła, żeby to było jego dziecko. - Tylko... po prostu nie mogę w to uwierzyć.

- Dziecko niczemu nie jest winne. - Chwycił jej rękę wielkimi, stwardniałymi palcami. Poczowała siłę tego uścisku i uświadomiła sobie, że nie miał na myśli tylko Elizabeth, ale także siebie. On, Metys, cierpiał ból odrzucony przez matkę, padł ofiarą okoliczności, których nie był w stanie zmienić. Bolała ją, ile musiał znieść. - No, dobrze, Shelby. - Zerknął na niebo przez przednią szybę. - Zaczynamy. Twoja córka już tu jest.

Shelby błyskawicznie odwróciła głowę. Zobaczyła samolot, a raczej małą plamkę na niebie. Poczowała ucisk w żołądku i nagle ogarnęły ją wątpliwości. Co będzie, jeśli Elizabeth ją odrzuci albo jeśli nie przypadną sobie do gustu, albo...

Nevada złapał ją za ramiona i zanim zdążyła pomyśleć, przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Ten pocałunek rozproszył wszelkie złe przeczucia. Wreszcie odrzucił do tyłu głowę.

- Powodzenia - wychrypiął, wypuszczając ją z objęć. - Dasz radę, Shelby. Wiem to. Będiesz najlepszą matką na całej kuli ziemskiej.

- Mam nadzieję - odparła, wciąż jeszcze oszołomiona jego wybuchem namiętności. Bała się, że zaraz się rozpłaczę. - Och Boże, Nevada, mam nadzieję, że chociaż ten jeden raz się nie mylisz.

- A czy ja kiedykolwiek się mylę?

- Nie. Nigdy. - Zaśmiała się nerwowo i wysiadła z wozu, gdy tymczasem letnią ciszę zakłócił warkot silników samolotu. Przysłoniwszy oczy ręką, Shelby i Nevada obserwowali, jak samolot podchodzi do lądowania. W końcu koła uderzyły o nawierzchnię i samolot zaczął hamować.

W środku było jej dziecko. Wreszcie się spotkają.

Serce podchodziło jej do gardła. Przygryzła dolną wargę. Walczyła ze łzami.

- Elizabeth - szepnęła, kiedy samolot zakończył kołowanie i zatrzymał się.

Po kilku minutach wysiadły z niego trzy osoby. Pilot pomógł Marii i chudziutkiej dziewczynce w dżinsowych szortach i kurtce zeskoczyć na ziemię.

Shelby poczuła piekące łzy w oczach. Poranny wiatr, pachnący kurzem i świeżo ściętą trawą, drażnił jej nozdrza i rozwiewał splecione, długie do ramion włosy małej.

Shelby nie protestowała, kiedy Nevada ją objął, żeby dodać otuchy. W głębi duszy powtarzała sobie, że się nie rozklej, nie uroni ani jednej łzy.

Elizabeth przywarła do Marii. Jej twarz pobladła, oczy były duże i wystraszone, a kroki niepewne. Och Boże, nie będzie łatwo.

- Witajcie - wydusiła Shelby, kiedy podeszli bliżej. Maria obejmowała ramieniem dziewczynkę, którą wychowała. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Shelby - powiedziała. - Pamiętam. - Jej wzrok spoczął na Nevadzie. - I ciebie też.

- Wszystko w porządku? - zapytał wysoki chudy pilot, który przyniósł bagaż. Choć miał ciemne okulary, widać było zniecierpliwienie, z jakim sprawdzał godzinę na zegarku. - To już cały bagaż. Jeśli czegoś jeszcze potrzebujecie, mówcie. Jeśli nie, muszę lecieć w kolejną trasę.

- Poradzimy sobie - powiedział Nevada. - Dzięki. - Uścisnął mu rękę, ale nie mógł oderwać wzroku od chudej dziewczynki, dziewięciolatki, która mogła być jego córką.

- Isabello - powiedziała Maria do Elizabeth. - To jest *señora* Cole, opowiadałam ci o niej.

Elizabeth wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Kurczowo przywarła do Marii i potrząsała głową.

- Nie - wyszeptła i Shelby pękło serce.

- Ale przecież zawsze chciałaś poznać swoją matkę.

Zrozpaczona dziewczynka wygięła wargi w podkówkę i zaczęła szlochać, szybko mówiąc po hiszpańsku.

- Nie, nie, ona jest twoją matką, ale nie... - Maria pochyliła się i przytuliła Elizabeth jeszcze mocniej, cały czas mówiąc do niej po hiszpańsku. Shelby serce się krajało i gdyby nie wsparcie Nevady, pewno ugięłyby się pod nią nogi. - No już cicho, cichutko - uspokajała Maria; Shelby w końcu wydostała się z objęć Nevady.

- Wiem, że jest ci ciężko - odezwała się do dziewczynki. Ukłękła i patrzyła dziecku w oczy. - Bardzo ciężko. Wszystkim nam jest ciężko. Ale uwierz mi, nie zrobię niczego, co mogłoby cię zboleć albo sprawić, że czułabyś się źle. Kocham cię, Elizabeth, i...

- Isabella - zapłakała dziewczynka.

- Tak, tak, Isabella. - Powoli, żeby jej nie przestraszyć, Shelby przytuliła ją. Dziewczynka była sztywna jak manekin. - Jakie imię zechcesz. Ja... - wzruszenie ścisnęło jej gardło, oddychała z trudem. - Chcę tylko, żebyś wiedziała, że za tobą tęskniłam, że kocham cię i strasznie się cieszę, że jesteś teraz tutaj. Gdybym wiedziała, gdzie byłaś, już wcześniej przyjechałabym po ciebie. Przywiozłabym cię... tutaj. - Chciała powiedzieć, że przywiozłaby ją do swojego domu, ale byli w Bad Luck, w stanie Teksas, w miejscu, którego nie uważała już za swój dom, a z pewnością nie uważała go za dom Elizabeth.

- Widzisz - Maria dodawała odwagi dziecku. - Zawsze mówiłaś, że chcesz poznać swoją mamę. - Odgarnęła jej grzywkę z oczu. Wyprostowała się i powiedziała do Shelby:

- Isabella wie, że jest... adoptowana.

- A co z moim ojcem? - zapytała Elizabeth, mrużąc oczy. Potem spojrzała w kierunku Nevady. - Gdzie on jest?

O Boże, i co teraz?

- Wkrótce go poznasz - odparła Shelby.

- Na razie ja chyba będę musiał ci wystarczyć - Nevada wyciągnął swoją dużą rękę, uściśnął małą dłoń Elizabeth i obdarzył ją jednym z tych olśniewających uśmiechów, którym trudno było się oprzeć. - Z twoim staruszkiem spotkamy się później.

- Jasne. Oczywiście. Wszystko będzie dobrze - dodała szybko Shelby. Kiedy wypuściła Elizabeth z objęć, od razu poczuła pustkę. Najchętniej przytulałaby ją cały czas i nigdy nie rozstawała z nią, ale pomyślała, że na razie najlepiej będzie działać powoli, żeby Elizabeth miała czas przywyknąć do nowej sytuacji. - No, chodź. Pojedziemy wszyscy na ranczo. Tam zmienimy samochód i wrócimy do miasta. - Zmusiła się do uśmiechu, podczas gdy Nevada wrzucał torby do furgonetki. - Będziesz mogła poznać swojego dziadka.

- *Abuelo* - uspokajała ją Maria. - Dziadek.

Elizabeth nie uśmiechnęła się, co wcale nie zdziwiło Shelby. Przecież dziewczynka nie wiedziała, że jej dziadek nie chciał mieć z nią do czynienia, a nawet twierdził, że umarła, a teraz sam miał umrzeć. Ogromne napięcie sprawiało, że Shelby oddychała z trudem, ale postanowiła, że się nie da. Takie jest życie - pełne wyzwań, problemów, z którymi trzeba się uporać. Ale teraz przynajmniej ma przy sobie swoje dziecko.

Wreszcie.

Patrzyła, jak Maria pomaga Elizabeth wsiąść na tylne siedzenie wielkiej furgonetki. Elizabeth była zdenerwowana i starała się nie patrzeć ani na Shelby, ani na Nevadę. Cierpliwości, jakoś dojdzie do siebie, musi, Shelby powtarzała sobie w duchu, siląc się na uśmiech i udając, że jej serce nie zostało do głębi zranione.

Wsiadła do furgonetki, uruchomiła silnik, zawróciła samochód i pojechała do głównej części ojcowskiego rancza. Nevada się nie odzywał, tylko patrzył przez okno. Twarz miał jak z kamienia, kurze łapki w kącikach oczu były bardzo widoczne, bo mrużył oczy w słońcu, opierając łokieć na otwartym oknie.

Nad czym tak przemyślał podczas jazdy, kiedy słońce wschodziło coraz wyżej? Może nad tym, czyją córką jest Elizabeth, jego czy Rossa McCalluma? Shelby poczuła piekącą gorycz w gardle.

Spokojnie, mówiła sobie. Czas jest twoim sprzymierzeńcem. Wszystko się ułoży. Nie komplikuj sytuacji. Czas leczy wszystkie rany. Ale banały, które przewijały się w jej umyśle, wydawały się puste i nieprzekonujące, brzmiały jak cytaty z kartki z życzeniami dla chorej psychicznie osoby, a nie jak użyteczna życiowa maksyma. Już i tak straciła bezpowrotnie mnóstwo czasu, a każda minuta, w której Elizabeth ją odtrącała, była kolejną zmarnowaną minutą.

Zaryzykowała i spojrzała we wsteczne lusterko - zobaczyła błękitne, podejrzliwe oczy patrzące na nią tak, jakby była czarownicą. Świetnie. Po prostu świetnie. Boże, daj mi siłę, Shelby modliła się w duchu, lecz po chwili zauważyła, że siedzący obok niej Nevada sztywnieje na widok zabudowań na ranczu. Utkwił wzrok w jakimś odległym punkcie i cicho zaklął.

Już miała zapytać, co się stało, ale kiedy spojrzała tam, gdzie on patrzył, poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch.

W pobliżu stajni stał, lśniący w promieniach porannego słońca, wóz policyjny. Zastępca szeryfa, Shep Marson, w mundurze i okularach przeciwsłonecznych, stał oparty o zderzak i nie spuszczał z nich oczu.

Shelby z trudem przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w gardle.

Przez ułamek sekundy miała ochotę szarpnąć kierownicą, zawrócić wóz i dać gaz do dechy. Na jej czole pojawił się pot, ale czuła się tak, jakby w środku wszystko w niej skamieniało. Nikt nie musiał nic mówić.

Shelby uświadomiła sobie z przerażeniem, że Nevada Smith zostanie zaraz aresztowany za zamordowanie Ramóna Estevana.

Rozdział 19

To jest chore - powiedziała Shelby, patrząc gniewnie na ojca w sali bilardowej ich domu. - Patrzyłam, jak Shep zakłada Nevadzie kajdanki i ciągnie go ze sobą. - Czują wściekłość i ból i chętnie walnęłaby Shepa Marsona pięścią w jego wielki brzuch. Miał taką zadowoloną minę, kiedy skuwał nadgarstki Nevady, a potem przytrzymał mu głowę, popychając go na tylne siedzenie samochodu.

- Z tego Smitha zawsze był nicpoń, Shelby - zawyrokował sędzia Cole. - Spójrz prawdzie w oczy.

- Nie możesz czegoś zrobić?

Zaśmiał się sucho.

- Aha, to teraz chcesz, żebym pociągał za sznurki, tak?

- Tak - odparła cicho. Jej córka i Maria odpoczywały na górze, po sztywnym, oficjalnym powitaniu ze strony sędziego.

- Proponowałem, że zadzwonię do firmy Stahancyk.

- Ale Nevada nie zabił Ramóna Estevana! Wiesz o tym i ja też to wiem.

- Chodzi o dowody. Wszystkie świadczą przeciw niemu.

- A co z zeznaniem? Nikt nie widział go z Ramónem tamtej nocy.

- Vianca zmieniła swoją wersję wydarzeń.

- W takim razie jest cholerną kłamczuchą! A co z Ruby Dee? Ona widziała McCalluma z Ramónem tamtej nocy.

- Shelby podniosła głowę i zobaczyła, że Lydia krząta się w kuchni, pewnie równie zmęczona i skołatana jak ona. Jednak gospościa zdążyła już przebrać się w standardową czarną sukienkę i wykrochmalony biały fartuch i starannie pospinała siwiejące włosy. Teraz nuciła sobie pod nosem, jak to zawsze ona, i zaczęła marynować polędwiczki wieprzowe - przygotowywała się do pierwszego rodzinnego obiadu za kilka godzin.

- Nie, tak nie może być - buntowała się Shelby. Chociaż tak bardzo pragnęła odnaleźć swoją córkę, teraz chciała pomóc Nevadzie, i to bez względu na to, czy okaże się biologicznym ojcem Elizabeth, czy nie. Kochała go. Całym swoim głupiutkim sercem. Kochała tego przekłętego faceta. - Nie zamierzam siedzieć tu bezczynnie i czekać, podczas gdy Nevada jest wrabiany w zbrodnię, której nie popełnił. - Wyszła z pokoju i, przechodząc przez kuchnię, powiedziała do Lydii:

- Proszę cię, dopilnuj, żeby niczego nie zabrakło Marii i Elizabeth. Ja... ja niedługo wrócę.

- Nie martw się - uśmiechnęła się Lydia.

- Niestety nie robię nic innego, tylko się zamartwiam - burknęła. - A ty - wrzasnęła do swojego ojca, biorąc torebkę do ręki - może spróbujesz lepiej poznać swoją wnuczkę! - I wyszła.

Przerzucając kanały telewizyjne w swoim ciasnym i obskurnym pokoju motelowym, Katrina zwąchała świętą historię. Większą i ważniejszą niż uwolnienie McCalluma. Lokalny dziennik podał, że Nevada Smith został aresztowany i postawiono mu zarzut morderstwa Ramóna Estevana.

Katrina jakoś ta wersja nie przekonała. Owszem, tego rodzaju ciemnotę wciskał jej Ross McCallum, a ponadto dowiedziała się, że narzędzie zbrodni użyte do zamordowania Estevana zostało znalezione na terenie posiadłości, której właścicielem był Smith - tyle że o tym zdecydował anonimowy telefon, a nie dobra praca śledczych z Biura Szeryfa. W tym zacofanym, prowincjonalnym miasteczku takie praktyki nie dziwiły.

Katrina święcie wierzyła, że jeżeli coś w stu procentach wygląda na ścierną, to na pewno jest cholerną ścierną. Ale kto za tym stoi?

Kto najbardziej skorzystałby na uwięzieniu Nevady Smitha? Kto mógłby liczyć na pieniądze, satysfakcję albo zemstę? Komu zależało na jego pogwałceniu albo finansowych problemach?

Leżąc na nierównym łóżku w swoim komplecie z czarnej bawełny, przeglądała notatki i bębniła palcami w stolik. Brała pod uwagę ludzi, którzy najprawdopodobniej mogli popełnić tę zbrodnię: oczywiście Estevanów, Aloise, Roberta i Viancę, a także żonę Roberta. Ross McCallum odsiedział już wyrok za przestępstwo, którego, jak twierdził, nie popełnił. Nevada Smith był kiedyś związany z Viancą, ale nie on jeden, a ponadto Roberto nigdy nie miał dobrych stosunków ze swoim ojcem.

Sędzia Cole - Najdroższy Tatuńcio, jak go teraz nazywała - nie lubił „zarozumiałego Meksykanina” i nie był w tym odosobniony. Wielu białym w mieście nie podobał się sposób, w jaki Ramón zarabiał pieniądze. Ale kto nienawidził go aż tak mocno lub odniósłby wystarczająco dużą korzyść z jego śmierci, by nacisnąć spust? Kto go zabił i po dziesięciu latach, kiedy wypuszczono na wolność człowieka skazanego za tę zbrodnię, dał anonimowy cynk o miejscu ukrycia narzędzia mordu - albo jeszcze lepiej: kto podłożył tę cholerną broń?

Katrina nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale postanowiła, że je znajdzie. Zeskoczyła z łóżka i włożyła T-shirt oraz krótki kombinezon. Przeciągając się, wsunęła klapki, a potem spryskała włosy żelem, zmoczyła palce i wplotła je we włosy, żeby je podnieść i nastroszyć. Jakby ktoś z Bad Luck zauważył różnicę. Boże, jak tu tak gorąco. Ochlapała zimną wodą szyję i czoło i pozwoliła kroplom wyschnąć, zamiast wytrzeć je ręcznikiem. Idąc do drzwi, zatrzymała się w pół kroku, otworzyła torebkę i zajrzała do środka.

Pistolet. Jest.

Dobrze.

Zamknęła torebkę i wyszła na dwór. Zapadał zmrok. Powietrze było gęste i lepkie jak smoła. Samochody na ulicy poruszały się wolno, jakby i one rozleniwione upałem. Niebo zasnuwały burzowe, nabrzmiące deszczem chmury, ciemność zapadała więc wcześniej niż zwykle. Katrina zamknęła za sobą drzwi i miała nadzieję, że deszcz przyniesie trochę ulgi od tego przekłętego, niekończącego się upału.

Czekało ją rozczarowanie.

Na szybę cadillaca spadły pierwsze krople, tworząc brudne smugi. Shelby włączyła wycieraczki, ale tylko bardziej zamazywały zakurzoną szybę. Wprawdzie włączyła klimatyzację i opuściła okno, ale i tak okropnie się pociła, wściekła z powodu aresztowania Nevady i rozdarta, gdyż z jednej strony chciała być ze swoją córką, ale z drugiej - musiała znaleźć sposób, żeby dowieść niewinności Nevady.

Kilka minut więcej nie zaszkośli, pomyślała, jadąc przez miasto. Odnosiła wrażenie, że jest śledzona, ale uznała, że ma skłonność do paranoi, typowej dla rodu Cole'ów.

Zmęczona, spięta, niespokojna o Nevadę i Elizabeth, być może uroliła sobie, że widzi za sobą światła innego samochodu. Nikt za nią nie jechał. A jednak... stale zerkała we wsteczne i w boczne lusterka.

Przez ostatnie dwie godziny próbowała znaleźć Nevadę i Shepa - miała nadzieję, że uda jej się zatrzymać powolne tryby maszyny sprawiedliwości, by nie zmiażdżyły niewłaściwej osoby. Była w więzieniu okręgowym i w Biurze Szeryfa, dozwoniła się do domu Shepa, a nawet wytropiła Ruby Dee, ale nic jej to nie dało.

- Ja tam nie uważam, żeby Nevada go zabił - oświadczyła nerwowo Ruby, stojąc w drzwiach swojego mieszkania w Coopersville - ale nic, co powiem albo zrobię, tego nie dowiedzie. - Dotknęła ramienia Shelby. - Tylko uważaj na siebie, dobrze? Ross McCallum jest w mieście i... - Spojrzała Shelby prosto w oczy wystraszona. - Szczerze mówiąc, Shelby, okropnie się go boję. To nie jest ktoś, kogo można lekceważyć. Trzymaj się od niego z daleka.

- Mam taki zamiar - oznajmiła Shelby; jeśli, by udowodnić niewinność Nevady, musiałaby znów stanąć twarzą w twarz z McCallumem, to trudno. Na myśl o takiej ewentualności coś w niej drżało; zamieniała się w lód, ale wiedziała, że się nie podda. Nie może się poddać. Zaciśnęła palce na kierownicy tak mocno, jakby od tego zależało jej życie, aż pobiełały jej kłykcie.

Shelby kochała Nevadę. Taka była oczywista prawda. Inicjały, które w młodszej naiwności, dziesięć lat temu, wyryła na palu do przywiązywania koni przy drogerii, nie straciły nic z aktualności.

Jechała przez miasteczko, minęła sklep Estevanów, gdzie zobaczyła za kasą Enrique, brata Marii. Potem był White Horse - muzyka ścącyla się w lepkie, wieczorne powietrze - a dalej biuro jej ojca; tutaj, niespełna dobę - wcześniej, dowiedziała się o miejscu pobytu Elizabeth.

- To nie ma sensu - mruknęła, widząc w lusterku reflektory samochodu. Skręciła i tamten wóz pojechał za nią. Zaciśnęła szczęki: nie wiedziała, czy ze strachu, czy dlatego że była wściekła na siebie. Wjechała w boczną uliczkę. Tym razem nikt nie pojechał za nią. - Głupia - powiedziała i włączyła radio, w którym akurat puszczano jakąś łagodną balladę country and western. Potem ruszyła w miasto.

Znowu miała kogoś na kole. Próbowała nie zwracać na to uwagi. Prowadziła samochód jedną ręką, a drugą oparła na opuszczonej szybie i czuła krople deszczu na skórze. Minęła kilka domów i zwolniła przed bungalowem Estevanów, gdzie paliły się światła. Chociaż nigdy wcześniej nie spotkała się z Viancą, teraz była zdesperowana i wiedziała, że ma coraz mniejsze pole manewru. Może córka Ramóna potrafi rzucić światło na jego śmierć.

- Przynajmniej próbuję. - Shelby burknęła do siebie. Zaparkowała wóz i wysiadła. Gdzieś na ulicy zaszczekał pies, a kiedy Shelby weszła na schodki, jak spod ziemi wyłonił się kot i czmychnął przez ganek. Krople deszczu bębniły o dach.

Zapukała do drzwi; otworzyły się niemal natychmiast. Po drugiej stronie siateczki stała Vianca.

- Tak? - zapytała, ściągając czerwone usta na dowód irytacji.

- Chciałabym z tobą pogadać. O Nevadzie.

- Został aresztowany. Nie ma o czym mówić.

- Na pewno jest o czym mówić - upierała się Shelby. Niższa od niej Vianca stanęła na palcach i zerknęła jej przez ramię. Zmrużyła oczy, śledząc powoli przejeżdżającą obok furgonetkę.

- A więc sprowadzasz tu z sobą tego diabła - mruknęła bez cienia życzliwości.

Shelby obejrzała się za siebie i miała wrażenie, że jej krew lodowacieje. Do krawężnika podjechał stary pikap Rossa McCalluma.

- O Boże, nie.

- Wchodzi do środka. - Vianca otworzyła szybko drzwi. Shelby nie trzeba było ponaglać. Usłyszała, że McCallum gasi silnik furgonetki.

- *Dios*. - Vianca zamknęła siateczką i drzwi. Okręciła się na pięcie i spojrzała na czekającą na środku salonu Shelby. - O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała, a potem gniewnie rzuciła kilka zdań po hiszpańsku.

Jej matka leżała na kanapie; szczupłe nogi okrywał pled.

- Nie przeklinaj - powiedziała. - Nie wymawiaj imienia Pana Boga swego nadaremno.

- Nie robię tego, *madre*.

Aloise wyglądała jak duch, taka była osłabiona. Traciła też chyba koncentrację, bo skierowała szkliste oczy na

ściszony telewizor, w którym leciał jakiś serial komediowy.

- Czego chcesz? - zapytała Vianca, znowu patrząc w oczy Shelby.
- Twojej pomocy.
- Mojej pomocy? - Vianca podeszła do stolika i sięgnęła po papierosa.
- Nevada nie zabił twojego ojca.

W tym momencie obie usłyszały walenie do drzwi. To był Ross McCallum.

Vianca upuściła papierosa.

- Czego on chce?
- Nie wiem. Nie wiedziałam, że mnie śledzi, dopóki nie znalazłam się tutaj.
- Idź sobie! - Vianca krzyknęła przez drzwi.
- Hej, ja tylko chcę się zobaczyć z Shelby. Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wrzasnął Ross.

Shelby podeszła do drzwi.

- Zostaw mnie w spokoju, McCallum. Nie mam ci nic do powiedzenia. - Starła się wyprzeć ze świadomości strumień prześladowających ją obrazów tamtej nocy, kiedy dopadł ją na ranchu, wsiał do szoferki pikapa jej ojca, przywoździł ją do fotela...

- Wezwę policję! - zagroziła Vianca.
- Zrób to koniecznie, okej? Ale pamiętaj: nie zabiłem twojego starego.
- Ramón? - zapytała Aloise. Odwróciła się, żeby popatrzeć na stolik, na którym stały zdjęcia jej nieżyjącego męża, oświetlone kilkoma świecami, oraz piękny portret Jezusa Chrystusa.

Vianca podniosła i zapaliła marlboro.

- Musisz wyjść, Shelby. *Madre* jest chora, a ja nie mogę ci pomóc...
- Powiedz mi tylko, co pamiętasz z tej nocy, kiedy zabito twojego ojca.
- Nic. Niczego nie pamiętam. To było dawno temu.
- Ramón? - znów odezwała się Aloise i zwróciła na Shelby swoje ciemne, udreżone oczy. - Ramón? - powtórzyła.

- Jego tu nie ma, *madre*. Pamiętasz? - Vianca nerwowo zaciągnęła się papierosem, a potem wypuściła kłęb dymu.

- Czasami wszystko jej się miesza.

- Shelby, wyjdź! - wołał Ross, głośno waląc w drzwi. - Hej, czy ty i ja nie możemy być przyjaciółmi?
- On jest pijany - stwierdziła Vianca i rzuciła podniesionym głosem: - Ja nie żartuję. Zadzwońię po policję, jak się stąd nie wyniesiesz, i to już!

- Mowy nie ma. - Ross się roześmiał. Vianca zaklęła soczyście po hiszpańsku, a Shelby przyglądała się wnętrzu małego domu, jego schludnemu umeblowaniu i ołtarzykowi ku czci Ramóna. - Hej, co ty masz przeciwko mnie, Vianca? Ja tego nie zrobiłem, wiesz? Jestem wolnym człowiekiem.

- Wolnym człowiekiem, który wkracza na teren prywatnej posiadłości! Och, na miłość Matki Boskiej! - Vianca podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je. Przez siatkę Shelby zobaczyła prostacką, rozwścieczoną gębę mężczyzny, który kiedyś ją zgwałcił.

- Odejdź, Ross. - Zrobiła krok do przodu. - Nie chcę cię widzieć. Ani dzisiaj, ani w ogóle.

- A dlaczego nie? Wiesz, Shelby, czekałem na ciebie dziesięć lat.

Shelby ogarnęły mdłości. Wzięła się jednak w garść i powiedziała spokojnym głosem:

- Odejdź, i to natychmiast. Nigdy więcej nie naprzykrzaj się ani mnie, ani tym ludziom.
- Tym ludziom. Myślisz, że to są twoi przyjaciele? - Zaśmiał się złośliwie. - To nie wiesz, że oni trzymają się razem? A ty, Vianca, masz się z czego tłumaczyć. Widziałem cię tamtej nocy, prawda? Owszem, byłem pijany i ukradłem wóz temu draniowi, ale ty też tam byłaś... - Zmrużył oczy, a Vianca zrobiła się biała jak ściana. - Dopiero teraz sobie przypomniałem. Byłaś w tym wozie. A niech mnie, czy to ty zabiłaś swojego starego? Czy nie tak było? Miałaś dosyć tego, że cię maltretował?

- Zamknij się!

- Nie wezwiesz glin - rzucił już normalnym tonem - bo mogę im powiedzieć coś, co cię obciąży. Teraz to Nevada będzie ponosił konsekwencje, ale powinni przymknąć cię, meksykański śmieciu.

- Czy to prawda? - zapytała wstrząśnięta Shelby. Kręciło jej się w głowie, a leżąca w salonie Aloise znowu zaczęła bełkotać monotonną hiszpańszczyzną, często powtarzając imię męża.

- To bzdury. Kłamstwa - zarzekła się Vianca.

Ross uśmiechał się szyderczo za siatkowym ekranem.

- Czyżby? Ja tak nie myślę. A ty, Shelby? W co wierzysz? Czy ty też na mnie czekałaś?
- Idź do diabła, McCallum! - W powietrzu czuć było wielkie napięcie.
- Może i pójde - odparł, a potem uśmiechnął się złowrogo. - Właściwie to ja już tam byłem, no nie? Ale teraz przyszła kolej na kogoś innego, co? Teraz Nevada ma wreszcie swoje piekło.

- A ty go wrobiłeś, prawda? - sapnęła Shelby, nie czując już przed nim strachu. Podeszła bliżej do drzwi; od mężczyzny, który ją zgwałcił, dzieliła ją tylko cienka siatka. - Guzik mnie obchodzi, że nie możesz być sądzony drugi raz za tę samą zbrodnię. Jeśli wrobiłeś Nevadę, to przysięgam, że cię dorwę i dopilnuję, żebyś otrzymał

wyrok, na jaki zasługujesz.

- Nie, nie rób tego. - Vianca gwałtownie pokręciła głową.

- Hm, śmiało, dziewczynko. - Jego oczy błyszczały złośliwym podnieceniem. - Przekonajmy się, jak to teraz z tobą jest. Jeśli dobrze pamiętam, byłeś najlepszą dupą, jaką kiedykolwiek zaliczyłem. A ta twoja córka... czy i ona nie mogłaby być moja?

- Jej w to nie mieszaj. - Shelby jeszcze nigdy nie doświadczała tak wielkiego strachu jak w tym momencie.

Vianca poszarzała na twarzy i szybko się przeżegnała, jak gdyby w końcu pojęła, o czym oni mówią.

Tymczasem Aloise znowu poruszyła się na kanapie i zaczęła wyrzucać gniewne słowa po hiszpańsku.

- No, śmiało, Shelby. Na co czekasz? Wciąż trzymasz się Nevady? Hm, pozwól, że coś ci uświadomię, Shelby dziewczę: on nie wróci.

- Odejdź! - nakazała mu Vianca.

Obraz na ekranie telewizji dziwnie migotał. O dach bębniły krople deszczu. Aloise bełkotliwie wypowiadała imię swojego zmarłego męża.

- Nic z tego, on zapłaci za to, że wpakował kulkę w głowę starego Ramóna.

- On tego nie zrobił!

- Ktoś musiał to zrobić, do diabła, bo inaczej Aloise nie byłaby teraz wdową, a ojciec Vianki nadal by ją bił i przezywał cipą, którą zresztą jest!

- Nie! - wykrzyknęła starsza pani. - Nie! Nie! Ramón, nie rób tego!

- Zamknij się! - poleciła Vianca, ale nie McCallumowi, tylko swojej matce.

Zaraz, zaraz. Co to wszystko znaczy? Vianca miała dostęp do broni, z której zabito Ramóna?

- Pierwszorzędna zabawa, co? - szydził Ross.

- Ty naprawdę jesteś łajdakiem! - krzyknęła Shelby, widząc kątem oka, że Aloise podnosi się na łóżku. - Zasłużyłeś sobie na każdy dzień w więzieniu.

- *Madre*, nie!

- Ramón! - wyła Aloise, jakby była świadkiem jakiegoś nikczemnego czynu popełnianego przez jej męża. - Och, *Dios*, nie, Ramón, nie! Nie rób tego!

- Cicho! *Madre*, proszę cię - zaklinała ją Vianca, podnosząc słuchawkę telefonu, jakby zamierzała spełnić swoje pogroźki i wezwać policję.

- Dzieci. Nie rób krzywdy dzieciom. - Aloise rozszlochała się na dobre, lamentując po hiszpańsku.

Vianca upuściła słuchawkę i podbiegła do matki.

- Nie mów już nic. Nic a nic.

Przez ułamek sekundy Shelby patrzyła na starą kobietę. Ross rzucił się do przodu i przebił ręką siatkowy parawan. Łup! Vianca wrzasnęła. Ross przełożył rękę przez dziurę i otworzył drzwi.

- Wynoś się! - nakazała mu Shelby.

Za późno. Już był w środku.

- Wynoś się stąd, do diabła, McCallum - powtórzyła.

- Zmusz mnie, Shelby dziewczę. No, zmusz mnie. - Rzucił się na nią. Zalatywało od niego alkoholem. Shelby uskoczyła, zdążył jednak złapać potężną łapą jej nadgarstek i szarpnął nią.

- Puszczaj.

- Mowy nie ma, złotko. Za długo czekałem na tę chwilę, a ty... - Przygwoździł Viancę zimnym wzrokiem. - Ty nie rób niczego głupiego, bo inaczej razem z matką skończycie w więzieniu za zabójstwo waszego tatuśka.

- Przestań. - Shelby daremnie usiłowała się wyrwać. Jego palce były jak kajdanki. Próbowana go uderzyć wolną ręką. Wciągnął powietrze i złapał ją za nadgarstek i teraz trzymał oba w jednej ręce.

- To akurat był błąd.

- Nie rób tego! - krzyczała Vianca. - Zostaw nas w spokoju, *por favor*.

- Zaczekaj no tylko, suko - burknął Ross. - Przyjdzie i na ciebie pora. Wszyscy, którzy mnie wrobili, zapłacą za to.

Shelby mocowała się z nim, ale był silniejszy. Przyciągnął ją do siebie. Wymierzyła mu kopniaka kolanem. Z całej siły, w czułe miejsce. Zgiął się wpół, ale nie puścił jej.

- Ty przeklęta dziwko.

Gdzieś za oknem rozległo się wycie syreny, ale było już za późno. Ross objął Shelby ramionami. Kopała go, mocowała się z nim, drapała po twarzy, ale wciąż jej nie puszczał.

Aloise zemdląła. Vianca klęczała przy niej, zanosząc się histerycznym szlochem.

- *Madre*, och, *madre*.

- Nie możesz tego zrobić, McCallum - syknęła Shelby. - Wrócisz do więzienia. Mam świadków.

- Warto będzie wrócić. Poza tym nie posłałabyś ojca swojego dziecka do więzienia.

- Ty nie jesteś ojcem Elizabeth. - Siłując się z nim, boleśnie wyrznęła plecami o ścianę. Płomienie świec zdrząły. Potem świece przewróciły się, a od ognia zajął się serwetą.

Shelby osunęła się po ścianie.

Ross uderzył jej głową o podłogę.

Poczuła straszliwy ból. Starła się zachować przytomność.

Przez ciemną kurtynę, która majaczyła przed jej oczami, usłyszała, że starsza pani zaczyna się modlić, a potem krzyczy, czołgając się w stronę przewróconego ołtarzyka; zalana łzami Vianca próbowała wyprowadzić matkę z domu.

- *Tia V?* - zabrzmiał czyjś przerażony głosik i Shelby, która próbowała zrzucić z siebie Rossa, zobaczyła pyzată buzię chłopca w korytarzu.

- Mały Ramónie, uciekaj... och, słodki Jezu! - Vianca histeryzowała. Dźwignęła się na nogi i złapała dziecko, gdy tymczasem płomienie zaczęły trawić zasłony i z żarłocznym trzaskiem przesuwały się w stronę sufitu.

- No, idziemy, Shelby. - Ross podniósł Shelby z podłogi. Zataczając się, zamachnęła się na niego i chybiła. Dym wypełnił jej nozdrza i płuca. Zaczęła kasłać. Wciąż walczyła, ale Ross przerzucił ją sobie przez ramię. - Oboje musimy się stąd wydostać i znaleźć bardziej ustronne miejsce.

- Nie - krzyknęła i w tym momencie poczuła, że coś twardego uderzają w głowę. Na szczęście straciła przytomność.

- Jasna cholera! - Shep wysłuchał meldunku, włączył koguta i światła, zawrócił samochód i wcisnął pedał gazu.

Nevada, który siedział w zakratowanej części wozu, rzuciło o ściany.

- Trzymaj się! - krzyknął Shep, widząc przed sobą światła Bad Luck. - Mała zmiana planów.

Ani słowa więcej, ale Nevada i tak czuł ulgę. Wcześniej został zarejestrowany i przesłuchany, i właśnie jechał do okręgowego więzienia, kiedy Shep dostał zgłoszenie o pożarze i zmienił trasę.

Inne syreny rozdarły nocną ciszę. Wozy strażackie, karetka, samochód policyjny - wszystkie pojazdy szybko zmierzały do jednej części miasteczka.

Shep jechał na skróty i ostro wchodził w zakręty; Nevadzie robiło się niedobrze. Powietrze wypełnił dym. Płomienie unosiły się nad domem we wschodniej części Bad Luck.

Stale padający deszcz właściwie nie gasił piekła, które się tu rozszalało. Nevada poczuł ucisk w żołądku. Natychmiast domyślił się, dokąd jadą i gdzie wybuch pożar.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie wiem - przyznał Shep. - Ale widziano tu twojego przyjaciela McCalluma - dodał, pokonując ostatni zakręt i zatrzymując wóz.

Nevada ze ściśniętym sercem patrzył na przerażającą scenę. Vianca stała na trawniku, przytulając małe dziecko. Aloise, jej matkę, sanitariusze odprowadzali do karetki, ale sprawiała wrażenie, że nie dociera do niej nic, że nie rozumie, co się dookoła dzieje.

Strażacy wykrzykiwali rozkazy i walczyli z płomieniami, próbując powstrzymać rozprzestrzeniający się pożar, podczas gdy policjanci z psami starali się nie dopuszczać tłumu do ognia. Wyglądało to koszmarnie. Nevada dostrzegł białego cadillaca, którego wynajęła Shelby. Stał zaparkowany blisko gruchota Rossa McCalluma.

- Wypuść mnie - powiedział zdenerwowany, kiedy Shep otworzył drzwi.

- Nie ma mowy.

- Mówię poważnie, Shep. Shelby gdzieś tu jest. McCallum też. - Nevada był w szoku. Chociaż miał na rękach kajdanki, próbował popchnąć drzwi.

Bezskutecznie.

Shep potrząsnął głową.

- No cóż, masz czas to przemyśleć, co?

Nevada obserwował sytuację z przerażeniem. Strażacy rozwinęli węże; z końcówek wylotowych wytrysnęły gejzery wody, podobne do pióropuszy na tle ciemnego nieba.

Mimo utrudnionej nocną porą i pożarem widoczności Nevada zmrużył oczy i przyglądał się ulicy oraz pobliskim domom. Na miejscu zdarzenia zebrał się tłum, ale policja panowała nad gapiami, a pracownicy szpitala zajmowali się rodziną Estevanów. Gdzie, u diabła, jest Shelby? O Boże, nie może być z McCallumem. Czuł, jak napinają się żyły na jego szyi, był pewien, że zaraz wybuchnie.

- Wypuść mnie, Marson!

- Nie ma mowy, synu. - Shep zaczął zamykać drzwi.

- Będziesz miał to zeznanie.

Zastępca szeryfa przystanął.

- Co?

- Wypuść mnie. Rozkuj mi kajdanki, a ja dam ci to, czego chcesz. - Nevada był zdesperowany, nie przejmował się konsekwencjami.

Shep zawahał się i spojrział na Viancę, która przytulała bratanka, niespokojna i udręczona. Mężczyźni krzyczeli. Kobiety piszczały.

- Zrób to, Marson.

- Dobrze. Wypuszczę cię. Ale kajdanki zostają. A jeśli mi zwiejesz, Smith, to przysięgam, że najpierw będę

strzelał, a dopiero potem zadawał pytania. Stoi?

- Stoi. - Nevada się nie targował. Nie zależało mu na tym. Chciał tylko odnaleźć Shelby.

Shep otworzył drzwi i Nevada wysiadł z wozu. Gnał przez tłum, potykając się i ślizgając na gumowych wężach, nie dbał o to, że ludzie usuwają mu się z drogi i gapią na niego. Krew mocno pulsowała mu w żyłach, mózg zdawał się krzyczeć wniebogłoso. Pokonał ogrodzenie na tyłach domu, ignorując krzyki powstrzymujących go ludzi. Zobaczył, że coś porusza się przed nim w cieniu.

Pognał tam szybko, strach dodawał mu sił. W zagajniku żywodębów wypatrzył sylwetkę Rossa McCalluma. Ross miotał się z jakąś kobietą, którą niósł na plecach.

Shelby.

Och, kochanie, obys żyła. Nie możesz umrzeć, myślał zdesperowany. Kocham cię, Shelby, i nie mogę, nie chcę cię stracić.

Shelby otworzyła oczy i natychmiast zrobiło jej się niedobrze. Jakiś mężczyzna niósł ją i próbował sforsować ogrodzenie, a z ciemnego nocnego nieba padał drobny deszcz. Kaszłąc, wyczuła dym, zakręciło jej się w głowie i zaczęła krzyczeć, bo gdy płomień rozświetlił noc, uświadomiła sobie, że jest z Rossem McCallumem.

- Zamknij się! - Ciężko dyszał, a ona kopała go, gdy wspinał się na ogrodzenie, przytrzymując jej nadgarstki jedną ręką. Przerzucił ją sobie przez ramię; wita się zapamiętała, czując, jak adrenalina dodaje jej energii.

- Zabiję cię! - krzyknęła, kiedy zaczął pokonywać ogrodzenie. Wyrznęła głową w konar drzewa i świat znowu zawirował jej przed oczami. Ale nie chciała dać za wygraną. Nie podda się bez walki. Ma dla kogo żyć, tak wiele jest do zrobienia. Elizabeth i Nevada... och Boże, musi pomóc Nevadzie. Zaczęła walczyć jeszcze zajadlej.

- Na miłość boską... - Udało mu się wylądować po drugiej stronie ogrodzenia. Oboje leżeli na ziemi, po czym on usiadł na Shelby okraciem i próbował stłamsić jej opór. - Teraz posłuchaj mnie... jeśli chcesz żyć i chcesz, żeby ta twoja córka wyrosła na kobietę, to będziesz robić to, co ci każę.

- Elizabeth w to nie mieszaj.

- Tylko pod warunkiem, że ty się uspokoisz, Shelby. Inaczej skrzywdzę ją - oznajmili wiedziała, że on nie żartuje. W jego oczach odbijał się piekielny blask ognia. Spocony przyłożył rękę do jej gardła. - A chyba nie chciałybyś, żebym ją skrzywdził, co? I nie chciałybyś, żebym jej zrobił to, co zrobiłem tobie, nie chciałybyś, żeby cierpiała, prawda?

Shelby walczyła z obezwładniającym lękiem. Przez zaciśnięte zęby wycedziła:

- Przysięgam ci, McCallum, że jeśli z twojego powodu choć jeden włos spadnie jej z głowy, to wytropię cię jak kłamiwego psa, którym jesteś, i ukatrupię gołymi rękami.

- Spróbuj, Shelby dziewczę - odparł. Miał zaślinione kąciki ust. - Tylko spróbuj, do cholery.

Wpatrywała się w niego i widziała czystą radość w jego oczach, ale za jego plecami na ogrodzeniu pojawił się jakiś mężczyzna.

Kiedy Nevada znalazł się na ziemi, serce jej podskoczyło.

Brzęcząc kajdankami, dopadł McCalluma.

- Co jest, kurwa? - McCallum wiał się bezradnie.

Shelby się odsunęła. Nevada przerzucił ręce nad jego głową i łańcuch łączący kajdanki znalazł się na tchawicy Rossa.

- Złaż ze mnie! - wrzasnął McCallum.

- Nigdy. - Nevada mocno szarpnął kajdankami, ściągnął łańcuch.

McCallum zawył z bólu i przerażenia.

Na twarzy Nevady widać było wielkie napięcie. Znowu poruszył się gwałtownie.

Wytrzeszczone gałki oczne Rossa były białe. Chwycił łańcuch, który wrzynał mu się w gardło i odcinał dopływ powietrza. Zaczął pryskać śliną.

Shelby się podniosła, podczas gdy mężczyźni tarzali się po mokrej trawie pod drzewami. O Boże, Nevada, bądź ostrożny. Rozglądała się dookoła, szukając broni, słyszała jęki i wrzaski Rossa.

- Giń, bydlaku! - Usłyszała przeciągły głos z teksańskim akcentem. Przez ogrodzenie przeskoczył Shep z bronią wycelowaną w dwóch bijących się mężczyzn.

- Nie! - krzyknęła Shelby, pewna, że Shep mierzy w Nevadę.

Padł strzał.

Obaj mężczyźni osunęli się na ziemię.

Oszołomiona, odrętwiała, Shelby znów krzyknęła i podbiegła do dwóch splecionych ze sobą ciał. Kula przebiła środek czoła Rossa McCalluma. Jego oczy już nic nie wyrażały. Leżący obok Nevada przesunął się i z brzękiem łańcucha cofnął skute ręce. Shelby przytuliła się do niego i rozplakała jak dziecko. Nie mogła się powstrzymać.

- Cicho, kochanie. - Nevada odciągnął ją od zwłok Rossa McCalluma w stronę kępy drzew. - Skończyło się. Nareszcie.

- Obiecujesz? - zapytała.

Shep odwrócił się do nich plecami, żeby mieli trochę prywatności.

- O, tak, obiecuję.
- Jesteś kłamcą, Nevada Smith - pociągnęła nosem i przywarła do niego jeszcze mocniej. - Najgorszym z możliwych. I... i... i, do diabła, kocham cię.
- Naprawdę? - dopytywał się. - A to dopiero - powiedział, dotykając siniaka na jej głowie - bo właśnie pomyślałem sobie, że ja kocham ciebie. Tylko nie wiem, co mam z tym zrobić.
- Nie mogła się powstrzymać, więc uśmiechnęła się szeroko.
- Mam kilka pomysłów, kowboju.
- O, założę się, że je masz. - Oplótł rękami jej plecy i mocno ją pocałował. - I jak tylko uporządkuję kilka drobnych spraw, zamierzam przeanalizować każdy z tych pomysłów.
- Będę czekała - oznajmiła.
- Wiem. - Jego oczy spoważniały. - Och, kochanie, wiem.

Epilog

Było późne lato i promienie słońca lśniły na czystej powierzchni basenu. Siedząc na terakotowej krawędzi, Shelby ostrożnie włożyła palce do wody i zerknęła na niebo. Chmurzyło się.

- Boisz się? - drażniła się z nią jej córka, która pływała na drugim końcu basenu.

Shelby uśmiechnęła się od ucha do ucha. Jak mogła myśleć, że ojcem Elizabeth jest Ross McCallum, skoro z każdym dniem coraz bardziej upodobniała się do Nevady Smitha? Oczywiście testy potwierdziły ojcostwo Nevady, ale teraz to wszystko wydawało się mało ważne.

- No, chodź, Shelby - zachęcała ją dziewczynka ubrana w pomarańczowy kostium kąpielowy. Jeszcze nie mówiła do niej „mamo”, ale Shelby wiedziała, że z czasem to się zmieni. Musiała tylko być cierpliwa.

- No, dobrze. - Shelby zrzuciła okrycie i wskoczyła do wody. Pływała pod powierzchnią, muskając dno basenu.

Kto by pomyślał, że wszystko tak dobrze się ułoży? Wzięli ślub z Nevada i przeprowadzili się do dużego domu, podczas gdy jej ojciec popłynął w rejs dookoła świata - swój ostatni rejs, jak twierdził, choć Shelby miała nadzieję, że starczy jeszcze czasu, by pogrzebać zadawnione spory i stworzyć prawdziwą rodzinę, zanim sędzia postanowi opuścić ziemski padół.

Nevada został oczyszczony z wszelkich zarzutów, gdy tylko Vianca zaczęła składać zeznania. Nie wyzbył się swoich dwóch posiadłości i chciał wznieść skromniejszy dom na jednej z nich, żeby tam wychowywać dzieci i żyć prostym życiem.

Shelby nie była pewna, czy to jest możliwe. Wprawdzie wyprowadziła się z Seattle na dobre, ale życie nadal przypominało wir, którego tempo wcale nie było wolniejsze. Elizabeth i Maria mieszkały razem z nimi. Dziewczynka zgodziła się, żeby mówić do niej Liz, i powoli przyzwyczajała się do nowego domu. Dziękować Bogu, Maria była cierpliwa i chociaż zamierzała poślubić mężczyznę, którego poznała w Galveston, zgodzili się poczekać, aż Elizabeth w pełni zaaklimatyzuje się w nowej rodzinie.

Maria, podobnie jak Lydia i Pablo, i Carla, na zawsze miała pozostać częścią życia Elizabeth. Może nie była to idylla, ale ten nowy układ sprawnie funkcjonował, i tylko to się liczyło.

Shelby chwyciła pod wodą palce u nóg Liz, a dziewczynka pisnęła z uciechy i zaczęła szybko płynąć do płytszej części basenu. Shelby puściła się za nią i dogoniła ją dopiero, gdy Liz dopłynęła do stopni. Śmiały się i dyszały, gdy tymczasem z kuchni wyszedł Nevada, ubrany w levisy i koszulę z długimi rękawami. Mimo upływu lat Shelby wciąż przeżywała wzruszenie na jego widok.

- No cóż, to już oficjalna zapowiedź - poinformował. - Shep ubiega się o stanowisko szeryfa, a ponieważ rozwiązał zagadkę morderstwa Ramóna Estevana, może się okazać zdecydowaną zwyciężcą.

- Podejrzewam, że jest tak samo dobry jak inni kandydaci. - Shelby patrzyła na swojego męża i czuła wdzięczność na myśl o zeznaniach Vianki.

Vianca przyznała się, że „pożyczyła” pistolet Nevady w noc, w którą ukraść go Ross, i powiedziała sądowi, że kiedy jej ojciec zaczął ją bić po twarzy za to, że się pomyliła przy wydawaniu reszty, poszła za nim na zaplecze sklepu i zagroziła mu bronią, chociaż nie zamierzała jej użyć.

Szturchając ojca lufą, wyprowadziła go pod śmietnik. Chciała go tylko nastraszyć, ale jej matka była świadkiem zajścia i nie przyglądała mu się beczynnienie. Ramón usiłował uderzyć Viancę i wtedy Aloise pociągnęła za spust. Z powodu szoku straciła resztki przytomności umysłu. Vianca ukryła pistolet w opuszczonym magazynie, a potem podrzuciła go do jaskini i anonimowo zadzwoniła do Shepa, mając nadzieję, że Nevada zostanie oskarżony o morderstwo. Bała się, że szczegółowe śledztwo doprowadzi do skazania jej matki, chociaż w ocenie Lydie Aloise po prostu chroniła swoją córkę.

Vianca nie dbała o to, kto będzie odpowiedzialny za śmierć jej ojca - Ross czy Nevada. Ważne dla niej było tylko to, żeby Aloise nie trafiła do więzienia.

- Nie wiem. Shep ma skłonność do naginania prawa - powiedział Nevada. Kucnął i zmierzwił mokre włosy córki. Elizabeth zachichotała. Uwielbiała swojego ojca. - No i ma własne problemy. Peggy Sue ostatnio nie chce wpuszczać go do domu.

- Tak, ale słyszałam, że znowu się „umawiają”.

Nevada prychnął pogardliwie.

- Hm, cóż, zobaczymy, czy potrafi mu wybaczyć i zapomnieć.

- Przynajmniej już nie widuje się z Vianca.

Vianca wyprowadziła się dwa miesiące temu, podobnie jak Katrina Nedelesky, która pisała książkę i ponoć już ją reklamowała. Gdyby to zależało od Shelby, niesnaski między jej ojcem a siostrą mogłyby się zakończyć, ale jak na razie ani Katrina, ani sędzia nie wyciągnęli do siebie nawzajem ręki na zgodę. Być może tak już miało być.

- Wchodź - Liz zachęcała ojca na drugim końcu basenu. - Popływaj z nami, Vada.

- Tak - droczyła się Shelby. - Dołącz do nas. - Nie mogła się powstrzymać i ochlapała go wodą. Na nogawce dżinsów miał teraz mokry szlaczek.

- Kochanie, prosisz się o kłopoty - zauważył, uśmiechając się półgębkiem.

- Naturalnie, że się proszę. Zastanawiam się tylko, czy jesteś na tyle męski, żeby mi je sprawić - prowokowała.

Nevada szczyrzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Wiesz, co ci powiem... Przekonajmy się.

- O, tak - zgodziła się.

Szybko, jak atakujący kot, skoczył do wody, wyciągnął ręce i chwycił nogi Shelby. Pisnęła, a wtedy Nevada wciągnął ją pod wodę. Roześmiana wypłynęła na powierzchnię. Obserwująca ich z drugiego końca basenu Liz zachichotała i popłynęła w ich kierunku, prując czystą wodę.

- Jeszcze cię dorwę - ostrzegła Shelby.

Nevada wybuchnął gardłowym śmiechem.

- No, ja myślę - odparł i, wciąż w mokrym ubraniu, przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Mam nadzieję, że się postarasz, kochanie.

- Bo jak nie?

- To będę musiał dać ci lekcję.

- Kolejną?

- Taką, jaką będzie trzeba - powiedział i w tym momencie Liz dopłynęła do nich i objęła ojca w pasie.

- No, nie wiem. - Przechyliła głowę na bok. - To może trochę potrwać.

- Cóż - odparł. - Przykro mi. Mam jeszcze tylko resztę swojego życia. Jeśli to nie jest dość długo, będziesz musiała znaleźć kogoś innego.

- Nigdy. Po tym wszystkim, co z tobą przeszłam, już nigdy nie spojrzę na innego faceta. - Mówiła poważnie. I bardzo, bardzo szczerze. Nevada znowu ją pocałował i Shelby wiedziała, że to życie i ta miłość są na zawsze.

Podziękowania

Chciałabym podziękować i wyrazić wdzięczność wszystkim osobom, które pomagały mi w wyszukiwaniu informacji i nadawaniu kształtu tej powieści. Bez ich pomocy i wsparcia ta książka nigdy by nie powstała. Dziękuję moim przyjaciołom i rodzinie, a zwłaszcza: Ann Baumann, Nancy i Kenowi Bushom, Matthew Crose'owi, Michaelowi Crose'owi, Alexis Harrington, Mary Clare Kersten, Kenowi Melumowi, Betty i Jackowi Pedersonom, Sally Peters, Tess O'Shaughnessy, Robinowi Ruenowi, Johnowi Scognamigliowi, Lindzie i Larry'emu Sparksom oraz Markowi i Celi Stinsonom. Muchas gracias!